

Victoria Holt

Oczy Żbika

The Shadow of the Lynx
Przełożyła Ewa Tade

Nora

Rozdział 1

Stałam na pokładzie. „Carron Star” oddalał się od wybrzeża, a ja wciąż nie mogłam uwierzyć, że opuszczam Anglię, zrywam z dawnym życiem i w gruncie rzeczy płynę w nieznaną. Wiatr rozchyłał poły mojej peleryny w szkocką kratę, odsłaniając prostą spódnicę z tego samego materiału. Słomkowy kapelusz przytrzymywała związana pod szyją długa szarfa z jasnego szyfonu. Siedemnastoletnia panna, wybierałam się w podróż na drugi koniec świata z mężczyzną, którego jeszcze przed miesiącem nie znałam, nawet nie wiedziałam o jego istnieniu.

Ludzie stojący na brzegu powiewali chusteczkami i mimo bohaterских uśmiechów wielu ukradkiem ocierało łzy.

Do mnie nikt nie machał na pożegnanie.

Jakiś mężczyzna w średnim wieku, z bokobrodami, przyglądając mi się bezczelnie, przysunął się do mnie blisko, zbyt blisko.

— Żadnych przyjaciół? — spytał poufale.

— Żadnych — odparłam.

— Sama w podróży?

Spoza moich pleców ozwał się głos:

— Moja podopieczna podróżuje ze mną.

Zielonkawe oczy Stirlinga lśniły drwiąco, jego głos żądał wyjaśnień, dlaczego nieznajomy ośmiela się nagabywać jego podopieczną.

Mężczyzna oddalił się zakłopotany. Stirling milcząc, stał u mego boku oparty o balustradę, a ja czułam rozlewające się po moim wnętrzu radosne ciepło: byłam bezpieczna. Wiedziałam, że w tej oto chwili skończyła się niedola, która była moim udziałem przez ostatnie tygodnie, po utracie tego, kogo kochałam ponad wszystkich i wszystko. Teraz Stirling stał obok mnie, mój opiekun — jak sam siebie nazywał. Nie całkiem ściśle, co prawda, ale i tak byłam uszczęśliwiona.

Wtedy właśnie poczułam, że Stirling i ja jesteśmy sobie przeznaczeni.

* * *

Ale to jeszcze nie początek. Może powinnam zacząć od swoich urodzin, bo tak zaczynają się wszystkie opowieści. Ale nie rzeczywistość, ona sięga po to, co było nieco wcześniej. Często zastanawiałam się, jak wyglądało preludium do moich urodzin. Wyobrażałam sobie rodziców razem. Nie było to łatwe, bo nigdy nie widziałam matki, ale nie przejmowałam się tym zbyt. Miałam ojca, Tomasza Tamasina, a mając takiego ojca, trudno trapić się brakiem matki.

„Poszła sobie”, jak on to określał, kiedy miałam rok. Lecz dopiero gdy skończyłam sześć lat, zrozumiałam, co to znaczyło.

Cudownie było żyć z Tomaszem Tamasinem. Moim zdaniem, my dwoje w zupełności sobie wystarczaliśmy. Nikt więcej nie był nam potrzebny do szczęścia. Nawet mama byłaby intruzem.

Mieliśmy kilka kolejnych gospoś, których obowiązkiem było troszczyć się o mnie, i póki nie skończyłam sześciu lat, nie znałam słowa „porzucona”. Użyła go dopiero jedna z owych gospoś w rozmowie z przyjaciółką, która przyszła ją odwiedzić. Mieszkaliśmy wówczas na północy Londynu — przeprowadzaliśmy się nieustannie, bo tego wymagały wciąż nowe interesy ojca.

Siedziałam w ogrodzie pod szeroko otwartym oknem kuchennym i obserwowałam mrówki maszerujące w tę i z powrotem po ścieżce z niesymetrycznych Płyt.

— Biedna kruszyna — mówiła współczująco gospodyni. — Potrzebuje matki.

— A on?

— Ach, on! — zaśmiała się.

— Opuściła go, prawda?

— Podobno. Jakaś panienska z teatru czy skądś.

— Aaa, aktorka!

— Żadna gwiazda w każdym razie. Kiedy odeszła, Nora nie miała więcej niż dwanaście miesięcy. Coś nie tak musi być z kobietą, która porzuca takie małe dziecko. Powinien był się ponownie ożenić.

— Powiedziałaś mu to?

— A idźże ty!

Porzucona! To ja byłam porzucona.

— Co to znaczy, że ktoś jest porzucony? — spytałam ojca, gdy wrócił do domu.

— Zostawiony sam sobie, osamotniony.

— Niemiło być porzuconym, prawda? Przytaknął.

— Ludzie porzucają kogoś tylko wtedy, gdy go nie lubią — orzekłam.

Przyznał, że pewnie tak jest, a ja nie powiedziałam, iż wiem, że zostałam porzucona, bo nie chciałam go zranić. Zawsze uważałam, by go nie zranić, tak jak on uważał, by nie zranić mnie. Zresztą miałam jego, co mnie obchodziło porzucenie.

Nigdy nie rozmawialiśmy o matce. Było tyle innych tematów! Jego plany zdobycia fortuny — nie tyle zdobycia, co wydawania! Zawsze miał na podorędziu pomysł jakiegoś nowego wynalazku. Lubiałam czasy wynalazków, bo miałam go wtedy w domu, pracował w swoim pokoju na samej górze, a ja byłam szczęśliwa, że jest tak blisko. Siadywała tuż obok stołu, przy którym pracował, i rozmawialiśmy godzinami o tym, co zrobimy, gdy jego geniusz zostanie doceniony, a świat zacznie czerpać z tego korzyści. „Nie wyłączając nas”, dodawał ze śmiechem, który dudnił niczym spadająca woda, tak że i ja zaczynałam się śmiać. Wymyślił zamek sprężynowy, który jednak nie działał tak, jak powinien był działać. Robił mechaniczne zabawki, których mechanizmy nie całkiem chciały być posłuszne, z wyjątkiem jednej: chłopca na huśtawce obracającego się na drazku. Ale i ona zaciągała się czasem, gdy chłopiec wisiał głową w dół. Sprzedał jednak kilka takich zabawek i potem mawialiśmy: „Pamiętasz chłopca na huśtawce?” To był wielki sukces, lecz do fortuny, o którą chodziło, wciąż było daleko. Próbował sił w ogrodnictwie, i przez pewien czas mieszkaliśmy na wsi, ale pociągały go eksperymenty, chciał uprawiać ciągle coś innego, pospolite życie mu nie wystarczało.

„Kiedy będę bogaty...” mówił i zaczynaliśmy naszą ulubioną zabawę. Żeglowaliśmy w marzeniach dookoła świata. Wynajdowaliśmy miejsce na mapie i mówiliśmy: „Tam popłyniemy”. W tych wymyślonych podróżach byliśmy zawsze razem, przeżywaliśmy różne przygody, spotykaliśmy potwory morskie budzące stokroć większą grozę aniżeli te, na które natknął się Sindbad Żeglarz. Czasem spisywał owe marzenia i nawet sprzedawał jedno czy dwa opowiadania pewnemu czasopismu. „Zbiliśmy fortunę”, pokpiwał. Nie rozumiał, że był człowiekiem pióra. Pisanie go nie zadowalało. Chciał bardzo szybko stać się bogaty.

Odziedziczył pewną niewielką sumę i odłożył ją na moje wykształcenie, dowodząc tym samym, jak się o mnie troszczy. Był rozrzutny na rozmaite sposoby, starał się jednak mnie zabezpieczyć. Chciał, żebym chodziła do najlepszych szkół. Mówiłam, że pragnę jedynie być blisko niego. Zapewnił mnie, że tak będzie, lecz na razie on zajmie się zdobywaniem majątku, a ja muszę

chodzić do szkoły. Chodziłam więc do szkoły i uczyłam się pilnie, aby jak najprędzej mieć to za sobą.

Wkrótce po moich piętnastych urodzinach zdecydował, że wyrusza po złoto. Miała to być wielka okazja, prawie cud. Jego życie pełne było wielkich okazji, ale do tej pory wszystkie okazywały się uludą. Ta miała być inna, ta naprawdę miała nam dać bogactwo.

— Złoto! — mówił z ogniem w oczach. — Będziemy milionerami, Noro. Chciałabyś mieć miliony?

Myślałam, że tak, że chciałabym bardzo, ale skąd to złoto wziąć?

— Jest w ziemi i czeka. Trzeba tylko po nie sięgnąć.

— To dlaczego nie każdy jest milionerem?

— Oto przemówiła moja praktyczna córeczka! Słuszne pytanie, odpowiedź zaś jest prosta: ponieważ nie każdy jest taki sprytny jak my. My pojedziemy daleko, żeby je zdobyć.

— Dokąd?

— Do Australii. W Australii złoto jest na każdym kroku.

— Kiedy wyruszamy?

— Posłuchaj, Noro. Najpierw muszę pojechać sam. To nie miejsce dla dziewcząt, które powinny się uczyć.

Przestraszyłam się. Głęboka rozpacz malująca się na mojej twarzy musiała go przerazić.

— Powinnaś zdać egzaminy z trzech podstawowych przedmiotów, musisz umieć mówić i zachowywać się jak dama, skoro masz być milionerką.

Przypomniałam mu, że zdałam już egzaminy z trzech podstawowych przedmiotów, wiem też, jak mówią i zachowują się damy, i stosuję te zasady zawsze, chyba że mnie ktoś wyprowadzi z równowagi.

— Noro, jesteś jeszcze za młoda. Zostaniesz tu przez jakiś czas. Znalazłem dobrą szkołę, gdzie będą się o ciebie troszczyć, póki nie wrócę. Będziemy mieć miliony, będziemy cieszyć się życiem. Cokolwiek zechcesz robić, dokądkolwiek pojechać — żadnych ograniczeń! Możemy już zacząć snuć plany. Bogactwo jest pewne — mamy je w kieszeni.

Jak zwykle, udało mu się mnie przekonać i nakłonić do nauki w Danesworth House.

— Tylko parę miesięcy, Noro, a potem... wszystkie pieniądze świata, wszystko, czego tylko zapragniesz. Od czego chciałabyś zacząć?

— Mnóstwo ludzi szuka złota — powiedziałam. — A jeśli to ci zajmie całe lata?

— Wiesz przecież, że jestem jak król Midas...

— Mogłabym prowadzić dom, mogłabym ci gotować i dbać o ciebie.

— Co?! Moja córka, milionerka? Nie! Będziemy mieć kogoś, kto będzie o nas dbał. I nigdy więcej rozstań. Żadnych intruzów. Przyjdzie taki dzień. Wszystko, co powinnaś teraz zrobić, to poczekać trochę w Danesworth House.

Jak potrafił mówić! Sugestywnie, zniewalająco, tak żywo, że w naszej wyobraźni ziszczały się wszystkie jego szalone plany.

Poszłam więc do szkoły, a on pożegłował przez morza. Każdego dnia wyczekiwałam listu z wieścią, że los się do niego uśmiechnął i jesteśmy milionerami.

Szkoła była po prostu nieznośnie nudna. Nie bałam się tak jak większość uczennic ani panny Emily, ani panny Grainger. To, co robiłam, robiłam dobrze. Nie przysparzałam kłopotów, nie interesowały mnie uczniowskie figle. Żyłam oczekiwaniem na wezwanie. Wyobrażałam sobie, jak to będzie. Może list: „Przyjeżdżaj do Australii natychmiast”. A może sam — on, który tak lubił niespodzianki — przyjedzie do szkoły, żeby mnie zabrać. Wezwą mnie do gabinetu i tam, w tym zimnym, pustym pokoju będzie na mnie czekał. Chwyci mnie w ramiona — ku pełnej zdziwienia

dezaprobacie panny Emily lub panny Grainger, z czego wszakże nie będzie sobie nic robił — i zawoła:

— Pakuj się, Noro! Wyjeżdżamy! Jesteśmy milionerami!

Listy przychodziły regularnie. Wiedziałam, że choć zmęczony całodzienną pracą, wie, jak czekam, jak wyglądam poczty.

Dostawałam listy wysyłane z różnych portów, do których zawijali. Ku mojej ucieście opisywał towarzyszy podróży na swój zabawny sposób. Dręczyła mnie jednak myśl o niebezpieczeństwie sztormu i nie zaznałam spokoju, póki statek nie dotarł na miejsce.

Barwnie i z największym optymizmem opisywał swoje pierwsze dni na nowym kontynencie, lecz zdawałam sobie sprawę z niedostatków, które musiał znosić. Oczyma wyobraźni widziałam, jak przygotowuje się do poszukiwań i gromadzi potrzebne sprzęty: kilofy, płuczki do złotonosnej rudy, kociołek do gotowania wody, zapasy żywności. Widziałam pole, na którym pracuje — odludne miejsce ogołocone z drzew, namioty. Wyobrażałam sobie poszukiwaczy siedzących przy ognisku, opowiadających historyjki o znaleziskach i nadziejach. A on oczywiście najlepszy, opowiada najbarwniej, pełen uroku gawędziarz, czaruje słowami. Dzięki niemu i ja widziałam zaniedbanych mężczyzn o obolałych od pochylania się nad płuczkami plecach, patrzących jak woda przecieka przez ziemię, która mogła kryć w sobie upragniony kruszec, widziałam ich zawzięte twarze, na których maluje się pragnienie, żądza znalezienia złota. Wszyscy oni wierzyli, że żółty proszek otworzy przed nimi bramy bogactwa.

Podobało mu się takie życie, wyczuwałam to. Byłby absolutnie szczęśliwy, mając mnie przy sobie. Jestem głęboko przekonana, że gdyby nawet zdobył fortunę, dwakroć mniej cieszyłby się życiem, niż gdy jej szukał. Powinnam była z nim być. Mogłabym gotować jedzenie, kiedy oni kopali, mogłabym matkować całej kolonii. I nie chciałabym wcale, by znaleźli złoto, chciałabym, by go wciąż szukali.

Mijały miesiące. Przeniósł się na inne pole. Na poprzednim nie znalazł nic poza odrobiną złotego pyłu. Ale to nie szkodzi. Nowe pole jest bogate, z całą pewnością, no i zdobył już potrzebne doświadczenie.

Jego optymizm nie słabł; wciąż był o krok od wielkiego odkrycia. Jeśli zaś o mnie chodzi, to musiałam wydawać się dziwna moim koleżankom. Trzymałam się na uboczu. Nie interesowały mnie szkolne wydarzenia, a ponieważ udawało mi się zadowalać nauczycieli, pozwalano mi żyć własnym życiem. Byłam więc tą osobliwą Norą Tamasin, której ojciec pracował w kopalni złota w Australii. Tyle przynajmniej o mnie wiedziano. Aż wreszcie ton listów uległ zmianie. Poznał Żbika.

Żbik jest najbardziej niezwykłym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Od pierwszej chwili coś nas do siebie ciągnęło. Postanowiłem przyłączyć się do niego. Zna ten kraj jak własną kieszeń. Jest tu od trzydziestu czterech lat. Gdybyś go zobaczyła, zrozumiałabyś, dlaczego nazywają go Żbikiem. Ma oczy, które widzą wszystko. Są niebieskie, ale nie błękitne, nie takie jak tropikalne morze, o nie! Są jak stal albo lód. Nigdy nie widziałem człowieka, który potrafiłby tak porażać wzrokiem. Jest ważną osobistością. Nazywa się Charles Herrick. Przyjechał do Australii jako skazaniec, dzisiaj prawie wszystko w okolicy należy do niego. Tacy jak on trafiają się rzadko, może jeden na milion. Teraz wszystko będzie inaczej. Wchodzę w interesy na dużą skalę. Koniec z pracą na spenetrowanych polach. Wiele się zmieniło, i to dzięki Żbikowi.

Wiele o Żbiku myślałam. Byłam nawet trochę zazdrosna, bo pełno go było w listach ojca. Jakże go podziwiał! Wtedy dopiero, poprzez tamte listy, zrozumiałam, ile niedostatków musiał wycierpieć. Opowieści o wesołych chwilach przy obozowym ognisku, o pieśniach śpiewanych

przy blasku płomieni, o koleżeństwie kopaczy były tylko półprawdą. Wtedy dopiero pojęłam, co oznaczało ostrożne racjonowanie żywności, oszczędność cennej wody, rozpaczliwe zwątpienie, gdy dzień po dniu w płuczkach znajdowano jedynie bezwartościowy pył.

Żbik szuka prawdziwej żyły złota, Noro, i gdy ją znajdzie, ja będę przy nim. To człowiek z doświadczeniem. Poza sporym gospodarstwem ma na własność miejscowy sklep i hotel w Melbourne. Pracują dla niego setki ludzi, a on wie o złocie wszystko, co wiedzieć należy. Nie może mu się nie powieść. Powiedziałem Żbikowi o tobie. Uważa, że powinnaś przyjechać, jak tylko skończysz szkołę. Ale wcześniej ja będę w domu.

Wyobrażałam sobie Żbika — skazaniec o przeszywającym spojrzeniu. Przed trzydziestu czterema laty wysyłano ludzi do Australii za jakieś wykroczenia. Zastanawiało mnie, czym zawinił Żbik? Może wiązało się to z polityką? Na pewno nie był ani złodziejem, ani mordercą. Bardzo chciałam dowiedzieć się o nim czegoś więcej.

Żbik jest tutaj niby król, sędzia, szef, dyktator — jest panem wszystkiego, co się dzieje. Sprawiedliwy, ale na swój własny sposób. Nigdy przedtem do nikogo nie żywiłem uczucia takiej przyjaźni. Szczęśliwy dzień, gdy go poznałem. Postawiłem na niego wszystko. Żbik jest pewien, że znajdzie wielką żyłę złota. Pracujemy w największym sekrecie. Gdybyśmy nie trzymali wszystkiego w tajemnicy, mielibyśmy tu poszukiwaczy z całej Australii. Wystarczy, że rozejdzie się pogłoska, a zjadą tysiącami. Ale Żbik jest chytry.

Listy przychodziły bardziej lub mniej regularnie. Czasami dostawałam kilka naraz. Ojciec tłumaczył mi, że wskutek powodzi nie można było odwieźć poczty do Melbourne albo że oczekiwany statek nie przybył o czasie. Zawsze wyjaśniał przyczynę opóźnienia, nie zdarzyło mu się o tym zapomnieć. Wszystkie zaś listy niezmiennie mówiły mi, że jakakolwiek, choćby najcięższą pracę wykonuje, cokolwiek się dzieje, nigdy nie zapomina ani o mnie, ani o ostatecznym celu, którym było dla nas wspólne życie.

Aż nagle listy przestały przychodzić. Z początku, choć zawiedziona, nie niepokoiłam się zbytnio. To pewnie powódź albo opóźnienie statku, później przyjdzie kilka listów naraz. Lecz nie przychodziły. Płynęły tygodnie i wciąż nie było od niego żadnych wiadomości.

Minęły dwa miesiące. Szalałam z niepokoju. Pewnego dnia panna Emily wezwała mnie do gabinetu. Było to miejsce bardzo surowe, lśniła wypolerowana podłoga, a świątobliwą ciszę przerywało tykanie zegara z pozłacanego brązu, który stał na ozdobionej frędzlami obudowie kominka. Panna Emily siedziała przy biurku, jej pełen bólu wyraz twarzy sugerował — niesłusznie — że to, co mi zakomunikuje, rani ją bardziej aniżeli mnie. Rodzice skłonni byli uważać pannę Emily za bardzo uprzejmą i z wdzięcznością powierzali jej swe pociechy w przekonaniu, że ona ochroni je przed surowością rządów panny Grainger. W rzeczywistości wyglądająca łagodnie panna Emily trzymała wszystko w garści, umiejętnie podtrzymując opinię, że niezbyt popularne zarządzenia i przepisy były wymysłem jej siostry.

— Jestem przekonana — zaczęła (łokcie oparte o biurko, dłonie stykające się opuszkami palców), przyglądając mi się z pewną surowością — jestem całkowicie przekonana, że nie oczekujesz od nas jałmużny. Upłynęły dwa miesiące od chwili, gdy przestały przychodzić wiadomości od twego ojca. I chociaż panna Grainger zawsze stara się postępować rozsądnie, nie można od niej oczekiwać, że będzie cię karmiła i ubierała, dając ci jednocześnie wykształcenie godne córki dżentelmena.

— Jestem pewna, że list od ojca jest w drodze.

Panna Emily zakaszłała.

— Ale długo nie przychodzi.

— Mój ojciec jest w Australii, panno Emily. Poczta czasem się opóźnia.

— Dokładnie to samo mówiła na początku panna Grainger. Ale rachunki szkolne od trzech miesięcy nie są opłacone.

— Jestem pewna, że wszystko się wyjaśni. Coś musiało zatrzymać listy. Jestem o tym przekonana.

— Ja też chciałabym być o tym przekonana, przez wzgląd na ciebie. Panna Grainger, wielce strapiona, postanowiła jednak, że nie może dłużej czekać. Nie może dłużej cię utrzymywać: żywić, ubierać i kształcić — każde z tych słów nabierało w ustach panny Emily ciężaru pracy Heraklesa — jednakże nie chciały cię stąd wyrzucać.

— Może byłoby lepiej, gdybym opuściła szkołę — powiedziałam hardo.

— Obawiam się, że to dość niemądry pomysł. Dokąd byś poszła, jeśli łaska?

Gdy panna Emily zaczynała o łasce, wiadomo było, że jest naprawdę zła, ale ja za bardzo się niepokoiłam, by pojąć tę przestrożę. Wobec strachu o bezpieczeństwo ojca — bo wiedziałam, że tylko coś strasznego mogło usprawiedliwić brak listów — wobec tego strachu gniew panny Emily nie był dla mnie zbyt ważny.

— Może mogłabym coś robić — powiedziałam z zapałem.

— Nie znasz życia. Ty, dziewczynka... Ile masz lat? Szesnaście?

— Siedemnaście kończę w przyszłym miesiącu, panno Emily.

— Hm, panna Grainger jest zanadto wspaniałomyślna, by cię wyrzucić na bruk. I chce ci coś zaproponować. Nie masz zresztą innego wyjścia, jeśli wziąć pod uwagę możliwości.

Panna Emily uśmiechnęła się pobożnie, zwarta dłonie i przeniosła wzrok na sufit.

— Możesz zostać w szkole jako jedna z młodszych nauczycielek. To w pewnym stopniu pokryje koszty twego utrzymania.

W ten oto sposób zostałam nauczycielką, pograżając się zarazem w skrajnej rozpacz. Nie z powodu mojej pozycji w szkole, ale dlatego, że z każdym dniem bez wiadomości rosło moje przerażenie. Nigdy w życiu nie czułam się równie nieszczęśliwa. Co dzień mówiłam sobie, że list musi przyjść, i co noc, leżąc w łóżku, w sypialni na poddaszu, bo nie mieszkiałam już w internacie, zadawałam sobie pytania: Czy list rzeczywiście kiedyś nadejdzie? Czy spędzę resztę życia w Danesworth House, czekając na wiadomość? Czy zestarzeję się i stanę się staromodna jak panna Graeme, której fryzura przypomina ptasie gniazdo, uwite z szarobrazowych kłaczek? Czy będę blada i mizerna jak panna Carter? Czy będę spojierać krótkowzrocznie jak mademoiselle i zamartwiać się, że nie mogę zapanować nad dziewczętami?

Tymczasem byłam o wiele mniej ważna aniżeli którakolwiek z nich. Zamieszkałam z Mary Farrow na poddaszu, gdzie na podłodze z surowych desek leżały maty z sitowia.

Mary była sierotą. Babcia, która się nią opiekowała, zmarła, gdy Mary miała szesnaście lat, i pozostawiła ją bez środków do życia. Panna Grainger okazała się wobec niej równie wspaniałomyślna jak wobec mnie i Mary została młodszą nauczycielką. Była to postać całkiem bezbarwna, zarówno jeśli chodzi o charakter, jak i o wygląd. Do swojej przyszłości odnosiła się z taką rezygnacją, jakiej ja przenigdy bym się nie poddała.

Nasze położenie było gorsze niż służących. Im przynajmniej nie przypomiano bez przerwy, że swoją pozycję zawdzięczają miłosierdziu panny Grainger. Byli też bardziej od nas pożyteczni. My, niby terminatorzy, pracowałyśmy za wikt i mieszkanie. Musiałyśmy nie tylko dawać lekcje młodszym dzieciom, lecz także być ich niańkami. Musiałyśmy utrzymywać w czystości poddasze i wykonywać każde polecenie panny Emily lub panny Grainger — a było ich niemało.

Nauczycielki nas lekcewały. Służący także. Nawet dzieci rozumiały, że podczas lekcji z nami mogą pozwolić sobie na bardziej swobodne zachowanie. Panna Emily zwykła wchodzić po cichu do klasy — zawsze wtedy, gdy panował największy chaos — stać i słuchać uśmiechając się lekko, zanim nam udzieliła nagany na oczach dzieci, a to je najlepiej przekonywało, że można nas bezkarnie dręczyć. Biedna potulna Mary więcej przez nie cierpiała niż ja. Ja miałam po — rywczę usposobienie i sędzę, że trochę się mnie bały.

Czasami, leżąc na wąskim łóżku w kącie poddasza i nasłuchując upiornych szelestów gałęzi kasztanowca, poruszanych przez wiatr, mówiłam sobie: „Porzucona! To już drugi raz w twoim życiu. Dlaczego ludzie cię porzucają? Musi być jakaś przyczyna. Dwakroć w jednym życiu!”

Nie, mój ojciec nigdy by mnie nie porzucił! Wróci. Bez niego nie potrafiłabym się zmierzyć z losem. Przy nim zaznawałam wyłącznie radości, a do niedawna dawał mi najcenniejszy dar dzieciństwa — poczucie bezpieczeństwa. Nie materialnego, lecz tego jedynego i najważniejszego dla dziecka — poczucie, że się jest kochanym.

Młodsza nauczycielką byłam zaledwie miesiąc — chociaż wydawało mi się, że dłużej niż rok — gdy przyszła wiadomość.

Tego ranka czytałam coś swojej klasie, ale nie bardzo mogłam się skupić. Był ciepły wiosenny dzień. Pszczoła w oknie to pięła się w górę po szybie, to odlatywała rozdrażniona, by znów powrócić uderzając o szkło w rozpaczliwym pragnieniu wyswobodzenia się z pułapki. Nie miała wyjścia. Po drugiej stronie sali okno było otwarte, ale głupie stworzenie nie leciało w tamtą stronę. Dalej bzyczało wściekle, pnąc się w górę i opadając na dół. Usidlona! Jak ja.

Drzwi otworzyły się nagle i stanęła w nich panna Graeme, patrząc na mnie osobiwie. Zauważyłam, że powiew z otwartych drzwi skierował pszczołę w przeciwnym kierunku. Znalazła otwarte okno i wyleciała.

— Jesteś proszona do gabinetu — powiedziała panna Graeme.

Wiadomość od niego, pomyślałam natychmiast. Może on sam czeka na mnie w gabinecie. Zwróciłam się w stronę drzwi.

— Powinnaś zostawić klasie jakieś zajęcie — zgromiła mnie panna Graeme.

Powiedziałam, żeby czytały dalej, i przemknęłam obok panny Graeme na górę, po schodach, do gabinetu. Zapukałam do drzwi i czekałam na odzew. Panna Emily siedziała przy biurku, przed nią leżał list.

— Usiądź, Noro. Jest list. Poczta opóźniła się z powodu powodzi w Australii.

Usiadłam utkwivszy wzrok w jej twarzy.

— Musisz być dzielna, moja droga — zaczęła łagodnie. Zrobiło mi się niedobrze ze strachu. To musi być bardzo zła wiadomość, skoro powiedziała „moja droga”. I rzeczywiście. Nie mogło się wydarzyć nic straszniejszego.

— Nie miałyśmy wiadomości od twojego ojca, ponieważ on nie żyje.

* * *

Potykając się dotarłam na poddasze i położyłam na łóżku. Liście kasztanowca delikatnie dotykały szyb, wiatr pojękiwał z cicha, a promienie słoneczne rzucały na ścianę roztańczone wzory.

Już nigdy go nie zobaczę. Nie będzie ani bogactwa, ani podróży, ani wspólnego życia. Została tylko pustka. Pochowano go na drugim końcu świata. Przez cały ten czas, kiedy czekałam na list, on leżał w trumnie przysypanej ziemią. Nawet panna Emily mi współczuła.

— Idź do swojego pokoju — powiedziała. — Musisz dojść do siebie po takim szoku.

Na ślepo trafiłam na poddasze. Nawet dobrze nie słyszałam tego, co mówiła panna Emily. Jej słowa dotarły do mnie, gdy leżałam: „To zadecydowało o twojej przyszłości”. Nie obchodziła mnie przyszłość, obchodziła mnie tylko nędza teraźniejszości. Wciąż stał mi przed oczyma, widziałam go roześmianego, słyszałam grzmiący głos: „Gdy będę bogaty...”

Nigdy nie będzie bogaty, taka była straszliwa prawda. Bogactwo zabrała śmierć.

Umierając pisał do mnie list. Cały on! List dotarł za pośrednictwem jego pełnomocnika wraz z wiadomością o śmierci. Panna Emily przetrzymała go kilka godzin, żebym, jak powiedziała, zdążyła otrząsnąć się po szoku.

Nie rozpaczaj po mnie. Byliśmy razem szczęśliwi. Nie pozwól więc, by smutek mącił twoje wspomnienia. Wolałbym raczej, żebyś o mnie zapomniała, niżli miała myśleć o mnie ze smutkiem. To był wypadek... Ze mną koniec, ale ty będziesz miała wszystko, co trzeba, Noro. Mój przyjaciel mi to przyszeł. Żbik jest człowiekiem, który dotrzymuje słowa, a słowo mi dał, umieram więc spokojnie. On będzie się tobą opiekował, Noro, i to lepiej niż ja. Kiedy dotrą do ciebie te słowa, mnie już nie będzie, ale nie zostawiam cię samej...

Pismo było ledwie czytelne. Ostatnie słowa: *Bądź szczęśliwa* — prawie nie do odcyfrowania. Wyobraziłam sobie, jak pióro wypada mu z ręki, kiedy je pisze. Aż do końca całą miłość i troskę kierował do mnie.

Czytałam ten list wiele razy i nigdy się z nim nie rozstałam. Leżałam odrętwiała, niezdolna myśleć o przyszłości, niezdolna myśleć o niczym poza tym, że on odszedł.

Panna Emily wezwała mnie do gabinetu. Była tam także panna Graeme oraz mężczyzna o bardzo poważnym wyrazie twarzy, ubrany na czarno, w białym krawacie... Pomyślałam, że to mój nowy opiekun, choć nie wyglądał na człowieka, którego ojciec opisywał jako Żbika.

— To Nora Tamasin — powiedziała panna Emily. — Noro, to pan Marlin z agencji „Marlin i Barlow”, pełnomocnik twojego ojca.

Siedziałam i słuchałam, niewiele słysząc, wciąż jeszcze otepiała nieszczęściem. Dotarło do mnie jedynie to, że wszystko zostało prawnie załatwione i mam zostać oddana pod opiekę panu Charlesowi Herrickowi, którego ojciec wyznaczył na mego opiekuna.

— Pan Herrick życzy sobie, rzecz jasna, wziąć cię do swego domu i powinno się to stać w miarę możliwości szybko. Pan Herrick mieszka w Australii i ostatnią wolą twego ojca było, abyś tam pojechała. Pan Herrick nie może przyjechać po ciebie do Europy, ale przyśle kogoś z rodziny, kto będzie ci towarzyszył w drodze do nowego domu. Pan Herrick uważa, że nie powinnaś podróżować sama.

Skinęłam głową, myśląc: „Mój ojciec tego chciał”. Musiał poprosić Żbika — trudno mi było myśleć o tym człowieku inaczej niż „Żbik” — by się mną opiekował bardzo troskliwie.

Wysłannika mego opiekuna spodziewano się w Anglii za kilka tygodni. Ja w tym czasie miałam się przygotować do wyjazdu. Pan Marlin pożegnał się i wyszedł, a panna Emily powiedziała, że wszystko zostało załatwione w sposób jak najbardziej zadowolający, co — jak rozumiałam — oznaczało uregulowanie zaległych rachunków. Następne tygodnie mam wykorzystać na przygotowania do podróży. Gdybym potrzebowała czegoś z ubrania, mogę to sobie kupić — w granicach rozsądku, oczywiście — a panna Emily łaskawie zezwoli jednej z nauczycielek towarzyszyć mi do miasta i pomóc przy zakupach. Mogę, jeśli chcę, zajmować się nauką. Mogę też, jeśli uważam, że praca jest najlepszym lekarstwem na smutek, pracować dalej jako nauczycielka, bo jak do tej pory — choć dotąd nigdy o tym nie wspomniano — chyba nieźle sobie radziłam.

— Nie, dziękuję, panno Emily — powiedziałam — będę się przygotowywała do spotkania z tym kimś, kto ma po mnie przyjechać, i zrobię zakupy, które uznam za stosowne.

Panna Emily skinęła głową.

Zostałam w mojej kwaterze na poddaszu. Biedna Mary zazdrościła mi. W jej wyobrażeniu miałam przed sobą ekscytujące życie. Nie zdawała sobie sprawy, jak wielki żal wiódł mnie ku niemu. Zrobiłam zakupy: pelerynę i spódnicę w szkocką kratę oraz mocne wysokie buty, które, jak sądziłam, będą potrzebne tam, dokąd się mam udać. Nic nie sprawiało mi przyjemności — robienie zakupów także. Nie mogłam myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, że mój ojciec nie żyje.

W końcu raz jeszcze wezwano mnie do gabinetu.

— Będiesz podróżowała w towarzystwie panny Herrick, która jest, jak mniemam, córką twojego opiekuna, damą w odpowiednim wieku. Macie się spotkać w gospodzie Pod Orłem, oddalonej o pięć — sześć mil od Canterbury. Z pewnych powodów ta dama tam właśnie się zatrzymała. Wspomniano coś o interesach. Wydaje się to niezbyt wygodne, bo statki wypływają z Gravesend lub Tilbury, ale takie są polecenia. W Canterbury będzie na ciebie czekać powóz. Panna Graeme odwiezie cię do Londynu i dopilnuje, byś bezpiecznie wsiadła do pociągu Londyn — Canterbury. A dalej nie powinno już być kłopotów.

— Oczywiście, panno Emily.

— Kiedy rozstanieś się z panną Graeme, pod żadnym pozorem nie wolno ci rozmawiać z obcymi — powiedziała panna Grainger.

— Na pewno nie będę rozmawiać z obcymi, panno Grainger.

— A więc wszystko w porządku. W czwartek o dziewiątej rano opuścisz Danesworth House. Powóz zawiezie was na stację. Pociąg odjeżdża o pół do dziesiątej. Kucharz przygotuje kanapki na drogę.

— Naprawdę nie ma potrzeby, aby panna Graeme towarzyszyła mi do Londynu. Z łatwością przesiądę się do następnego pociągu.

— To absolutnie poza dyskusją — powiedziała panna Emily. — Musiałabyś sama przejechać pół Londynu. Nie do pomyślenia! A dlaczego wybrano akurat Canterbury, nie mam pojęcia. Tak się jednak stało i twój opiekun prosił nas — za pośrednictwem pełnomocnika — o zapewnienie ci towarzystwa, póki bezpiecznie nie dotrzesz do pociągu jadącego do Canterbury. Dlatego nie może być inaczej.

Tak oto despotyczne postanowienia Żbika dosięgły nawet panny Emily.

Spakowałam bagaże; czekałam. Dziewczęta i nauczycielki okazywały mi pełne szacunku zainteresowanie. Byłam osobą, której przydarzały się dziwne rzeczy. Sprawiałoby mi może przyjemność to, że znów byłam kimś ważnym, gdybym tylko potrafiła zapomnieć o śmierci ojca.

W końcu przyszedł dzień, kiedy opuściłam Danesworth House. Wsiadłyśmy z panną Graeme do londyńskiego pociągu, zajęłyśmy miejsca obok siebie i patrzyłyśmy na zielone pola za oknem, na pszenicę, która zaczynała przybierać kolor złota. Złoto! — myślałam ze złością. Gdyby nie pojechał szukać złota, byłby tu teraz.

Łzy wściekłości napłynęły mi do oczu. Dlaczego nie potrafił zadowolić się zwyczajnym życiem! Panna Graeme lekko dotknęła mego ramienia. W oczach też miała łzy. Zaczęła mówić, że smutek przychodzi do każdego i że nie należy tracić ducha, lecz podążać dalej ścieżką życia. Że był „ktoś”, kto wprawdzie „nie powiedział”, ale zamierzał, i na pewno by to zrobił, gdyby wrócił z wojny. Zginął jednak niepotrzebnie na polu bitwy, w Crimea, jeśli dobrze pamiętam. I tak panna Graeme zamiast zostać hożą szczęśliwą matką, stała się zasuszoną ponurą belferką.

Słuchałam i starałam się okazać jej sympatię. Potem zjadłyśmy kanapki i w swoim czasie dotarłyśmy do Londynu. Przejęta rolą panna Graeme przywołała dorożkę i pojechaliśmy do stacji Charing Cross.

Tu po raz ostatni widziałam pannę Graeme: jej szczupłą sylwetkę, brązowy płaszcz, brązową spódnicę i kapelusz z brązową woalką. Patrzyła tęsknie za unoszącym mnie do Canterbury pociągiem.

I wtedy dopiero poczułam lęk. Rozpoczynałam nowe życie, byłam niezależna. Mogłam uciec, gdybym tylko chciała, postarać się o posadę guwernantki. Miałam przecież trochę pieniędzy i doświadczenie jako nauczycielka. Ojciec jednak chciał, żebym pojechała do Żbika, nie miałam wyboru. Przypuśćmy jednak, że nie spodoba mi się w Australii. Przypuśćmy, że oni nie będą mnie chcieli. Nie wiedziałam, co mnie czeka. Nie o wszystko zdążyłam spytać — zbyt głęboko pogrążona byłam w rozpacz. I oto nagle znalazłam się w pociągu mknącym do Canterbury, patrzyłam na rzędy jabłoni i grusz, które dojrzeją nie wcześniej niż za dwa miesiące, wtedy, kiedy ja będę już daleko stąd. Mijaliśmy pola chmielu, które za miesiąc ożyją krzątaniem zbieraczy. Wszędzie widać było czubate daszki przygotowanych już suszarni. Miałam ochotę zawołać do maszynisty: Stój! Wieziesz mnie ku nieznanemu, chcę czasu, żeby się zastanowić!

Może to od tej chwili moje przygnębienie zaczęło słabnąć. Od chwili, gdy zaczęłam odczuwać lęk o przyszłość. Dotąd nie odczuwałam niczego poza tragedią teraźniejszości. Pociąg pędził nieubłaganie. Byliśmy na stacji. Wysiadłam. Bagażowy wziął moje torby. Powóz, który miał mnie zawieźć do gospody Pod Orłem, już czekał.

* * *

Wyjechaliśmy ze stacji, minęliśmy stare mury miasta i ruszyliśmy w stronę pól.

— Czy daleko do gospody Pod Orłem? — spytałam.

— Kawalek drogi, panienko. Zwykle ludzie zatrzymują się w mieście.

Dziwiło mnie, dlaczego panna Herrick wybrała na nasze spotkanie właśnie to miejsce. Zdaniem panny Emily, było to dość niezwykle”. Może Żbik tak zdecydował.

Otoczała nas soczysta zieleń. Mijaliśmy wioski skupione wokół kościółków, błonia i stare gospody, aż wreszcie dotarliśmy do wsi Widegates ze starym kościołem i rzędem domów, przeważnie elżbietańskich, jeśli nie starszych. Mignęły mi w oddali szare wieże. Spytałam, co to takiego.

— To Dom Białych Dam, panienko. Jeden z największych domów w okolicy.

— Dom Białych Dam? Skąd ta nazwa?

— Kiedyś był tu klasztor, siostry nosiły białe habity. Część budynku nawet się ostała, a obecni właściciele wybudowali dom, zachowując wszystko to, co zostało po klasztorze.

— Kim są właściciele?

— Rodzina Cardew. Siedzą tu od trzystu lat albo i dłużej. Zatrzymaliśmy się przed gospodą. Kamienne schody były pośrodku mocno wytarte, znak orła świeżo odmalowany, a nad drzwiami widniała data: 1418. Woźnica wniósł bagaże.

— Wszystko załatwione, panienko — powiedział.

Podeszłam więc do recepcji i powiedziałam, kim jestem.

— O, tak, pokojówka zaraz pokaże pokój. Jest też wiadomość. Proszę zejść do saloniku, kiedy będzie panienska gotowa.

Mój pokój był duży, lecz dość ciemny, bo szyby okien składały się z niewielkich kawałków szkła w ołowianych ramkach. Niezbyt równa podłoga i stan drewnianych belek świadczyły o ich wieku. W dzbanie stała woda, umyłam się więc szybko i uczesałam gęste ciemne włosy.

Już gotowa udałam się do saloniku, prowadzona przez pokojówkę. Nie było tam kobiety, tylko mężczyzna. Wstał, gdy weszłam i przyglądał mi się, założywszy ręce do tyłu. Pamiętałam

zalecenie panny Emily, by nie rozmawiać z nieznanymi. I nie odezwałabym się, rzecz jasna, do tego człowieka, choć jego zachowanie zdawało się nieco zuchwałe, ale on odezwał się do mnie.

— Szuka pani kogoś?

Mówił z obcym akcentem, był wysoki, szczupły i ogorzały na twarzy. Tak przynajmniej mi się wydawało, bo stał tyłem do światła, którego nie było zbyt wiele z powodu okien — takich samych, jakie miałam w sypialni.

Skinęłam powściągliwie głową.

— Może mógłbym pomóc.

— Dziękuję, nie potrzebuję pomocy.

— Och, widzę, że pani bardzo samowystarczalna. Odwróciłam się. Może powinnam iść do recepcji i spytać o pannę Herrick? Panna Emily nie pochwałałaby przebywania w jednym pomieszczeniu z tym bezczelnym typem. I chociaż nie zamierzałam liczyć się ze zdaniem panny Emily, w tym wypadku całkowicie się z nią zgadzałam.

— Jestem pewien, że mogę pani pomóc — powiedział.

— Nie rozumiem, w jaki sposób.

— Objasnię pani. Chodzi o pannę Herrick?

Musiałam wyglądać na zaskoczoną. Roześmiał się. To był zdecydowanie drażniący śmiech, on sam zaś agresywny i bardzo pewny siebie.

— W istocie — powiedziałam.

— Nie znajdzie pani tutaj panny Herrick.

— Co pan ma na myśli?

— To, co powiedziałem. Zawsze mówię to, co myślę.

— Czy pan się nie myli, nie bierze mnie za kogoś innego?

— Świetnie pani wie, że się nie mylę. Nora Tamasin, prawda?

Irytował mnie sposób, w jaki ze mną rozmawiał. Byłam też zmieszana, bo skąd wiedział o mnie tak wiele?

— Przyjechała pani spotkać się z panną Herrick. A jej tu nie ma.

— Skąd pan wie?

— Bo wiem, gdzie jest.

— Gdzie?

— Czterdzieści mil na północ od Melbourne.

— Jest pan w błędzie. Ta panna Herrick, z którą przyjechałam się spotkać, jest tu, w tej gospodzie. Wysłała po mnie na stację powóz.

— Ja wysłałem ten powóz.

— Pan!?

— Widzę, że powinienem był przedstawić się nieco wcześniej, ale chciałem się trochę z tobą podroczyć, bo wyglądasz na zarozumiałą. Moja siostra Adelajda nie przyjechała. Miała bardzo dużo pracy w domu, więc ojciec postanowił, że to ja po ciebie przyjadę. Poza tym chciał, żebym zobaczył Anglię. Jestem Stirling Herrick. Nadano mi imię rzeki Stirling, a mojej siostrze Adelajdzie — imię miasta. To hołd, który ojciec złożył przybranej ojczyźnie.

— Twój ojciec to Charles Herrick?

— Trafiałś w dziesiątkę! Przyjechałem, żeby cię zabrać do Australii. Wygląda na to, że mi nie dowierzasz. Chcesz listów uwierzytelniających? W porządku. Oto list od pełnomocnika firmy Marlin... i ktoś tam. Może to cię przekona, że jestem, kim jestem.

— To wszystko jest bardzo dziwne.

— To wszystko jest bardzo proste. Ojciec przyrzekł opiekować się tobą, więc zabieram cię do domu. Będę twoim przyszywanym bratem. Nie wyglądasz na zbyt zachwyconą z tego powodu.

— Nie rozumiem, dlaczego przysłał ciębie.

— To proste. Ojciec chciał, żebym przyjechał do Anglii. Prowadziłem rozmowy w sprawie sprzedaży naszej wełny.

— Tu, w Canterbury?

— Tak. Prowadzę interesy w różnych zakątkach kraju. Zaprosiłem cię tutaj, żebyśmy mieli choć jeden dzień, by się nawzajem poznać, zanim cię zapędzę na statek. A teraz wypijmy herbatę i porozmawiajmy.

Pociągnął taśmę dzwonka, zjawiała się pokojówka. Kiedy zobaczyłam grube kromki chleba z masłem, placki jęczmienne ze śmietaną i dżemem truskawkowym, uświadomiłam sobie, jak bardzo jestem głodna. Patrzył na mnie, gdy nalewałam herbatę, i w jego oczach o niezwykłym odcieniu zieleni widać było zadowolenie. Gdy się śmiał, te oczy prawie niknęły, jakby z nawyku mrużył je w ostrym świetle słońca — co było bardzo prawdopodobne. Wyglądał na dwadzieścia kilka lat, mógł być osiem lat ode mnie starszy. Doszłam do wniosku, że niezbyt to zgodne z dobrymi obyczajami, przysyłać mi na towarzysza podróży młodego mężczyznę. Zgoła kogo innego oczekiwałam. Byłam przekonana, że panna Emily nie pochwalałaby czegoś takiego, i już samo to sprawiało mi przyjemność.

— Dlaczego mi powiedziano, że będzie na mnie czekać panna Herrick? — nalegałam.

— Najpierw zostało ustalone, że to ona przyjedzie, ale później Żbik zdecydował, że nie da sobie w domu rady bez Adelajdy. Łatwiej mu się obejść beze mnie.

Żbik! Tajemnicze imię. Użył go po raz pierwszy. Chcąc dowiedzieć się czegoś więcej o tym dziwnym człowieku, spytałam:

— Żbik?

— Mój ojciec. Ludzie często tak go nazywają. Ma przeszywający wzrok.

— Domyślam się.

— Jesteś bystra — uśmiechnął się ironicznie.

— Czy on naprawdę chce, żebym u was była? Ten Żbik? — spytałam.

— Obiecał twojemu ojcu, że będzie się tobą opiekował, a więc chce.

— Mogło mu się wydawać, że powinien to zrobić z poczucia obowiązku, że jeśli tego nie zrobi, sumienie nie da mu spokoju.

— On nie ma poczucia obowiązku... ani sumienia. Robi to, co chce robić, a chce, żebyś była z nami.

— Dlaczego?

— Nikt go nigdy nie pyta o powody. On wie, czego chce, i to wystarcza.

— Musi być niezwykłym człowiekiem.

— Jest zwykłym człowiekiem, choć można w to wątpić, póki się go nie pozna.

— Mówisz o nim, jakby był jakimś bogiem.

— Przyznaję, że nie jest to złe określenie.

— Czy każdy musi go czcić tak jak jego syn?

Roześmiał się.

— Panna Nora Tamasin ma cięty języczek.

— Sądzisz, że mnie to ochroni przed Żbikiem?

— Źle to ujęłaś. To on będzie chronił ciębie.

— Jeśli nie zechcę zostać, będę mogła wrócić tutaj?

Skinął głową.

— Chyba mi będzie dana taka sposobność?

— Przypuszczam, że sama sobie taką sposobność znajdziesz.

Zjadłam jeden placek; on pełen talerz. Założył ręce i uśmiechał się, jakbym go bawiła. Nie wiedziałam, co o nim myśleć. Wiedziałałam natomiast, że panowie Marlin i Barlow nie mieli pojęcia, kto w rzeczywistości po mnie przyjechał. Także panna Emily, która z pewnością uznałaby to za niestosowne.

— A więc — zaczęłam myśleć głośno — z tego wynika, że jesteś kimś w rodzaju brata.

Zaśmiał się.

— Tak to rozumiem, siostró Noro. I jeśli tak, wszystko jest w porządku, co?

— Zdaje się, usiłujesz czytać w cudzych myślach... nie zawsze poprawnie.

— Ale ty jesteś zadowolona.

— Za wcześnie jeszcze na takie stwierdzenia. Prawie cię nie znam.

— My jesteśmy zadowoleni, że mamy nową siostrę.

Milczałam chwilę. Wreszcie spytałam:

— Jak umarł mój ojciec?

— Nie powiedziano ci?

— Powiedziano jedynie, że to był wypadek.

— Wypadek? Gdyby oddał złoto, nie zastrzeliliby go.

— Zastrzelili? Kto?

— Nikt nie wie, kto. Wiózł dwukólką złoto z kopalni. Wpadł w zasadzkę. To się często zdarza. Rabusie mają nosa. Wiedzą, kiedy ktoś wiezie złoto. Napadli na dwukólkę pięć mil od Doliny Płuczących Złoto. Twój ojciec nie miał zamiaru oddać kruszcu, więc go zastrzelili.

Byłam oszołomiona. Wyobrażałam sobie, że spadł z drzewa albo że koń go zrzucił. Przez myśl mi nie przeszło morderstwo.

— A więc — powiedziałam powoli — ktoś go zabił.

Stirling przytaknął.

— To się czasem zdarza. To dziki kraj i życie tam ma mniejszą wartość niż gdziekolwiek indziej.

— To był mój ojciec!

Ogarnęła mnie straszna złość, że ktoś ze strzelbą, bez powodu, tylko dlatego że tak mu się podobało, zniszczył tak drogie mi życie. Rozpacz po stracie ojca zaczęło wypierać nowe uczucie: gniew na mordercę.

— Nie zginąłby, gdyby oddał złoto — powiedział Stirling.

— Złoto! — rzuciłam wściekle.

— Czyli to, o co wszystkim chodzi. To, czego pragną wszyscy.

— I ten Ż... Żbik. On też?

Stirling uśmiechnął się.

— On też. Postanowił je znaleźć i dopnie swego.

— Jakże żałuję, że mojemu ojcu przyszło do głowy szukać złota! Gdyby nie złoto, byłby tu teraz.

Miałam tyle do przemyślenia. Odwróciłam się, zdecydowana nie okazywać uczuć.

— Złoto jest jak narkotyk — rzekł Stirling. — Atakuje mózg. Myślisz o tym, co chciałbyś mieć w życiu i... jeśli znajdziesz złoto... prawdziwe złoto... tysiące samorodków... możesz to wszystko mieć.

— Wszystko? — spytałam.

— Wszystko, o czym zamarzysz.

— Zdaje się, że mój ojciec znalazł złoto i stracił przez nie życie, a ja straciłam jego.

— Jesteś zdenerwowana. Zaczekaj, aż znajdziesz się w Australii. Wtedy zrozumiesz. Tam się mocno żyje. Nie możesz przewidzieć, kiedy trafisz na złotą żyłę. To wyzwanie, ciągła nadzieja.

— A kiedy już na nią natrafisz, ktoś cię dla złota zabije.

— Takie jest życie. Twój ojciec nie miał szczęścia.

— To ohydne.

— Takie jest życie. Zdenerwowałem cię. Powinienem być oględniej ci o tym powiedzieć. Stało się, Noro. Nic na to nie poradzisz.

Wstał.

— Idź do pokoju i odpocznij trochę. Potem zjemy razem kolację i znowu porozmawiamy. Nic innego nie możemy zrobić.

Poszłam do pokoju. Kiedy wreszcie los się nade mną zlituje? — rozmyślałam. Zamordowany! Zabity z zimną krwią. Niesamowite. Oczyma wyobraźni zobaczyłam dwukółkę toczącą się po drodze i zamaskowaną postać ukrytą za drzewami. „Stój! Złoto albo życie”. Ojciec stanął mi jak żywy przed oczami. Złoto miał pewnie w torebkach wokół pasa. Pewnie pomyślał: „Nie, to moje złoto... moje i Nory”. Chciał sprowadzić mnie do siebie, dzielić ze mną to bogactwo, jeśli to było bogactwo. Gdy więc znalazł się na muszce, odmówił, nie chciał stracić złota i stracił życie.

— Nienawidzę złota! — powiedziałam głośno. — Żałuję, że zostało kiedykolwiek odkryte. Myślałam z wściekłością o błyszczących spoza maski oczach, o spuście, który naciśnięto z zimną krwią, i o strzale, który położył kres mojemu szczęściu. Jakże nienawidziłam mordercy ojca!

Nie umarł od razu. Zabrali go do domu Żbika i tam napisał do mnie ostatni list. Umierał. A przecież mógł żyć!

A więc nie wypadek, ale ukartowana zbrodnia. To wstrząsnęło mną tak samo jak wiadomość o jego śmierci. Stirling miał rację. Potrzebna mi była samotność.

Podeszłam do okna. W dole między starymi domami biegła ulica. Widziałam strzelistą wieżę kościoła i wieżę domu, który nazywano Domem Białych Dam. Dawny klasztor, przypomniałam sobie, zakonnice nosiły białe habity.

Nagle zobaczyłam Stirlinga. Szedł ulicą dużymi krokami, wyglądało na to, że zmierza w ściśle określonym kierunku.

Byłam tak oszołomiona najpierw odkryciem, że to on, a nie panna Herrick, przyjechał, żeby mnie zabrać do Australii, później relacją o śmierci ojca, że nie miałam czasu pomyśleć o nim samym. A przecież był synem tego człowieka, Żbika, który stał się już dla mnie symbolem, wszechmocnego Żbika, o którym ludzie mówili ze strachem i najwyższym szacunkiem. Dlaczego Żbik nie wysłał po mnie córki? Może nie chciał, by podróżowała samotnie.

Wyobrażałam ją sobie jako panią w średnim wieku. Ale dlaczego mówili, że przyjedzie panna Herrick, a przysłali młodego mężczyznę? To wszystko było bardzo dziwne.

Stirling zboczył z głównej ulicy. Ciekawa byłam, dokąd podążał. Zalana słońcem ulica zdawała się zapraszać. Przyszło mi do głowy, że na dworze łatwiej uporam się z natłokiem myśli. Narzuciłam pelerynę i wyszłam z gospody. Naprzeciw przechadzała się dama z parasolką. W bramie spał pies. Szłam, zerkając na mijane wystawy sklepowe; za szybami z butelkowego szkła widać było tasiemki, kapelusze, sukienki. Nic interesującego. Skręciwszy w ślad za Stirlingiem, zobaczyłam drogowskaz z napisem „Do Domu Białych Dam”.

Wspięłam się na wzgórze i moim oczom ukazały się szare mury, a gdy stanęłam na szczycie, ujrzałam w dole dom w całej okazałości. Wiedziałam, że nigdy nie zapomnę tego widoku. Może już wtedy wyczuwałam, jak wielką rolę miał ów dom odegrać w moim życiu. Zapomniałam o wszystkim. Stałam oczarowana, urzeczona atmosferą klasztornej odosobnienia, zapatrzona w okna dzielone kamiennymi słupkami, łuki sklepień, wieżyczki i wieże, błyski słońca załamujące się na murach z szarego krzemienia. Wydawało się, że zaraz zabrzmiał głos dzwonu wzywającego mniszki na modlitwę i biało odziane postaci pośpiesznie zaczęły wyłaniać się z klasztoru.

Pchana nieprzemyślnym pragnieniem, aby zobaczyć coś więcej, zbiegłam ze wzgórza i zatrzymałam się przed wysoką bramą z kutego żelaza. Już sama brama była niezwykła. Przypatrywałam się zawiłym ślimacznicom i wytłoczeniom; na obu skrzydłach w żelazo wtopiony był jakiś biały metal. Przyjrzałam się z bliska wzorowi: przedstawiał zakonnice. Białe damy, pomyślałam. Ciekawiło mnie, czy to stara, oryginalna brama z czasów, kiedy był tu klasztor. Jak bardzo chciałam otworzyć tę bramę, wejść i zobaczyć tajemniczą posiadłość! Nie był to jedynie przelotny kaprys, czułam, że coś pcha mnie do środka, i z trudem zdołałam się opanować. Bo jakże tu wejść do prywatnego domu tylko dlatego, że wydaje mi się najbardziej fascynującym miejscem, jakie widziałam w życiu? Rozejrzałam się. Wokół panowała głęboka cisza. Byłam sama. Przypomniałam sobie, że Stirling szedł tą drogą. Pewnie minął dom, nawet go nie zauważywszy. Miałam wrażenie, że zbywa mu na wyobraźni i ten dom mógł być dla niego tylko budowlą z szarego kamienia, nie miejscem, gdzie przed wiekami mieszkały mniszki w białych habitach. Zastanawiałam się, co czuje człowiek zamknięty, odgradzony od świata, i nagle stwierdziłam ze zdziwieniem i ulgą zarazem, że przynajmniej na chwilę przestałam myśleć o swojej osobistej tragedii.

Wysoki szary mur, pokryty mchami i porostami, sprawiał przygnębiające wrażenie. Idąc wzdłuż niego, widziałam tylko czubki wież. Widok ze szczytu wzgórza był o wiele pełniejszy, miało się poczucie przestrzeni.

Dziwne, jedną nogą byłam już w innym kraju, a to stare domostwo, którego nigdy przedtem nie widziałam, i wydawało się nieprawdopodobne, bym kiedykolwiek miała jeszcze oglądać, tak bardzo mnie intrygowało. Może dlatego, że tak długo byłam obojętna na wszystko, teraz przesadzałam, uważając rzeczy za bardziej interesujące, niż były w rzeczywistości.

Nagle zza muru dobiegła mnie rozmowa:

— Lucie, Ellen przyniosła herbatę — mówił czysty, wysoki, miły dla ucha głos. Miałam wielką ochotę zobaczyć jego właścicielkę.

— Sprawdź, czy lady Cardew jest już gotowa — odpowiedział inny głos, lekko schrypnięty.

Rozmawiano dalej, lecz nieco ciszej i już nie rozumiałam słów.

Co za ludzie mieszkają w tym domu? — myślałam. Muszę się dowiedzieć. Ogarnął mnie przedziwny nastrój, byłam przekonana, że gdybym mogła zajrzeć na drugą stronę muru, zobaczyłabym dwie białe odziane mniszki — duchy przeszłości.

Ponad murem rozpościerał gałęzie ogromny dąb. Żołędzie na pewno spadały do ogrodu Domu Białych Dam. Obejrzałam pień. Od dawna nie chodziłam po drzewach. W Danesworth House nie zachęcano do tego typu aktywności. Rozwidlone konary mogły posłużyć za dogodny — choć może nie wygodny — punkt obserwacyjny. Ale czy można wspinać się na drzewo? Nie wypada podglądać innych ludzi, to niegodziwe. Dotknęłam miękkiego jedwabnego szala o zielonkawym odcieniu, który ojciec podarował mi, zanim wyjechał do Australii. Był to jeden z jego ostatnich prezentów — bardzo go lubiłam. Ojciec na pewno wspiąłby się na to drzewo. Panna Emily natomiast byłaby tym pomysłem przerażona. I to zadecydowało. Tym bardziej że znów odezwały się głosy.

— Lepiej się czujesz, mamo? — pytał czysty, młody głos. Wspięłam się na rozwidlenie. Teraz byłam dostatecznie wysoko, by wszystko zobaczyć.

Widok był przepiękny. Trawa jak zielony aksamit, miękka i równa, od stuleci pieczołowicie pielęgnowana, rabaty róż i lawendy, fontanna rozsiewająca srebrne krople nad białym posązką, krzewy przycięte w kształt ptaków, paw kroczący dumnie po trawniku pyszni się wspaniałym ogonem, a jednobarwna mała pawica idzie jego śladem. Wszystko to razem emanowało idealnym spokojem. Nie opodal stał stół nakryty do podwieczorku, a nad nim rozpięty niebiesko — biały parasol. Przy stole siedziała dziewczyna w moim wieku. Wyglądała na wysoką, była wiotka,

filigranowa, niczym figurka z drezdeńskiej porcelany. Włosy koloru miodu sływały długimi skrętami na jej plecy, miała na sobie bladoniebieską sukienkę z białym koronkowym kołnierzem i białymi mankietami. Idealnie pasowała do scenerii. Druga — uznałam, że to Lucie — musiała być z dziesięć lat starsza od siedzącej. Była też kobieta na wózku. Domyśliłam się, że to „mama”, jasnowłosa jak dziewczyna, delikatna, wyglądająca na słabowitą.

— W cieniu jest bardzo przyjemnie, mam — powiedziała dziewczyna.

— Mam nadzieję — głos był nieco rozdrażniony. — Wiesz, jak upał mi szkodzi. Lucie, gdzie moje sole?

Lucie popchnęła wózek bliżej dziewczyny, która wstała i sprawdziła, czy poduszka pod głową mamy jest na swoim miejscu. Potem Lucie odeszła po trawniku, zapewne po sole. Była chyba damą do towarzystwa, najważniejszą spośród służby albo ubogą krewną. Biedna Lucie!

Rozmawiały, ale ja słyszałam tylko głosy, gdy wiało w moją stronę. Wiatr, porywisty i dość silny, winien był temu, co się później stało. Mój szal rozwiązał się podczas wspinaczki. Nie zauważyłam tego. Kiedy się wychyliłam, by lepiej widzieć i słyszeć, zaczepił się o gałąź i ześlizgnął z szyi. Wisiał tak, uwięziony, i już–już miałam go w dłoni, gdy silniejszy podmuch porwał go, uniósł i figlarnie przerzucił ponad murem, jakby chcąc mnie ukarać za podsłuchiwanie. Szal frunął ponad trawą i spadł niedaleko towarzystwa siedzącego przy herbacie, czego jednak nikt nie zauważył.

Byłam przerażona — to przecież prezent od ojca! Albo zawołam i poproszę, by mi go podano, albo przepadł, myślałam.

Zdecydowałam, że nie będę wołać z wysokości. Zajdę do nich i wymyślę jakąś historyjkę, jak to zwiła mi szal z głowy — co się przecież zresztą stało — i, rzecz jasna, nie wspomnę ani słóweczkiem, że z nadmiernego wścibstwa wlażłam na drzewo, by podglądać.

Ześlizgując się z drzewa zbyt pośpiesznie, zadrasnęłam się w rękę, która zaczęła lekko krwawić. Kiedy przyglądałam się ponuro ranie, podszedł do mnie Stirling.

— Dęby bywają wielce użyteczne — rzekł.

— Co masz na myśli?

— Doskonale wiesz. Podglądałaś towarzystwo przy herbacie.

— Skoro wiesz, co robią, też musiałeś podglądać!

— Chodzenie po drzewach to dla mnie nie taki wyczyn jak dla dziewcząt.

— A więc podglądałeś.

— Nie. Podobnie jak ty, chciałem jedynie zobaczyć, co jest za murem.

— Z ciekawości?

— Powiedzmy, że z tych samych, co ty, powodów. Ale musimy odzyskać szal. Pójdę z tobą. Jako zastępca opiekuna nie mogę pozwolić, żebyś sama wchodziła do obcego domu.

— Jak się tam dostaniemy?

— Po prostu. Powiesz, że chcesz się widzieć z lady Cardew i wyjaśnisz, że twój szal leży na jej pięknym trawniku.

— Sądzisz, że powinniśmy niepokoić lady Cardew? Może wystarczy powiedzieć któremuś ze służących.

— Jesteś zbyt skromna. Wejdziemy śmiało i spytamy o lady Cardew.

Podążyliśmy ku bramie. Stirling otworzył ją i weszliśmy na brukowany dziedziniec, na którego końcu znajdowało się sklepione przejście. Stirling poszedł przodem, ja za nim. Znaleźliśmy się na trawniku.

Czułam się nieswojo. To, co zrobiliśmy, było niezgodne z dobrymi obyczajami, ale Stirling nie dbał o obyczaje, nie nawykł do obowiązujących w Anglii dobrych manier. Kiedy szliśmy przez

trawę w kierunku pań i kiedy one patrzyły na nas z najwyższym zdumieniem, zdałam sobie sprawę, jak bardzo niezwykle musiało im się wydać to wtargnięcie.

— Dzień dobry! — powiedział Stirling. — Mam nadzieję, że nie przeszkadziliśmy paniom. Przyszliśmy po szal mojej podopiecznej.

Dziewczyna patrzyła zaskoczona.

— Szal? — powtórzyła.

— To niezwykle — zaczęłam, starając się nadać bardziej naturalny charakter całemu zajściu — ale wiatr porwał mi go i poniósł ponad murem.

Wciąż patrzyły zaskoczone, ale nie mogły zaprzeczyć, bo szal leżał na trawniku. Stirling go podniósł i mi podał.

— Co ci się stało w rękę?

— Ojej, krwawi — zawołała dziewczyna.

— Zadrasnęłam się o drzewo, kiedy usiłowałam złapać szal — wyjąkałam.

Stirling patrzył na mnie rozbawiony, a ja myślałam, że zaraz opowie, jak wlałam na dąb, żeby podglądać.

Dziewczyna sprawiała wrażenie stroskanej. Miała bardzo miłą twarz.

— Państwo zatrzymali się gdzieś w okolicy? — spytała kobieta imieniem Lucie. — Jestem pewna, że państwo nie są tutejsi, inaczej znalazłbyśmy się.

— Zatrzymaliśmy się w gospodzie Pod Orłem — odpowiedziałam.

— Noro, chyba nie czujesz się najlepiej — przerwał szybko Stirling i zwracając się do dziewczyny spytał:

— Czy Nora może na chwilę usiąść?

— Oczywiście — powiedziała dziewczyna. — Oczywiście. Rękę trzeba opatrzyć. Lucie może ją obandażować, nieprawdaż Lucie?

— Ależ naturalnie — rzekła Lucie potulnie.

— Zaprowadź panią do domu i przemyj ranę. Idźcie do pokoju pani Glee. Na pewno ma przegotowaną wodę. Myślę, że ranę trzeba przemyć.

— Proszę ze mną — powiedziała Lucie.

Chciałam zaprotestować, bo interesowała mnie dziewczyna. Wołałam zostać i z nią porozmawiać.

Stirling usiadł i został poczęstowany herbatą.

Szłam za Lucie trawnikiem w stronę domu. Weszliśmy przez ciężkie, nabijane gwoździami żelazne drzwi i znalazłyśmy się w korytarzu o kamiennych ścianach. Przed nami były schody. Lucie poprowadziła mnie na półpiętro.

— Pokój gospodyni jest tutaj. A korytarz prowadzi do izby czeladnej — powiedziała.

Lucie zapukała, zawołano, by wejść. Na maszynie spirytusowej stał garnek z gorącą wodą, kobieta w średnim wieku w czarnej sukni z krepy bombazynowej i białym czepku na cienkich siwiejących włosach drzemała w fotelu. Domyśliłam się, że to pani Glee. Lucie opowiedziała o szalu, a ja pokazałam rękę.

— Nic takiego, lekkie otarcie — stwierdziła pani Glee.

— Panna Minta uważa, że rana powinna być przemyta i obandażowana.

— Panna Minta z tymi jej bandażami! — mruknęła pani Glee. — Ciągłe coś. W poprzednim tygodniu — ptak. Nie mógł fruwać, więc panna Minta uznała za swój obowiązek... Później pies, który się złapał w sidła.

Nie zamierzałam tolerować porównywania mnie z ptakami i psami, więc wtrąciłam:

— Naprawdę nie trzeba.

Ale pani Glee nie zważała na moje słowa. Nalała wody z garnka do miski. Zgrabnie umyła i obandażowała rękę, a ja wyjaśniłam, że zatrzymaliśmy się w gospodzie Pod Orłem i wkrótce wyruszamy do Australii. Gdy już było po wszystkim, podziękowałam pani Glee, a idąc za Lucie z powrotem po trawnikach powiedziałam, jak mi przykro, że sprawiłam tyle kłopotu. Odparła, że nie sprawiłam żadnego kłopotu, w sposób nie pozostawiający najmniejszych wątpliwości, że kłopot sprawiłam.

— Panna Minta ma bardzo dobre serce — zauważyłam.

— Bardzo — przyznała.

Chciałam spytać o tyle rzeczy! Ale to byłoby trudne, nawet gdyby miała ochotę na rozmowę, czego stanowczo nie można było o niej powiedzieć.

Przy stole lady Cardew patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem, a Stirling rozmawiał z Mintą. Drażniło mnie jego zadowolenie z siebie. To dzięki mnie znaleźliśmy się tutaj, a on brał co najlepsze z tej przygody. Ciekawe, o czym rozmawiali, kiedy nas nie było.

— Musi się pani napić herbaty, zanim państwo odejdą — rzekła Minta i kiedy nalewała herbatę i podawała mi filiżankę, znów uderzył mnie jej wdzięk i uprzejmość.

— Panna Cardew opowiadała mi o domu — rzekł Stirling. — To najwspanialszy dom, jaki kiedykolwiek widziałem.

— I najstarszy — roześmiała się Minta. — Pan powiedział, że właśnie przyjechał z Australii i zabiera panią ze sobą, bo jego ojciec został pani opiekunem. Cukier?

Podawała mi filiżankę z cienkiej jak skorupka od jajka chińskiej porcelany. Miała długie, białe, delikatne palce i pierścionek z opalem.

— Jakież to fascynujące jechać do Australii — powiedziała.

— Jakież to fascynujące mieszkać w takim domu! — odparłam.

— Kiedy się mieszka w takim domu przez całe życie, obojętnie się na jego uroki. Zdalibyśmy sobie sprawę, ile dla nas znaczy, gdybyśmy go stracili.

— Ale państwo go nigdy nie stracą. Kto chciałby się rozstać z takim miejscem!

— Och, nigdy, naturalnie — odpowiedziała lekko.

Lucie krzątała się przy stole. Lady Cardew utkwiała we mnie wzrok, ale zdawała się mnie nie widzieć. Mówiła z trudem, jakby pogrążona w półśnie. Ciekawiło mnie, czy jest chora. Nie była stara, a zachowywała się jak osoba wiekowa.

Wypytywałam Mintę o dom, opowiedziałam, co słyszałam o nim od woźnicy. Potwierdziła, że dom zbudowano na miejscu dawnego klasztoru i większa część oryginalnej budowli została zachowana.

— Niektóre pokoje wyglądają zupełnie jak cele, prawda Lucie?

Lucie przytaknęła.

— Należy do rodziny od wielu lat. Ja oczywiście wszystkich rozczarowałam, bo jestem dziewczyną. W tej rodzinie dziewczynki często się rodzą. Jesteśmy tutaj... od jak dawna, Lucie? 1550? Tak. Henryk VIII skasował klasztory i Dom Białych Dam częściowo zniszczono. Mój przodek za jakieś zasługi dostał to miejsce pod budowę domu i zbudował go nieco później. Zostało dużo kamieni, które można było wykorzystać, a także, jak powiedziałam, spora część klasztoru.

— Przyszedł pan Wakefield — powiedziała Lucie.

Zbliżał się do nas mężczyzna. Wykwintnie ubranego człowieka nie widziałam w życiu, a jego manieri idealnie pasowały do stroju.

Minta poderwała się i pobiegła ku niemu. Ujął jej dłoń i złożył na niej pocałunek. Czarujący! — pomyślałam. Wyobrażałam sobie, jak to musiało rozbawić Stirlinga. Mężczyzna podszedł do lady Cardew i zrobił to samo. Skłonił się Lucie. O tak, Lucie nie należała do rodziny.

Minta zwróciła się do nas.

— Nie znam państwa nazwisk. Wyobraź sobie, Franklynie, szal przefrunął na drugą stronę muru, szal panny...

— Tamasin — powiedziałam. — Nora Tamasin.

Skłonił się pięknie.

— Z Australii — dodała Minta.

— Och, to niezwykle.

Twarz pana Franklyna Wakefielda wyrażała grzeczne zainteresowanie sprawą szala oraz nami, co bardzo mi się spodobało.

— Przyszedłeś w samą porę na filiżankę herbaty — powiedziała Minta.

Zdawałam sobie sprawę, że nie ma powodu zostawać tam dłużej i że jeśli nie odejdziemy natychmiast, zostaniemy uznani za intruzów. Stirling jednakże nie zamierzał się ruszyć. Usiadł z powrotem na krześle i obserwował wszystkich, w szczególności Mintę, z napięciem, które można by określić jako pożądanie.

— Państwo są bardzo uprzejmi — rzekłam wstając — ale musimy już iść. Pozostaje nam tylko podziękować za życzliwość okazaną nieznanym.

Wyczułam, że Stirling jest na mnie zły. Chciał jeszcze zostać. Zdawał się nie rozumieć, że zakłócamy rodzinną atmosferę podwieczorku, a jeśli nawet to rozumiał, wcale się tym nie przejmował. Ja jednak byłam zdecydowana.

Minta uśmiechnęła się do Lucie, która natychmiast się podniosła, by nas odprowadzić do bramy.

— Bardzo przepraszamy, że przeszkodziliśmy państwu w podwieczorku — powiedziałam.

— Mieliśmy miłe urozmaicenie — odrzekła Lucie.

Coś mnie niepokoiło w sposobie bycia tej kobiety. Zdawała się bardzo wrażliwa, ale starała się zachowywać z przesadną, pełną godności rezerwą, co może wynikało z faktu, że była ubogą krewną.

— Panna Minta jest czarująca — powiedziałam.

— Podpisuję się pod tym — dodał Stirling.

— Rzeczywiście jest zachwycająca — przyznała Lucie.

— Jestem wdzięczna za opatrzenie ręki, panno....

— Maryan, Lucie Maryan.

Uboga krewna, z całą pewnością, pomyślałam.

Stirling, który jak się okazało, kpił sobie otwarcie z manier obowiązujących w dobrym towarzystwie, spytał bez ogródek:

— Pani jest spokrewniona z rodziną Cardew? Zawahała się i przez chwilę myślałam, że zgani go za wścibstwo, ale powiedziała:

— Jestem pielęgniarzką i osobą do towarzystwa lady Cardew.

Doszliśmy do bramy.

— Mam nadzieję — pożegnała się chłodno — że rana wkrótce się zagoi. Do widzenia.

Wyszliśmy. Lucie pieczołowicie zamknęła za nami żelazną bramę. Szliśmy przez chwilę w ciszy, aż wreszcie Stirling wybuchnął śmiechem.

— To ci przygoda — powiedziałam.

— Zdaje się, że naprawdę chciałaś zobaczyć, co się dzieje za tym murem.

— Zdaje się, że ty też.

— To niebrzydki szaliczek. Oboje powinniśmy być mu wdzięczni. Stał się naszym biletem wstępu, że tak powiem.

— Wielce osobliwa rodzina.

— Osobliwa? Dlaczego osobliwa?

— Jest niby matka, córka i dama do towarzystwa. Wszystko w porządku. Na pozór. Ale pod pokrywką pozorów coś tam się dzieje. Ta matka jakaś taka spokojna, jakby trwała w letargu.

— Och, widać, że to osoba chora.

Ucichliśmy oboje. Popatrywałam na niego z boku i widziałam, że udzielił mu się mój nastrój. Oboje byliśmy jakoś dziwnie oszołomieni.

— Wiesz — powiedziałam — kiedy przechodziłam przez tę bramę, miałam wrażenie, że wkraczamy w inny świat...

Stirling roześmiał się. Był zdecydowanie pozbawiony wszelkiej fantazji. Szkoda było słów na wyjaśnianie mu moich uczuć. Miałam wrażenie, że teraz, po przygodzie w Domu Białych Dam, znam go o wiele lepiej. Wręcz zapomniałam, że poprzedniego dnia o tej porze nie miałam pojęcia o jego istnieniu. Po raz pierwszy od śmierci ojca czułam się podekscytowana, choć nie wiedziałam dobrze dlaczego.

Następnego dnia ruszyliśmy z gospody Pod Orłem do Londynu, a dzień później zaokrętowaliśmy się na „Carron Star” w Tilbury.

Rozpoczęłam podróż na drugi koniec świata.

Rozdział 2

Szybko zdałam sobie sprawę, że warunki życia na „Carron Star” będą nieco spartańskie, mimo że podróżowaliśmy pierwszą klasą. Dzieliłam kabinę z młodą dziewczyną, córką pastora, która płynęła do Melbourne na swój ślub. Była jednocześnie szczęśliwa i zalękniona. Jej narzeczony opuścił Anglię przed dwoma laty, by przygotować dla niej dom w Nowym Świecie, i był teraz właścicielem niewielkiej posiadłości. Dziewczyna niepokoiła się o swoje kufry z ubraniami i bielizną. „Trzeba być przygotowaną na wszystko”, twierdziła. Na szczęście mówiła tyle o sobie, że nie zadawała pytań, za co byłam jej niezmiernie wdzięczna.

Powiedziała mi, że podróż kosztuje pięćdziesiąt funtów, a ja poczułam coś na kształt satysfakcji, że mój nowy opiekun poniósł tak duży koszt, żebym mogła do niego przyjechać.

Miałyśmy szczęście, tłumaczyła mi, że płynęłyśmy pierwszą klasą, gdyż pasażerowie dwóch pozostałych musieli wziąć z sobą własne sztuce, kubki, filiżanki i spodki, nie mówiąc o butelkach na wodę. Jej narzeczony nalegał, by podróżowała pierwszą klasą. Dla młodej dziewczyny to była rzeczywiście wielka przygoda: podróżować samotnie przez pół świata. Ciotka odprowadziła ją do portu i dopilnowała, by bezpiecznie wsiadła na statek, narzeczony zaś miał czekać w porcie. Tymi swoimi kufkami z ubraniami i cienką bielizną dawała mi do zrozumienia, że była wychuchaną, rozpieszczoną młodą damą.

Spytała, czy podróżuję sama, więc powiedziałam, że z opiekunem. Otworzyła szeroko oczy na widok Stirlinga, który, jak to określiła, wydawał się cokolwiek za młody do roli opiekuna. I — jestem pewna — od tej chwili była przekonana, że coś osobliwego wiąże się z moją osobą.

W sali jadalnej siedziałam ze Stirlingiem. Z początku prawie wszyscy brali nas za rodzeństwo, a gdy wyszło na jaw, że jestem jego podopieczną, zaczęło się znaczące unoszenie brwi. Wkrótce jednak to się skończyło, bo z powodu okropnej pogody pasażerowie przeważnie spędzali czas w kabinach, a kiedy je opuścili, niezwykłość naszej sytuacji była już zaakceptowana.

Stirling opowiadał mi o Australii. W naszych rozmowach nie brakowało Żbika i z niecierpliwością oczekiwałam nie tyle nowego kraju, co chwili, kiedy ujrzę właśnie jego. Zaczynałam rozumieć Stirlinga. Jego sposób bycia można by nazwać obcesowym, lecz nie znaczyło to, że był zły czy obojętny. Szczycił się swą otwartością i jeśli mówił do mnie bez osłonek, to po mnie spodziewał się tego samego. Gardził sztucznymi w każdej formie, o czym świadczył jego stosunek do współtowarzyszy podróży. Często wracałam myślą do ludzi, których poznaliśmy w Domu Białych Dam, i wydawało mi się, że Stirling był absolutnym przeciwieństwem Franklina Wakefielda, tak jak ja byłam przeciwieństwem Minty. Dziwne, że ludzie, z którymi obcowałam ledwie chwilę, zrobili na mnie tak wielkie wrażenie. Porównywałam ich z każdą nowo poznaną osobą.

Życie na morzu mogło wydawać się monotonne pasażerom, którzy wyczekiwali kresu podróży, ale nie mnie. Wszystko mnie interesowało, a najbardziej Stirling. Jego zaś bez wątpienia irytowała bezczynność. Pragnął jak najprędzej znaleźć się w domu. Śniadania jadaliliśmy o dziewiątej, a lunch o dwunastej, między jednym a drugim posiłkiem spacerowaliśmy — dla gimnastyki — po pokładach. Inni przeważnie pisali w tym czasie listy do domów, żeby były gotowe do wysyłki, gdy statek zawinie do portu. Ja nie miałam do kogo pisać — poza paroma słowami do nieszczęsnej Mary. Często myślałam o niej, uwięzionej w Danesworth House, i serdecznie jej współczułam.

Pamiętam, siadywaliśmy ze Stirlingiem na pokładzie, nawet gdy pogoda nie dopisywała, i byłam dumna, bo podziwiał, jaką to jestem żeglarką. Nie miał zrozumienia dla ludzkich ułomności. Zastanawiałam się, czy aby sprostam jego oczekiwaniom. Z jego słów

wywnioskowałam, że wiele czasu spędza na końskim grzbiecie. Ojciec nauczył mnie jazdy konnej, kiedy mieszkaliśmy na wsi, ale przejażdżka po drózkach angielskiej wsi musiała się istotnie różnić od galo — pady po australijskim buszu.

Wspomniałam o tym Stirlingowi, ale on szybko rozproszył moje wątpliwości.

— Wszystko będzie dobrze — powiedział. — Znajdę dla ciebie odpowiedniego konia. Pierwszego spośród końskich dżentelmenów, o równie nienagannych manierach jak pan Wakefield, który tak cię oczarował. Później dopiero dam ci...

— ...konia najbardziej męskiego, równie męskiego jak Stirling Herrick — uzupełniłam.

Śmiałyśmy się często. Spieraliśmy się, bo w wielu sprawach byliśmy odmiennego zdania. Zdarzało się, że Stirling nie zgadzał się też z poglądami innych pasażerów i dawał się wciągać do dyskusji, nigdy niczego nie owijając w bawełnę. Nie był lubiany wśród nadętych dżentelmenów, ale zauważyłam, że większość kobiet darzy go sympatią.

Dopiero po pewnym czasie zdałam sobie sprawę, jak wiele dała mi ta podróż. Przede wszystkim pozwoliła mi zapomnieć o tamtych okropnych miesiącach, kiedy w napięciu czekałam na wiadomość od ojca, a potem, gdy nadeszła, trwałam w odrętwieniu, ogłuszona ciosem.

W Gibraltarze wyszliśmy na ląd i spędziliśmy tam przyjemny poranek. Cudownie było jechać powozem ze Stirlingiem i oglądać różne osobliwości: sklepy, małpy, nawet zwykłe skały.

— Czasami żałuję, że ta podróż nie może trwać wiecznie — powiedziałam.

Stirling skrzywił się.

— A gdybyśmy tak spóźnili się na statek — ciągnęłam. — Zbudowalibyśmy sobie własny i popłynęli dookoła świata.

— Co za zwariowane pomysły! — odparł urągliwie.

Jakże różnił się od mojego ojca, który od razu podjąłby taką szaloną myśl, zacząłby mówić o budowie statku, o egzotycznych miejscach, do których moglibyśmy popłynąć.

— Pamiętam, pamiętam — rzekł Stirling. — Twój ojciec potrafił barwnie mówić, zakładając, że wydarzy się wszystko to, co wydarzyć się nie mogło, o czym dobrze wiedział.

— To świetny sposób na życie.

— Idiotyczny. Co za sens udawać, że niemożliwe jest możliwe?

Nie zamierzałam pozwalać, by krytykował mojego ojca.

— Dzięki temu życie może być wesołe i fascynujące — zaprotestowałam.

— To fałsz. Udawać, że wierzy się w rzeczy niemożliwe, to strata czasu.

— Jesteś bardzo zasadniczy i...

— Nudny? Milczałam, on nalegał.

— No, mów. Powiedz prawdę.

— Chcę wierzyć, że cudowne rzeczy się zdarzają.

— Nawet jeśli wiesz, że nie mogą się zdarzyć?

— Kto mówi, że nie mogą?

— Na przykład wyjście na brzeg, zbudowanie statku w kilka godzin, podróż dookoła świata bez nawigatora, kapitana czy pilota... Gdy znajdziemy się w Australii, Noro, będziesz musiała wydorosnąć.

Byłam zła.

— Może nie powinnam była zgodzić się na wyjazd do Australii.

— Za wcześnie na opinię w tej sprawie.

— Jeśli macie zamiar traktować mnie jak dziecko...

— Będziemy cię tak traktować, jeśli ty będziesz folgować dziecinnyim fantazjom, jak...

— Jak mój ojciec. Uważałeś go za dziecinnego?

— Nie uważaliśmy go za człowieka praktycznego. Świadczy o tym choćby to, jak zakończył życie. Zginął za złudzenia.

Poczułam się dotknięta i obrażona, bo nie potrafiłam jeszcze rozmawiać logicznie o moim ojcu.

Zamilkłam. Byłam zła na Stirlinga, że zepsuł tak piękny dzień. Ale tak właśnie układały się stosunki między nami. Nie było miejsca na uprzejmą rozmowę, on mówił to, co myślał. Wiedziałam, że w jego słowach jest wiele racji, ale nie mogłam znieść, by ktokolwiek krytykował mojego ojca.

Czasami drażniła mnie jego apodyktyczność, lecz kiedy okazywał mi troskę — a czynił to często — ogarniało mnie przyjemne uczucie bezpieczeństwa.

Robiło się coraz cieplej.

Któregoś wieczoru siedzieliśmy na pokładzie, wpatrzeni w ciepły mrok tropikalnych wód.

— A jeśli Żbik mnie nie polubi? — spytałam.

— To i tak będzie się o ciebie troszczył. Dał przecież słowo.

— Zdaje się, że trudno go zadowolić.

Stirling przytaknął. To była prawda. Żbik był wszechmocny, ale nie zawsze łaskawy.

— Niczym rzymski bóg oczekuje ofiar błagalnych. Grymas niezadowolenia pojawił się na twarzy Stirlinga.

— Ludzie starają się go zadowolić, to jasne — rzekł.

— Czasem myślę, że lepiej mi było zostać w Danesworth House.

— Będziesz musiała nauczyć się szczerości, jeśli chcesz zadowolić Żbika.

— Nie jestem pewna, czy chcę. Nie mam ochoty być potulną małą niewolnicą.

— Poczekaj, a zobaczysz, że będziesz chciała. Jak wszyscy.

— Ty jesteś brutalnie szczery, jeśli chodzi o mojego ojca.

Dlaczego ja nie miałabym być równie szczerą wobec twojego!

— Zawsze powinnaś mówić to, co myślisz.

— Wygląda na to, że ten twój Żbik to zarozumiały, opętany żądzą władzy megaloman!

— Zastanówmy się: ma wysokie mniemanie o sobie i wcale tego nie kryje. Lubi rządzić i robi to bardzo dobrze. A więc po niewielkiej modyfikacji twój osąd może się okazać nie całkiem chybiony.

— Opowiedz mi o nim coś więcej.

Siedzieliśmy i Stirling opowiadał, a w mojej wyobraźni rysował się obraz silnego człowieka, który wywarł tak wielkie wrażenie na moim ojcu, że powierzył mnie jego opiece.

— Wydalono go z Anglii jako skazańca trzydzieści pięć lat temu — mówił Stirling. — To pozostawiło po sobie ślad... Ale kiedyś wróci... Kiedy będzie gotów.

— A kiedy będzie gotów?

— Powiedział mi, że będzie wiedział, kiedy nadejdzie odpowiednia chwila.

— A więc rozmawia z tobą czasem jak zwykła ludzka istota?

Stirling uśmiechnął się.

— Coś mi się zdaje, że postanowiłaś go nie lubić. To bardzo nierozsądne. On jest ludzki, bardzo ludzki.

— A ja wciąż myślę o nim jak o bogu!

— Potrafi być i taki, owszem.

— Półbóg, półczłowiek — pokpiwałam.

— Tak, Żbik jest ludzki. To człowiek... prawdziwy człowiek, tyle że większego formatu niż inni.

— Tyle mówisz o ojcu. A matka? Czy ona podpisuje się pod takim obrazem wielkości twojego ojca?

— Moja matka nie żyje. Umarła przy moim urodzeniu.

Twarz Stirlinga prawie niezauważalnie spochmurniała pod wpływem jakiegoś uczucia.

— Przepraszam. Wiem tylko, że masz siostrę, bo to ona miała po mnie przyjechać. Masz także inne siostry lub braci?

— Jest nas tylko dwoje. Adelajda jest osiem lat ode mnie starsza.

Ciekawa byłam Adelajdy. Pytałam o nią, lecz obraz, który się jawił przed moimi oczyma, był całkiem bezbarwny. Opowiadanie Stirlinga nabierało kolorów, gdy mówił o Żbiku. Myślałam o mojej matce, która „odeszła”, i ciekawa byłam, jaką też kobietę mógł poślubić Żbik.

— A twoja matka? — spytałam. — Ona także wyjechała jako więźniarka?

— Nie. Ojca skierowano do pracy u jej rodziny. Wyobraź sobie: Żbik posłany do pracy u kogoś tam!

— Cóż, był wtedy więźniem, a nie wielkim Żbikiem, którym jest dziś — przypomniałam.

— Zawsze był dumny. Myślę, że dziadek zdawał sobie z tego sprawę.

— Dziadek?

— Mężczyzna, do którego Żbik został skierowany do pracy. Ojciec ożenił się wkrótce z jego córką, czyli moją matką.

— Sprytnie to sobie wymyślił — stwierdziłam ironicznie.

— Tak było — odparł sucho.

— Czyli wzenił się w wolność, można powiedzieć.

— Masz cięty język, Noro.

— Miałam mówić, co myślę.

— Naturalnie. Ale szkoda, że chcesz widzieć w ludziach to, co najgorsze.

— Miałam na myśli tylko to, że sprytnie postąpił. Został wysłany na służbę, miał pracować do końca wyroku, więc z szefa zrobił sobie teścia. Uważam, że to spryt i tego bym się właśnie po Żbiku spodziewała.

— Jak możesz się czegoś po nim spodziewać, skoro go nie znasz?

— Spędziłam już sporo czasu w twoim towarzystwie, dzięki czemu wiem coś niecoś o tym wspaniałym człowieku — o nikim innym przecież nie mówisz.

— Dobrze, nie będę o nim mówił. Ty zadawaj pytania, ja będę odpowiadał.

4. Oczy Żbika

— Ależ ja chcę słuchać o tej bogom podobnej, niezwyklej istocie! Ale powiedz też coś o matce.

— Przecież jej nie znałem.

— Ktoś ci chyba o niej opowiadał.

Zmarszczył brwi i milczał. A więc nie chce o tym mówić. Widocznie, myślałam, nie jest to pochlebne dla Żbika.

— Nie ożenił się drugi raz?

— Nie. Nie ożenił się.

— Tyle lat bez żony! Myślałam, że taki Żbik potrzebuje żony!

— Nie powinnaś go oceniać, póki go nie poznasz — powiedział Stirling kwaśno. Zmienił temat i zaczął mówić o Australii. Mieliśmy tam dotrzeć z końcem zimy (Stirling przypomniał mi, że w Australii jest teraz zima), akacje będą w pełnym rozkwicie, zobaczę setki gatunków wyniosłych eukaliptusów.

Z Melbourne pojedziemy do domu przez busz na północ. Nie słuchałam zbyt uważnie. Myślałam o ożenku Żbika i jego przeistoczeniu się w zięcia chlebobdawcy. Może, myślałam, imię Lis bardziej by do niego pasowało niż Żbik. Im więcej Stirling mówił o doskonałości tego człowieka, tym bardziej byłam do niego uprzedzona. Miałam wrażenie, że w wyliczaniu jego niezwykłych czynów zawarta jest szczypta krytyki pod adresem mojego ojca.

Siedzieliśmy patrząc w dal ponad wodę, a Stirling mówił o moim nowym domu.

— Późno już, powinnam iść — powiedziałam w końcu. Odprowadził mnie do kabiny, życząc dobrej nocy. Moja współtowarzyszka leżała już w koi. Powiedziała, że chyba towarzystwo pana Herricka wielce mnie intryguje.

— Rzeczywiście, mamy sobie wiele do powiedzenia, pan Herrick bowiem wiezie mnie do swojego kraju, gdzie jest mój nowy dom.

— Pani Mullens mówi, iż to zdumiewające, że młoda dziewczyna ma tak młodego opiekuna.

— Nie istnieją przepisy, które by regulowały wiek opiekunów. Nieważne, ile opiekun ma lat. Nikt nie może zabronić Stirlingowi opiekowania się mną tylko dlatego, że nie jest panem w średnim wieku. Tak jak nie można zabronić ludziom plotkowania. Nie ma też przepisów zabraniających słuchać i powtarzać plotki, pomijając zasady dobrego wychowania, oczywiście.

To ją uciszyło. Ja zaś chichotałam w duchu. Stirling się nie myli. Mam cięty języzek. Może być moją bronią. Na pewno nadarzy się okazja, by go wypróbować przeciw Żbikowi. Ta myśl mnie rozbawiła.

Nie pozwolę sobą komenderować, myślałam, mimo że jest moim opiekunem, i to wyznaczonym przez ojca. Nie dam się nikomu zdominować, przynajmniej nie tak, jak ten człowiek zdominował innych — nawet Stirlinga. Nie będę więcej o niego pytać. Przeszanę o nim myśleć.

Zasnęłam, ale w moim śnie nie dawał mi spokoju wysoki mężczyzna o oczach żbika i twarzy lisa.

* * *

Było trzy dni drogi od Cape Town, gdy znaleźliśmy Jemmy'ego. Po wieczornym posiłku poszliśmy na pokład i Stirling opowiadał o Australii. Wyraźny obraz tego kraju zaczynał już rysować się w mojej wyobraźni: busz z żółtymi akacjami i ogromnymi eukaliptusami, piękno eukaliptusowych lasów, obsypanych czerwonym kwieciem, czerwono-żółta wspaniałość kwiatów, które nazywano „kangurzymi łapami”, bagiennych stokrotek i różnobarwnych storczyków. Stirling wspominał czasami o wesołych papużkach rozella, papużkach czerwonoskrzydłych i zielonych lorach. Co dzień wiedziałam więcej o tym kraju, który wkrótce miał stać się moją drugą ojczyzną.

Nagle usłyszeliśmy gwałtowne kichnięcie. Zaskoczyło nas to, sądziliśmy bowiem, że jesteśmy na pokładzie sami.

— Kto to? — Stirling rozejrzał się wokoło.

Wtedy dał się słyszeć odgłos desperacko tłumionego kaszlu. Kaszlący musiał znajdować się gdzieś blisko, ale nikogo nie widzieliśmy. Popatrzyliśmy po sobie zdumieni.

Kiedy mijaliśmy jedną z zawieszonych na pokładzie łodzi ratunkowych, znów rozległ się kaszel.

— Jest tam kto? — zawołał Stirling.

Odpowiedzi nie było, ale kaszel nie ustawał i bez wątpienia dochodził z łodzi.

Stirling zwinnie się podciągnął i wskoczył do niej.

— Tu jest chłopiec — krzyknął do mnie.

Zobaczyłam dziecięcą główkę o zmierzwionych i brudnych włosach. Pełne panicznego strachu oczy wydawały się ogromne na białej jak papier twarzączce.

Stirling podniósł go i opuścił na pokład.

— Pasażer na gapę! — wykrzyknęłam.

— Niech pani im nic nie mówi — prosił chłopiec płaczącym głosem. Dopiero gdy znów chwycił go kaszel, zobaczyłam, w jak opłakanym był stanie.

— Nie bój się — powiedziałam. — Wszystko będzie dobrze. Zabrzmiało to widać dość przekonywająco, bo gdy przestał kasłać, spojrzął na mnie z ufnością.

— Nie masz prawa przebywać na statku, prawda? — spytałam łagodnie. — Wślizgnąłeś się bez biletu?

— Tak, proszę pani.

— Jak długo tu jesteś?

— Od Londynu.

— Ach, ty mały hultaju — zawołał Stirling. — I co ty najlepszego robisz?

Chłopiec przypadł do mnie.

— Jest chory — powiedziałam.

— Dobrze mu tak!

— I pewnie głodny — zwróciłam się do chłopca. — Jesteś przeziębiony. Cały się trzęsiesz. Czas wyjść z ukrycia.

— Nie! — zawołał, wodząc dookoła dzikim spojrzeniem. Złęklam się, że gotów wyskoczyć ze strachu za burtę. Bardzo mu współczułam.

— Uciekłeś z domu? — spytałam.

— Oczywiście że uciekł — rzekł Stirling.

— Nie mam domu...

— A ojciec?

— Nie mam ojca. Nie mam mamy.

Byłam do głębi poruszona. Czyż sama nie wiedziałam, co to znaczy nie mieć ojca ani matki, nie mieć domu? Przyszły mi na pamięć żalosne dni w Danesworth House — nie tyle ponure poddasze, przeciągi czy zaduch, ale to, jaka się czułam porzucona, samotna, nie chciana.

— Jak ci na imię? — spytałam.

— Jemmy.

— Posłuchaj, Jemmy, nie masz się czego bać — uspokajałam go. — Ręczę ci, że wszystko będzie dobrze.

Stirling uniósł brwi, lecz mówiłam dalej:

— Będziesz musiał się do wszystkiego przyznać, a ja się postaram cię wytłumaczyć. Najpierw jednak ciepły posiłek i łóżko. Zdaje się, że nie spałeś w łóżku, od kiedy wyruszyliśmy.

Kiwnął głową.

— I nie jadłeś jak należy. Tylko to, co ci się udało ukraść.

Przytaknął.

— Teraz będzie inaczej. Zaufaj mi, Jemmy.

— Nie chcę wracać.

— Nie wrócisz.

Uspokoił się.

Zbliżał się właśnie jeden z oficerów i zobaczywszy nas, przyspieszył kroku. Wyjaśniliśmy, co zaszło, i oficer wziął chłopca pod swoje skrzydła. Spojrzenie odchodzącego z nim dziecka zapadło mi głęboko w serce.

— Odegrałaś oczywiście rolę wielkiej dobrodziejki — rzekł Stirling. — Pasażer na gapę? Nie szkodzi, można go za to wynagrodzić.

— Masz serce z kamienia.

— W każdym razie nie składam obietnic, których nie mogę dotrzymać.

— Co się robi z pasażerami na gapę?

— Nie wiem, ale jestem prawie pewien, że nie omija ich kara, na jaką zasłużyli.

— Biedne dziecko było głodne i chore.

— Naturalnie! A czego się spodziewał? Że powitają go na statku jak każdego pasażera? Musiał przecież wyobrażać sobie, co go spotka, jeśli będzie podróżował bez biletu.

— Nie myślał o tym. Wielki statek był dla niego ucieczką przed życiem, którego nie mógł znieść. Marzył o podróży do miejsca, gdzie zaświeci słońce, gdzie rozpocznie się nowe życie.

— Jeszcze jeden marzyciel.

To mnie rozzłościło. Znow przytyk do mojego ojca.

— Nie chcę, żeby to dziecko cierpiało — powiedziałam twardo. — W jaki sposób zostanie ukarany? Pewnie surowo.

— Prawdopodobnie będzie musiał pracować na statku, a gdy dotrzemy do Australii, ukarzą go i odeślą do Anglii, by ukarano go także tam.

— To okrutne.

— To sprawiedliwe. Dlaczego miałby uniknąć sprawiedliwości?

— Jest dzieckiem. Niektórzy unikają sprawiedliwości na przykład poprzez małżeństwo z córką pracodawcy.

To było nieczyste zagranie, ale on krytykował mojego ojca i nie mogłam się powstrzymać, by nie odwzajemnić ataku.

Stirling uśmiechnął się tylko.

— Ludzie powinni być sprytni, brać z życia to, co najlepsze.

— Niektórym trzeba w tym pomóc. I jeśli będę mogła pomóc temu chłopcu — zrobię to.

— Powinnaś. Przecież przyrzekłaś. Nierozważnie wprowadziłaś, ale dałaś słowo.

Miał rację. Byłam zdecydowana zrobić, co będzie w mojej mocy dla biednego Jemmy'ego.

* * *

Wszyscy na statku mówili o małym gapowiczu. Zabrano go do pokładowego szpitala. Przez wiele dni nie było wiadomo, czy biedak zdoła wylizać się z dolegliwości, na które cierpiał. Prawie całą podróż spędził w łodzi ratunkowej, bacząc pilnie, by na czas próbnych alarmów zdążyć skryć się w którejś z szafek z zapasowymi kamizelkami ratunkowymi. Nocami myszkował po statku, szukając pożywienia i od czasu do czasu coś znajdował. O mało nie umarł z głodu i zimna. Teraz przynajmniej przez pewien czas zazna wygód i troskliwej opieki — zbyt chory, by rozmyślać, co go czeka, gdy wydobrzeje.

Ciągle o nim myślałam.

Rozmawiałam o tym ze Stirlingiem, kiedy siadywaliśmy na pokładzie.

— Chciałabym coś zrobić dla tego chłopca.

— Co?

— Chcę go uchronić przed karą. Nie zrobił nic złego, poza tym, że chciał uciec. To coś, przed czym uciekł, musiało być straszne. Chcę mu pomóc. Muszą mu pomóc.

— Jak? Zbudujesz statek i mianujesz go swoim kapitanem?

— Nie żartuj. Lepiej zrób coś.

— Ja? Ja nie mam z tym nic wspólnego.

— Ale ja mam, a ja jestem twoją siostrą... czy raczej twój ojciec jest moim opiekunem. A to na pewno nas ze sobą wiąże.

— Nie znaczy to jednak, że mam brać udział w twoich szalonych przedsięwzięciach.

— Jeśli opłacisz bilet tego chłopca i zatrudnisz go jako służącego, jeśli go z nami zabierzesz, to jestem pewna, że twój wszytkomogący ojciec znajdzie dla niego jakieś zajęcie. Ty oczywiście mu w tym pomożesz.

— Nie pojmuję, skąd ci mogło przyjść do głowy, że coś takiego uczynię!

— Nie wierzę, że jesteś nieczuły, choć starasz się robić takie wrażenie.

— Myślę, że jestem praktyczny.

— Oczywiście, że jesteś. I dlatego pomożesz temu chłopcu.

— Ponieważ ty nieroztropnie przyrzekłaś coś, czego nie możesz dotrzymać.

— Nie. Dlatego, że chłopiec będzie ci wdzięczny do końca życia, a u was pewnie niełatwo o dobrego służącego. Można dać chłopcu pracę w gospodarstwie, w hotelu czy gdziekolwiek indziej w imperium Żbika. A więc, jak widzisz, możesz wyciągnąć go z tarapatów i mieć z tego pożytek.

Śmiał się tak bardzo, że nie mógł mówić. Zmieszałam się. Była w nim twardość, którą zapewne odziedziczył po ojcu. Martwiłam się o mojego małego gapowicza, do którego nikt poza mną nie czuł, zdaje się, najmniejszej sympatii.

— Pan Mullens powiada — rzekła moja współpasażerka — że to zachęcanie ludzi do podróży bez biletu. Mówi, że czegoś podobnego jeszcze nie słyszał. I że będziemy mieć kupę hołoty podróżującej na gapę, jeżeli się ją będzie za to nagradzać.

— Trudno powiedzieć — odpowiedziałam — że ten mały chłopiec został nagrodzony tylko dlatego, że położono go do łóżka i otoczono opieką, która pozwoli mu wrócić do zdrowia. Czego pan Mullens oczekiwał? Że poproszą, by się dziecko przespacerowało z zawiązanymi oczami po desce wystającej za burzę? Albo że zakują je w kajdany? Czasy łapanek do służby w marynarce też już minęły.

Żachnęła się. Przypuszczałam, że dyskutowała o mnie z Mullensami.

— Mówi się, że pan Herrick postanowił wyciągnąć chłopca z opresji — uśmiechnęła się głupawo — i uczynić go swoim służącym.

— Służącym? — wykrzyknęłam.

— Czyżby jeszcze nie zdążył się zwierzyć? Słyszałam, że ma zamiar opłacić jego bilet, a więc wszystko jest w porządku. Nasz mały łobuziak w ciągu jednego wieczora przeistoczył się w uczciwego chłopca.

Uśmiechnęłam się uszczęśliwiona. Pobiegłam do kabiny Stirlinga, zapukałam do drzwi. Był sam. Zarzuciłam mu ręce na szyję i ucałowałam go. Zmieszany starał się pozbyć moich rąk, odsunął się, ale byłam zbyt podekscytowana, by pozwolić się odepchnąć.

— Zrobiłeś to, Stirling! — wołałam. — Zrobiłeś!

— O czym ty mówisz?

Dobrze wiedział. Zaczął się usprawiedliwiać:

— Będzie podróżował trzecią klasą. W prymitywnych warunkach, na więcej nie zasłużył. Bilet kosztuje tylko siedemnaście gwinei, ale rzecz jasna, wszystkiego nie muszę płacić, skoro chłopak do tej pory sypiał w łodzi i nie dostawał jedzenia. Zapłaciłem siedem funtów za kwaterę w trzeciej klasie do Melbourne.

— A potem załatwisz mu pracę?

— Może być moim służącym, zanim coś dla niego znajdziemy.

— Och, Stirling, to wspaniale! Masz więc jednak serce.

— Ale więcej mi czegoś takiego nie funduj, bo się gorzko rozczarujesz.

— Wiem — odparłam. — Jesteś bez serca. Nikomu nie będziesz pomagał. Uważasz tylko, że chłopak się przyda, tak?

— Tak.

— W porządku. Niech będzie, jak chcesz. Liczy się rezultat. Biedny mały Jemmy! Będzie spokojnie spał tej nocy.

Po tym wydarzeniu poczułam się blisko związana ze Stirlingiem. Podobał mi się nawet sposób, w jaki udawał, że działał z pobudek praktycznych, a nie uczuciowych.

* * *

Reszta podróży upłynęła bez zakłóceń; od czasu, gdy opuściliśmy Tilbury, do chwili przybycia do Melbourne minęło czterdzieści pięć dni.

Przypłynęliśmy późnym popołudniem, zapadał zmierzch.

Nigdy nie zapomnę, jak staliśmy na nadbrzeżu otoczeni bagażami, z Jemmy w obszarpanym ubraniu, jedynym, jakie miał. Tu była moja druga ojczyzna. Ciekawe, o czym myślał Jemmy. Jego ciemne oczy zdawały się ogromne na bladej twarzy, tragicznej dziecięcej twarzy. Uspokajałam go — podnosząc go na duchu, podnosiłam na duchu samą siebie.

Zobaczyłam zbliżającą się do nas kobietę i od razu wiedziałam, że to Adelajda. Ta, która miała przyjechać po mnie do Anglii. Była skromnie ubrana w pelerynę i kapelusz bez ozdób, związany pod brodą tasiemką, bo wiał silny wiatr. Doznałam rozczarowania. Nie było w niej nic z niezwyklej urody Stirlinga i zupełnie nie pasowała do moich wyobrażeń o córce Żbika. Wyglądała na zwyczajną, stateczną wieśniaczkę. Na jej twarzy jednak malowała się wielka dobroć.

— Adelajdo, to jest Nora — rzekł Stirling.

Podąła mi rękę i ucałowała mnie chłodno.

— Witaj w Melbourne, Noro — powiedziała. — Mam nadzieję, że mieliście dobrą podróż.

— Interesującą — skomentował Stirling. — Ogólnie rzecz biorąc.

— Zatrzymamy się „U Żbika” — powiedziała. — Jutro rano mamy powóz do domu.

— Dobrze — rzekł Stirling.

— U Żbika? — spytałam.

— W hotelu naszego ojca przy Collins Street — wyjaśniła Adelajda. — Chyba możemy już iść. Czy wszystkie bagaże są tutaj?

Jej wzrok spoczął na Jemmy.

— To część bagażu — powiedział Stirling.

Spojrzałam na niego z wyrzutem. Chłopiec mógł poczuć się dotknięty słysząc, w jaki sposób się o nim mówi, ale Jem — my nie pojął, że go lekceważono.

— Znaleźisko ze statku — ciągnął Stirling. — Nora uważa, że powinien dostać jakieś zajęcie.

— Napisałeś o nim ojcu?

— Nie, wyjaśnienie tej sprawy zostawiam Norze.

Adelajda wyglądała na nieco zaskoczoną, ale ja udawałam, że wcale mnie nie niepokoi perspektywa wyjaśnienia sprawy Jemmy’ego ich groźnemu rodzicowi.

— Powóz czeka — powiedziała. — Bagaże przywiozą później.

Zwróciła się do mnie:

— Mieszkamy prawie czterdzieści mil od Melbourne, ale powozy Cobba są dobre, można na tej firmie polegać. Często przyjeżdżam do miasta. Mężczyźni zwykle podróżują konno, ja wolę powóz. Mam nadzieję, że osiądziesz tu na dobre.

— Ja także — odpowiedziałam.

— Osiądzie, jeśli taką podejmie decyzję — rzekł Stirling. — Jest naprawdę stanowczą osobą.

.Skierowaliśmy się do powozu, Jemmy za nami. Dopiero teraz zaczęłam dostrzegać ruch i krzątanie wokół, furmanki ciągnięte przez konie lub woły, wyładowane belami wełny i mięsem.

— To ruchliwe miasto — powiedziała Adelajda. — Szybko się rozwijało w ciągu ostatnich lat. Złoto uczyniło je bogatym.

— Złoto! — powiedziałam z goryczą.

Adelajda wiedziała, że pomyślałam o ojcu. Było w tej kobiecie coś bardzo sympatycznego.

— Miło mieszkać nie za daleko od miasta. Mam nadzieję, że nie uznasz naszego domu za wieś zabita deskami. Mieszkałaś kiedyś w dużym mieście?

— Przez pewien czas, ale mieszkałam też na wsi. Jednak odcięta od świata czułam się tam, gdzie najpierw byłam uczennicą, a potem nauczycielką.

Skinęła głową.

— Będziemy się starać, żebyś czuła się u nas jak w domu. O, jest i nasz powóz. Powiem Johnowi, żeby zajął się bagażem.

— Jemmy mu pomoże — powiedział Stirling — pozwólmy mu być pożytecznym. Przyjedzie później z Johnem i bagażami.

Siadłam obok Stirlinga i Adelajdy — mojego nowego brata i mojej nowej siostry. Wjechaliśmy do miasta Melbourne akurat wtedy, gdy mężczyźni na koniach długimi żagwiami zapalali uliczne latarnie, śpiewając przy tym stare angielskie piosenki, których tak często słuchałam w domu. Poczulałam, że choć przebyłam tysiące mil, ojczyzna jest blisko.

Hotel był pełen hodowców owiec, którzy przyjechali z prowincji do Melbourne z wełną. Rozmawiali głośno o cenach i sytuacji na rynku, ale mnie bardziej interesowali inni mężczyźni: ci o ogorzałych twarzach, stwardniałych dłoniach i chciwym spojrzeniu. Poszukiwacze. Pewnie znaleźli trochę złotego kruszcu i przyjechali go sprzedać.

O szóstej spotkaliśmy się na kolacji w jadalni. Siedziałam między Adelajdą i Stirlingiem. Rozmawiali o poszukiwaczach, pokazywali tych, do których szczęście się uśmiechnęło, i tych, którzy wciąż jeszcze mieli tylko nadzieję.

— Pewnie byłoby lepiej, gdyby nie odkryto tutaj złota — powiedziałam.

— Wielu szacownych mieszkańców Melbourne przyznałoby ci rację — rzekł Stirling. — Ludzie porzucają codzienną pracę i idą szukać fortuny. Ale wielu wkrótce wraca, pozbywszy się złudzeń. Marzą o samorodkach, które leżą i czekają, by je podnieść, a znajdują jedynie parę ziaren złotego piasku.

Zadrżałam, pomyślałam o ojcu. Czy on też tu kiedyś był i rozmawiał tak, jak rozmawiają ci ludzie?

— Wiodą pełne niewygód życie — powiedziała Adelajda. — Byłoby o wiele lepiej, gdyby porzucili kopanie i zabrali się za pożyteczniejszą robotę.

— Niektórzy znajdują bogactwo — przypomniał Stirling.

— Pieniądze są źródłem wszelkiego zła — stwierdziła Adelajda.

— Raczej miłość do pieniędzy — poprawił ją Stirling. — Ale czyż wszyscy ich nie kochamy?

— Nie pieniądze, lecz to, co można za nie kupić — wtrąciłam.

— Na to samo wychodzi — rzekł Stirling.

— Niekoniecznie. Niektórzy ludzie mogą ich pragnąć dla kogoś innego.

Oboje, i Stirling, i Adelajda, wiedzieli, że myślałam o ojcu. Adelajda pośpiesznie zmieniła temat. Jeszcze raz powiedziała, że ich domostwo oddalone jest o czterdzieści mil od Melbourne. Żbik zbudował je przed dziesięciu laty. Sam je zaprojektował i był to piękny dom — jak na domy w tych stronach.

Spytałam, czego się po mnie spodziewają i jakie czekają mnie obowiązki. Adelajda odpowiedziała, że mogę pomagać w pracach domowych. Uważała, że w każdej domowej czynności można znaleźć coś pociągającego.

— Żbik nie lubi próżniaków — rzekł Stirling.

— Nie nazywaj go tym idiotycznym imieniem — zganiała go Adelajda i zwróciła się do mnie:

— Jestem pewna, że znajdziesz coś dla siebie.

Mówiła przez chwilę o Australii, póki Stirling jej nie przerwał:

— Pozwól jej poznać to wszystko samej!

Wtedy Adelajda zaczęła pytać o Anglię, a ja opowiedziałam o Danesworth House i w jaki sposób zostałam nauczycielką.

— Musiałaś czuć się tam bardzo nieszczęśliwa — rzekła. Wyglądało na to, że jest z tego zadowolona. Rozumiałam ją. Wiedziała, że łatwiej dostosuję się do nowego życia, skoro dawne nie było najlepsze.

Po kolacji wróciłam do pokoju, ale wkrótce ktoś zapukał do drzwi i weszła Adelajda. Wyglądała na zaniepokojoną, więc spytałam, czy stało się coś złego.

— Nie, nie. Pomyślałam tylko, że powinniśmy porozmawiać.

Niepokoilią się więc o mnie; miałam rację dostrzegając w niej dobroć.

Usiadła w fotelu, a ja na brzeжку łóżka.

— To wszystko musi być dla ciebie niezwykle.

— Od czasu śmierci ojca dzieją się same niezwykle rzeczy.

— To straszne stracić ojca. Wiem, co znaczy stracić matkę. Straciłam ją, kiedy miałam osiem lat. Tyle lat temu, a ja wciąż nie mogę zapomnieć.

— Umarła rodząc Stirlinga. Mówił mi. Przytaknęła.

— Nie bój się ojca — powiedziała.

— Dlaczego miałabym się bać?

— Prawie wszyscy się go boją.

— Może dlatego, że są od niego uzależnieni. A ja, jeśli zechce się mnie pozbyć, odejdę. Chyba znajdzie się posada, chociażby u jakiejś rodziny, która potrzebuje guwernantki i wybiera się do Anglii...

Wymyślałam sytuacje zgodne z moimi potrzebami — Stirling powiedziałby, że to samo robił mój ojciec.

— Nie mów, proszę, o odejściu, przecież dopiero przyjechałaś. Dasz nam chyba szansę, prawda?

— Naturalnie. Zastanawiałam się tylko, co powinnam zrobić, jeżeli twój ojciec dojdzie do wniosku, że nie jestem potrzebna.

— Przecież obiecał, że będzie się tobą opiekował. I tak będzie. Twój ojciec o to prosił.

— Mój ojciec uległ, zdaje się, jego czarowi.

— Ciągnęło ich do siebie od samego początku. Chociaż bardzo się różnili. Twój ojciec mówił, czego mógłby dokonać; mój to robił. Nie minęło wiele czasu, a zostali wielkimi przyjaciółmi. Twój ojciec zaczął zarządzać kopalnią z entuzjazmem, jakiego nie widzieliśmy u nikogo przedtem. Mój ojciec mawiał: „Teraz, kiedy Tamasin jest tutaj, znajdziemy złotą żyłę. Wierzy w to tak żarliwie, że nie może być inaczej”. A potem zginął, wioząc złoto z kopalni.

— A więc znaleźli złoto?

— Niewiele. Wymagało to ciężkiej pracy. Trzeba było zatrudnić dużo ludzi, a to, co się wydobywa, nie jest warte ani takiego wysiłku, ani takich nakładów finansowych. To dziwne, mój ojciec we wszystkim odnosi sukcesy. Gospodarstwo, które przejął po matce, jest teraz warte dziesięciokrotnie więcej niż wtedy. Hotel, który był prymitywną gospodą, jest w pełnym rozkwicie, rozrasta się razem z Melbourne. Kopalnia jednak to strata pieniędzy. Ale on nie ustąpi. Na swój sposób uległ gorączce złota, jak ci wszyscy ludzie, których widziałas dziś na dole.

— Dlaczego mężczyźni tak pragną złota?

Wzruszyła ramionami.

— Mówiliśmy o tym dziś wieczór. Chcą być bogaci, bajecznie bogaci...

— A twój ojciec... Czyż nie jest bogaty?

— Nie tak, jakby chciał. Zaczął szukać złota przed wielu laty. Nie przestanie, póki nie zbije fortuny.

— Ciekawe, dlaczego ludzie nie są zadowoleni, gdy mają dość pieniędzy, by czuć się bezpiecznie. Dlaczego po prostu nie cieszą się życiem.

— To, co mówisz, jest bardzo rozsądne, ale nie znajdziesz mężczyzny, który myślałby tak jak ty.

— Sądziłam, że twój ojciec jest rozsądny. Stirling przedstawia go w taki sposób, jakby był Sokratesem, Platonem, Heraklesem i Juliuszem Cezarem w jednej osobie.

— Stirling za dużo mówi. Mój ojciec jest po prostu człowiekiem nieprzeciętnym. Jest władczy, bo stanowi centrum naszego świata, ale to mały świat. Nie daj się zastraszyć. Nie ustępuj mu. Będzie cię za to szanował. Chyba cię rozumiem. Jest w tobie coś z twojego ojca. Ty także jesteś dumna i nie zamierzasz poddawać się cudzej woli, a to dobre wyposażenie na pobyt w nowej ojczyźnie. Mam też nadzieję, że dasz sobie radę z Jessiką.

— Z Jessiką? Stirling nic o niej nie wspominał. Kto to taki?

— To kuzynka mojej matki. Wcześniej została sierotą i mieszkała z mamą od dzieciństwa. Były jak siostry. Kiedy mama niespodziewanie umarła, Jessiką omal nie postradała zmysłów. Staralam się ją pocieszać, co zresztą pomogło mi przewyciężyć własną rozpacz. Jest czasem trudna i trochę dziwna. Nigdy się nie pogodziła ze śmiercią mojej matki. Ma zmienne nastroje; nagle zaczyna albo przestaje lubić ludzi.

— Myślisz, że mnie nie polubi?

— Trudno przewidzieć, ale jakkolwiek będzie, pamiętaj, że może czasem zachować się dziwacznie.

— Chcesz powiedzieć, że jest niespełna rozumu?

— Nie. Jest tylko niezrównoważona. Potrafi być pogodna przez wiele dni. Pomaga wtedy w domu i świetnie spisuje się w kuchni. Doskonale gotuje, gdy jest w dobrym humorze. Jeszcze niedawno mieliśmy znakomitą kucharkę, a jej mąż, majster do wszystkiego, też był bardzo przydatny w gospodarstwie. Mieli dom na terenie posiadłości. Ale ich także ogarnęła gorączka złota i po prostu odeszli. Bóg jeden wie, gdzie są teraz. Prawdopodobnie żałują tego, co zrobili, w jakiejś osadzie śpią byle jak i wspominają wygodne łóżko w dawnym domu.

— Może znaleźli złoto.

— Słyszeliśmy o tym. Nie. Wrócą, przywloką się z powrotem, ale ojciec już ich nie przyjmie. Był bardzo zły, kiedy odeszli. Między innymi dlatego nie mogłam przyjechać do Anglii.

— No właśnie. Wszyscy myśleli, że przyjedzie po mnie panna Herrick.

— I tak miało być, ale nie można było zostawić ojca na łasce Jessiki... Zostałam więc, i pojechał Stirling. Nie myśl, że nie mamy służących. Jest ich wielu, ale nie tak dobrzy jak Lambowie. Niektórzy to aborygeni. Nie mieszkają w domu i nie możemy na nich polegać. Z natury koczownicy, nieoczekiwanie mogą powędrować dalej. I jeszcze jedno: nie będziesz czuła się osamotniona. Dla mojego ojca pracuje wielu ludzi: Jacob Jagger zarządza gospodarstwem, William Gardner jest odpowiedzialny za kopalnię, Jack Bell prowadzi hotel. Pewnie poznasz go, zanim wyjedziemy. Oczywiście, w każdym z tych miejsc zatrudniamy wielu innych pracowników.

— A twój ojciec kieruje nimi wszystkimi.

— Zajmuje się wszystkimi, ale najwięcej uwagi poświęca kopalni.

I znów wróciłyśmy do złota. Zauważyła to, była bardzo wrażliwa.

— Jesteś zmęczona — powiedziała. — Pójdę już. Jutro musimy wcześniej wstać.

Podeszła, jakby chciała mnie pocałować, ale zmieniła zamiar. Ani ona, ani Stirling nie byli zbyt wylewni. Zrobiło mi się ciepło na sercu: na pewno będzie mi podpora w nowym życiu.

* * *

Wczesnym rankiem następnego dnia wsiedliśmy do lekkiego, ale solidnego powozu zaprzęzonego w cztery konie. Dobrze resorowany, mieścił dziewięć osób, a daszek chronił

pasażerów przed słońcem i wiatrem. Był to jeden z powozów znanej firmy Cobb Co., którymi podróżowało się wygodnie po nie utwardzonych drogach.

Usiadłam między Adelajdą i Stirlingiem. Jack Bell, wysoki i chudy mężczyzna, któremu zostałam przedstawiona przed odjazdem, stał w drzwiach hotelu, machając nam na pożegnanie. Nie powiodło mu się w poszukiwaniu złota, toteż z uczuciem ulgi przyjął stanowisko zarządcy hotelu. Zdawał się być nieco służalczy wobec Adelajdy i Stirlinga, wielce też był ciekaw mojej osoby, lecz widziałam zbyt wielu podobnych mu mężczyzn ostatniego wieczoru, by się nim zainteresować.

Wyruszyliśmy i cała moja uwaga skupiła się na mieście. Teraz, kiedy oglądałam je w świetle dnia, zachwycało mnie. Podobały mi się długie proste ulice i małe tramwaje konne, zieleń parku. Przez pewien czas jechaliśmy wzdłuż rzeki Yarra Yarra. Wkrótce miasto zostało w tyle. Drogi teraz były wyboiste, ale widoki — zachwycające. Ponad nami wyrastały ogromne eukaliptusy sięgające niebios, dostojne i obojętne wobec tych, którzy poruszali się na dole. Stirling z entuzjazmem mówił o Australii, widać było, że ją kocha. Pokazywał mi czerwone jesiony i buki, zwrócił uwagę na wysokie szare pnie wyglądających jak duchy drzew gumowych. Tubylcy wierzą, powiedział, że pnie tych drzew są zamieszkałe przez dusze mężczyzn i kobiet, które nadają im szaro-biały kolor. Aborygeni za żadne skarby nie przejdą przez lasy drzew gumowych po zmroku. Wierzą, że mogliby zniknąć, a o świcie ludzie zobaczyliby jeszcze jedno drzewo — ducha. Byłam zafascynowana tymi ogromnymi drzewami, które stały tam od stu lat albo i dłużej, może jeszcze przed przybyciem do Australii pierwszych brytyjskich okrętów.*

Kwitły akacje i odurzający zapach wypełniał powietrze, gdy ich lekkie niczym piórka kwiaty drżały przy najłżejszym powiewie. Słońce dotykało złotymi promieniami drzew dymnych, które, obsypane białoszarymi wełnistymi kwiatkami, wyglądały z daleka jak kłęby dymu. Stado papużek kakadu rozsiadło się na kopcu, który samiec zbudował swymi silnymi nogami z liści i ziemi jako inkubator dla złożonych przez samicę jaj. Ledwo podjechaliśmy bliżej, kakadu zerwały się do lotu szaro — różową chmurą. Wesole rozella pogwizdywały nad naszymi głowami. Piękno tego krajobrazu poruszyło mnie do głębi, poczułam jakby uniesienie. Przestałam obawiać się tego, co mnie czeka, cieszyłam się jedynie urodą poranka.

Firma Cobb szczyła się tym, że co dziesięć mil zmieniano konie, dzięki czemu szybko docierało się do celu podróży. Drogi tu były wyboiste, otaczały nas tumany kurzu. Uważałam, że taka podróż to wielka przygoda, nikt wszakże nie podzielał mojej opinii, przyjmowano też za rzecz naturalną, że po drodze mogą się wydarzyć różne nieprzewidziane wypadki. Gnaliśmy przez góry i doliny, przez strumienie, woda ochlapывała boki powozu, który omal nie tracił równowagi na wybojach. Woźnica, wesoły i odważny, przez cały czas przemawiał do koni i widać serdecznie je kochał, bo poganiając je, używał najwyszukańszych sformułowań: „Ciągnijże mocno, Bess, kochanie!” albo „Spokojnie, Jaskier, przecież to dama!” Wybuchnął śmiechem, gdy powóz; podskoczywszy na kamieniu, zamiast zsunąć się z wąskiej drogi, jakimś cudem jechał dalej.

Stirling obserwował mnie bacznie, spodziewając się oznak przerażenia, którego wszakże postanowiłam nie okazywać.

Byliśmy bliżej i bliżej tego, co nazywałam w myślach terytorium Żbika. Już na jego granicy zobaczyłam pierwszą osadę namiotową. Był to widok niezmiernie przygnębiający. Ścięto śliczne drzewa i na ich miejscu rozbito obozowisko. Widziałam tłące się ogniska, przy których gotowano wodę w kociołkach i pieczono kukurydziane placki. Widziałam niechlujnych mężczyzn i kobiety o brudnobrązowych twarzach ogorzałych od słońca i o zmierzwionych włosach pomagające przy

* Przybycie jedenastu brytyjskich okrętów dowodzonych przez Arthura Phillipa w styczniu 1788 r. zapoczątkowało kolonizację Australii przez Brytyjczyków.

wyplukiwaniu złota, obracające kołowroty. Przy drodze, przed otwartymi od frontu chatami wystawione były na sprzedaż mąka, mięso i narzędzia, których potrzebowali poszukiwacze.

— To jest typowa osada — skomentował Stirling. — Dużo ich w tych stronach. Żbik zaopatruje sklepiki w towary. Tym także się zajmuje.

— A więc zbliżamy się do imperium Żbika?

Moje pytanie rozbawiło Stirlinga. Lubił myśleć o tym w ten sposób.

Dzieci wybiegły, by popatrzeć na pędzący powóz. Niektóre próbowały biec za nami. Patrzyłam, jak się przewracały, a moje serce wypełniało się współczuciem dla potomstwa tych opętanych ludzi.

Dotarliśmy na miejsce o zmierzchu.

Woźnica zbiegł z drogi o całą milę, żeby nas wysadzić pod domem. Byliśmy przecież częścią gospodarstwa Żbika, a to znaczyło, że należą nam się specjalne względy.

Gdy stanęłam na drodze, zobaczyłam szare wieże jakby miniaturowego dworu i doznałam dziwnego uczucia, że już tu kiedyś byłam. Poczułam się nieswojo. Jakże mogłabym tu być? A jednak...

Dwóch służących biegło ku nam. Oczekiвано nas od dawna.

— Weźcie do środka wszystkie bagaże — zarządził Stirling. — To panna Nora, która przyjechała i zamieszka z nami. — A więc jesteśmy — zwrócił się do mnie. — Oto dom.

Podeszliśmy do bramy z kutego żelaza. Ujrzałam na niej napis z białych liter: „Dom Białych Dam”.

Rozdział 3

Dom Białych Dam! Ta sama nazwa! Niesamowite! Tym bardziej że Stirling ani słóweczkiem o tym nie wspomniał. Spojrzałam na niego i powiedziałam:

— Toż to nazwa domu koło Canterbury!

— Tak?

Udawał zaskoczonego.

— Nie pamiętasz? — podpowiadałam. — Wleźliśmy na drzewa, żeby popatrzeć, co jest po drugiej stronie muru. Nie udawaj, że nie pamiętasz.

— Ach, tam — rzekł. — Rzeczywiście.

— Ależ to ta sama nazwa!

— Myślę, że wiele domów tak się nazywa.

— Tamten nazwano tak ze względu na zakonnice. Tutaj nie było zakonnice.

— Pewnie ojcu po prostu spodobała się ta nazwa. Byłam przekonana, że tkwi w tym jakaś tajemnica.

— Taki zbieg okoliczności i nic o tym nie wspomniałeś?

— Chodź, chodź. Jesteśmy w domu. Nie traćmy czasu na mało ważne szczegóły.

Dołączyła do nas Adelajda.

— Tędy, Noro — powiedziała.

Przeszliśmy pod łukowym sklepieniem i przez wytyczony kamieniami pasaż na brukowany dziedziniec. W murze były drzwi, a nad nimi wisiała latarnia. W gasnącym świetle dnia dom wyglądał na zbudowany przed wiekami. Wiedziałam, że nie był stary, lecz ten, kto go budował, starał się, żeby na stary wyglądał.

Adelajda popchnęła drzwi i weszliśmy do dużego prostokątnego holu, gdzie stał stół refektarzowy oraz kilka rzeźbionych krzeseł o prostych oparciach, które albo były antykami, albo bardzo dobrymi imitacjami.

— Wszystko jak w jakimś starym domu w Anglii — powiedziałam.

Adelajda wyglądała na zadowoloną.

— Ojciec lubi, gdy wszystko jest jak w Anglii. W ogrodzie hodujemy angielskie kwiaty. Lubisz pracować w ogrodzie, Noro? Jeśli tak, możesz mi pomagać. Mam swój mały ogródek kwiatowy i uprawiam w nim wszystkie ulubione rośliny ojca, a w każdym razie usiłuję je uprawiać.

Powiedziałam, że rzadko miałam do czynienia z roślinami i nie jestem pewna, czy będę dobrą ogrodniczką.

— Spróbujesz, to się przekonasz — rzekła wesoło Adelajda. Z holu poszłyśmy w górę schodami i znalazłyśmy się na galerijce. Było tam kilka pokoi i odchodzący na prawo i lewo korytarz. Poszłyśmy korytarzem i wspięłyśmy się znów po schodach na podest.

Adelajda otworzyła drzwi i powiedziała:

— To jest twój pokój, pewnie chcesz się umyć. Niedługo przyniosą bagaże. Kolacja za pół godziny.

Zostałam sama. Ujrzałam dzbanek z gorącą wodą, umyłam więc twarz i ręce. Zaczęłam czesać włosy, gdy rozległo się pukanie do drzwi — zajrzała Adelajda. Wyglądała na speszoną.

— Ojciec chce cię zobaczyć.

— Teraz?

— Tak. Jest w bibliotece. Nie lubi czekać.

Spojrzałam w lustro. Oczy mi błyszczały. Miałam poznać człowieka, o którym tyle słyszałam. Już samo to było wyzwaniem. Gdyby ojciec go nie spotkał, myślałam, żyłby do dziś.

Serce biło mi szybko. Przypuśćmy, że mnie nie polubi. Przypuśćmy, że postanowi wysłać mnie z powrotem do Anglii. Bałam się. Nie chciałam wracać. Coraz bardziej podobał mi się Stirling. I chyba polubiłam Adelajdę. To dzięki nim poczułam wreszcie, że gdzieś przynależę. A jednak tliła się we mnie głęboka uraza do człowieka, który kierował ich losami i pewnie zamierzał pokierować także moim życiem.

— Będzie się niecierpliwił — ostrzegła mnie Adelajda.

To będzie! — pomyślałam wyzywająco. Nie pozwolę mu nad sobą panować. Raczej dam się odesłać do Anglii. Adelajda nalegała, że powinnam się pośpieszyć, i tylko dlatego odłożyłam grzebień i poszłam za nią.

Ledwie go zobaczyłam, pojęłam, że mieli rację. On był inny. Stał przy kominku, w którym płonęły drwa. Stał tyłem do ognia, z rękami w kieszeniach bryczesów z kozłowej skóry. Zauważyłam błyszczące wysokie buty, zdziwiona, że zwracam uwagę na ubranie, bo jego osobowość dominowała nad wszystkim, co go otaczało. Cała jego postać wyrażała siłę. Bardzo wysoki — co najmniej metr dziewięćdziesiąt — miał jasne włosy przyprószone na skroniach siwizną i złotą spiczastą bródkę a la van Dyck. Nie widziałam ust ukrytych pod wąsami, ale były chyba wąskie, co mogło świadczyć o zdolności do okrucieństwa. Nos miał orli, ale istotnie największe wrażenie robiły jego oczy — oczy dzikiego zwierzęcia: drapieżne, czujne, dumne, okrutne. Był w nich też śmiech, tak jakby kpił sobie z tych, którzy nie mogą mu dorównać. Oślepiająco niebieskie patrzyły na mnie, mimo że nie było powitania.

— A więc to ta dziewczyna? — spytał jakby ponad moją głowę.

— Tak, ojciec — odrzekła Adelajda.

— Ma spojrzenie swego ojca, prawda Adelajdo?

— Tak, jest podobieństwo.

— Nora. Tak ma na imię?

Nie podobało mi się, że rozmawiają o mnie, jakby mnie nie było. Serce waliło mi jak młotem. Zdecydowana nie dać się zastraszyć, byłam jednak przestraszona. Odezwałam się głosem, który zabrzmiał rozkazująco i zuchwale:

— Sama potrafię odpowiadać na pytania dotyczące mojej osoby.

Uniósł krzaczaste złote brwi i niepohamowany niebieski ogień skupił się na mnie.

— Rzeczywiście jestem tą dziewczyną i mam na imię Nora — ciągnęłam.

Na ułamek sekundy zmienił się wyraz jego twarzy. Pomyślałam, że rozzłościła go moja śmiałość, ale może było inaczej.

— W porządku — rzekł. — Podwójnie potwierdzone, więc pewne. Sądysz, Adelajdo, że będzie jej się tu podobało?

Odpowiedziałam, zanim Adelajda otworzyła usta:

— Za wcześniej o tym mówić.

— Lepiej, żeby jej się podobało, bo musi tu zostać — rzekł przymykając oczy. — Przyślij Jaggera i podajcie kolację za dziesięć minut. Pewnie jest głodna. Nie chcemy, aby sądziła, że zamierzamy ją głodzić.

To była odprawa.

Odwrociłam się, rada, że uchodzę cało. Za drzwiami minęliśmy mężczyznę czekającego na wejście do biblioteki.

— To panna Nora, panie Jagger — powiedziała Adelajda. — Noro, to pan Jagger, który zarządza gospodarstwem.

Pan Jagger był niski i grubawy. Potraktowałam go jak powietrze, może dlatego, że przed chwilą opuściłam Jego Wysokość. Jagger miał rumianą cerę i bezczelne ciemne oczka. Nie podobał mi się sposób, w jaki mnie przywitał. Ale niewielką zwracałam na to wszystko uwagę — gorzał we mnie gniew na Żbika. Uświadomiłam sobie, że nie mam pojęcia, jak wygląda biblioteka. Od chwili gdy drzwi się otwały, widziałam tylko jego.

Adelajda zaprowadziła mnie z powrotem do pokoju.

— Myślę, że sprawiłaś mu niespodziankę — powiedziała.

— I nie był tym zachwycony — dodałam.

— Nie jestem tego taka pewna. W każdym razie nie spóźnij się na kolację. Nie ma czasu się przebierać. Powiedział, żeby podać kolację za dziesięć minut. Zapukam po ciebie. On nie znosi, jak ludzie się spóźniają.

Ledwie zamknęły się za nią drzwi, podeszłam do lustra. Policzki miałam pąsowe, moje oczy lśniły. To on tak na mnie podziałał. Jego słowa płynęły nade mną, jakbym była nieobecna — robił to naumyślnie, żeby mnie wprawić w zakłopotanie. Co mój ojciec w nim widział? Dlaczego oddał mnie pod opiekę takiemu człowiekowi? Miałam siedemnaście lat, cztery lata do pełnoletności. A co potem? Co z sobą pocznę? Zostanę nauczycielką? Och, biedna panna Graeme z ptasim gniazdem na głowie i marzeniami z przeszłości! Ale lepsze to, niż stać się częścią jego dobytku. To określenie tak mnie rozbawiło, że wybuchnęłam śmiechem. Na pewno byłam podekscytowana. Myślałam już o kolejnym spotkaniu ze Żbikiem. Chciałam mu pokazać, że chociaż zdominował cały dom, ze mną mu się to nie uda.

Adelajda wróciła po mnie prawie natychmiast.

Ku mojemu zdziwieniu przygotowano stół refektarzowy w dużym holu, ten który rzucił mi się w oczy, gdy tylko weszliśmy. Nakryto na dwanaście osób. Żbika jeszcze nie było, co Adelajda przyjęła z wyraźną ulgą.

— Spora z nas gromadka — zauważyłam.

— Nigdy nie wiadomo, kto jeszcze zasiądzie do stołu. Rodzina, teraz kiedy ty jesteś z nami, liczy pięć osób. Dziś będzie także pan Jagger i pewnie William Gardner. Obaj bywają często. Ojciec lubi rozmawiać z nimi o interesach przy kolacji.

Do holu wszedł spiesznie Stirling, też rad, że ojciec jeszcze się nie pokazał. Najwyraźniej wszyscy bali się Żbika.

— Poznaliście się — zagadnął mnie. — Rozmawiałaś z nim. Pragnął chyba usłyszeć, że uważam jego ojca za wspaniałego człowieka.

— Tak — przyznałam — chociaż on rozmawiał nie tyle ze mną, co o mnie. Ja zaś starałam się odpowiadać samodzielnie — więc jeśli to można nazwać rozmową...

— Jak to było, Adelajdo? Spodobała się?

— Było tak, jak mówi Nora, a poza tym za wcześniej na opinie.

Wiedziałam, że był trochę rozczarowany i zaniepokojony. Cieszyła mnie jego troska, ale bolała służalczość, którą okazywał ojcu.

Wtedy wszedł Żbik ze swymi zarządcami. Byłam zła sama na siebie, bo i ja odczuwałam lęk, który inni jawnie okazywali... Żbik rozejrzał się po pokoju, uklonił się i powiedział:

— Gdzie Jessika? Jeszcze nie przyszła? Cóż, zaczniemy bez niej.

Stirling usiadł po jego prawicy — odniosłam wrażenie, że w tym siadaniu było coś z rytuału — mnie zupełnie niespodziewanie posadzono po lewej ręce Żbika. Adelajda usiadła przy Stirlingu, a obok mnie zostało puste miejsce, które, jak przypuszczałam, było przeznaczone dla niepunktualnej Jessiki. Gdy obaj zarządcy także siedli, podano zupę. Gorącą i aromatyczną, byłam jednak zbyt przejęta, by się nią delektować.

Żbik — nie potrafiłam nazywać go w myślach inaczej — kierował rozmową. Miałam wrażenie, że oczekiwano od pozostałych, by zabierali głos tylko wtedy, gdy ich o coś pytano. Rozmawiał ze Stirlingiem o podróży, pytał, co syn sądzi o Anglii, słuchał z zainteresowaniem jego odpowiedzi. Stirling jako jedyny z obecnych nie wyglądał na zaleknionego, ale okazywał ojcu absolutny respekt i zachowywał się tak, jak należy się zachowywać w obecności bóstwa.

— A jak minęła podróż statkiem?

— Czasami trochę kołysało wzdłuż wybrzeży Afryki. Niektórzy pasażerowie w ogóle nie zwrócili na to uwagi.

— A Nora? Jak jej się podobało? Patrzył na Stirlinga, ale wtrąciłam szybko.

— Powiedz ojcu, Stirling, że kołysanie statku nie przeszkadzało mi zanadto.

Miałam wrażenie, że w oczach Żbika pojawił się błysk rozbawienia.

— Czyli dzielna z niej żeglarka!

— Powiedziałbym, że tak.

— Wobec tego przyzwyczai się także do naszych wyboistych dróg, nie sądzisz?

— Oczywiście, że tak — powiedział Stirling, uśmiechając się do mnie.

— Umie jeździć konno? Tu będzie jej to potrzebne.

— Jeździłam w Anglii — powiedziałam — więc myślę, że i tu dam radę.

Przeniósł wzrok na mnie.

— Tu nie jeździ się tak łatwo — rzekł. — Drogi nie są równe. Na pewno wkrótce odczujesz różnicę.

Zwykł unosić jedną brew, pewnie żeby onieśmielić rozmówcę, ale ja triumfowałam, bo przestał traktować mnie jak powietrze. Teraz mówiąc zwracał się do mnie.

— Będę się musiała dostosować — powiedziałam.

— Słusznie. Nie powinienes jej dawać zbyt rozbrykanego konia, Stirling.

— Oczywiście.

— Przyjechała zamieszkać w Australii, a nie przedwcześnie dokonać tu żywota.

— Przesadnie się pan o mnie troszczy — powiedziałam. — Potrafię sama o siebie zadbać.

— Doskonale. To ułatwia sprawę.

Przeniósł uwagę na mężczyzn i zaczęli długą i ożywioną rozmowę na temat kopalni. Najwięcej wiedział o niej William Gardner. Słuchając padających pytań i odpowiedzi, uświadomiłam sobie, jak żywo Żbik interesował się wszystkim, co dotyczyło złota.

Rozmowa toczyła się w najlepsze, gdy otworzyły się drzwi i weszła kobieta; skierowała się w stronę wolnego krzesła i usiadła na nim.

— Zastanawialiśmy się, co się stało, Jessiko — powiedziała Adelajda. — To jest Nora.

— Witaj w Domu Białych Dam — jej głos był spokojny i schrypnięty. Była bardzo szczupła. Odniosłam wrażenie, że ubierała się w pośpiechu: guzik u sukienki wisiał na jednej nitce, koronkowa chustka na szyi była nieświeża, szare włosy gęste, ale nie uczesane. Uderzyło mnie jej dziwne, nieobecne spojrzenie.

— Nie słyszałaś gongu? — spytała Adelajda.

Jessika potrząsnęła głową. Przyglądała mi się uparcie, więc uśmiechnęłam się do niej życzliwie, bo wydawało mi się, że potrzebuje wsparcia.

— Mam nadzieję, że bez trudu znajdziesz tu swoje miejsce — powiedziała.

— Ja też mam nadzieję.

— Przywiozłaś z Anglii jakieś ubrania? Tu nie ma w czym wybierać.

Powiedziałam, że trochę przywiozłam.

— Bagaze są już w twoim pokoju — ciągnęła dalej. — Właśnie je przynieśli.

Żbik, znudzony tym tematem, zaczął mówić głośno o kopalni i gospodarstwie i rozmowę znów zdominowali mężczyźni. Zauważyłam obojętne, może lekko pogardliwe spojrzenie, jakim Żbik obrzucił Jessikę. Spojrzenie, którym się odwzajemniła, zbiło mnie z tropu. Nie byłam pewna, co oznaczało: strach, przerażenie, grozę, obrzydzenie czy może nawet nienawiść. Jedno nie ulegało wątpliwości: nikt w tym domu nie traktował Żbika obojętnie. Stirling był bardzo ożywiony, nigdy go przedtem takim nie widziałam. Jego stosunek do ojca graniczył z bałwochwalstwem, na pewno łączyło ich silne uczucie. Jeśli Żbik dbał o kogokolwiek poza sobą, tym kimś był Stirling. Miałam wrażenie, że chce uczynić z syna dziedzica godnego tronu. Słuchał jego opinii, przyklaskując mu od czasu do czasu z rodzicielską dumą, o którą bym go nie podejrzewała, to znów zbijając go z tropu niszczycielskim atakiem, w którym jednak czuło się nutę pobłażania. Był więc zdolny kochać kogoś poza sobą. Jego uczucia do córki musiały być o wiele słabsze. Spokojnej i inteligentnej, dobrej i użytecznej Adelajdzie okazywał czułą wspaniałomyślność. Dla innych był srogim panem. Do mnie nie żywił żadnych uczuć, mnie traktował jak powinność.

Był jednak błysk zainteresowania w jego oczach, gdy zwracał się do mnie.

— Jeśli idzie o jej konia, Stirling, myślałem o Tansy. Ale może to nierozsądne.

— Bardzo uprzejme z pana strony, że tak się pan o mnie troszczy — wtrąciłam.

Niebieskie oczy patrzyły na mnie.

— Z początku musisz jeździć bardzo ostrożnie. To nie będzie jazda po alejce w Hyde Parku.

— Nigdy nie jeździłam po alejce w Hyde Parku, więc nie znam różnicy.

— Nie, jednak nie Tansy — ciągnął. — Blundell. Będiesz jeździła na Blundellu, póki nie poznasz terenu. Stirling, możesz ją zabrać jutro na przejażdżkę. Pokaż jej gospodarstwo. Nie mówię, że można je objechać w ciągu jednego dnia, co, Jagger?

Jagger roześmiał się przy pochlebnie.

— Powiedziałbym, że nawet dla pana byłoby to niemożliwe, sir.

— Tutaj odległości są inne niż tam, skąd przybyłaś. Pięćdziesiąt mil to pewnie dla ciebie dużo. Tu będziesz musiała przywyknąć do otwartych przestrzeni. Nie oddalaj się nigdzie sama. Mogłabyś się zgubić w buszu, a to nie byłoby przyjemne. Nie chcemy wysyłać za tobą poszukiwaczy. Jesteśmy na to zbyt zajęci.

— Postaram się nie sprawiać kłopotu.

Uśmiechnął się znowu. Byłam rada, że zarzucił irytujący sposób mówienia o mnie.

— Zdaje się, że Nora jest bardzo samodzielna — powiedziała Adelajda.

— Tacy właśnie powinniśmy być tutaj — odparł. — Niezależni. Jeśli ktoś taki jest, daje sobie radę. Jeśli nie... lepiej niech stąd wyjeżdża.

— Nora da sobie radę — powiedział Stirling, uśmiechając się do mnie uspokajająco.

Rozmowa zesłała na Anglię. Czekałam, aż Stirling wspomni ojcu o tym, że widzieliśmy dom zwany Domem Białych Dam, ale nie wspomniał. Mówił o Londynie. Ojciec zasypywał go pytaniami, a później spytał mnie o Danesworth House i spostrzegłam, że opowiadam bez skrępowania. Miał jedną zaletę: wiele spraw go szczerze interesowało. Byłam zaskoczona. Przypuszczałam, że skoro uważa samego siebie za pepek świata, sprawy innych wydają mu się pospolite, a my wszyscy gorsi od niego, tak że może rządzić naszym życiem, być sędzią naszych postępów. Tymczasem przekonałam się, że on naprawdę jest ciekaw każdego drobiazgu, który nas dotyczy. Już podczas tej kolacji dostrzegłam, jak rozmaite odcienie miłości łączą go ze Stirlingiem, i że do córki żywi słabsze uczucia. Już wtedy czułam lęk przed siedzącą obok mnie Jessiką. Nie brała udziału w rozmowie, niepokoiła mnie pewnie dlatego, że słyszałam wcześniej, jaka jest dziwna. Zauważyłam fanatyczny błysk w oczach Williama Gardnera, kiedy mówił o kopalni, gdzie pracował mój ojciec. Co do Jacoba Jaggera, to ilekroć nań spojrzałam, napotykałam jego bezczelne, pełne zachwyty spojrzenie. Ale najważniejszy przy stole był oczywiście człowiek,

o którym tak wiele słyszałam i o którym opinia — sama zaczynałam to odczuwać — wcale nie była przesadzona.

* * *

Nazajutrz obudziłam się wcześniej i leżałam rozmyślając o wczorajszym wieczorze, póki pokojówka imieniem Mary nie przyniosła ciepłej wody. Adelajda uprzedziła mnie, że śniadanie jest między siódmą trzydzieści a dziewiątą i mogę zejść, kiedy zechcę w tym czasie. Wstałam z łóżka i wyrzałam przez okno. Oczom moim ukazał się staw pośrodku trawnika, w stawie zaś posążek i lilie wodne. Zaparło mi dech w piersiach. Gdyby postawić tam stół i biało — niebieski parasol, byłby to tamten Dom Białych Dam, który widziałam letnim popołudniem koło Canterbury.

To moja bujna wyobraźnia, pomyślałam. Mnóstwo ogrodów ma trawniki i stawy z liliami wodnymi. Poza tym czyż Adelajda nie mówiła, że ojciec stara się odtworzyć atmosferę Anglii? Nie dawała mi jednak spokoju zbieżność nazwy i znamienne milczenie Stirlinga w tej sprawie.

Spojrzałam na zegarek. Nie wolno mi się spóźnić na śniadanie. Przypomniałam sobie Jessikę, jak wślizgnęła się po cichu do jadalni, niezadowolone Żbika i jej obojętność — zresztą, czy to była obojętność? Żywiła jakieś silne uczucie wobec Żbika, spóźniła się umyślnie, by zademonstrować przekorę. Czyż sama nie miałam ochoty postępować wbrew jego woli?

Trafiłam jakoś do holu, spostrzegłam jednak, że tam śniadań nie podawano; nie były widać traktowane tak ceremonialnie jak kolacje. Podczas kolacji, myślałam, on zasiada u szczytu stołu niczym książę udzielny, jego lennicy sadowią się po kolei wedle ważności, a reszta poddanych czeka w oddaleniu. Dobrze, że ja znalazłam się na nieostatniej pozycji. Rozbawiona własnymi myślami, z uśmiechem na ustach weszłam do niewielkiej jadalni, dokąd skierowała mnie pokojówka.

Adelajda już tam była. Uśmiechnęła się na dzień dobry i spytała, czy dobrze spałam. Powiedziała, że Stirling już zjadł i wkrótce przyjdzie po mnie.

Odpowiedziałam, że się cieszę — chętnie zobaczę okolicę, ale bardzo interesuje mnie sam dom, bo niezwykle podobny widziałam w pobliżu Canterbury.

— Nic dziwnego — rzekła Adelajda. — Ojciec sam go zaprojektował. Zbudował go dziesięć lat temu.

— Jest architektem?

— Jest artystą. Jeśli mówię, że go zaprojektował, rozumiem przez to, że kierował pracą architekta, tłumacząc mu dokładnie, czego chce.

— Twój ojciec zdaje się niezwykle utalentowany.

— Niezwykle, rzeczywiście. Widział domy takie jak ten, kiedy mieszkał w Anglii. Sprowadził nawet z Anglii bramę. Jest stara, ze starego angielskiego domu.

— Ileż musiał mieć z tym kłopotu!

— Żaden kłopot nie odwiedzie go od osiągnięcia celu.

I znów mówiłyśmy o nim. Zmieniłam temat, spytałam o ogród. Miała wielką ochotę mi go pokazać i obiecała zrobić to później w ciągu dnia. Spodziewała się moich rad, rad osoby świeżo przybyłej z Anglii.

Wszedł Stirling ubrany w spodnie do konnej jazdy i lśniące buty z cholewami. Wiele miał z ojca — choć ani nie był tak wysoki, ani tak imponujący, jego zaś zielonkawym oczom brakowało hipnotycznego niebieskawego blasku. Nie ulegało jednak wątpliwości, że to syn Żbika. Czułam się przy nim szczęśliwa i bezpieczna, tak jak na statku. Bo chociaż nadrabiałam miną, aby ktoś nie pomyślał, że lękam się człowieka, którego ojciec wyznaczył mi na opiekuna, w gruncie rzeczy

bałam się go. Doszłam do wniosku, że nie można przeniknąć jego myśli, a nie byłam pewna, jakie na nim wywarłam wrażenie.

— Gotowa? — spytał Stirling.

Powiedziałam, że muszę się jeszcze przebrać i zaraz po śniadaniu poszłam do pokoju i włożyłam mój zielony strój do konnej jazdy, który kupiłam tuż przed wyjazdem z Anglii. Pamiętam, jak bardzo zaskoczona była biedna panna Graeme.

Kiedy zesłam do stajni, Stirling popatrzył z uznaniem.

— Bardzo elegancko wyglądasz — skomentował. — Ale liczą się umiejętności.

Ucieszyłam się, zobaczywszy w stajni Jemmy'ego. Miał na sobie trochę na niego za duże bryczesy i płaszcz, ale i tak wyglądał zupełnie inaczej niż tamten trzęsący się z zimna chuderlak, którego znaleźliśmy na pokładzie. Uśmiechał się do mnie tym specjalnym uśmiechem, który był dla mnie najmiłą nagrodą.

Nie wiem, co mnie opętało tamtego ranka. Wiedziałam, że źle robię, ale było coś w rześkim powietrzu, w olśniewającym blasku słońca, co sprawiło, że zapragnęłam odrobiny szaleństwa. Osiodłano Blundella, konia, który jego zdaniem miał być dla mnie odpowiedni.

— Ależ on jest niewiele większy od kucyka! — powiedziałam pogardliwie. — Myślałam, że dostanę konia. Lekcje konnej jazdy przestałam pobierać przed wielu laty.

Stirling uśmiechnął się szeroko i rzekł:

— Popatrz tylko na Tansy.

Popatrzyłam więc na Tansy, śliczną kasztankę, i postanowiłam pojechać na niej choćby po to, by im pokazać, że nie jestem sługą, dla którego ich słowa są prawem.

— Ona może ponieść.

— To jest klacz, a nie stary kucyk.

— Jesteś pewna, że dasz sobie radę?

— Ojciec uczył mnie, jak się postępuje z końmi.

— To trudny teren. Nie lepiej najpierw sprawdzić własne siły?

— Nie jadę na Blundellu. Wolę raczej nie jechać w ogóle.

Osiodłano więc Tansy i wyruszyliśmy. Rzeczywiście była rozbrykana i wiedziałam, że będę musiała użyć wszystkich umiejętności, by ją utrzymać w ryzach, ale tego dnia byłam w szalonym nastroju. Po raz pierwszy od śmierci ojca nie czułam się przygnębiona — jakby był przy mnie, uradowany, że w końcu jestem bezpieczna, w dobrych rękach. Ale to nie mój opiekun był dla mnie oparciem, lecz jadący u mego boku Stirling. Już wtedy wiedziałam, że kocham Stirlinga i chociaż on nie był tak stale obecny w moich myślach jak jego ojciec, przebywanie z nim sprawiło mi radość, której nie odczuwałam przy nikim innym. Instynkt mi podpowiadał, że moje uczucie do niego będzie się stawało z każdym dniem silniejsze.

— Czy słońce zawsze tutaj świeci? — spytałam.

— Zawsze.

— Naprawdę zawsze?

— Prawie zawsze.

— Przechwalasz się tym swoim krajem.

— Nazwij to dumą narodową. Poznasz ją wkrótce.

— Myślisz, że będę uważać ten kraj za drugą ojczyznę?

— Będiesz. Jestem tego pewien.

— A ja nie. Twój ojciec nie uważa.

— Co masz na myśli?

— Dlaczego zbudował taki dom jak ten, który widzieliśmy koło Canterbury? Dlaczego Adelajda uprawia dla niego angielski ogród? Musi tęsknić... czasami. Stirling, dlaczego mi nie

powiedziałeś, że wasz dom nazywa się tak samo jak tamten? Przecież musiałeś to natychmiast zauważyć!

— Tak, zauważyłem.

— To dlaczego milczałeś?

— Pomyślałem, że to będzie miła niespodzianka dla ciebie.

— Bzdury. Ale dobrze, miło mi. Wizyta w tamtym domu wydaje się znacząca. Chyba jej nigdy nie zapomnę. I ci ludzie na trawniku... Minta, na przykład. I mama...

— Nie mówiąc o wytwornym panu Wakefieldzie.

— A więc o nim nie możesz zapomnieć...

— No proszę! To ty się nim zachwycałaś! Taki dżentelmen. I kłaniam się nisko, i rączki całuję...

— Tak, to było czarujące. A nieszczęsna Lucie, dama do towarzystwa, pamiętasz?

— Biedaczka! Jaka szkoda, że nie może wyjść za pana Wakefielda i żyć z nim szczęśliwie do końca swoich dni.

— Przecież on jest przeznaczony Mincie!

— Wyobrażam sobie, jaka jesteś o nią zazdrosna.

— Nonsens.

— Mam nadzieję. Jeśli masz zamiar tutaj osiąść, nie ma co wzdychać do wydumanych dżentelmenów.

— Zamierzam być tutaj absolutnie szczęśliwa mimo oczywistego braku dobrze wychowanych dżentelmenów.

To go zadowoliło. Naprawdę troszczył się o mnie.

— Co za cudowny poranek! — zawołałam.

— Ostrożnie! — ostrzegł, gdy Tansy weszła jedną nogą w dziurę i o mało mnie nie zrzuciła. Wyciągnął rękę, by chwycić wodze mojego konia, ale zapewniłam go, że wszystko w porządku.

Tereny przydomowe były, jak na moje angielskie oko, bardzo rozległe. Były tu ogródki kwiatowe, były warzywniki, gdzie pracowali robotnicy, były wielkie sady pomarańczowe i cytrynowe, nie brakło nawet figowców, a wszystko to dawało owoce w stosownych dla siebie porach roku. Płodami tej ziemi można się było wyżywić bez kłopotu.

Pozostawiliśmy posiadłość w tyle i jechaliśmy wiele mil przez dziką okolicę. Stirling wskazał ręką obszar sięgający horyzontu, część gospodarstwa zarządzanego przez Jacoba Jaggera.

— To rzeczywiście ogromne imperium — powiedziałam. — Twój ojciec jest władcą, a ty następcą tronu. Jak się czujesz jako spadkobierca, jako syn takiego ojca?

— Znakomicie! Świetnie go rozumiałam.

Jechaliśmy przez chwilę w ciszy, wreszcie Stirling powiedział.

— Myślę, że zrobiłaś na nim dobre wrażenie.

Byłam zadowolona, ale wzruszyłam ramionami, udając obojętność.

— Sądził pewnie, że uklonię się trzy razy i wyjdę tyłem.

— Nie lubi bezustannej służalczości.

— Ach, tylko od czasu do czasu...

— Tylko u tych, którzy jego zdaniem, powinni ją okazywać.

— A więc jest trochę tyranem, a trochę zbrojem. Szczerze mówiąc, lepiej rozumiem twoje uczucia do niego teraz, kiedy go poznałam.

— Wiedziałem, że tak będzie. Wiedziałem, że będziesz czuła podobnie. Chcę, żebyś tak czuła, Noro.

— Zależy, jak będzie mnie traktował.

Zaśmiał się. Pogalopowaliśmy przed siebie. Poczułam wiatr na twarzy i raz jeszcze tego poranka doświadczyłam uczucia szczęścia. On także musiał być szczęśliwy, bo powiedział:

— Noro! Pokochasz ten kraj. Zabiorę cię do buszu, rozbijemy obóz. Zobaczysz to, czego nie widać z powozu. Pokażę ci, jak się gotuje herbatę w kociołku, jak się robi placki kukurydziane.

— Brzmi nieźle. Pewnie będzie mi się podobało.

Promieniał radością.

— Co ojciec powiedział na Jemmy'ego?

— Powiedział, że jeśli chce pracować, może zostać. Jeśli nie, odprawi się go.

— Powiedziałeś mu, że to ja cię o niego prosiłam?

— Nie, jest przekonany, że to mój pomysł.

— Dlaczego? Uważasz, że okazałeś słabość, ulegając moim namowom?

— Nie wiedziałem, jak zareaguje na fakt, że to ty podjęłaś decyzję.

— Czy to znaczy, że gdyby wiedział, że to był mój pomysł, nie pozwoliłby chłopcu zostać?

— Nie odprawiłby go z kwitkiem.

— Wobec tego chciałeś, aby mnie polubił? Aby nie myślał, że się rządę?

— Może. Powiem mu o tym później. Nie tak na wstępie.

— Stirling, jesteś dla mnie taki miły!

— Oczywiście że jestem miły! Ojciec jest twoim opiekunem, a ja jego zastępcą!

Dobrą miłą jechaliśmy w ciszy. Wokół wznosiły się ogromne eukaliptusy. Przestraszony kangur z maluchem w torbie przeciął nam drogę, po czym przysiadł na zadzie, popatrując na nas ciekawie. Po raz pierwszy zobaczyłam lirogona i jego ogon w całej krasie. Zatrzymaliśmy się, ptak siedział na drzewiastej paproci opodal. Gdy stanęliśmy nieruchomo, zaczął wspaniale naśladować głosy innych ptaków, jakby dawał przedstawienie specjalnie dla nas. Wskazałam Stirlingowi szerniałe pnie eukaliptusów, a on wyjaśnił, że osmałyły je płomienie i opowiedział mi o wielkich pożarach pustoszących Australię. Twierdził, że trudno sobie wyobrazić taki pożar i wyraził nadzieję, że ten straszny widok zostanie mi oszczędzony, choć w Australii to mało prawdopodobne.

— Wszystko, co żyje na przestrzeni wielu mil, jest wtedy w wielkim niebezpieczeństwie — powiedział. — To najbardziej przerażające, najtragiczniejsze widowisko. Są na tej ziemi takie niebezpieczeństwa, Noro, o których ci się nie śniło.

— Wiem coś o tych niebezpieczeństwach. Pamiętaj, że mój ojciec stracił tutaj życie.

— Rozbój i gwałt zdarzają się wszędzie. Wszędzie tam, gdzie jest żądza zysku. Tu jest złoto, a złoto to żądza.

Stirling pokazał mi emu mknącego z wielką prędkością wzdłuż drogi. Nigdy nie widziałam tak wielkiego ptaka, miał chyba z półtora metra wysokości.

— Zaczynasz poznawać tę ziemię i jej mieszkańców — rzekł. — Najpierw rodzinę, potem przyrodę. Spójrz na tamte drzewa. Założę się, że mają przynajmniej po sto metrów wysokości.

— Wyglądają wspaniale i są piękniejsze niż całe złoto świata.

— Nie wszystkie są łaskawe. Słyszałem, że spadająca gałąź takiego drzewa może przebić człowieka na wylot. Wyobraź sobie ostrą gałąź lecącą z wysokości sześćdziesięciu–dziewięćdziesięciu metrów. A to się czasami zdarza. Nazywamy je „wdowimi konarami”.

Spojrzałam w górę i ciarki mi przeszły po plecach.

— *W połowie życia już jesteśmy umarli...* — recytował Stirling pół żartem, pół serio.

Nie chciałam, żeby taki poranek psuły rozmowy o śmierci, podciąłam Tansy i pogalopowałam przed siebie. Stirling dogonił mnie i wyprzedził. Wtedy to się stało. Przez cały ranek czułam, że daję sobie radę z Tansy tylko dlatego, że ona na to pozwala. W tej chwili jednak gdzieś niedaleko

rozległ się szyderczy śmiech. Prawdopodobnie go usłyszała. Nie wiem dokładnie, jak to było, ale nagle przefrunęłam nad jej głową. Przytomnie puściłam wodze padając, poza tym tego dnia rzeczywiście sprzyjało mi szczęście. Upadłam w zarośla wystarczająco gęste i mocne, by mnie utrzymać. Byłam podrapana i przerażona, ale żywa! Przez parę chwil oszołomiona patrzyłam w niebo, starając się uchwycić gałęzi paproci, które drapały mi dłonie i łamały się pod moim ciężarem. Wtedy znów usłyszałam szyderczy śmiech i — zamroczona — byłam skłonna podejrzewać, że to Żbik jest gdzieś blisko, że był świadkiem mojego upadku i natrzęsa się ze mnie.

Usłyszałam Stirlinga. Po chwili zjawił się i zaczął wyplątywać mnie z krzaków. Na jego twarzy malowała się troska.

— Możesz stać? — spytał.

— Tak, ale boli mnie kostka.

— Usiądź — zakomenderował.

Usiadłam na trawie, a on uklęknął obok mnie. Delikatnie zdjął mi but. Kostka puchła w oczach.

— Zwichnięta, nie ma wątpliwości. — powiedział. — Jak to się stało?

— Gdzie Tansy?

— Widziałem, jak uciekała. Wróci do domu, zna drogę. Ale co, na miłość boską...

— Ktoś się roześmiał i... znalazłam się w krzakach.

— Roześmiał się? Kto?

— Nie wiem. Ale bardzo blisko. Myślę, że Tansy się przeraziła.

— Lepiej wracajmy. Trzeba zobaczyć, co z twoją nogą. Wezmę cię na Westona.

Stirling gwizdnął i Weston zbliżył się posłusznie. Kiedy z pomocą Stirlinga wspierałam się na grzbiet konia, znów w pobliżu zabrzmiał śmiech, salwy śmiechu, jedna po drugiej.

— Tam!

— To ptaki. Stare kukabury. Musisz przywyknąć do ich śmiechu, będziesz go często słyszała.

Gdy w tak haniebnej kondycji wróciłam do domu, Tansy już była na miejscu. Miałam szczęście, że nie doznałam innych obrażeń poza kilkoma siniakami i zwichnięciem kostki, ale paliłam się ze wstydu na myśl, co powie Żbik, gdy się dowie o mojej przygodzie.

* * *

Adelajda powitała nas z uczuciem ulgi.

— Słyszałam, że Tansy wróciła do domu i że pojechałaś na niej rano.

W jej głosie brzmiała nuta pretensji. Czyż ojciec nie mówił, że powinnam dosiąść Blundella?

— Wszystko było w porządku, póki się nie przestraszyła — tłumaczyłam.

Adelajda okazała mi wiele troskliwości, ale takimi wypadkami nie przejmowano się tutaj tak jak w Anglii, bo tu, w buszu, zdarzały się często. Robiła mi na przemian zimne i ciepłe okłady. Nauczyła się zasad pierwszej pomocy — tłumaczyła — bo bywa, że lekarz przyjeżdża do chorego z opóźnieniem dwóch czy trzech dni. Kazała mi wypić filiżankę słodkiej gorącej herbaty i kazała oszczędzać nogę przez dzień lub dwa.

Było mi głupio, wstydziłam się okropnie. Całe szczęście, że koń wrócił cało do domu! Leżałam na kanapie w saloniku Adelajdy. Mam spokojnie odpoczywać, powiedziała, a kiedy pocuję, że szok minął, mogę sobie coś poczytać, a nawet szyć. W Domu Białych Dam bowiem zawsze było coś do szycia.

Leżałam przy otwartym oknie i myślałam, jaka byłam niemądra, dosiadając konia, który był dla mnie o wiele za dobry. „Dumny, szumny — nierozumny”, mawiała panna Emily i choć raz musiałam przyznać, że miała rację.

Nagle usłyszałam jego głos pod oknem:

— A więc dosiadła Tansy i spadła. Dobrze jej tak! Okazało się przynajmniej, że więcej ma odwagi niż rozsądku.

Miałam wrażenie, że w jego głosie brzmiała lekka nuta aprobaty, i nie posiadałam się z radości.

Leżałam beczynn timer. Co za finał pierwszego dnia w nowym domu! W Małym Domu Białych Dam — bo tak go nazwałam; prawdziwy Dom Białych Dam mógł być tylko jeden.

Gdzieś w ogrodzie rozległ się śmiech kukabury, która najwyraźniej szydziła ze mnie.

* * *

Adelajda nie pozwoliła mi zrobić kroku przez następne trzy dni. Cały ten czas spędziłam w jej saloniku. Tylko na noc Stirling zanosił mnie do mojego pokoju. Obydwoje opiekowali się mną jak młodszą siostrą. Pomagałam Adelajdzie w szyciu ubrań dla licznej służby. Ludzie ci mieszkali na terenie posiadłości w kilku małych domkach. Jak się zdołałam zorientować, było tam też kilkoro dzieci.

— Ojciec lubi, gdy się ich wszystkich traktuje jak część rodziny — Adelajda zerknęła, sprawdzając jaki efekt wywarła na mnie ta uwaga. Nie zrozumiałam jej wtedy, ale stopniowo zaczęło do mnie docierać, że wiele z tych dzieci to dzieci Żbika. Później zwykłam szukać w ich twarzach jego rysów i często je odnajdowałam. W gruncie rzeczy wydawało się to zrozumiałe. Żbik był męski w każdym tego słowa znaczeniu. Nie należał do ludzi, którzy potrafiliby wieść mnisi żywot. Brał młode kobiety wedle kaprysu i nikt nie miał mu tego za złe. Ale żadne dziecko nie miało owych przenikliwych niebieskich oczu. Nawet Stirling, legalny spadkobierca, ich nie odziedziczył.

Stirling często do mnie zaglądał. Powiedziałam mu, że wstydzę się tego, co zaszło, i mam nadzieję, że Tansy nie stało się nic złego.

— Wszystko w porządku — zapewnił. — W tym kraju lepiej być odważnym niż tchórzliwym.

Byłam im wdzięczna, że nie traktowali poważnie mojej przygody. Coraz bardziej lubiłam Adelajdę, uważałam ją za życzliwą starszą siostrę. Przynosiła mi tacę z herbatą i placuszkami podawanymi tak jak w Anglii, z dżemem brzoskwińowym i galaretką z passiflory, którą sama robiła.

W tamte dni czułam się, jakbym przybyła do oazy, ale wiedziałam, że to tylko postój. Żbik nie przyszedł mnie odwiedzić. Zdawałam sobie sprawę, że nie powinnam zbyt wiele oczekiwać.

Stirling zachodził zwykle wieczorami. Większość dnia spędzał w kopalni. Ciągnęło mnie, żeby ją zobaczyć, choć zarazem wcale tego nie chciałam. Bałam się, że zbyt żywo powrócą wspomnienia o ojcu.

Pokojówka Mary pomagała mi rano przy ubieraniu, przynosiła śniadanie i ciepłą wodę. Sprawiała wrażenie zaleźnionej. Próbowalam odgadnąć, czego się obawia — bez rezultatu. Stirling upierał się, żeby przynieść mnie do saloniku Adelajdy, choć z łatwością mogłam kuśtykać sama. Niemniej, muszę przyznać, podobała mi się ta troskliwość i lubiłam, gdy podtrzymywały mnie jego silne ramiona, a niósł mnie bez żadnego wysiłku.

Trzeciego dnia po wypadku, kiedy w pokoju Adelajdy szylam perkalową koszulę — pracowałam pilnie, uznawszy, że to jedyna droga do okazania skruchy za własną głupotę — drzwi otworzyły się cicho i do środka wślizgnęła się Jessika. Przeszły mi ciarki po plecach. Nie wiem, czy z powodu jej dzikiego spojrzenia, czy dlatego, że weszła bezszelestnie.

— Jak się masz? — Przysunęła sobie krzesło i usiadła obok kanapy.

Bezwiednie się cofnęłam.

— W porządku. Dziękuję — odrzekłam. — Tak naprawdę to jest w tym trochę oszustwa. Mogłabym chodzić, lecz Adelajda nie chce o tym słyszeć.

— Jest tyle oszustw dookoła — uśmiechnęła się. — Tu blisko także.

— Doprawdy?

Skinęła konspiracyjnie głową.

— Przyszedł cię odwiedzić?

Wiedziała, kogo ma na myśli, ale udała, że nie wiem.

— Kto?

— On. Pan.

— Nie. Nie spodziewam się go.

— Nie dba ani o Boga, ani o ludzi — stwierdziła. — Ten koń mógłby cię zabić, ale co go to obchodzi!

— Przestrzegał mnie przed jazdą na Tansy, a więc to była tylko moja wina.

— Jeśli się w ogóle o coś troszczył, to o konia.

— Bo to bardzo dobry koń.

Popatrzyła na mnie swoim osobliwym, nieco obłąkanym wzrokiem.

— Dużo wart — wyszeptwała. — On myśli o dobrach, o gospodarstwie, o złocie. Na tym mu zależy.

— Jak wielu ludziom.

Przysunęła się i poczułam się jak w pułapce na mojej kanapie.

— Ale on zabiega o to bardziej niż inni. Jest całkowicie bezwzględny. Zauważyliśmy to od razu. Ja zauważyłam. Maybella zauważyła. Wuj zauważył. Kiedy przyjechał, był niczym... niczym... jakiś tam więzień, niewolnik. Siedem lat wygnania, a już po roku rządził nami wszystkimi.

— To niezwykle człowiek.

— Niezwykle! — zaśmiała się.

Jej śmiech przypominał głos starej kukabury, która spłoszyła moją klacz.

— Drugiego takiego nie było i nie ma, mam nadzieję. Strzeż się Żbika. On ludzi hipnotyzuje. Wuj, Maybellę... I popatrz tylko, co się stało z Maybellą. Zabił ją.

— Maybellą? Ona była...

— Ożenił się z nią, nieprawdaż? Dlaczego? Pragnął jej? Tyle mu o nią chodziło! — Pstryknęła palcami. — I wiesz, co się z nią stało?

— Nie wiem, ale chciałabym wiedzieć.

Otworzyły się drzwi i weszła Adelajda. Spojrzała krzywo na Jessikę, ale rzekła swobodnie:

— Tu jesteś, Jessie. Akurat pora na kawę. Właśnie zaparzyłam.

Trzymała w rękach tacę nakrytą obrębianą szydełkiem serwetką. Kawa pachniała smakowicie. Chciałam usłyszeć, co Jessika ma mi do powiedzenia, a wiedziałam, że nic nie powie, póki Adelajda jest w pokoju.

Adelajda postawiła tacę i zgrabnie nalewała kawę.

— Dużo mleka, Noro — powiedziała. — To ci dobrze zrobi. Tutaj, Jessie. Tak jak lubisz.

Ręce Jessiki drżały, gdy trzymała filiżankę.

— Myślę, że jutro będziesz mogła trochę pospacerować — ciągnęła Adelajda. — Nie za daleko, oczywiście. Na przykład po ogrodzie.

Jessika milczała, a kiedy wreszcie sobie poszła, Adelajda powiedziała:

— Mówiła od rzeczy? Zdarza się to od czasu do czasu. Obawiam się, że ma teraz takie złe dni. Nie warto jej zachęcać do rozmowy ani zwracać uwagi na to, co mówi.

Ja jednak chciałam usłyszeć, co, zdaniem Jessiki, spotkało Maybellę.

* * *

W ciągu tygodnia moja kostka całkiem wydobrzała, a ja miałam wrażenie, że jestem w Małym Domu Białych Dam od dawna. Tak bardzo chciałam zatuszować wypadek z Tansy, że pomagałam Adelajdzie, jak tylko potrafiłam. Zaczęłam się uczyć gotowania. Trochę pracowałam w ogrodzie. Szyłam. Staralam się zachowywać jak prawdziwa córka. Adelajda i Stirling byli ze mnie radzi. Zaczęłam poznawać służbę i wtedy dopiero zdałam sobie sprawę, jak bardzo mogę się przydać. Aborygeni nieustająco wybierali się gdzieś „przejsć”, jak to nazywali, czyli po prostu znikali. Nawet strach przed Żbikiem nie mógł ich powstrzymać — a może właśnie uciekali ze strachu. Kiedy znikał biały służący, przypuszczano zwykle, że wybrał się na poszukiwanie złota.

Stirling wybrał mi truskawkowego deresza, zwanego nieostosownie Królową Anną. Nie była ani starym kucykiem jak Bundell, ani koniem tej klasy co Tansy.

— Jak się przyzwyczaisz do terenu — rzekł — znajdziemy dla ciebie lepszego wierzchowca. Na razie bądź mądrą dziewczynką i trzymaj się starej dobrej Królowej!

Przyznałam mu rację.

Wkrótce po raz pierwszy zobaczyłam kopalnię. Jechaliśmy do niej przez przepiękną okolicę i tym bardziej przerażała mnie jej brzydota. Stalowe liny wnosiły skrzynie na po — wierzchnie. Hałas był ogłuszający i eksplozje wstrząsały powietrzem.

— Używamy nowej substancji, którą wynalazł Nobel — powiedział Stirling. — Nazywa się dynamit i oszczędza nieustającej zmudnej roboty — kruszy skały, łatwiej dociera się do złota. Pracuje tutaj dwustu ludzi.

— Są zadowoleni, że szukają złota dla twojego ojca?

— Są zadowoleni, że pracują. Wielu kopało na własną rękę od lat, teraz uważają, że wygodniej pracować za stałe wynagrodzenie. Wiedzą, że tylko nieliczni dokopali się fortun z pomocą zwykłego kilofa. Ryzyko zaś jest ogromne. Tu mają bezpieczną pracę i jedzą co dzień.

Pokazał mi kruszarki — nowy rodzaj maszyn, które kruszą rudę i oddzielają złoto od skały kwarcowej. Wokół panował hałas i gwar. Dookoła kopalni stały rzędy namiotów, w których mieszkali górnicy i ich rodziny. Niektórzy mieli chatki składające się z dwóch izb — jednej od frontu i jednej od tyłu. Ci należeli do szczęśliwców.

— Czy właścicielem kopalni jest twój ojciec?

— Ty także masz w niej udziały, bo twój ojciec wsadził w nią wszystkie swoje pieniądze. Są także inni współwłaściciele, ale Żbik ma głos decydujący.

— Miło wiedzieć, że nie jestem kompletną żebraczką. A może jestem bogata?

— Kopalnia przynosi straty.

— Więc po co to wszystko? Żeby przynosiło straty?

— Odpowiedź brzmi: nadzieja. Ona idzie w parze ze złotem. Ale w tym kraju nadziei jest więcej niż żółtego kruszcu.

— I nawet twojego ojca dotknął ten szaleńczy głód złota?

— Nawet jego. Przyjechał z Anglii, gdzie znał ludzi, bogatych ludzi, którzy żyli, jak powiada, i „panowali miłościwie”, którzy nie musieli się zajmować zarabianiem pieniędzy, bo mieli ich aż za dużo. Powiedział mi kiedyś, że tak właśnie chciałby żyć, że tak będzie żyć w przyszłości.

— Ależ on jest zabezpieczony... nawet bogaty. Rządzi wami wszystkimi. Czego jeszcze chce?

— Chce spełnienia swoich marzeń. Najpierw musi znaleźć złoto... dużo złota. Wtedy będzie mógł zrealizować swój plan.

— Jaki plan?

— Och, ma pewien plan. Ale pierwszy krok to fortuna. Widzisz, jak żyjemy. Nie ograniczamy się w niczym — dom, służba, udziały w interesach. Takie życie kosztuje. Kopalnia też pochłania

pieniądze. Widziałaś robotników — trzeba im płacić. Maszyny są drogie, utrzymanie kopalni kosztowne. A ojciec chce łatwego złota, wielkiego złota. Wtedy będzie mógł pojechać do Anglii.

— Teraz też może.

— Ale nie tak, jak by chciał. Chciałby wrócić jak lord. Zaśmiałam się szyderczo.

— Czy zamierza kupić także tytuł?

— Może.

— Tymczasem zbudował Dom Białych Dam, ma swój angielski ogród i przepuszcza pieniądze na kopalnię złota, która nie daje dochodów.

— Teraz nie daje, ale będzie dawać. Nie ma co do tego wątpliwości. Ojciec zawsze znajduje to, czego szuka.

— Ile lat jest tutaj? Trzydzieści pięć, nieprawdaż? Przez cały ten czas chciał wrócić, lecz nie wrócił!

— Chce wrócić, ale tylko w określonych okolicznościach.

— Wygląda na to, że równie mocno jak innych opętała go gorączka złota. Mówisz o nim, jakby był bogiem, a on jest tylko czcicielem złotego kruszcu.

Kiedy tak rozmawialiśmy, obok przeszedł jakiś człowiek. Na pierwszy rzut oka wydał mi się stary, później dopiero zobaczyłam, że trawi go choroba. Gwałtowny atak bolesnego kaszlu wstrząsnął jego ciałem, tak że aż przystanął i stał zgięty w pół, póki atak nie minął.

— Biedak — powiedziałam. — Powinien leżeć w łóżku. Powinien go obejrzeć lekarz.

Już miałam porozmawiać z tym nieszczęśnikiem, ale Stirling położył mi rękę na ramieniu.

— Takich są setki — rzekł. — Cierpi na suchoty, to choroba górników, spowodowana pyłem i brudem w kopalni. Atakuje płuca i w końcu zabija ofiarę. Nic nie można na to poradzić.

— Chcesz powiedzieć, że ludzie schodzą do kopalni i z góry wiadomo, że zapadną na tę straszną chorobę?!

— To ryzyko — powiedział Stirling lekko — są go świadomi, zgadzają się na nie.

— A gdy zachorują? Co wtedy?

— Co wtedy? Po jakimś czasie umierają. Ta choroba zabija.

Byłam oburzona. Myślałam o człowieku — o ich pracodawcy — który dla złota skazywał ludzi na kopalnię.

— To nikczemne. Trzeba temu położyć kres. Stirling roześmiał się.

— Kłopot z tobą, Noro, polega na tym, że jesteś delikatna. Życie zaś takie nie jest. Szczególnie tutaj. Ten mężczyzna ma pracę. Może wykarmić rodzinę... jeżeli ją ma. Przyjechał szukać złota, ale mu się nie udało, jak tysiącom innych poszukiwaczy. Znalazł pracę w kopalni złota. To niebezpieczna praca, ale życie w ogóle jest niebezpieczne. Nawet w przytulnej Anglii zdarzają się przypadki nagłej śmierci. Nie możesz brać życia aż tak poważnie.

— Ja biorę poważnie śmierć. Niepotrzebną śmierć. Pomyślałam o ojcu, który zginął z powodu złota, tak jak teraz ginie ten oto człowiek, i ogarnęła mnie zajadła nienawiść do złotego kruszcu. Właśnie ładowano dwukołowy wóz, którym złoto miało jechać do banku w Melbourne. Przed oczyma stanął mi ojciec ruszający w ostatnią drogę.

Od tego momentu zaczęłam wyobrażać sobie złoto jako okrutną kobietę. Chciwą, przebiegłą i kapryśną. Bogini Złota — jak Circe czy Lorelei — od czasu do czasu wynagradza swe sługi tylko po to, by wywabić więcej ofiar z domów, odciągnąć je od rodzin, od spokojnego i bezpiecznego życia, które chce zniszczyć.

— Chciałabym zobaczyć miejsce, gdzie zastrzelono ojca.

— Dlaczego o tym nie zapomnisz?

— Mam zapomnieć, że mój ojciec został zamordowany?

— Z rozpamiętywania takich rzeczy nie wynika nic dobrego.

— A zapomniałbyś, gdyby zabito twojego ojca?

Wzdrygnął się. Wiedziała, że nie wyobrażał sobie świata bez potężnego Żbika.

— Bardzo kochałam ojca — powiedziałam. — Drugiego takiego człowieka nie było na całym świecie. I tu, w tym kraju, zabił go ktoś, kto go nawet nie znał. A ty chcesz, żebym zapomniała!

— Chodźmy, Noro, chodźmy stąd.

Odwrociłam się. Skierował konia ku drodze. Pojechałam za nim.

— Zabierz mnie teraz tam, gdzie go zabito — poprosiłam. — Zobaczę to miejsce i jeśli nie będziesz chciał, nie będę z tobą o tym więcej rozmawiać.

Ujechaliśmy ze trzy mile, gdy się zatrzymał. Było tu pięknie — cicho i spokojnie. Kiedy tak staliśmy, napawając się cudownym spokojem, ozwał się przypominający dźwięk dzwonka śpiew miodojada.

— Wóz jechał drogą z kopalni — powiedział Stirling. — To było gdzieś tutaj. Nie zginął na miejscu, jak wiesz. Zawieźliśmy go do domu. Napisał do ciebie list. Ostatni list. Już po rozmowie z moim ojcem. Tak było.

Rozejrzałam się wokół po akacyjnym lasku. Tu musiał skryć się morderca. Za nim było wzgórze, właściwie płaskowyż, z którego do niewielkiego rozlewiska spływał strumyk. Było to jedno z najpiękniejszych miejsc, jakie kiedykolwiek widziałam.

— Tu spotkała go śmierć — powiedziałam z goryczą. — Jego, który tak kochał życie, snuł tyle planów, tyle miał marzeń. Zginął niepotrzebnie. Zginął dla... złota. Nienawidzę złota.

— Chodźmy stąd, Noro — rzekł Stirling. — On nie żyje, straciłaś go. Ale masz nas, Noro, masz mnie.

Odwrociłam się i spojrzałam na niego. Podjechał blisko i ujął mnie za rękę.

— Wynagrodzę ci to — powiedział z przejęciem. — Zobaczysz.

* * *

Przez cały ten i następny dzień nie schodził mi z myśli ojciec i ten człowiek, który umierał na suchoty. Pełna właśnie ogródek Adelajdy, gdy w pewnej chwili spojrzawszy w górę zobaczyłam Żbika, który stał nie opodal i mi się przyglądał.

— Jak długo pan tu stoi? Brew powędrowała w górę.

— Nie odpowiadam na pytania zadawane rozkazującym tonem.

— Nie lubię, kiedy ktoś na mnie patrzy, gdy o tym nie wiem.

— Nie lubię ludzi niegrzecznych.

— Ani ja — odparowałam prostując się.

— Cieszę się — rzekł — że pracujesz. Nie lubię lenistwa w moim domu.

— Jeśli uważa pan, że powinnam pracować, należało mi o tym powiedzieć. Może byłby pan zadowolony, gdybym pracowała na dole, w pańskiej kopalni złota.

Udał, że się zastanawia.

— W jakim charakterze, jeśli wolno spytać? Postanowiłam nie odpowiadać na to pytanie.

— Podobno jestem właścicielką części akcji kopalni.

— Twój ojciec miał ich kilka... niewiele. I są niewiele warte.

— Jak cała kopalnia.

— Jesteś ekspertem od kopalń?

— Nie wiem nic o kopalniach i nie chcę wiedzieć. Wolę nie mieć nic wspólnego z czymś takim.

— Myślę, że nadszedł czas, żebyśmy porozmawiali. Powinniśmy wiedzieć pewne rzeczy o sobie nawzajem. Przyjdź do biblioteki dziś wieczorem.

Odszedł, a ja wróciłam do pracy w ziołowym ogródku Adelajdy. Mocny zapach szaławii unosił się w powietrzu. Dziś wieczorem będę odważna, myślałam. Powiem mu, co myślę o tej kopalni, w której młodzi ludzie starzeją się przed czasem i rujnują sobie płuca.

Nie pojawił się na kolacji tego wieczoru. Ciekawa byłam, czy zastanę go w bibliotece, kiedy tam pójde. Był. Siedział przy stole, sącząc coś z kieliszka. Chyba to był portwajn.

Domyśliłam się, że zjadł kolację sam w swoim pokoju, co się już przedtem zdarzało.

— O, proszę, panna Nora — rzekł. — Siadaj naprzeciw mnie, żebym cię mógł dobrze widzieć.

Usiadłam. Światło w pokoju było przyćmione. Paliły się tylko dwie spośród kilku lamp naftowych.

— Wypijesz kieliszek portwajnu...

Odmówiłam, bo zabrzmiało to bardziej jak stwierdzenie niż propozycja.

Uniół karafkę i nalał sobie. Patrzyłam na jego dłonie — miał długie smukłe palce, na prawej ręce nosił pierścień z rzeźbionym jadem. Jego gesty były pełne elegancji. Mogłam go sobie wyobrazić żyjącego i „panującego miłościwie” w starym angielskim dworze.

— Chcesz coś wiedzieć o swoim miejscu w tym domu — zaczął. — Jesteś moją podopieczną, ja zaś twoim opiekunem. Tak postanowiliśmy z twoim ojcem, zanim przedwcześnie odszedł. Wiedział, na jakie niebezpieczeństwa człowiek naraża się w tym kraju, i wiele razy tu, w tym pokoju, mówił o swoich lękach i niepokojach. Przynależę ci, że w razie czego wezmę cię pod swoją opiekę i będę się o ciebie troszczył, póki nie skończysz dwudziestu jeden lat.

— Musiał przeczuwać, że wkrótce umrze. Potrzęsnał głową.

— Twój ojciec był człowiekiem, który miał szalone marzenia. Był pełen entuzjazmu, ale w głębi serca wiedział, że jego marzenia nigdy się nie urzeczywistnią. Tylko wtedy, gdy myślał o twoim dobru, wracał z obłoków na ziemię. Może to być miarą jego uczuć do ciebie. Tylko dla ciebie potrafił zmienić skórę, dopuścić do siebie prawdę. Oto dlaczego ułożył się ze mną przed śmiercią i podpisał dokument, wyznaczający mnie na twego opiekuna. A ja przystałem na jego prośbę. Tak to wyglądało.

— Dlaczego wybrał pana?

Żbik znowu uniósł brew.

— Pytasz, bo uważasz, że nie zasługuję na jego zaufanie?

— Znał pana bardzo krótko.

— Znał mnie dostatecznie dobrze. Poznaliśmy jeden drugiego. Dlatego musisz mnie zaakceptować. Nie masz wyboru.

— Ośmielę się twierdzić, że mogłabym równie dobrze sama na siebie zarabiać.

— W kopalni... jak sugerowałaś? Niełatwo młodej kobiecie zarabiać na własne utrzymanie, o ile nie jest pokojówką czy kimś takim, a to, mogę cię zapewnić, nie byłoby najlepsze rozwiązanie.

— Mam udziały w kopalni.

— Ich wartość jest niewielka. Na długo ci nie starczą.

— Wolałabym, żeby pieniądze, które do mnie należą, nie miały związku z kopalnią.

— Udziały można sprzedać, ale ich wartość jest niewielka, bo kopalnia, jak wiadomo, nie przynosi dochodu.

— Po co więc pracuje?

— Nadzieja. Trzeba mieć nadzieję.

— Jednym daję śmierć, a innym nadzieję.

— Myślisz o ojcu. Jego los podzieliło wielu ludzi w tym kraju. Opryszków nie brakuje.

— Myślę o człowieku, którego widziałam w kopalni i który cierpi na chorobę płuc.

— O, na suchoty.

— Pan tak to mówi, jakby chodziło o ból głowy.

— Suchoty to ryzyko przypisane kopalni.

— Podobnie jak śmierć z rąk opryska?

— Czy chcesz powiedzieć, że mam zamknąć kopalnię z powodu człowieka chorego na suchoty?

— Tak. Roześmiał się.

— Proszę, jaka reformatorka! Jak większość reformatorów niewiele wiesz o tym, co zamierzasz reformować. Jeśli zamknę kopalnię, co będzie z robotnikami? Umrą z głodu w ciągu tygodnia.

— Nie chcę mieć nic wspólnego z kopalnią.

— Twoje udziały zostaną sprzedane, a pieniądze umieszczone w banku. Ostrzegam cię jednak, że to nie będzie więcej niż sto funtów. A jeśli znajdziemy złoto...

— Nie chcę mieć nic wspólnego z wydobywaniem złota. Mierzył mnie wzrokiem. Patrzył znad kieliszka, oczy mu lśniły.

— Nie jesteś zbyt rozsądna. W Anglii mówiliśmy: „Nie pozwól sercu rządzić głową”. A ty myślisz sercem. Możesz przez to znaleźć się w kłopotliwej sytuacji i trudno będzie cię z niej wyciągnąć.

— Pan za to postępuje inaczej. Pan myśli głową.

— Bo do tego głowa służy.

— A serce?

— Kontroluje obieg krwi.

Roześmiałam się. On także.

— Czy jeszcze coś chciałabyś wiedzieć?

— Tak. Czym mam się tutaj zajmować?

— Możesz pomagać Adelajdzie, tak jak pomagałaby młodsza siostra. To twój dom. I tak powinnaś go traktować.

Po raz pierwszy rozejrzałam się po pokoju. Książki stojące rzędami na ścianach, kilka obrazów, kominek, w którym płonęły kłoc drewna — dokładnie to, czego należało się spodziewać w angielskiej bibliotece. Na idealnie błyszczącym dębowym stole stały szachy. Figury były ustawione tak, jakby ktoś właśnie chciał rozpocząć grę. Wyrwał mi się okrzyk — aż nadto dobrze je znałam! Były piękne. Pionki zrobiono z białej i brązowej kości słoniowej, w koronach królów i królowych tkwiły brylanciki, szachownicę tworzyły kwadraty z białego i ciemnoróżowego marmuru.

— To szachy mojego ojca — powiedziałam z wyrzutem.

— Zostawił mi je.

— Teraz powinny należeć do mnie.

Wstałam i podeszłam, by przyrzeć się im z bliska. Chciało mi się płakać.

Żbik stanął obok mnie.

— Tu jest twoje imię — powiedział wskazując na jeden z kwadratów.

— Wypisywaliśmy nasze imiona na szachownicy po pierwszej wygranej. To szachy mojego dziadka. Były w rodzinie od stu lat.

— Trzy generacje — rzekł. — I ktoś obcy — wskazał ręką swoje imię wypisane z rozmachem na jednym z centralnych pól.

— Wygrał pan z moim ojcem?

— Czasem wygrywałem. Ty także.

— Był dobrym graczem. Myślę, że wygrywałam, kiedy na to pozwalał.

— Kiedy będziesz grała ze mną, nie pozwolę ci wygrać. Ja będę grał na swój rachunek i ty na swój.

— Czy to znaczy, że będziemy razem grywać w szachy?

— Czemu nie? Lubię grać.

— Na szachownicy mojego ojca.
— Jest teraz moja, nie zapominaj o tym. Dlaczego nie grać właśnie na niej? Przyjemnie jest dotykać pięknych rzeczy.
— Mam nadzieję, że kiedyś je odzyskam.
— Zawrzyjmy umowę. W dniu, w którym mnie pokonasz, będą twoje.
— Czy powinno mi się proponować grę o coś, co mi się prawnie należy?
— Proponuję, żebyś o nie grała.
— Dobrze. Kiedy?
— Choćby zaraz. Masz ochotę? Nie ma to jak zaczynać natychmiast... Jeszcze jedno powiedzenie z Anglii.

Siedliśmy naprzeciw siebie. Widziałam wyraźnie złote brwi i białe smukłe dłonie z pierścieniem z jadeitu. Dłonie Stirlinga były nieco toporne.... Uświadomiłam sobie, że wciąż porównuję ich obu. Żbik przypominał Stirlinga, syn był bladym odbiciem ojca. Wstydziłam się sama przed sobą, że oceniam ich w ten sposób, to było niełojalne wobec Stirlinga. Stirling jest życzliwy, myślałam, a ten tu — okrutny. Ze Stirlingiem umiem się porozumieć, a co kryje się za tą połyskliwą niebieską taflą? Zauważył, że obserwuję jego dłonie i wyciągnął je ku mnie.

— Widzisz rzeźbę na sygnecie? Głowa żbika. Nazywają mnie Żbikiem. Ten sygnet to moja pieczęć. Podarował mi go przed laty mój teść.

— Bardzo ładny kawałek jadeitu.

— I bardzo ładnie wyrzeźbiony, nie uważasz?

Przytaknęłam i sięgnęłam po białego króla.

Szybko się zorientowałam, że nie jestem dla niego żadną partnerką, ale grałam uważnie i parę razy udaremniłam mata. Podczas tej partii wyłącznie się broniłam, lecz minęły trzy kwadransy, nim zdołał mnie zapędzić do rogu.

— Szach mat — rzekł wreszcie spokojnie i pewnie. Zobaczyłam, że nie mam ruchu.

— Ale mecz był niezły, prawda? Musimy jeszcze kiedyś zagrać.

— Jeżeli uważa pan, że warto grać ze mną... Jestem pewna, że mógłby pan znaleźć przeciwnika godnego siebie.

— Podoba mi się gra z tobą. I nie zapominaj, że masz odzyskać szachy. Nie zapominaj także, że ci tego nie ułatwię. Kiedy wygrasz, będziesz wiedziała, że wygrałaś naprawdę.

Wróciłam do pokoju, ale długo nie mogłam zasnąć. A kiedy zasnęłam, śniło mi się, że figury ożyły, zaś zwycięski król ma oczy żbika.

* * *

Nastał październik, a wraz z nim wiosna. Ogród wyglądał cudownie. Okazało się, że Stirling przywiózł z Anglii kilka roślin i na trawnikach kwitły już purpurowe lobelie i szkarłatne geranium. Ubolewałam, że nie mam ściśle określonych obowiązków. Pomagałam Adelajdzie we wszystkim, ale wolałabym mieć jakieś konkretne zadania, za które byłabym całkowicie odpowiedzialna. Adelajda zapewniła mnie, że moja pomoc w domu jest nieoceniona, lecz nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że mówi tak przez grzeczność.

Tego dnia usiadłam na chwilę w altanie, bo od pielenia rozboleła mnie kręgosłup, gdy nagle pojawiła się Jessika. Co za okropne maniery — poruszać się bezszelestnie i zaskakiwać innych!

— Och, Jessiko! — zawołałam.

— Widziałam, jak wychodziłaś z biblioteki. Byłaś z nim bardzo długo.

Szpiegowała mnie! Byłam wściekła.

— Jakie to ma znaczenie? — spytałam chłodno.

— Dobrał się do ciebie, a tobie to schlebia, tak? Dobiera się do każdego, a potem... wykańcza. Nie myśli o niczym, tylko jak wykorzystać innych.

— Dlaczego go nienawidzisz? — spytałam.

Ku mojemu zdziwieniu spąsowała i wydawało się, że zaraz wybuchnie płaczem.

— Nienawidzę? Tak, nienawidzę. Nie! Nie wiem... Wszyscy się go boją.

— Ja nie — powiedziałam z wahaniem.

— Jesteś pewna? Różni się od innych ludzi. Żebyś go widziała wtedy, gdy przed laty przyjechał do Rozella.

— Gdzie to jest?

— To ta posiadłość. Teraz mówi się o niej posiadłość Herricka, ale kiedyś nazywała się Rozella. Należała do wuja Harleya. Dobre dawne czasy. Wtedy nie była zbyt duża, ale i tak było się o co martwić. Raz o mały włos nie pochłoniął nas pożar. Zdarzała się i śnieć na zbożu, i powódzie, i erozja gleby, ale jakoś trwaliśmy i Maybella mogła dobrze wyjść za mąż. Przyjeżdżał taki jeden z Melbourne. Jego ojciec miał sklep. Na pewno poprosiłby o rękę Maybelli.

Miałam wrażenie, że wtrącam się w nie swoje sprawy i że Adelajda wołałaby, abym nie słuchała Jessiki, lecz pokusa była zbyt silna. Chciałam poznać dziwną historię ojca Stirlinga, bo myślałam o nim bezustannie. Powiedziałam więc:

— Opowiedz mi o tym.

Uśmiechnęła się ochoczo.

— Chcesz wiedzieć prawdę? Interesuje cię wszystko, co się z nim wiąże. Tak samo było z Maybellą, zaślepioną od pierwszej chwili. Pamiętam dzień, gdy się pojawił...

Przerwała na chwilę, jej oczy stały się rozmarzone, usta nabrały łagodniejszego wyrazu, uśmiechnęła się. Czekałam. Zaczęła mówić spokojnie, lecz z ożywieniem, jakby — nieświadoma mojej obecności — przywoływała na pamięć tamte zdarzenia wyłącznie dla własnej przyjemności.

— Wuj Harley pojechał do Sydney. Miał przyplłynąć statek z Anglii i wuj chciał wybrać paru ludzi do pomocy przy owcach. „Przywiozę ze dwóch osiłków”, powiedział. „Będziemy musieli mieć się na baczności, bo to skazańcy, ale będą na nas pracowali. Potrzebni mi dwaj silni mężczyźni”. Przytroczył do siodła torby z prowiantem. Zabrał też parę koni dla skazańców. Po dwóch tygodniach mieli być z powrotem. Jeśli oczywiście nie zatrzymałaby ich powódź czy zła pogoda. Nie wracali przez trzy tygodnie, bo spadł deszcz i niektóre rzeki wylały. Byłyśmy z Maybellą w kuchni, gdy wszedł i pocałował najpierw Maybellę, potem mnie. „Mam dwóch ludzi, Maybello”, powiedział. To on nazywał ją Maybellą. „Jeden z nich... zresztą zobaczcie same”. Patrzyłyśmy na niego z kuchennego okna. Zaskoczył nas jego wzrost. „Jaki wysoki”, powiedziała Maybella. „On też jest ze statku?”. Wuj przytaknął. „Siedem lat. Pomyśl tylko, moje dziecko. Mówi, że niesłusznie go skazano”. „Czyż nie wszyscy tak mówią?” — powiedziała Maybella. Roześmiałyśmy się. Ale on był inny. Jego wzrok przeszywał na wylot. Nie można było traktować go jak skazańca ani nawet jak służącego. Wuj Harley także to czuł i jakby się go lękał. Nie minął tydzień, a rozmawiał z wujem jak równy z równym. O, był bardzo sprytny! Potrafił pracować za dwóch i wkrótce to on mówił wujowi, jak trzeba usprawnić gospodarstwo. To było zadziwiające, ponieważ wuj Harley, który zawsze wiedział wszystko najlepiej, słuchał jego rad.

Zamilkła i patrzyła na mnie.

— Nie uwierzyłybyś, czego dokonał w tak krótkim czasie.

— Owszem, mogę to sobie wyobrazić.

— W trzy tygodnie po przyjeździe zaczął z nami jadać. Gdy siadał do stołu, czuliśmy się zakłopotani, jakby to on był gospodarzem, a my służącymi. Dużo z wujem rozmawiał. Brał kawałek papieru i robił szkic, tłumaczył wujowi, jak budować szopy, by składowana w nich wełna nie była narażona na nawilgocenie, albo że nasza prasa do wełny jest przestarzała i powinniśmy

mieć nową. Wuj Harley słuchał go zachwycony i mówił: „Tak, Herrick”, z cichą czołobitnością, jakby to on był robotnikiem, a Herrick gospodarzem. Kiedy nastąpiła pora strzyżenia, poszło tak dobrze jak nigdy przedtem. Kazał pracować wszystkim: i ogrodnikom, i służącym, każda para rąk była pomocna. Do tego czasu zdążył zostać kimś w rodzaju nadzorcy. Ludzie się go bali. Wuj Harley powiedział kiedyś: „Nic nie umknie twojej uwagi. Masz oczy żbika”. Wtedy nazwali go Żbik, a aborygeni uznali go za istotę boską. Gdy był w pobliżu — pracowali, gdy go nie było — siedzieli z założonymi rękami. Pamiętam, jak się śmieliśmy, gdy namalował swój portret — a wyglądał na nim jak żywy z tymi niebieskimi oczami — powiesił portret w szopie i powiedział: „Nawet gdy mnie tu nie ma, patrzę na was”. Złękli się wtedy, patrzyli na portret i myśleli, że Żbik naprawdę ich widzi. Taki to człowiek... I nie ma się co dziwić, że...

Przerwała znowu, potrząsnęła głową, nie chciała oderwać się od wspomnień. Czekałam niecierpliwie na dalszy ciąg opowieści.

— Maybella była oczarowana. Syn właściciela sklepu przestał się liczyć. Jej oczy zapalały się na widok Żbika, robiła się nawet całkiem ładna. Bo tak naprawdę nie była ładna... taka sobie, dość zwyczajna. Ja byłam ładniejsza, ale ja byłam tylko siostrzenicą. To Maybella miała odziedziczyć posiadłość, bo wuj nie miał syna. Ja mogłam tu tylko mieszkać. „Nie martw się”, mawiała Maybella, „ten dom będzie zawsze twoim domem, Jessie”. Miała dobre serce, bardzo dobre.

— Zakochała się w nim?

— Wszystko zmieniało się w oczach. Interesy szły coraz lepiej. Wuj Harley nie widział świata poza nim. „Cześć, Żbik”, mawiał, „Jim” — czy Tom, czy jak mu tam było — „ma zawieźć wełnę do Melbourne. Sądzisz, że możemy mu zaufać?” My! Rozumiesz? Zawsze my. Maybella nie mówiła o niczym innym, tylko o nim. Zwariowała na jego punkcie. Nie było rzeczy, której by dla niego nie zrobiła — i przyszłość to potwierdziła. Spodziewała się dziecka i bała się powiedzieć o tym ojcu — był bardzo religijny. Bała się, że wyrzuci ją z domu. Wiedziałam, że tylko on mógł być ojcem. Ogarnęło mnie przerażenie. „Ze skazańcem, Maybello!” A ona uniosła głowę i zawołała: „Nie dbam o to. Został niewinnie skazany i jestem z niego dumna. Noszę jego dziecko, nic poza tym mnie nie obchodzi”. Powiedziała ojcu. A najbardziej zdumiewające było to, że wuj powiedział tylko: „Jedynie, co możemy zrobić, to wyprawić wesele”. W niespełna rok od czasu, gdy przybył do Rozella jako skazaniec, został mężem Maybelli. Urodziła się Adelajda i wkrótce potem stał się prawdziwym gospodarzem. Nikt nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

Spojrzała na mnie, w jej oczach płonęło uczucie, którego nie mogłam zrozumieć.

— Gdybym była córką wuja Harleya, ja byłabym jego wybranką.

— Może kochał Maybellę.

Roześmiała się.

— Kochał Maybellę! On nią gardził! Jawnie to okazywał. A biedna Maybella uwielbiała go przez cały czas, póki jej nie zabił.

— Zabił?

— Równie dobrze mógł wziąć strzelbę i do niej wypalić. Rozczarowała go. Chciał syna. Chciał syna, który wyglądałby dokładnie tak jak on. Biedna Maybella o mało nie umarła, rodząc Adelajdę. Myślałam wówczas, że nie ma się czym przejmować, ale następnym razem nie było lepiej. Nie nada — wala się do rodzenia dzieci, przerażało ją to. Tak bardzo cierpiała przy Adelajdzie! Nazwał dziewczynkę imieniem miasta. „W hołdzie nowej ojczyźnie!”. Pewnie doszedł do wniosku, że nie najgorzej mu się w niej wiedzie. Maybella nie bardzo interesowała się dzieckiem, myślała tylko o nim. Omamił ją, ogłupił do cna. Zdawał sobie z tego sprawę i ją lekceważył.

— Powiedziałaś, że ją zabił.

— Bo tak było. Rok po roku zachodziła w ciążę, rok po roku przedwcześnie rodziła. Była prawie inwalidką. Ale on chciał syna. Zarządzał już wtedy wszystkim — on, skazaniec! Miał

służyć u nas przez siedem lat, a stał się naszym panem. Wuj Harley był jak Maybella. Oboje się go bali, bez porozumienia z nim nigdy niczego nie robili, a on nimi gardził. Zabił Maybellę, zmuszając ją do nieustannego zachodzenia w ciążę. Wszyscy wiedzieliśmy, że nie jest dość silna, by donosić dziecko. Wuj Harley zmarł w sześć lat po wyprawie do Sydney po służących. Pamiętam, gdy umierał, byliśmy przy nim — Maybella, mała Adelajda, ja i on. Wuj Harley wierzył w niego do końca. „Rozella jest twoja, Maybello”, powiedział. „Twoja i Żbika. On będzie troszczył się o ciebie i o gospodarstwo. Zostawiam cię w dobrych rękach, córeczko. A ty, Jessie, będziesz tu zawsze miała dom”. Umarł ufając, że zostawia wszystko w najlepszym porządku. Nie wiedział, że w niespełna rok później Maybella zostanie pochowana obok niego.

— Ale powiedziałaś, że on ją zabił — nalegałam.

— Umarła rodząc Stirlinga. Nienawidziłam Żbika. Powiedziałam mu: „Zabijesz Maybellę”. Tylko na mnie popatrzył pogardliwie, jakby uważał mnie za wariatkę. Kochałam ją. Byłyśmy jak siostry. Wraz z nią umarła częśćka mnie samej. To on ją zabił, zabił Maybellę, bo nakłaniał ją, by każdego roku próbowała urodzić syna, którego pragnął. Mimo że była prawie inwalidką po urodzeniu Adelajdy. Był okrutny i bezwzględny. Aż dała mu syna. Ma Stirlinga. To ją ostatecznie zabiło. Byłaby tu dziś, gdyby nie jego upór.

Milczałam, więc dodała:

— Zawsze dostaje to, czego pragnie. Przekonasz się sama. Pomyślałam o jego marzeniach o złocie, o fortunie, której nie może zdobyć.

— Nikt nie ma wszystkiego, czego chce — powiedziałam.

— Wyssie z ciebie ostatnie soki, byleby dopiąć swego.

— Nienawidzisz go i...

— Nienawidzę go za to, co zrobił Maybelli.

— A jednak...

Obróciła się ku mnie gwałtownie.

— ...jednak myślę, że nie zawsze go nienawidziłaś. Odsunęła się ode mnie, jakby się zlekła. Wstała niespodziewanie i wyszła z altany.

* * *

Nastał listopad. Czas strzyżenia owiec. Największe spiętrzenie prac w ciągu roku. Było mnóstwo rzeczy do zrobienia i Stirling z ojcem nieustannie doglądali gospodarstwa. Pomagałam Adelajdzie w przygotowywaniu posiłków. W dużej kuchni o kamiennej posadzce pracowałyśmy ciężko, gotując dla mężczyzn zatrudnionych na stałe i robotników najętych do pomocy na pewien czas. Po zachodzie słońca często zjawiali się włóczędzy i prosili o nocleg w zamian za pomoc przy robocie następnego dnia. Nigdy nie byliśmy pewne, ilu ludzi trzeba będzie nakarmić.

Pewnego dnia, kiedy przygotowywałam ciasto i byłam sama, do kuchni wszedł Jacob Jagger. Oparł się o stół i wpatrywał się we mnie.

— Piękna pani jak obrazeczek, panno Noro — rzekł, pożerając mnie wzrokiem.

— Dziękuję. Mam nadzieję, że chleb będzie równie udany jak obrazeczek, o którym pan wspomniał.

— Lubię cięte jęczyczki.

— Lubię być w kuchni sama, gdy jestem zajęta.

— Zuchwała, bardzo zuchwała. Ale i to mi się podoba.

— Wnioskuje, że niewiele panu trzeba, panie Jagger.

— Nie, nie mogę powiedzieć, żebym był mało wymagający, jeśli chodzi o kobiety.

— To fatalne dla pana, biorąc pod uwagę ich niedostatek w tej części świata. A teraz byłabym wdzięczna, gdyby zechciał pan uprzejmie usunąć się na bok. Chcę się dostać do pieca.

Staął z boku, ale nie wyszedł.

Otworzyłam piec, by wyjąć chleb, i poczułam, jak się rumienię.

— Pięknie wygląda! No no! Prawie jak kucharka. Chciałbym panią częściej widywać w tej kuchni, panno Noro. A gdyby miała pani kiedyś ochotę obejrzyć gospodarstwo, proszę mi tylko powiedzieć.

— Powiedziałabym pewnie panu Stirlingowi. — Wpatrywałam się uparcie w brązowe bochenki wyjęte z pieca. — Miłego dnia, panie Jagger — dodałam zjadliwie. — Jestem pewna, że pan Herrick oczekuje pana przy strzyżeniu.

W ten sposób dałam mu do zrozumienia, że być może wspomnę panu Herrickowi, że przyszedł na pogaduszki, choć nie życzyłam go sobie w kuchni. Wystarczyło wspomnieć nazwisko Żbika, żeby przywołać go do porządku.

Skłonił się ironicznie i wyszedł.

* * *

Gdy zakończyło się strzyżenie, zaczęliśmy myśleć o Bożym Narodzeniu.

— świętujemy tutaj bardzo podobnie jak w Anglii. Ojciec tego chce — wyjaśniała Adelajda.

Adelajda przygotowywała bożonarodzeniowe puddingi i leguminy z rodzyneków, jabłek, migdałów i skórki pomarańczowej, mimo że brakowało tu potrzebnych dodatków, używanych do legumin w Anglii. Zabijano kilka sztuk najlepszego ptactwa i chociaż w Australii święta wypadały w środku lata, wszystko odbywało się zgodnie z angielską tradycją. Byłam zaskoczona, że Adelajda, która nigdy nie była w Anglii, nazywa Ją „swoim krajem”, wiele wie o tamtejszych zwyczajach, a nawet wypytuje mnie jeszcze o to czy o tamto. Robiła to na pewno z myślą o ojcu.

Powozem firmy Cobb pojechaliśmy do Melbourne po zakupy. Było to spore przeżycie. Zatrzymałyśmy się na dwie noce w hotelu Żbika, a John Bell zabrał nas do Teatru Królewskiego, prawdopodobnie na polecenie swego pryncypała. Także zakupy sprawiały nam przyjemność: wydałam część pieniędzy, które zostały złożone w banku po sprzedaży moich udziałów w kopalni. Czułam się tak bogata, że kupiłam upominki, a dla siebie mocne wysokie buty i materiały na sukienki.

W tydzień po powrocie zauważyłam, że Mary, moja pokojówka, jest bardzo przygnębiona. Któregoś ranka niosąc ciepłą wodę, potknęła się o dywanik i upadła jak długa.

Kiedy posprzątała, spytałam:

— Coś jest nie tak, prawda, Mary?

— Nie. Dlaczego? — odparła rumieniąc się. — Wyglądasz na roztargnioną. Ciągłe coś ci leci z rąk.

Usiądź i powiedz, jakie masz kłopoty.

Usiadła i wybuchnęła płaczem.

Wszystko mi opowiedziała: że spodziewa się dziecka, że nie wie, co ze sobą począć.

— Cóż, niedobrze się stało — powiedziałam — ale to nie koniec świata. Może powinnaś wyjść za mąż.

Popłynęło jeszcze więcej łez. Małżeństwo chyba nie wchodziło w grę. Wymruczała, że pójdzie w świat, żeby ukryć swój wstyd.

— To nie jest tylko twój wstyd. To także wstyd tego mężczyzny — powiedziałam stanowczo.

Nic nie można uczynić, twierdziła. Może tylko mieć nadzieję, że nie zostanie wyrzucona.

— Do tego z pewnością nie dojdzie — powiedziałam żarliwie, jakbym była gospodynią tego domu i jakby decyzje zależały ode mnie. Dodałam, że powinnyśmy powiadomić Adelajdę.

Adelajda westchnęła, gdy opowiedziałam jej całą tę historię.

— Zbyt często się to zdarza — rzekła. — Ale jesteśmy tu, gdzie jesteśmy, z dala od miasta. Ludzie są młodzi i mają gorącą krew. Nie myślą o konsekwencjach. Kto jest ojcem?

— Nie powiedziała.

Nie byłam zaskoczona, gdy Mary ujawniła w końcu, że Jacob Jagger.

— Ożeni się z nią? — spytałam Adelajdę.

— Na pewno nie.

— Jeśli twój ojciec będzie nalegał, to się ożeni.

— Nie sądzę, by chciał nalegać.

— A ja sądziłam, że zechce.

— Nie znasz go jeszcze, Noro.

Na to wyglądało. Żbik nie uznał tej sprawy za godną swojej uwagi. Pozwolił Mary mieszkać dalej w domu i wychowywać tu dziecko. Jeśli chodzi o Jaggera, uważał, że nie zechce on poślubić takiej dziewczyny jak Mary, że dobrze zarządza gospodarstwem — o nowego człowieka niełatwo — i musi się od czasu do czasu rozerwać. Taki był punkt widzenia Żbika. Podśluchałam niechęć rozmowy służących:

— Pan bardzo łagodnie potraktował tę sprawę.

— Chyba inaczej mu nie wypadało...

Mieli na myśli jego własne postępowanie, którego nie należało raczej brać za przykład. Zastanawiałam się, dlaczego mój ojciec zdecydował, żebym przebywała w takim domostwie.

Mary tymczasem odżyła, była prawie szczęśliwa. Zapytałam ją, czy chciałaby poślubić ojca swego dziecka.

— Uchowaj Boże! — powiedziała.

— Musiał ci się podobać...

— Nigdy. Żyłam w ciągłym strachu.

— Ale...

— Zastanawia się pani, dlaczego to zrobiłam. Miałam niewiele do gadania.

— Ależ chyba cię nie zmusił!

— No, coś koło tego — odpowiedziała.

Poczułam się nieswojo.

Rozdział 4

Dziwnie było obudzić się w upalny, słoneczny poranek... Bożego Narodzenia. Przed kilku dniami razem ze Stirlingiem przywieźliśmy z buszu coś w rodzaju jemioli, rośliny pasożytującej na drzewach gumowych. Nie wyglądała dokładnie tak samo jak jemiola w Anglii, ale miała spełniać to samo zadanie. Część powiesiliśmy nad drzwiami, a część pośrodku pokoju. Gdy skończyliśmy, Stirling mnie pocałował.

— Oby to było pierwsze z wielu twoich Bożych Narodzeń w Australii — powiedział.

— A jeśli twój ojciec znajdzie złoto? — spytałam. — Wtedy wszyscy jak jeden mąż zostaniemy przetransportowani do Anglii.

Nie odpowiedział, ale ja wiedziałam, że nie chce nawet myśleć o wyjeździe.

Obiad jedliśmy w połowie dnia. Prawie cały poranek spędziłam z Adelajdą w kuchni. Gotowałyśmy kurczaki, podczas gdy śliwkowy pudding dochodził na parze w rondlu. Było okropnie gorąco. Wysłałam na dwór, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza, ale było tu równie duszno jak w kuchni. Stałam przez chwilę, patrząc na kwitnące eukaliptusy i przypominając sobie, jak rok temu w Danesworth House coraz bardziej niepokoilałam się brakiem wiadomości od ojca. Tyle rzeczy wydarzyło się od tego czasu!

Adelajda wyszła za mną i powiedziała:

— Owoce passiflory dojrzały. Mam je teraz zebrać?

I sama sobie odpowiedziała:

— Nie. Niech zostaną. Z nimi jest choć trochę tak jak w Anglii.

To była wielka bożonarodzeniowa uczta. Żbik siadł u szczytu stołu, ja po jego lewej stronie, Stirling naprzeciw mnie, tak jak siedzieliśmy podczas pierwszej kolacji. Było też kilku mężczyzn z gospodarstwa i kopalni. Jack Bell miał wiele zajęć w hotelu i nie przyłączył się do nas. Od czasu incydentu z Mary robiłam, co mogłam, żeby nie zauważać Jacoba Jaggera. Gdyby on ją kochał, a ona jego, inaczej bym na to patrzyła. Ciągle myślałam o tym „nie miałam wyboru”. Wiedziałam, że Jagger wciąż mi się przygląda, stara się nawiązać ze mną rozmowę, ale ten człowiek napawał mnie obrzydzeniem. Postanowiłam porozmawiać o nim ze Stirlingiem. Nasze spojrzenia spotkały się ponad stołem i Stirling uśmiechnął się do mnie tak radośnie, że zarumieniłam się ze szczęścia.

Obiad bardzo się udał. Żbik był w łaskawym nastroju, wyraźnie sprawiało mu przyjemność przewodniczenie przy stole, który równie dobrze mógłby stać w jakimś wiejskim domu w Anglii. Mary wniosła bożonarodzeniowy pudding. Połała go suto brandy i zapaliła. Smakował wyśmienicie.

Drzemaliśmy nad portwajnem, gdy w kuchni powstało jakieś zamieszanie i dały się słyszeć podniesione głosy. Ktoś wołał: „Pozwólcie mi się z nim zobaczyć. Albo poproście pannę Adelajdę”.

Adelajda pobladła. Wstała i wyszła, lecz wróciła niebawem.

— Co się stało? — spytał Żbik.

— Lambowie przyszli — odrzekła Adelajda.

— Po co? — spytał Żbik.

— Chcą do nas wrócić.

— Wrócić! Myślałem, że odeszli szukać złota.

— W istocie... ale wrócili.

— Bez majątku, który mieli zdobyć?

— Są w pożałowania godnym stanie — powiedziała Adelajda.

— Nie chcę ich z powrotem — oświadczył chłodno Żbik. Próbowałam uchwycić jego wzrok, ale nie patrzył na mnie.

— Może... — zaczęła Adelajda.

— Każ im odejść. Nie przyjmuję z powrotem ludzi, którzy raz odeszli.

Adelajda odwróciła się. Wstałam z krzesła.

— Może są głodni — zaczęłam, ale Żbik spojrział na mnie wzrokiem zimnym jak stal.

— Odeszli, aby szukać bogactwa. To nie moja sprawa, że im się nie udało. Kiedy opuszczali ten dom, opuszczali go na zawsze.

Adelajda wyszła. Usiadłam oniemiała. Prysnęła cała radość świąt Bożego Narodzenia.

* * *

Gdy nazajutrz wyjechaliśmy konno ze Stirlingiem, wciąż myślałam o Lambach.

— To było okrutne — powiedziałam. — I to w dzień Bożego Narodzenia.

Stirling nie tolerował żadnych zarzutów pod adresem ojca.

— Dzień nie ma tu znaczenia.

— Racja — przyznałam — niezależnie od dnia byłoby to okrutne, ale w Boże Narodzenie to coś znacznie gorszego, to sprzeczne z przesłaniem tych świąt.

— Nie możemy pozwolić, by ludzie odchodzili, kiedy im się podoba, a potem wracali i czekali, aż ubijemy na ich cześć tłusciutkie ciele.

— Być może, ale trzeba ich było nakarmić. Jakoś pomóc.

— Nie byłbym zdziwiony, gdyby Adelajda to zrobiła.

— Ale on nie chciał. Musiał pokazać tym ludziom, że nie wolno to odchodzić, to znów wracać, jeśli się poniesie porażkę.

Stirling zacisnął szczęki. Uświadomiłam sobie, że jestem zazdrosna o jego miłość do ojca. Żbik zawsze będzie dla niego pierwszy, myślałam.

Spieraliśmy się tak, jadąc, i w końcu doszło do kłótni, gdy powiedziałam, że nie ma własnego zdania, lecz wygłasza gotowe opinie swojego tatusia. On odparował, że jestem zacierzwioną belferką, która myśli, że skoro mogła uczyć pięcioletnie dziewczynki, może też pouczać starszych i... tak! — wyżej od siebie stojących!

Odjechałam galopem urażona i wściekła, bo już zaczęłam sobie budować obraz związku ze Stirlingiem: że będę z nim zawsze, poślubię go, a Żbik zostanie moim teściem. Nie byłam pewna, czy mi odpowiada to ostatnie. Żałowałam, że Żbik istnieje, że ojcem Stirlinga nie jest zwyczajny człowiek. Ale zaraz pomyślałam: nie, nie wyobrażam sobie tego miejsca bez Żbika. Fascynował mnie rozwój stosunków między nami. Triumfowałam, bo nie był wobec mnie obojętny. Chciałam, żeby się mną interesował, żeby chciał słuchać tego, co mówię, żeby mnie szanował i coraz bardziej mnie lubił. Chciałam być dla niego ważna. Dla Stirlinga jednak miałam być ważniejsza niż ktokolwiek inny na świecie, a czułam, że to niemożliwe, póki istnieje Żbik.

* * *

Następnego dnia Stirling zachowywał się jak gdyby nigdy nic. Traktował mnie jak siostrę. Nie chciałam, by tak było, ale zarazem czułam się szczęśliwa i bezpieczna, bo w miarę upływu czasu nasz związek zdawał się krzepnąć i byłam pewna, że przyjdzie taka chwila, gdy będę mu równie potrzebna jak on mnie.

O Lambach nie mówiło się już nigdy więcej. Pocięczałam się myślą, że Adelajda im pomogła. Mary znów była radosna x „rosła” w oczach. W stajni często widywałam Jemmy’ego. Zaczął okazywać pewność siebie, którą pewnie zawsze miał pod skórą. Słyszałam, jak pogwizduje przy pracy. Byłam zaskoczona, gdy pewnego dnia na początku lutego Jemmy zniknął.

Historia się powtórzyła. Zwierzył się jednemu z chłopców stajennych, że ma zamiar szukać złota.

Żbik się roześmiał, gdy mu o tym doniesiono. „Jeszcze jeden”, rzekł. „Nie przyjmujcie go z powrotem, jak będzie miał tego dość”.

Tamtego wieczora zaprosił mnie na partyjkę szachów po kolacji. Stirling zdążył mu już opowiedzieć, że to ja pragnęłam pomóc chłopcu, gdy go znaleźliśmy na statku.

— Nie warto być aniołem stróżem, Noro — rzekł. — Chodź, wypijesz ze mną kieliszek porto. Napełnił kieliszki.

— Widzisz, jak ci twój Jemmy odpłacił.

— Z pewnością świetnie pan rozumie żądę złota.

— Rozumiem, sam tego doświadczam.

— Dlaczego więc potępia ich pan za to.

— Mylisz się. Nie chcę tylko przyjmować ich z powrotem. Nie życzę sobie, by moi służący odchodzili stąd wedle kaprysu. Mogą odejść, kiedy chcą, ale nie mogą wrócić.

— Lambowie...

— Och, nienawidziłaś mnie wtedy, prawda?

— Uważałam, że był pan bardzo sroggi, i to w dzień Bożego Narodzenia.

— Moja droga, sentymentalna Noro! Dzień nie ma tu nic do rzeczy.

— Tak też powiedział Stirling.

— Ach, więc z nim już tę kwestię obgadałaś!

— Rozmawialiśmy o tym.

— I wściekle mnie atakowałaś.

— Tak, a on uparcie pana bronił.

Żbik uśmiechnął się i rzekł:

— Noro, życie jest twarde. A skoro jest twarde, nie oplaca się być miękkim. Jesteś zbyt uczuciowa. Ktoś cię kiedyś zranił.

— Czy pan jest sentymentalny? Uczuciowy? Nie! Ale ktoś kiedyś pana zranił... Zranił tak, że nigdy pan tego nie zapomni.

Uniósł krzaczaste brwi i popatrzył na mnie uważnie. Wyciągnął ręce, odsłonił nadgarstki. Zobaczyłam blizny.

— Kajdanki — rzekł. — Okowy, łańcuchy. Ślady jeszcze nie zniknęły.

— Nie mają już znaczenia. Nie jest pan spętany. Do pana należy decydujący głos. Pan kieruje losami wszystkich wokoło.

— Ale blizny zostały.

— Tak w sercu, jak i na nadgarstkach.

Milczał przez chwilę. Potem mówił dalej z przymrużonymi oczami:

— Masz rację, Noro. O tym, co mnie spotkało, nie można zapomnieć. Tylko wtedy, gdy zostaną podjęte pewne działania, rachunek może być wyrównany.

Jego oczy rozbliły. Wiedziałam, że myśli o zemście.

— Kiedy to się stało? — spytałam.

— Minęło trzydzieści pięć lat, jak przyjechałem tutaj w łańcuchach.

— I wciąż pan myśli o wyrównaniu rachunków?

— Będę o tym myślał, dopóki sprawa nie zostanie załatwiona.

— To długo, jak na hołubienie urazy.

— Gdyby nie pewien człowiek, nie musiałbym cierpieć ponizenia i upokorzenia przez wiele miesięcy.

— Ale teraz jest pan tutaj i ma wszystko, czego dusza zapragnie. Jest pan władcą swojego świata. Ma pan syna i córkę, prawie wszyscy się pana boją. Czyż nie tego pan pragnie?

Popatrzył na mnie i uśmiechnął się lekko.

— Jesteś odważną dziewczyną, Noro. Nie boisz się mnie atakować.

— Ludzie pańskiego pokroju nie lubią krytyki, wiem. Tym bardziej powinien się znaleźć ktoś, kto nie obawia się jej głosić.

— I siebie wybrałaś do tej roli?

— Zamierzam udowodnić, że się pana nie lękam. — A jeśli poproszę, żebyś opuściła mój dom?

— Spakuję bagaże i odejdę.

— Dokąd?

— Nie jestem całkiem bez kwalifikacji. Proszę pamiętać, że uczyłam w Danesworth House. Mogłabym być guwernantką albo nauczycielką u jakiejś rodziny.

— Smutne życie dumnej kobiety.

— Lepsze to, niż być tam, gdzie się jest nie chciana. Jego niebieskie oczy przyglądały mi się badawczo.

— Myślisz, że tu jesteś nie chciana?

— Nie jestem pewna.

— Powiedz, proszę, prawdę.

— Myślę, że przyrzekł pan mojemu ojcu i że jest pan człowiekiem, który dotrzymuje słowa, jeśli...

— Mów...

— Jeśli to panu zbyt nie przeszkadza.

— Posłuchaj, Noro. Twoja obecność w tym domu nie przeszkadza mi w najmniejszym stopniu. Jeśli pojawiłby się choć najmniejszy tego znak, przestałbym myśleć o twoim istnieniu. Byłaś ze mną szczerą, więc i ja będę z tobą szczerą. Wiedz, że nie mam nic przeciwko powiększeniu mojej rodziny. Chciałem synów, ale mogą być i córki. Są zwykle bardzo przydatne.

— A więc przydaję się.

— Nie jestem niezadowolony ze swojej rodziny. No, zaczynamy partyjkę. Masz szachy do wygrania, pamiętasz?

Zaczęliśmy grać. Byłam świadoma, że jego zainteresowanie moją osobą rośnie. Trudno było mieszkać z nim pod jednym dachem, nie ulegając wpływowi jego osobowości.

* * *

Lato było upalne. Rano pracowałam w kuchni lub w ogrodzie, a po południu kładłam się w cieniu pod akacją i czytałam, chociaż muchy — nigdy przedtem nie widziałam tylu much — dokuczały okrutnie. O wiele wygodniej było siedzieć w chłodnym saloniku Adelajdy i szyć albo czytać jej głośno, co bardzo lubiła. Podobały się jej książki Jane Austin i sióstr Brontë, pasjonowały, podobnie jak jej ojca, opisy angielskich krajobrazów. Czasami wślizgiwała się Jessica i też słuchała. Muszę przyznać, że zwykle czułam się wtedy nieswojo.

Tak minęło lato. Kiedy nastały chłodniejsze dni, Adelajda zaproponowała znowu wyprawę do Melbourne. Potrzebowała paru rzeczy. Bez kłopotu mogły być dostarczone do domu bo jedno z przedsięwzięcia jej ojca zaopatrywało okoliczne sklepiki, ale zdaniem Adelajdy przyjemność polegała na wybieraniu spośród wielu towarów. Miałyśmy zatrzymać się w hotelu „U Żbika”. Tym

razem, ponieważ poznałam już teren i byłam bardziej doświadczoną amazonką, postanowiliśmy pojechać konno i obozować po drodze. Miał nam towarzyszyć Stirling i ktoś, kto miałby interesy w Melbourne i chciał do nas dołączyć.

W letnie wieczory parokrotnie grałam ze Żbikiem w szachy. Niezmiennie demonstrował sardoniczne rozbawienie, gdy go chciałam pokonać. To była moja obsesja, a także typowy element naszych stosunków. Wciąż podkreślałam, że się go nie boję, i być może to zdradzało mój lęk.

Lecz tamte wieczory w bibliotece przy lampie z różowego kwarcu, która rzucała różowy blask na figury, stały się częścią mojego życia. Odczuwałam szczególną przyjemność, gdy tak siedziałam, przyglądając się jego smukłym dłoniom z sygnetem z zielonego jadeitu. Z najwyższym podnieceniem czekałam na moment, kiedy mu powiem: „szach–mat”, ale on do tego nie dopuszczał: paroma niszczycielskimi ruchami obracał mój atak w rozpaczliwą obronę, a jego magnetyzujące oczy pełne były wtedy kpiącego rozbawienia, wręcz radości. Lubił mi chyba udowadniać, że choć próbuję go przechytrzyć, on i tak zawsze wygra.

„Nie tym razem, Noro”, mawiał. „Spójrz na tę wieżę. Jaki subtelny kształt. Kiedy wygrasz, dalej będziesz ze mną grywała, nieprawdaż? Nie chciałbym, żebyśmy przestali grać tylko dlatego, że szachy zmieniły właściciela”.

Wiedziałam o nim wciąż więcej i więcej. Zdarzały się chwile, gdy unosił mroczną przysłonę, za którą czaił się żbik: mocny, dumny, niepokonany. W pewnym sensie działało się to za moją sprawą. Po raz pierwszy, gdy pokazał mi szramy na nadgarstkach, drugi — kiedy oglądałam jego obrazy.

Przyszłam do biblioteki na partyjkę szachów wcześniej, ponieważ mój zegarek trochę się śpieszył. Zapukałam, nikt nie odpowiedział, weszłam jednak do środka. Żbika nie było, lecz odsunięta kotara ukazywała stojące otworem drzwi. Nawet nie wiedziałam o ich istnieniu.

Stałam przez chwilę bez ruchu. Nigdy nie byłam w bibliotece sama. Zdziwiające, jak nieobecność Żbika zmieniała to wnętrze. Teraz był to zwykły pokój — co prawda ładnie umeblowany, z grubymi dywanami i ciężkimi aksamitnymi zasłonami, mocnymi dębowymi krzesłami i tomami książek na półkach wzdłuż ścian. Biblioteka, jaką można spotkać w każdym wiejskim domu w Anglii. Na dębowym stole stała szachownica przygotowana do gry.

Przeszłam przez pokój i zajrzałam w otwarte drzwi. Żbik był tam, ale nie od razu mnie zauważył. Na stole, przed którym siedział, leżało kilka płócien, a ja przypomniałam sobie, co Jessica mówiła o portrecie, który namalował, żeby aborygeni się go bali.

Podniósł wzrok i mnie zobaczył.

— O, Nora, czy już czas?

— Przyszłam trochę za wcześnie. Mój zegarek chyba się śpieszy.

Zawahał się — tego jeszcze u niego nie widziałam — ale rzekł:

— Wejdz.

Weszłam. Na sztalugach stało płótno, a na krześle leżał uwalany farbą żakiet.

— To moja pracownia — rzekł.

— Przeszkodziłam?

— Wręcz przeciwnie. Jesteś tu na moje zaproszenie.

— Pan maluje.

— To pytanie?

— Nie. Wiem.

— Nie podejrzewałaś mnie o takie talenty? Zresztą może uznasz, że nie mam talentu. Osądź sama.

Wziął mnie pod rękę; wtedy po raz pierwszy okazał mi uczucie.

— Te obrazy na ścianach są moje — rzekł.

— A więc jest pan artystą.

— A ty nie jesteś znawczynią sztuki — to widać. — Ale te obrazy...

— Brak formy, techniki... jakkolwiek to nazwać. Nie są zbyt dobre.

Zatrzymał się przed portretem kobiety. Wydawało mi się, że widziałam już tę twarz.

— Hm, podoba ci się?

— Tak. Jest pełna miękkości i delikatności, a wyraz jej twarzy jest taki... dobry.

— Co chciałaś powiedzieć zamiast „dobry”?

— Nie wiem. Chyba... że ta kobieta wygląda na bezradną, bardzo kobiecą.

Przytaknął i poprowadził mnie do następnego obrazu.

— Autoportret.

Podobieństwo było ogromne. Pomyślałam, że łatwo go namalować. Grzywa jasnych włosów, zarost, dumna twarz — wszystko łatwe do uchwycenia. Brakowało tylko butnej męskiej siły.

Potem poprowadził mnie do stołu i pokazał leżące na nim płótno. Zobaczyłam dom. Prawdziwy Dom Białych Dam. Ten sam, który Stirling i ja oglądaliśmy, wdrapawszy się na dęby.

— To ten dom — wykrzyknęłam.

— Byłaś tam ze Stirlingiem. Opowiadał mi, jak szal przefrunął ponad murem i poszliście go odebrać.

— Spodziewałam się, że o wszystkim panu mówi.

— Któż mówi o wszystkim? Ale rzeczywiście wiem, co się dzieje w umyśle Stirlinga. Jest przecież moim synem. — I kocha go pan, jak nigdy nikogo nie kochał.

— Nie całkiem.. Jestem zdolny do uczuć. Nie daję ich za darmo, ale jeśli już daję, daję bardzo dużo.

— Jak mógł pan namalować ten dom, skoro nigdy go pan nie widział?

— Kto powiedział, że go nie widziałem? Mieszkałem w tym domu. Dobrze go znam.

— Pan tam mieszkał? On do pana należał? To dlatego zbudował pan tutaj taki sam!

— Zbyt daleko idące wnioski. Nie powiedziałem, że dom był mój. Pracowałem tam przez rok na skromnej posadzie nauczyciela rysunku.

— I Stirling ten dom odnalazł.

— Znów jesteś w błędzie. Stirling wiedział, że tam właśnie ten dom się znajduje. To ja poleciłem mu tam pojechać.

— A więc dlatego musiałam spotkać się z nim w Canterbury. Panna Emily uważała, że to dość dziwne.

— Pojechał tam na moją prośbę.

— Chciał pan wiedzieć, czy coś się zmieniło od czasu, gdy był pan tam ostatnio. Nie zmieniają się domy, tylko ludzie, którzy w nich mieszkają.

— Nareszcie trafiłaś. Chciałem, żeby zobaczył nie tyle dom, ile ludzi w nim mieszkających.

— Bo znał pan ich przed laty. Ale Stirling wcale o tym nie wspomniał. Nawet się nie przedstawił. Oni zaś nie pytali. Wszystko to było bardzo niezwykle.

— Nie powinien był zdradzać im swego nazwiska. Postąpiłby nierozsądnie.

— Czy miała miejsce jakaś kłótnia z tą rodziną? Zaśmiał się gorzko, chrapliwie.

— Nie bardzo mogłem się z nimi kłócić — rzekł. — Byłem tylko nauczycielem panienki. Oni bogaci, możni. Teraz pewnie nie powodzi im się równie dobrze. Czasy się zmieniły. Starszy pan był hazardzistą... i to niezbyt sprytnym. Podejrzewam, że stracił większość pieniędzy po moim wyjeździe.

— Sprawia to panu satysfakcję, jak mniemam.

— Mniemasz prawidłowo. Czy lubiłabyś kogoś, kto skazuje cię na wygnanie z twojego własnego kraju, na siedem lat ciężkich robót w obozie karnym?

— A więc to właściciel Domu Białych Dam?

— Sir Henry Dorian we własnej osobie.

— Z jakiego powodu?

— Za kradzież.

— A pan był niewinny.

— Całkowicie.

— I nie mógł pan wykazać swojej niewinności.

— Gdyby sprawa trafiła do sądu... Ale on i jego przyjaciele uważali, że nie potrzeba sądu. Znajdowałem się w jego domu bezprawnie, jak twierdził. Znajdowałem się w jego domu, to prawda, ale nie po to, by kraść. — Uśmiechnął się do mnie. — Masz dociekliwy umysł, Noro.

— Przyznaję. Chciałabym wiedzieć coś więcej. Jakże dokładnie pamiętam ten dom! Kiedy tam byłam, czułam, że jest dla mnie ważny. A przecież nie miałam wówczas pojęcia, że ma związek z moim opiekunem.

Wzruszył ramionami.

— Piękny stary dom. Chciałbym mieć taki na własność. — Oczy Żbika zabłyśły. — Dom, który zbudowałem tutaj, to marna imitacja. Nie, nie! Na to trzeba kamieni, których używano przed setkami lat. Dom Białych Dam jest tylko jeden i to nie jest ten tutaj!

— Ma pan bardzo wygodny dom, który na dodatek tak samo się nazywa.

— To podróbka, Noro, fałszerstwo, a ja nie znoszę fałszerstw.

— Służy jednak dobrze.

— Służy jako substytut, póki... — Zamilkł, Roześmiał się i dodał: — Bałamucisz mnie, Noro. Wyciągasz mnie na zwierzenia. A ja ci na to pozwalam, czyli że już traktuję cię jak córkę. Czyż to nie dziwne?

— Dobrze jest się czasem zwierzyć. Jestem pana podopieczną. Widziałam tamten dom i tamtych ludzi. Dziewczynę, która miała na imię Minta i jej matkę.

— Opowiedz o niej. Stirling nie potrafił jej opisać. Kobiety robią to lepiej niż mężczyźni.

— Ach, mama to ta, którą pan uczył rysunku!

Przytaknął.

— Ale ona była stara. No, może nie stara, choć staro wyglądała.

— Tobie wydawała się stara, tak jak ja.

— Nie, pan nie. W pana wypadku nikt nie myśli o wieku. Ona zaś wyglądała na zrędliwą, troszczącą się wyłącznie o swoje zdrowie. Dziewczyna natomiast była czarująca. Poznałam też kobietę imieniem Lucie.

— Zrędliva... — powiedział uśmiechając się łagodnie. Wskazał na płótno, które mi już wcześniej pokazał.

— Czy tak wyglądała? Rysowałem z pamięci.

Wtedy zrozumiałam, kogo mi ten obraz przypominał. Mintę oczywiście.

— Jest podobna do tej młodej dziewczyny — powiedziałam. — Ale ona nie wyglądała na tak bezradną. Nie. To nie kobieta na wózku. A może... przed laty...

— Przed trzydziestu pięciu laty miała siedemnaście lat. Była piękna, ale kiepska w rysunkach. Chciałem ją poślubić.

Zaczynałam pojmować. Ona była ową panienką, w której domu on miał marną posadę. Przypomniało mi się, co opowiadała Jessika.

— Został pan przyjęty do tamtego domu, by ją uczyć rysunku, ale dom pana tak zachwycił, że postanowił się pan z nią ożenić, żeby stać się jego panem.

— Rzeczywiście zachwyciłem się domem i cieszyłbym się, gdybym mógł stać się jego właścicielem, ale wtedy miałem dziewiętnaście lat. Byłem uczuciowy, a może nawet romantyczny. Trudno ci pewnie uwierzyć, ale tak było. Zakochałem się w Arabelli, a ona we mnie. Znałem swoją

wartość. Śmiejesz się. Myślisz: „W to mogę uwierzyć?”. Uważałem, że jestem równie dobry jak każdy inny mężczyzna, i nie mogłem pojąć, dlaczego sir Henry Dorian nie chce mnie na zięcia. Byłem tylko nauczycielem rysunku, to prawda. Nie miałem nic poza talentem, ale z drugiej strony potrafiłem zarządzać jego majątkiem jak nikt inny. Gdyby nie okazał się takim głupcem, jego rodzina nie cierpiałaby teraz... no, powiedzmy, głębokiego niedostatku. Musi być bardzo trudno liczyć się z każdym groszem, gdy wypada zachować pozycję i przywykło się do luksusu.

— Proszę mi opowiedzieć, jak to było.

— Moja propozycja była dla niego zniewagą. Jego córka i nauczyciel rysunku! Nigdy! Upatrzył sobie jakiegoś firyka z sąsiedztwa, z odpowiedniej rodziny. Kogoś lepszego od nauczyciela rysunku. Bella i ja postanowiliśmy uciec. Zwierzyła się jednej z pokojówek. Bella głuptasek! Pokojówka nas zdradziła. Zostałem zwolniony, ale pewnej nocy przyszedłem po nią. Zamykali ją na klucz. Wziąłem więc drabinę z szopy, przystawiłem do muru i wspiałem się do jej pokoju. Dała mi biżuterię, którą schowałem do kieszeni. Wtedy wtargnął sir Henry z czterema służącymi. Taka to była historia, Noro.

— Ona oczywiście wszystko wyjaśniła?

— Próbowala. Płakała. Błagała, żeby ją wysłuchał. Stwierdzono, że doznała szoku i nie wie, co mówi, że ją zastraszyłem i że się mnie boi. Wiedzieli, że jeśli zostanę w Anglii, z czasem namówię ją do ucieczki ze mną. Zdecydowali się mnie pozbyć. Nadarzyła się więc wspaniała okazja, by usunąć mnie z kraju bez możliwości powrotu.

Uniósł rękę i oczy żbika rozbłyły na sygnecie.

— Okropna historia — powiedziałam.

— Nie miałabyś co do tego najmniejszych wątpliwości, gdybyś zobaczyła brudne więzienie i statek dla skazańców. Byłem skuty, Noro — odsłonił nadgarstki — łańcuchy wrzynały mi się w skórę, rany ropiały. Długie tygodnie pod pokładem z mętami całej Anglii. Rabusie, prostytutki, mordercy — wszyscy jechali do Australii. Ładunek dla osadników. Tania siła robocza — w najlepszym wypadku. Pamiętam ten dzień, kiedy dotarliśmy do Sydney i wyszliśmy na pokład. Oślepiający blask słońca, dookoła niebieskie morze i ptaki. Tak, to co najżywiej tkwi w mej pamięci, to jaskrawo upierzone ptaki, czerwonoskrzydłe papugi, tęczowe lory, kakadu z żółtymi grzebieniami, szare, różowe... Pikowały w dół i szczebiotały, a przede wszystkim były wolne. Czy kiedyś zazdrościłaś ptakom? Ja im wtedy zazdrościłem... Gardziłem sobą, zacząłem myśleć o zemście. Przyjdzie dzień, kiedy się zemszczę — ta myśl trzymała mnie przy życiu.

— Ale wkrótce się pan ożenił.

— Z matką Adelajdy i Stirlinga.

— Była córką człowieka, w którego ręce pan się dostał.

— Widzę, że nieźle znasz historię mego życia. Wiedziałem, że jesteś dociekliwa.

— To mnie interesuje. Szybko pan zapomniał o swojej Arabelli.

— Nigdy nie zapomniałem... Jedyna rzecz, o którą nie można mnie posądzić, to niestałość.

— Ale ożenił się pan...

— Z Maybellą. Też Bella...

— Nie ożenił się z nią pan chyba z powodu imienia.

— Nie. Mogła mieć na imię Jane, Mary, Nora... wszystko jedno jak. Co ma do tego imię?

— Ale mógł pan ją nazywać Bella.

— Tak też czyniłem.

— Przypominała tamtą Bellę?

— Skądże — rzekł pogardliwie.

— Biedna Maybellą!

— To było, przynajmniej, małżeństwo z wyrachowania.

— Dla pana, ale chyba nie dla niej.
— Pragnęła tego.
— Żałowała później?
— Zdaje się, że rozmawiałaś z Jessiką. Nieszczęsna Jessika była o Maybellę bardzo zazdrosna.
— Sprawiała na mnie wrażenie niezmiernie Maybelli oddanej.
— Bo była. Motywy ludzkiego postępowania są wszakże tak różnorodne. Naturalnie, była Maybelli bardzo oddana. Pielęgnowała ją w wielu chorobach.
Nie wspominałam, że wiem, jakie to były choroby.
— Marzyła, by się znaleźć na miejscu Maybelli — dodał.
— Żałowała, że nie jest córką chlebobdawcy, że to nie ona jest tą, która da panu wolność.
— Jakaś ty wnikliwa! I o czym my w ogóle mówimy! Wszystko za nami, wszystko skończone.
— Powiedział pan, że nie skończone, że nigdy pan nie zapomni.
— Nie zapomnę — powiedział gwałtownie i zobaczyłam błysk sygnetu, gdy zaciskał pięści. — Ale to przeszłość. Chodź, zagramy.

Poszliśmy do biblioteki. Siedliśmy przy szachownicy naprzeciw siebie, ale tego wieczoru myślami był gdzie indziej i omal go nie pokonałam. Otrząsnął się w porę. Nie chciał, żebym wygrała. Nie byłam pewna, czy dlatego, że żal mu było szachów, czy żeby nie przegrać z kobietą. Zapewne i jedno, i drugie.

Ten wieczór zwierzeń bardzo nas do siebie zbliżył. Żbik stał się ostrożniejszy w postępowaniu ze mną. Może czuł, że powiedział zbyt wiele. Ale staliśmy się sobie bliżsi.

* * *

Wkrótce potem nastąpiła owa zaplanowana wyprawa. Od miasta dzieliło nas około czterdziestu mil, co oznaczało trzy dni podróży, w tym dwie noce pod namiotem.

— Mała wyprawa dla Nory, na próbę — mówił Stirling. — Mieliśmy wziąć ze sobą tylko to, co najpotrzebniejsze, żeby się nie obciążać. Wcześniej wysłane ubrania i rzeczy, potrzebne w czasie pobytu w mieście, czekały już na nas w Melbourne. W ten sposób na miejscu — modnie i elegancko ubrane — miałyśmy spokojnie zrobić zakupy, wysłać je do domu, a potem wyruszyć w drogę powrotną, znów rozbijając na noc obozy.

Wzięliśmy kilka zapasowych koni i konie juczne. Niektóre rzeczy mieściły się w torbach przytroczonych do siodeł. Namiot miał służyć Adelajdzie i mnie. Stirling i drugi towarzyszący mężczyzna planowali spać pod gołym niebem. Wyprawa zapowiadała się interesująco.

Dopiero w godzinę przed wyjazdem odkryłam, że mężczyzną, który miał nam towarzyszyć, jest Jacob Jagger.

— Akurat on! — protestowałam podczas rozmowy z Adelajdą.
— Musi jechać do Melbourne w interesach i powiedział, że chętnie skorzysta z okazji.
— Przez myśl mi nie przeszło, że może opuścić gospodarstwo.
— Doprawdy, Noro, niewiele wiesz o gospodarstwie.
— No... — płątałam się. — Skoro jest zarządcą, powinien...
— Jest zarządcą, ale to nie znaczy, że musi być wciąż na terenie gospodarstwa.
— Nie lubię go, Adelajdo, To ta sprawa z Mary...
— Takie rzeczy zdarzają się czasami...
— Ale ona powiedziała, że on ją... zmusił.
— Dziewczęta zawsze opowiadają takie historyjki. Nie wiedzieliśmy nic o zmuszaniu, póki nie była w ciąży.
— Sprawiała na mnie wrażenie przerażonej.

— Oczywiście. Była przerażona, kiedy się okazało, że wpadła. Zawsze ta sama historia. Poza tym nie wolno ci oceniać ludzi wedle norm, do których przywykłaś w Anglii. Tutaj ludzie są dość samotni... I takie rzeczy się zdarzają. Ojciec to rozumie, nigdy nie bywa surowy w takich przypadkach. Mary jest dobrze zabezpieczona, więc przestań jej żałować i nie oceniaj zbyt surowo Jacoba.

Nie obchodziło mnie, co mówi Adelajda. Nie lubiłam tego człowieka i koniec.

Gdy mnie zobaczył, uśmiechnął się szeroko.

— Rad jestem z tej podróży — powiedział.

Opuściłam obojętnie głowę i starałam się patrzeć w inną stronę. Cieszyłam się, że Stirling będzie z nami.

Jechał obok mnie, uśmiechając się i pokazując mi osobliwości natury, które jak uważał, mogłabym przeoczyć. Jakże odmieniło się moje życie od czasu, gdy go poznałam i jak ważną rolę zaczynał w nim odgrywać! Żbik wprawdzie częściej gościł w moich myślach, Żbika uznawałam za postać dominującą w naszej gromadce, ale Stirling przypominał go na wiele sposobów. Był delikatniejszą i bardziej życzliwą odmianą swego ojca. Ale nie można było nie ulec wrażeniu, jakie Żbik wywierał na otoczeniu — jego nie sposób było nie podziwiać, a nawet nie odczuwać wobec niego czegoś na kształt ślepego oddania, tego, co u Stirlinga nazywałam bałwochwalstwem. Do Stirlinga żywiłam cieplejsze, bardziej ludzkie uczucie. Nie mogłam sobie jednak wyobrazić domu — mojego Małego Domu Białych Dam — bez Żbika. Dni stawały się pełniejsze, gdy zasiadał u szczytu stołu podczas kolacji, gdy grałam z nim w szachy lub gdy, jak mawiał, próbowałam wyciągać go na zwierzenia. Częściej chyba myślałam o Żbiku niż o Stirlingu, ale nie miałam wątpliwości, że kocham Stirlinga. Nie potrafiłam natomiast nazwać tego, co czułam do Żbika. Byłam przekonana, że pewnego dnia Stirling poprosi mnie o rękę, i kiedy to zrobi, powiem bez wahania „tak”. Żbik da nam swoje błogosławieństwo — nie miałam wątpliwości, że i on tego chce — i będziemy zawsze szczęśliwi. I zamożni, choć pozbedziemy się kopalni. Zamierzałam w przyszłości zabiegać o to u Stirlinga. Potem moje myśli ogarnęła pustka — wyobraziłam sobie, że Żbik umarł. Żbik... nie żyje! Niemożliwe. Nikt — nawet Stirling — nie przejawiał tak ogromnej witalności.

Muszę przekonać Żbika i Stirlinga, żeby pozbyli się kopalni. Nie zniosę myśli o ludziach umierających na suchoty ani twarzy Żbika, kiedy mówi o złocie.

Jechaliśmy na południe. Gdy miało się ku zachodowi, znaleźliśmy miejsce na obozowisko. W pobliżu przepływała rzeczka, mieliśmy więc wodę, po którą poszedł Stirling. Jacob rozpałał ognisko. Adelajda obiecała, że mi pokaże, jak się robi placki, i że wkrótce zjemy posiłek. Wyciągnęliśmy z toreb przytroczony do siodła gotowany boczek i baraninę.

Jakże radosnym przeżyciem mogła być ta wyprawa, gdyby nie obecność Jacoba Jaggera. Trzeba przyznać, że był bardzo sprawny w rozniecaniu ognia. Wyjaśniał przy tym, co zrobić, by drewno się rozpałało i jak ważny jest wybór stosownego miejsca.

— Łatwo spowodować pożar lasu — dodał — a to jest coś, czego mam nadzieję, nigdy nie będzie musiała pani przeżyć.

— Ostatni był straszny — wtrąciła Adelajda. — Naprawdę myślałam, że z gospodarstwem koniec.

— Wszyscy tak sądziliśmy — przytaknął Jagger. Na jego tłustej twarzy pojawił się wyraz powagi, czego nigdy przedtem u niego nie widziałam. — Były chwile, kiedy ogień napierał ze wszystkich stron. Myślałam, że tylko patrzeć, a któreś z drzew koło domu wybuchnie płomieniem — to byłby koniec.

Trudno mi było sobie wyobrazić taki koszmar. Ale teraz nad przyjacielskim małym ognikiem, który rozpałał Jagger, piekły się placki i gotowała woda na herbatę.

Było bardzo przyjemnie leżeć na kilimach, które rozciągnęliśmy z Adelajdą na trawie.

— Jak ci się podoba obozowanie, Noro? — spytał Stirling.

— To wielka frajda.

Wyciągnął się obok mnie. Wsparty łokciem o ziemię, dłonią podpierał głowę.

— Wiedziałem, że będzie ci się podobało. — Patrzył na mnie z ciepłą aprobatą. — I że nie należysz do niezaradnych panienek, które piszczą i uciekają na widok pająka.

— Chyba nie musieliśmy rozbijać obozu, żebyś doszedł do tego wniosku.

— Oczywiście. Wiedziałem to wcześniej.

Uśmiechał się w sposób, który mnie zachwycił. Podobałam mu się, istniała między nami nić porozumienia. Był opiekuńczy, chciał, żebym się podobała, żeby mnie podziwiano; dlatego tak się niepokoił, czy zrobię dobre wrażenie na jego ojcu. Najlepszy dowód, że mnie kocha.

A więc naprawdę znalazłam tu swój dom. I tu chciałam spędzić resztę życia. Mały Dom Białych Dam miał być ostoją mojej szczęśliwej przyszłości. Żbik zawsze będzie jego pa — nem — panem dobrotliwym, pobłażającym, a nawet stwarzającym pozory, że panem nie jest. Traktując mnie jak córkę, jak córkę będzie mnie kochał. Sądziłam, że ta chwila jest już bliska. No i dzieci — w moim domu nie może zabraknąć dzieci. Żbik będzie je kochał i będzie z nich dumny, ja zaś stanę mu się jeszcze bliższa, bo dam mu wnuki.

Jak łatwo snuć marzenia w buszu! Może Stirling marzył także, może podobne były nasze myśli...

Kiedy się ściemniło, siedliśmy gawędząc wokół ognia i nawet Jacob Jagger wydawał się sympatyczny. Adelajda opowiadała, jak podczas jednej z takich wypraw zgubiła się w buszu. Poszła po wodę i nie mogła odnaleźć drogi powrotnej do obozu.

— Tak łatwo się zgubić — mówiła. — Krajobraz prawie się nie zmienia, a przynajmniej nie zdajesz sobie z tego sprawy. Idziesz drogą, którą uważasz za dobrą, i nagle stwierdzasz, że zaszłaś całkiem gdzie indziej. Zgubić się w buszu to straszne uczucie.

— Pamiętam ten wypadek — rzekł Stirling. — Wszyscyśmy cię szukali. Znaleźliśmy cię zaledwie pół mili od obozu. Chodziłaś w kółko.

Adelajdą wstrząsnął dreszcz.

— Nigdy tego nie zapomnę. Niech to będzie ostrzeżenie dla ciebie, Noro.

— O, będziemy pilnować panny Nory — rzekł Jagger.

— Nie ma obawy — dodał Stirling. — Niemniej jednak weź sobie to ostrzeżenie do serca i nie oddalaj się samotnie.

Przyrzekłam. Później Stirling i Adelajda śpiewali piosenki, które pamiętali z dzieciństwa i które angielskie dzieci śpiewały od dziesiątków lat.

— Tylko takich nasz ojciec lubił słuchać — powiedziała Adelajda.

Poszliśmy z Adelajdą do namiotu. Wkrótce zasnęłam bardzo zmęczona świeżym powietrzem i długą jazdą.

Obudziły mnie kukabury śmiejące się nad obozem. Ubrałyśmy się i poszliśmy umyć się nad rzeczkę. Adelajda przy — toczy żbika niosła wody, którą zagotowała w kwartowych kociołkach. Piliśmy herbatę w cynowych kubkach — miała wyśmienity, rzadki smak.

Wyjechaliśmy wcześniej rano, zaraz po śniadaniu złożonym z placków i zimnego bekonu. Była też galaretką z owoców passiflory, którą Adelajda przezornie wsunęła przed wyjazdem do swojej torby.

Zatrzymaliśmy się w południe. Gotowałam wodę na herbatę nad ogniem, gdy nagle zdałam sobie sprawę, że Jagger stoi tuż obok.

— Zasmakowała pani w obozowym życiu, panno Noro — rzekł.

Odpowiedziałam, nie patrząc na niego:

— Tak, jest fascynujące.

— To wspaniałe życie...

Ukląkł blisko mnie, a ja w popłochu podniosłam się gwałtownie. Zerknęłam przez ramię. Ani śladu Adelajdy i Stirlinga.

— Gdzie oni są? — spytałam.

Roześmiał się.

— Niedaleko. Nie trzeba się bać.

— Bać? — spytałam chłodno zirytowana, ponieważ rzeczywiście się bałam tego sam na sam.

— Czego miałabym się bać?

— Może mnie?

— Nie widzę powodu.

Wydał przesadnie głębokie westchnienie ulgi.

— Cieszę się. Nie ma się czego bać. Bardzo panią lubię, panno Noro.

— Ja też się cieszę, że nie ma się czego bać, jak pan to ujął. A pańskie uczucia zupełnie mnie nie interesują.

— Może moglibyśmy to zmienić.

— Myślę, że sama dam sobie radę z własnymi uczuciami.

Och, gdzie Adelajda, gdzie Stirling? — myślałam. Dlaczego się nie pokazują, żebym mogła skończyć tę okropną rozmowę, którą na siłę przeciągam. Mogłam po prostu odejść, ale nie chciałam, żeby się domyślił, jak obrzydliwy mi się wydaje, no i takie odejście zdradziłoby mój strach.

— Jest pani hardą młodą damą. To także mógłbym zmienić.

— Odkąd to, zdaniem pana, jest pan zdolny kształtować mój charakter?

— Od chwili, gdy panią ujrzałem. W rzeczy samej, panno Noro, nie przestaję myśleć o pani od tamtej chwili.

— To dziwne!

— Wcale nie dziwne. Jest pani godną uwagi młodą damą. Najbardziej godną uwagi spośród wszystkich, jakie kiedykolwiek spotkałem. Nigdy przedtem żadna kobieta nie interesowała mnie równie mocno.

— A Mary? — spytałam i poczułam, jak rumieniec pali mi twarz.

— Nie może być pani zazdrosna o służącą!

— Zazdrosna? Pan zwariował!

Odeszłam, lecz on szedł tuż przy mnie. Położył mi rękę na ramieniu.

— Panie Jagger — wybuchnęłam — proszę uprzejmie wziąć tę rękę. Jeśli pan jeszcze raz ośmieli się mi dokuczać, powiem o tym panu Herrickowi... mam na myśli Żbika.

To imię napawało ludzi strachem. Jagger wzdrygnął się i natychmiast odstąpił. Ku swojej bezgranicznej radości usłyszałam głos Stirlinga:

— Nora! Herbata gotowa?

Tego wieczoru dotarliśmy do Melbourne. W ferworze zakupów zapomniałam o Jaggerze. Kupiłam zielony jedwab na sukienkę. Wyobrażałam sobie, jak w niej będę wyglądać podczas szachowych wieczorów ze Żbikiem. Adelajda pomoże mi ją uszyć. Biegłe posługiwała się igłą i uwielbiała piękne materiały.

Kiedy odmierzano jedwab, powiedziała:

— Miło jest szyć ładne rzeczy. W tym kolorze będzie ci bardzo do twarzy, Noro.

Ujęła mnie za ramię i powiedziała cicho:

— Cieszę się, że jesteś z nami. Nie wyobrażam sobie nawet, że mogłoby cię nie być.

Po czterech dniach wyruszyliśmy w drogę powrotną. Nie wydarzyło się nic szczególnego. Nauczyłam się rozpalać ogień, robić placki i gotować herbatę w kociołku nad ogniem. Wiedziałam, co to busz.

— Jesteś teraz jedną z nas — powiedział Stirling z uznaniem.

* * *

Siedzieliśmy przy partii szachów. Długie palce Żbika pieściły królową z kości słoniowej w koronie ze złota i brylancików.

— A więc podobała ci się wyprawa — rzekł.

— Było wspaniale.

— Podoba ci się spanie pod namiotem?

— Przez parę nocy może być ciekawe.

— Ja lubię komfort. Moje zmysły są bardzo wrażliwe. Jestem jak kot. Lubię spać w ciepłym łóżku, często brać kąpiel, zmieniać co dzień bieliznę. To prawie niemożliwe, gdy się obozuje. Ale tobie się podobało.

— Ja chyba też wolę wygody, lecz to interesujące zobaczyć busz, mieć pojęcie, jak ludzie tutaj żyli.

— Myślę, że jest w tobie coś z pioniera, Noro. Dlatego wyprawa wydała ci się doskonała pod każdym względem.

— Hmmmm...

Obraz Jaggera wyrósł mi przed oczami. Nie wiem, dlaczego czułam taki lęk przed tym człowiekiem. Może to wiązało się ze sprawą Mary. Adelajda mogła Mary nie wierzyć, lecz ja wierzyłam.

— Ach! Łyżka dziegciu w beczce miodu?

Jaki był domyślny! Niczego nie mogłam przed nim ukryć.

— Adelajda i Stirling byli wspaniali — powiedziałam szybko. — Nauczyli mnie, jak rozniecać ogień i robić placki, jak się zachowywać w buszu.

— Jagger był z wami?

Rumieniec wypłynął mi na policzki.

— Taak. On też był z nami.

— Jest najlepszym zarządcą, jakiego mieliśmy — rzekł. — Niełatwo takiego znaleźć. Większość mężczyzn szuka złota i trudno ich utrzymać na miejscu, a gdy odejdą, nie mają powrotu. Moja w tym głowa! Tak, Jagger dobrze się spisuje w gospodarstwie.

Zaczęliśmy grać. Tym razem szybko mnie pokonał.

— Nie grałaś dziś dobrze, Noro — powiedział. — Myślami byłaś, zdaje się, daleko stąd. Może w buszu...

* * *

Nastala jesień. Trzeba było przygotować się do zimy. Do drewni zwożono kloce drewna, Adelajda robiła zapasy żywności. Czasami posiadłość była w zimie odcięta od świata przez powodzie albo przez opady śniegu. Żbik nie lubił, gdy czegokolwiek brakowało, zadaniem Adelajdy było więc dopilnować, żeby dom był dobrze zaopatrzony.

Po letnich upałach nastaly wspaniale dni do jazdy konnej i kiedy Adelajda ani Stirling nie mogli mi towarzyszyć, jeździłam sama. Nie zapominałam o przestrojach Adelajdy, że bardzo łatwo

zgubić się w buszu, zawsze więc z uwagą obserwowałam punkty orientacyjne. Miałam swoje stałe trasy i rzadko z nich zbaczałam. Jeśli przyrzekałam, że pojedę do Doliny Kerry'ego, do Kopca Marty lub na Psie Wzgórze, pozwalano mi na samotną przejażdżkę. Myślę, że niepokojono się o mnie, gdy jeździłam sama, ale zarazem nie chciano, żebym czuła się ograniczana.

Tego ranka postanowiłam pojechać do Doliny Kerry'ego. Między drzewami wił się tam strumień. Gdy kwitły akacje, było to jedno z najpiękniejszych miejsc w okolicy. Lubiłam, przywiązawszy konia do drzewa, usiąść i patrzeć na wodę. Człowiek imieniem Kerry przybył tu dwadzieścia lat temu i znalazł trochę złota nad strumieniem. Stracił dziesięć lat na dalsze poszukiwania, ale nie znalazł niczego i rozczarowany porzucił dolinę. Pozostała po nim tylko nazwa. Poszukiwacze zostawili to miejsce w spokoju, ponieważ Kerry udowodnił, że nie ma tu cennego kruszcu.

Siedziałam tam owego pięknego kwietniowego poranka, patrząc na wodę i myśląc o tym, co się wydarzyło w ciągu ostatnich miesięcy. Ileż miałam szczęścia, że wyrwałam się z Danesworth House! Tamtejsze drzewa i krzewy są już pewnie całe w pąkach, a żagwin i gęsiówka zaczynają kwitnąć. Mary na swoim poddaszu cieszy się, że zimne noce minęły. Nieszczęsna mademoiselle Graeme uświadamia sobie, że znów jest wiosna, minął kolejny rok, o rok bliżej do chwili, gdy panna Emily nie będzie chciała dłużej korzystać z jej usług.

Jakie to smutne! Biedna panna Graeme. A tutaj ja — wolna jak przepiękne różowe kakadu fruujące w górze. Przyszedł mi na myśl Żbik schodzący ze statku dla skazańców i zazdroszczący ptakom.

Kochany Stirling! Kochany Żbik! Obu ich kochałam. I Adelajdę, chociaż mniej, także. Nieoczekiwanie stali się moją rodziną i wynagrodzili mi w pewien sposób stratę ojca. Znów mogłam być szczęśliwa. Byłam szczęśliwa.

Usłyszałam jakiś szelest. Jakże głos się niesie w buszu! Teraz słyszałam dokładnie tętent kopyt galopującego konia. Wstałam i osłoniłam ręką oczy. Nikogo nie było widać. Usiadłam znowu i oddałam się słodkim rozmyślaniom.

Tak, byłam tu szczęśliwa. Wierzyłam, że wyjdę za Stirlinga. Byłam jeszcze młoda, miałam zaledwie osiemnaście lat. Może w dziewiętnaste urodziny poprosi mnie o rękę. Wyobraziłam sobie, jak w bibliotece przyjmujemy gratulacje od Żbika. Weźmie mnie w ramiona, ucałuje i powie: „Teraz naprawdę jesteś moją córką”. To dopiero będzie szczęście! Mnie, odrzuconą przez matkę, mnie, która straciłam ojca, radośnie przyjmie Żbik jako córkę. Trzeba być szczęśliwym, — by snuć tak piękne marzenia.

Usłyszałam kroki za sobą.

— Dzień dobry, panno Noro!

Przeszedł mnie lodowaty chłód. Jacob Jagger był tuż-tuż za mną. Gdy zerwałam się, stanęłam z nim twarzą w twarz. Wokół panowała kompletna cisza — byliśmy sami w buszu. Jak błyskawica przemknęła mi przez myśl tamta chwila w obozowisku — lecz wtedy Stirling i Adelajda byli w pobliżu.

— Pan! — zająknęłam się.

— Nie wygląda pani na zachwyconą moim widokiem. I pomyśleć, że przyjechałam tu specjalnie dla pani.

— Skąd pan wiedział...

— Moja w tym głowa, żeby wiedzieć, gdzie pani jest, panno Noro. Widziałem, w jakim kierunku pani jedzie, więc pomyślałem: „Oho, dzisiejszego ranka Dolina Kerry'ego”.

— Ale po co pan za mną przyjechał?

— Dowie się pani w stosownym czasie. Nie ma pośpiechu.

— Nie podobają mi się pańskie maniery, panie Jagger.

— Mnie od dłuższego czasu nie podobają się pani maniery.

— Nie ma zatem sensu przedłużać tej rozmowy — odwróciłam się, ale chwycił moje ramię, a mnie ogarnął strach przed przemocą; był bardzo silny.

— Znów muszę się sprzeciwić, panno Noro. — Przybliżył swoją tłustą pożądliwą twarz do mojej. — Ale tym razem ja gram pierwsze skrzypce.

— Zapomina pan, że mogę opowiedzieć o wszystkim, gdy wrócę.

— Ale jeszcze pani nie wraca.

— Nie rozumiem.

— Nie jest pani aż tak opanowana, na jaką pani wygląda i myślę, że wszystko pani świetnie rozumie.

— Pan jest bardzo agresywny, panie Jagger. Nie lubię pana i nigdy nie lubiłam. Proszę się odsunąć. Do widzenia.

Zaśmiał się bardzo nieprzyjemnie. Nie mogłam ukryć przerażenia. Przemknęła mi przez myśl Mary. Czy tak było w jej przypadku?

— Jeszcze pani nie wraca, panno Noro. Chcę pani coś powiedzieć. Nie mam żony. I nie miałbym nic przeciwko temu, by ją mieć... gdyby to była pani.

— Opowiada pan bzdury.

— Nazywa pani uczciwą propozycję małżeństwa bzdurami?

— Tak, jeśli pochodzi od pana. Proszę się odsunąć. Pożałuje pan, jeśli będzie pan próbował dłużej mnie zatrzymać.

Wciąż się śmiał, jego twarz nabrała purpurowej barwy, jego usta były wstrętne.

— A więc to pani rządzi teraz domem, co? Na Boga, panno Noro, czas, by ktoś dał pani nauczkę.

Wyrwałam się i pobiegłam w stronę mojego konia, ale nie miałam szans. Dogonił mnie i zagroził drogę.

— Odczepi się pan ode mnie, panie Jagger? — wysapałam.

— Nie, panno Noro, nie odczepię.

Na jego twarzy malował się wyraz jakiegoś przerażającego uczucia, które uznałam za pożądanie. Ten człowiek nie panował nad własną żądzą. Bez wątplenia z łatwością narzucał swą wolę bezsilnym służącym — za milczącą zgodą Żbika. Powinien jednak rozumieć, że ja nie jestem jedną z nich, i jeśli mnie dotknie, odpowie przed Żbikiem... i Stirlingiem.

Próbowałam przebiec obok niego, ale mnie złapał. Poczulałam jego wąskie, wstrętne wargi na twarzy. Chwyciłam go za włosy, szarpnęłam, ale nie mogłam się z nim mierzyć. Walczyłam desperacko. Kopnęłam go, warknął z bólu i przez chwilę byłam wolna. Popędziłam na oślep w stronę konia, ale już był przy mnie.

Upadłam, on upadł także, krzyczałam głośno: „Żbik! Stirling! Pomocy!”

Kukabury naśmiewały się ze mnie. Oddychałam nierówno, szlochając głośno. On był wściekły, czułam, że mnie nienawidzi, ale nienawiść nie zmniejszała pożądania, wręcz je wzmacniała.

Mamrotał, że jestem diablicą. Chciałam wykrzyknąć, jak się nim brzydzę, że będzie musiał mnie zabić, zanim się poddam, ale ledwie mi starczało oddechu na walkę.

Nie byłam chuchrem, ale on był silnym mężczyzną. Usłyszałam samą siebie, modlącą się: „Boże, pomóż mi, Żbik... Żbik...”

I wtedy usłyszałam głos, jego głos, choć przez sekundę zdawało mi się, że to urojenie. Głos jednak brzmiał wyraźnie:

— Jagger! Wstawaj, Jagger!

Leżałam na ziemi bez tchu. Mój zakiet do konnej jazdy był poszarpany, włosy zwisały w nieładzie. Odsunęłam je drżącą ręką z twarzy i zobaczyłam go. Wyglądał dostojniej niż kiedykolwiek, siedział na ogromnym białym koniu. Jego oczy miały odcień niebieskiego lodu.

— Stań tam, Jagger — rozkazał.

Jagger słuchał go jakby w transie. Żbik podniósł rękę i usłyszałam ogłuszający huk.

Jagger leżał na ziemi we krwi.

Czas się zatrzymał. Wydawało mi się, że minęła wieczność, choć wszystko trwało zaledwie kilka sekund. Leżałam tam, gdzie Jagger mnie przewrócił, a Żbik siedział na koniu z dymiącym pistoletem w ręce, spokojny, wszechmocny.

— Nie patrz, Noro — powiedział. — Siadaj na konia.

Byłam posłuszna jak Jagger. Z trudem oddychałam, ale podeszłam do konia i wspięłam się na niego. Żbik był obok mnie. W ciszy wróciliśmy do Domu Białych Dam.

* * *

Opiekowała się mną Adelajda. Przeżyłam szok, leżałam w łóżku i nic nie mówiłam. Adelajda przyniosła mi brandy i żółtka z mlekiem. Odwróciłam się, ale nalegała:

— Ojciec powiedział, że masz to wypić. Wypiłam więc i poczułam się lepiej.

Wieczorem dała mi lekarstwo, po którym obudziłam się dopiero rano. Spałam więc bez snów, a sądziłam, że to już nigdy nie będzie możliwe. Bałam się, że przemoc i krew wycisną trwale piętno w moim mózgu. Wciąż na nowo to przeżywałam: tę chwilę, gdy się odwróciłam i zobaczyłam Jaggera, gdy zdałam sobie sprawę, że jestem z nim w buszu sam na sam, zdana na jego łaskę, rosnące przerażenie i moment, gdy zjawił się Żbik, jakby w odpowiedzi na moje wołanie.

Nigdy nie zapomnę widoku Żbika siedzącego na białym koniu i tego, jak — z zimną krwią — uniósł broń i wypalił.

Tam była krew, powtarzałam sobie. Na krzakach, na ziemi, wszędzie krew. Żbik zabił Jaggera. Nie, zapewniałam sobie samą, zranił go tylko. Nawet on nie ośmieliłby się zabić człowieka. Stałby się przecież mordercą.

Ale w głębi serca wiedziałam, że Żbik zabił Jaggera za to, co Jagger chciał mi zrobić.

* * *

W domu było cicho jak makiem zasiał. Zrobiono trumnę dla Jaggera i wstawiono ją do największej szopy, gdzie przechowywano wełnę.

Wszyscy mężczyźni z imperium Żbika — z gospodarstwa, z domu, z kopalni — zostali wezwani do szopy. To był niesamowity dzień, dzień pełen ciszy, żałoby i jeszcze czegoś — jakby miał się odbyć jakiś rzadki rytuał.

Stirling wziął mnie w ramiona:

— Wszystko w porządku, Noro — rzekł. — O nic się nie martw i nigdy więcej o tym nie myśl. Możesz czuć się bezpieczna.

Potem weszła Adelajda i powiedziała:

— Noro, ojciec chce, żebyś poszła do szopy. Nie bój się. Czujesz się już znacznie lepiej. Pójdę z tobą. Stirling też.

— Nie boję się.

— Ojciec mówi, że nie powinnaś się nigdy więcej niczego bać i że musimy się tobą lepiej opiekować.

— Zawsze mnie ostrzegaliście, że mogę się zgubić w buszu.

— Powinnam była pomyśleć także o tym.

— To samo było z Mary — przypomniałam. — Ale jej nie wierzyłaś.

— Och, Noro, moja droga. Już po wszystkim, to się nigdy nie powtórzy. Ojciec jest bardzo stanowczy.

Nigdy nie zapomnę tego, co się działo w szopie. Była to lekcja prawa, którym rządził się ten kraj. Sprawiedliwość dosięgła Jaggera. To był wyrok. Każdy mężczyzna, którego córka znalazłaby się w takim jak ja położeniu, miał prawo zabić gwałciciela.

Trumna stała na kozłach w głębi szopy. W nogach i głowach płonęły po dwie świece. Żbik stał blisko świec i światło przenikało błękit jego oczu.

Wyciągnął rękę, gdy mnie zobaczył. Podeszłam i stanęłam obok niego. Adelajda i Stirling zostali przy drzwiach. Szopa była pełna mężczyzn — niektórych znałam, innych nigdy przedtem nie widziałam na oczy.

Żbik ujął mnie za rękę i patrząc na trumnę rzekł:

— W tej skrzyni leży to, co zostało po Jacobie Jaggerze. A to moja córka. Jeżeli którykolwiek z mężczyzn jej dotknie, zostanie ukarany tak jak Jacob Jagger. Radzę dobrze o tym pamiętać. Jak wiecie, jestem człowiekiem, który dotrzymuje słowa.

Trzymając ciągle moją rękę w swojej, wyszedł ze mną z szopy. Adelajda i Stirling podążyli za nami.

Rozdział 5

Nic już nie było tak jak przedtem. Czulałam się pokonana. Gwałtownie wydorostałam. Ludzie przypatrywali mi się ukradkiem, a mężczyźni z majątku jakby się mnie bali. Pewnie ilekroć mnie widzieli, przychodził im na myśl Jacob Jagger.

Stirling doglądał gospodarstwa, póki nie znaleziono nowego zarządcy, Jamesa Maddera, który dowiedziawszy się o losie swego poprzednika, nawet nie spoglądał w moją stronę. Adelajda próbowała zachowywać się jak gdyby nigdy nic, ale trudno udawać, że nagła śmierć zdarza się co dzień.

Przez pewien czas nie miałam ochoty wsiąść na konia. Trzymałam się Adelajdy; było w niej coś, co dawało mi poczucie bezpieczeństwa. Rozumiała moje uczucia i wciąż angażowała mnie do pomocy w gospodarstwie. Zrobiłyśmy zasłony do paru pokoi, szyłyśmy nowe i przerabiałymy stare sukienki. No i oczywiście, pracowałyśmy w ogrodzie.

Czasami budziłam się w nocy, wołając o pomoc. Nie zawsze pamiętałam sny, miały one jednak związek z tamtym koszmarnym dniem.

— Stirling — powiedziała pewnego dnia, kiedy jechaliśmy konno — nigdy nie mówisz o tamtym wydarzeniu. Czy nie lepiej byłoby o nim mówić?

— A nie lepiej zapomnieć?

— Sądzisz, że o czymś takim można zapomnieć?

— Trzeba próbować. Z czasem wszystko zatrze się w pamięci. Zobaczysz.

— To było jak koszmar.

— Powinienem był tam być. Powinienem był się domyślić. Jagger był świnią. Podejrzywałaś coś?

— Zawsze się go bałam.

— Ale nigdy nic nie mówiłaś.

— Nie sądziłam, że to ważne. Aż do momentu, kiedy znalazłam się tam... sama.

— Nie mówmy o tym. Noro. Było — minęło. Ojciec przyjechał w porę. Jaggera nie ma. Nie będzie więcej próbował cię skrzywdzić.

— Twój ojciec zabił człowieka z mojego powodu.

— Postąpił słusznie.

— Mógł go wyrzucić. Odesłać stąd. Dlaczego tego nie zrobił?

— Ojciec zrobił to, co należało. Życie tutaj jest inne, Noro. W Anglii jeszcze nie tak dawno można było człowieka powiesić za kradzież owcy. Tutaj każdy mężczyzna ma prawo zabić tego, kto atakuje kobietę.

— Ale to morderstwo.

— To była sprawiedliwość.

— Czy nikt tego nie zakwestionuje?

— Śledztwo się odbyło. Ojciec nie pozwolił, żebyś brała w nim udział, bo to byłoby dla ciebie zbyt denerwujące. Nie chciał, by cię przesłuchiowano. Powiedział, co się stało, powiedział, że zabił Jaggera i zabiłby każdego, kto zachowałby się tak jak Jagger wobec jego córki. Jagger był recydywistą. Wszyscy o tym wiedzieli. Zapadł werdykt: sprawiedliwości stało się zadość. Taka jest prawda. Musisz przestać o tym myśleć.

Chcieli, żebym żyła jak dawniej, jeździła konno, kiedy miałam ochotę i przestała myśleć o tamtym okropnym dniu.

Moje stosunki ze Żbikiem uległy subtelnej zmianie. Nawet on czuł się skrępowany. Grywaliśmy w szachy jak dawniej, ale minęło kilka tygodni, zanim udało mi się zmusić go do mówienia.

— Co cię sprowadziło do Doliny Kerry’ego tamtego dnia?

Zmarszczył brwi, jakby zbierając myśli.

— Nie wiem dokładnie. Chyba wyczuwałem, że dzieje się coś złego. Pamiętam, jak rozmawialiśmy o wyprawie do Melbourne, kiedy obozowaliście w buszu. Wspomniałem Jaggera i coś w twoim zachowaniu powiedziało mi, że się tego człowieka boisz. Domyślałem się, z jakiego powodu... znając Jaggera. Tego ranka zaniepokoiłem się, gdy zobaczyłem, że jedzie w stronę Doliny Kerry’ego. Postanowiłem pojechać za nim. To wszystko.

— Na szczęście dla mnie. A Jagger przyplacił to życiem.

Oczy Żbika zabłyśły.

— Nie sądzisz chyba, że powinienem być pozwolić, by żył dalej.

— Zmusił Mary — powiedziałam — przyznała mi się do tego.

Wzruszył ramionami.

— To ci było obojętne?

— Nie w tym rzecz. Czy uważasz, że mógłbym być obojętny wobec czegośkolwiek, co dotyczy ciebie?

W bibliotece zaległa cisza przerywana tykaniem zegara, pięknego francuskiego zegara, który przysłano mu z Londynu.

— Zagrajmy — powiedział nagle.

Rozegraliśmy jeden z najbardziej osobliwych meczy. Dotychczas zawsze zwyciężał, tym razem ja byłam górą. Pobiłam królową i ogarnęło mnie dziwne uczucie triumfu, gdy ją wzięłam.

— Masz mnie — powiedział drwiąco — ale pod warunkiem, że będziesz grać uważnie.

Graliśmy dalej, czas mijał, lecz ilekroć byłam gotowa go pokonać, udaremniał moje wysiłki. W końcu zagnałam go do rogu.

— Szach–mat — wykrzyknęłam.

Wyprostował się w krzesło. Oparł łokcie o stół i przyglądał się szachownicy, niby zdziwiony. I nagle doszłam do wniosku, że pozwolił mi wygrać, tak jak to robił mój ojciec.

— Chciałeś, by tak się stało. Pozwoliłeś na to! — powiedziałam z wyrzutem.

— Tak myślisz?

Patrzyłam w te niezwykle oczy i nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

Tak, nasze stosunki rzeczywiście bardzo się zmieniły.

* * *

Szłam w saloniku Adelajdy, gdy weszła Jessika i usiadła, przyglądając mi się badawczo.

— Przyszłaś posłuchać, jak czytam? — spytałam. — Adelajda jest dziś zajęta, nie będzie czytania.

— Wobec tego możemy porozmawiać. Silnie na niego działasz.

Wiedziałam, kogo ma na myśli, ale udawałam, że nie wiem.

— Zmienił się, od kiedy tu jesteś — ciągnęła. — Dla nikogo nie był taki. Może tylko wobec Stirlinga...

— Stirling jest jego synem — przypomniałam jej. — A o mnie troszczy się jak o córkę.

— O Adelajdę wszakże nie — rzekła spoglądając triumfalnie. — A ona jest jego córką. Dla Adelajdy nigdy taki nie był. Dla ciebie zabił człowieka.

Zadrżałam.

— Ludzie tak nie mówią.

— Fakty są faktami, nawet jeśli się o nich nie mówi.

— Rośliny zachowują świeżość dzięki ciągłemu podlewaniu — rzekłam. — Podobnie wspomnienia. Jeśli są miłe, w porządku. Jeśli nie, szaleństwem jest je przywoływać.

— Mądrze mówisz. Może i tak jest. Ciekawe, czy tamta też była taka mądra.

— Co za tamta?

— Tamta w Anglii. Bo biedna Maybella nie była mądra. Już ja byłam mądrzejsza. Gdyby nie to, że mu chodziło o córkę gospodarza, a nie o siostrzenicę, mnie by wybrał. I śmiem twierdzić, miałabym synów. Nie to co Maybella, takie chuchro. On wolał mnie. — Spojrzała chytrze. — Nie był wierny. Miał też inne, poza mną.

Wtedy zrozumiałam jej uczucia do Żbika. Była jego kochanką. Kiedyś go kochała, teraz — nienawidziła. Pozwalała, by te dwa skrajnie różne uczucia kierowały jej życiem. Kochała Maybellę i była o nią zazdrosna, na przemian kochała i nienawidziła jej męża. Życie stało się nagle niezmiernie skomplikowane. Teraźniejszość przyćmił cień przeszłości. Wydarzenia, które miały miejsce przed laty w Domu Białych Dam, prześladowały teraźniejszość, podobnie jak nieco późniejsze wydarzenia w Rozella.

— Bądź ostrożna — ostrzegęła Jessika. — Niedobrze się do niego zanadto zbliżać. On przynosi kobietom nieszczęście.

— To mój opiekun. Bardzo się o mnie troszczy. Czego mam się obawiać?

— Biedna Maybella! W życiu nie znałam nieszczęśliwszej kobiety! Gardził nią i ją lekcewał. Byłoby dla niej o wiele lepiej, gdyby się z nią kłócił. Ale być niczym, być środkiem do zdobycia syna? To ją raniło. Gdyby nie umarła przy porodzie, umarłaby z rozpacz. Ja bym z takiego powodu nie umarła. Ja nie byłam taka słaba. Pozwalałam, aby nienawiść we mnie wzbierała, uwielbiałam go dręczyć. Bo jego dręczy moja obecność. Widzę to w jego oczach, gdy na mnie patrzy. Chciałby, żebym mu zeszła z drogi, ale nie może mnie przepędzić. „Jessie zawsze będzie tu miała dom”. Tak powiedział mój wuj. Tak mówiła Maybella. Nie może lekcewać woli umarłych, prawda? Chociaż to człowiek, który samego diabła się nie boi. Udaje, że go nie obchodzi.

— Lepiej zapomnieć o tym, co było przed laty, jeśli pamięć o tym nie przynosi nic dobrego.

Przymrużyła oczy i popatrzyła na mnie uważnie.

— On nie zabił Jaggera za usiłowanie gwałtu. W przypadku Mary nic go to nie obchodziło, prawda? Ale to byłaś ty. Zabił człowieka dla ciebie. Dlatego mówię: miej się na baczności.

Odłożyłam szycie.

— Jessiko — zaczęłam — to miło z twojej strony, że się o mnie troszczysz, ale ja potrafię sama się troszczyć o siebie.

— W Dolinie Kerry’ego jakoś nie potrafiłaś, co? Miałam ochotę wstać i wyjść. Jessika przypomniała mi tamten dzień w całej okropności. Na to wspomnienie nałożył się obraz Żbika przybywającego do Rozella z ropiejącymi ranami na nadgarstkach, z gorzką nienawiścią w sercu, zdecydowanego wziąć odwet. Poszedł na skrót do wolności. Poślubił Maybellę, a Jessika była wściekła, bo uległa jego magnetycznej sile i stała się jego kochanką. Gdyby była córką właściciela majątku, a nie siostrzenicą, ona zostałaby żoną Żbika.

Teraz lepiej rozumiałam jej rozgoryczenie. Tak, stanowczo ostatnio wydoroślałam.

* * *

Przyszła zima. Pastwiska zalała woda. Wiały dokuczliwe zimne wiatry i padał śnieg. Trudno było uwierzyć, że w Boże Narodzenie mieliśmy tak nieznośne upały. James Madder okazał się

sprawnym zarządcą i z pomocą Stirlinga, który spędzał w gospodarstwie coraz więcej czasu, pracował bardzo ciężko, tak że mimo niesprzyjających warunków zniszczenia były mniejsze, niż się obawiano.

W kopalni nastąpił wybuch i kilku ludzi zostało rannych. Stirling z ojcem natychmiast tam pojechali i nie było ich dwa tygodnie. Żbik zresztą bardziej zajmował się kopalnią niż gospodarstwem. A ja zastanawiałam się, jaka będzie następna katastrofa.

Nie czekałam długo. Przyniesiono ciało młodego chłopca, które znaleźli w polu robotnicy. Zbłądziwszy w buszu, umarł najprawdopodobniej z wycieńczenia i głodu. Jakimże ciosem było dla mnie odkrycie, że to ciało Jemmy'ego! Musiał szukać drogi powrotnej do domu, choć pewnie wiedział, jakie czeka go przyjęcie. Może wierzył, że znowu mu pomogę i wstawię się za nim tak jak na statku.

— Biedny chłopiec, zgubił się w buszu — powiedziała Adelajda. — Mówiłam ci, jak łatwo zbłądzić.

— Biedny Jemmy, gdyby był został...

— Gdyby wszyscy oni zostali... Ale złoto to nieodparta pokusa.

Pochowaliśmy Jemmy'ego. Zastanawiałam się, co to mogło być, to coś strasznego w Londynie, od czego postanowił uciec. Biedny Jemmy, przyjechał do Australii, by znaleźć śmierć w buszu.

* * *

Żbik rozmawiał ze mną o chłopcu w dawnym tonie.

— No, i na nic twoje wysiłki — rzekł.

— He ten chłopiec wycierpiał w swoim krótkim życiu...

— Sam na siebie ściągał te cierpienia. Mógł tu zostać i spokojnie żyć dalej. Ale wybrał drogę do złota... i zginął.

— Nie on jeden — stwierdziłam gorzko.

— Nie żałuj go. Był wiecznym wędrowcem. Ten chłopiec nigdy i nigdzie nie osiadłby na stałe. Gdyby znalazł złoto, zmarnotrawiłby majątek i znów wpadłby w tarapaty.

— Skąd wiesz?

— Znam ludzi. Nie żałuj go. Zrobiłaś, co mogłaś. Przywiozłaś go tutaj. Opuścił nas z własnej nieprzymuszonej woli. Wybrał swoją drogę. Sam jest sobie winien. Zapomnij o nim. Chodź, zagramy na twojej szachownicy twoimi pięknymi figurami.

— Pewnie ubolewasz, że pozwoliłeś mi wygrać.

— Oczywiście... głęboko.

— Nie wierzę, że były kiedykolwiek twoje.

— Wobec tego dobrze zrobiłem, pozwalając ci je odzyskać — zaśmiał się. — Jaka to różnica, czy są twoje, czy moje, Noro. Dalej nimi gramy. Są tu, w tym domu, a to twój dom. — Żbik przez chwilę przyglądał mi się bacznie: — Mam nadzieję, Noro, że tak będzie zawsze.

Tak, to prawda. Nasze stosunki uległy zmianie. W jego zachowaniu było więcej delikatności.

* * *

Zima się skończyła, nastał wrzesień, a z nim wiosna. Większość czasu spędzałam poza domem, często w ogrodzie. Busz był piękny wiosną, gdy kwitły dzikie kwiaty i znów zaczęłam samotnie jeździć konno. Czułam się bezpieczniej niż kiedykolwiek przedtem. To przynajmniej zostało po

tamtym koszmarnym zajściu. W promieniu wielu mil wszyscy o nim słyszeli i każdy mężczyzna wiedział, co by się stało, gdyby ośmielił się mnie molestować. Odpowiedziałby przed Żbikiem.

Znów rozkoszowałam się samotnymi przejazdami. Napawałam wzrok pięknem dzikich kwiatów — czerwonych i niebieskich, różowych i fioletowych.

Cieszyłam się, że tu jestem, że żyję. Dwaj mężczyźni, nie schodzili mi z myśli. Nie rozumiałam swoich uczuć. Kochałam Stirlinga, ale nie byłam pewna, czy jestem w nim zakochana. To, co czułam do Żbika, było trudne do określenia. Podziwiałam go, w jakimś sensie bałam się go. Jak nic innego w świecie lubiłam się z nim spierać. Uwielbiałam ów błysk aprobaty w jego oczach, gdy powiedziałam coś, co go rozbawiło.

Byłam szczęśliwa. To, co minęło, przestało mieć znaczenie. Przyszłość rysowała się przede mną w jasnych barwach — wystarczyło wyruszyć w kierunku, gdzie czekali na mnie Stirling i Żbik.

Owego poranka byłam w osobliwym nastroju. Zwykle unikałam miejsca, gdzie zabito ojca, lecz tego dnia kusiło mnie, by tam pojechać. Nie żeby rozpamiętywać przeszłość; lekceważyłam cień, który rzucała. Pogodziłam się z faktem, że życie tutaj jest niewiele warte, że śmierć może nadejść niespodziewanie i może być gwałtowniejsza niż w starym kraju. Ludzie błądzili tu w buszu i ginęli albo strzelało się do nich, jeśli naruszyli kodeks moralny ustanowiony przez innych ludzi. Tak się rzeczy miały i nie było nad czym rozmyślać.

Mój ojciec nie żył. Straciłam człowieka, którego kochałam ponad wszystko... wtedy. Teraz moje życie się zmieniło.

Był ktoś inny... czy raczej inni. Zyskałam zgoła odmiennego ojca i choć nie całkiem wiedziałam, jakie uczucia do niego żywię, nie ulegało wątpliwości, że był dla mnie kimś bardzo ważnym. Miałam też Stirlinga, mojego drogiego Stirlinga, któremu ojciec — przypadkowy syn Australii — nadał imię jednej z rzek tego kraju w hołdzie za to, że znalazł tu drogę życia, która odpowiadała jego temperamentowi. Nie sądziłam, by w podobny sposób Żbik mógł żyć w Anglii. Pamiętam, jak wspominałam mu o tym, a on odrzekł: „Niektórzy żyją w ten sposób w Anglii, Noro. Jeden człowiek może kierować całą wsią, jeśli jest jej właścicielem. Mieszka we dworze i ma wpływ na życie wszystkich wokół siebie. Tak było przecież z sir Henrym Dorianem”.

Odpowiedziałam, że to smutne, gdy ludzie nie potrafią poprzestać na kierowaniu własnym losem i mając wszystko, czego dusza zapagnie, gonią za nieosiągalnym. Spytałam, czy w swojej angielskiej wsi mógłby mieć więcej władzy lub czegokolwiek, za czym tęskni, aniżeli tu, w imperium Żbika.

Roześmiał się.

Dojechałam do miejsca, gdzie zastrzelono ojca. Okolica była tak piękna, że zapierało dech w piersiach.

Tędy biegła dróżka, którą jechała dwukółka. Opryszkowie skryli się zapewne w akacjowym lasku. Nie wolno mi było o tym myśleć, a jeśli już, to miałam pamiętać, że z lamentów i wspomniania przeszłości nie wyniknie nic dobrego. Właśnie dlatego, że stało się to, co się stało, mam nowego ojca, mam Stirlinga, który mnie kocha i rozpieszcza. I tak już będzie zawsze.

Poczułam pragnienie. Postanowiłam sprawdzić, czy woda w strumieniu nadaje się do picia. Zsiadłam z Królowej Anny, przywiązałam ją i podeszłam na brzeg. Woda srebrzyła się w słońcu. Z wysokiego płaskowzgórza, na którego zboczach widać było głębokie wyżłobienia, granitowe skały, łupek i coś, co wyglądało na kwarc, sączyła się strużkami woda.

Podstawiłam pod strużkę złożone dłonie, ale woda nie nadawała się do picia. Była mętna i przesączając się między palcami, zostawiała osad.

Nagle wytrzeszczyłam oczy. Nie mogłam uwierzyć. Osad wyglądał jak złoty pył.

Poczułam, że drzę. Spojrzałam w górę na spadającą strużkę. Wyciągnęłam rękę, jeszcze raz złapałam trochę wody w dłonie. I znów ten sam żółty osad.

Czy to możliwe? Słyszałam takie opowieści. Ale czy to możliwe? Złoto! Czy może wpaść w rękę komuś, kto wcale go nie szuka?

Znów spojrzałam w górę na urwiste zbocze płaskowzgórza. Jeśli tam jest złoto, to dlaczego nikt dotychczas go nie odkrył? Odpowiedź brzmiała: ktoś musi być pierwszy.

Stałam niezdecydowana. Kukabury śmiały się nad moją głową.

Natrząsały się ze mnie, że to ja, która nienawidzę złota, właśnie je znalazłam.

Zaczekaj, ostrzegałam samą siebie. Czy znalazłaś, czy ogarnęło cię szaleństwo, które złoto z sobą niesie?

Drżałam z podniecenia. A może to wcale nie jest złoto? Cóż o nim wiedziałam? Może to tylko pył zabarwiony przez skały.

Myślałam o ojcu, który pracował, nadwerężając kręgosłup, kopał i wypłukiwał rudę przez długie miesiące, zanim związał swoje losy ze Żbikiem. Czy mogło się zdarzyć, że ja, nie pragnąc tego wcale, chcąc jedynie napić się wody ze strumienia, znalazłam zamiast wody złoto?

Wkrótce byłam pewna. Na brzegu strumienia leżał mały błyszczący kawałek metalu wielkości gąłki muszkatołowej. Schyliłam się i podniosłam go — to było żółte złoto.

Nie wiem, jak długo stałam i patrzyłam na bryłkę. W pierwszym odruchu chciałam ją wyrzucić i nic nikomu nie powiedzieć. Coś mi mówiło, że jeśli zabiorę ją do domu, sprowadzi na nas nieszczęście. Złoto zabiło mojego ojca, zrobiło coś dziwnego ze Żbikiem. Myślałam o Lambach, którzy wyruszyli na poszukiwania, o biednym Jemmym. Myślałam o ludziach umierających na suchoty. Wszystko przez złoto.

Ale skoro znalazłam je tak łatwo, z pewnością musi go być bardzo dużo w zasięgu ręki.

Spojrzałam w górę ku wysokim drzewom prosząc, by za mnie zadecydowały. Ich liście poruszały się lekko na wietrze. Dalekie, obojętne na ludzkie sprawy, stały tu pewnie od stuleci. Widziały przybywających skazańców, początek gorączki złota i dawniejsze czasy, gdy ten kraj zamieszkały był wyłącznie przez ludzi o ciemnej skórze. Nie doczekałam się odpowiedzi.

Gdy mogłam to zataić przed Żbikiem? Jak spojrzałabym mu w oczy wieczorem w bibliotece?

Schowałam samorodek do kieszeni i wróciłam do domu.

Poszłam wprost do biblioteki. Żbik był sam. Wstał, gdy mnie zobaczył.

— Co się stało, Noro? — zawołał.

Bez słowa wyciągnęłam samorodek z kieszeni i pokazałam mu go na dłoni.

Ujął go ostrożnie i oglądał ze wszystkich stron. Zobaczyłam przelotny rumieniec, który pojawił się na jego twarzy, w oczach błyskały niebieskie ognie. Płonął z podniecenia.

— Na Boga! — wykrzyknął. — Gdzie to znalazłaś?

— W strumyku, tam gdzie zastrzelono ojca. Zaczepnęłam spływającej ze wzgórza wody, żeby się napić i został mi na rękach żółty pył. Nie byłam pewna, co to takiego. Potem znalazłam ten kawałek.

— Znalazłaś złoto! — Patrzył na bryłkę, którą wziął z mojej ręki. — Będzie ważyła ze czterysta gramów. Znalazłaś pył i znalazłaś... — zaśmiał się. — Nora znalazła... Moja kochana Nora!

Przyciągnął mnie do siebie i uściśnął mocno, omal mnie nie udusił. Pomyślałam: obejmuje złoto, nie mnie. Rozluźnił uścisk, ale wciąż się śmiał.

— Nie mogę się powstrzymać — rzekł. — Tyle lat, tyle mokołu, potu, nadziei! A Nora jedzie sobie na przejażdżkę, nagle przychodzi jej ochota się napić, a złoto samo wchodzi jej w rękę.

— Może tam nic więcej nie ma!

— Nie ma więcej! Pył leci z wodą i wystarczy go łapać, samorodek leży na brzegu strumienia, a ty mówisz, że nic nie ma! Nie znasz tej ziemi.

Nagle spowaźniał.

— Nikomu ani słowa... absolutnie nikomu. Zaraz tam pojedziemy. Weźmiemy Stirlinga. I nikt nie może się dowiedzieć, dokąd jedziemy. Nikt nie może się domyślić, co tam jest, póki nie zbuduję kopalni.

Udzieliło mi się jego podniecenie. Złoto! I to ja je znalazłam! Wiedziałam już, co ludzie czują, gdy natrafiają na złotodajną żyłę. Triumfowałam, nie posiadałam się z radości, byłam podekscytowana jak nigdy przedtem — znalazłam złoto!

Nagle uświadomiłam sobie, że wszystkie te uczucia nie wynikają jedynie z faktu, że znalazłam złoto, ale przede wszystkim stąd, że znalazłam je dla Żbika.

* * *

Mijały tygodnie gorączkowego napięcia, tym trudniejsze, że wszystko musiało być trzymane w tajemnicy. Nikt nie wiedział o znalezisku poza mną, Stirlingiem i Żbikiem. I nikt nie mógł wiedzieć. Żyliśmy w strachu, że ktoś inny też znajdzie to, co ja znalazłam.

Żbik i Stirling zbadali teren i byli całkowicie pewni, że to najbogatsze złożo, o jakim kiedykolwiek słyszano w Australii. Na trudno dostępnym płaskowzgórzu — z tego pewnie powodu pole nie zostało przez nikogo odkryte — leżało bogactwo. Tak blisko, przez tyle lat! To było zadziwiające. Żbik i Stirling uważali, że mam w sobie coś niezwykłego, skoro je znalazłam.

Bardzo się cieszyłam. To dzięki mnie stali się bogaczami. Byłam z siebie dumna i nie słuchałam głosu wewnętrznego, który ostrzegał...

Dałam się uwieść szczęściu. Zapomniałam o wszystkich strasznych wydarzeniach z przeszłości.

Wieczorami w bibliotece, gdzie zwykle grywaliśmy w szachy, odbywały się narady. Stirling przyłączył się do nas dwojga.

Żbik zamierzał kupić płaskowyż. Aby jednak nie wzbudzić podejrzeń, pertraktacje dotyczyły nie tylko tego kawałka ziemi: udawał, że chce powiększyć gospodarstwo, że myśli o większej liczbie owiec.

Niecierpliwie czekaliśmy na początek prac. Ale póki złotodajne wzgórze nie było własnością Żbika, musieliśmy czekać.

* * *

Aż przyszedł dzień, gdy Żbik poprosił mnie i Stirlinga do biblioteki, uroczyście otworzył butelkę szampana, napełnił trzy kieliszki i powiedział:

— Ziemia jest moja. Zbijemy fortunę. Będziemy tak bogaci, jak niewielu przed nami.

Wręczył kieliszek najpierw mnie, potem Stirlingowi.

— Najpierw zdrowie Nory, fundatorki naszego majątku — rzekł.

— To był po prostu łut szczęścia — zaprotestowałam. — Bez was nie wiedziałabym, co dalej robić.

— Postąpiłaś słusznie, że przyszłaś od razu do mnie. — W oczach Żbika jarzyła się miłość i uznanie, a ja nigdy jeszcze nie byłam tak szczęśliwa.

— Teraz za nas, za triumfalny Triumwirat.

Wypiliśmy.

— Czy jesteście pewni? — pytałam. — Przecież nie zaczęliście jeszcze kopać szybów.

Żbik roześmiał się.

— Już znaleźliśmy samorodek ważący ponad sześć kilogramów. Gwarantuję, że jest wart dziesięć tysięcy funtów. A jeszcze nie zaczęliśmy. Tam jest złoto. Urzeczywistnienie marzeń każdego poszukiwacza. Nie martw się. Jesteśmy bogaci. I to ty poprowadziłaś nas do miejsca, którego przez tyle lat szukaliśmy.

Odstawiliśmy kieliszki. Wyciągnęłam ręce. Jedną ujął Żbik, drugą Stirling.

— Tego pragnęłam najbardziej — powiedziałam.

Żbik uśmiechnął się do mnie.

— A więc ty też pragnęłaś złota, Noro?

— Nie, nie złota. Chciałam dać wam obu to, czego chcieliście najbardziej.

Żbik objął mnie i powiedział miękko, osobliwie czułym głosem:

— Nora, moja kochana, Nora.

Puścił mnie i popchnął lekko ku Stirlingowi. Ramiona Stirlinga otoczyły mnie, przywarłam do niego.

— Chyba płaczę — powiedziałam. — Ludzie, którzy nie potrafią płakać z rozpaczy, płaczą ze szczęścia.

* * *

Praca ruszyła. Wszyscy mówili o odkryciu. Żbik trafił na złoto. Prawdziwe złoto. Wiedzieli, że mu się uda. Miał szczęście. Ziemia dawała złoto, które na niej osiadło — nic, tylko brać. Ale to Żbikowi nie starczało. Kopał głębokie szyby, żeby sięgnąć po złoto zalegające w kwarcowych skałach pod powierzchnią. Zamknął starą nie opłacalną kopalnię, wszystkich robotników przeniósł do nowej i zatrudnił dodatkowych. Miejsce, gdzie zamordowano mojego ojca, całkiem się zmieniło. Ptaki odleciały, wystraszone hukami wybuchów, wykuto stopnie na szczyt wzgórza, dwukółki przemierzały drogę, wioząc złoto do banku w Melbourne. Miejsce zmieniło nazwę. Teraz było „Wzgórzem Nory”.

Rzadko widywałam Żbika i Stirlinga. Byli zajęci w kopalni. Zbudowano tam pomieszczenie, gdzie mogli dość wygodnie nocować, gdy nie wracali do domu. Majątek stale się powiększał. Wciąż słyszało się o nowych samorodkach. Pamiętam entuzjazm, gdy znaleziono bryłkę długą na ponad sześćdziesiąt centymetrów. Wspominały o niej nawet gazety w Melbourne i oceniano ją na dwadzieścia tysięcy funtów.

Wszędzie dawało się odczuć nie słabnące poruszenie, tylko mój entuzjazm powoli wygasiał. Nie byłam już tak szczęśliwa jak w pierwszych dniach po odkryciu.

Pewnego dnia przyszedł ktoś nieznajomy i długo rozmawiał ze Żbikiem na osobności. Adelajda powiedziała mi, że to prawnik, który jedzie do Anglii w interesach ojca.

Mówiło się, że Żbik jest milionerem. I była to z pewnością prawda, lecz on nie był zadowolony.

Powiedziałam mu kiedyś:

— Jesteś teraz bardzo bogaty.

Przyznał mi rację.

— Ty także, moja droga. Nie zapominaj, że masz udział w niemałym majątku. Czyż nie było mowy o triumwiracie?

— Ile masz?

— Chcesz liczb?

— Nie. Nic by mi nie powiedziały. Ale myślę, że to wystarczające bogactwo.

— Co przez to rozumiesz?

— To, że teraz możesz zaprzestać swojej gorączkowej aktywności i pozwolić innym pracować na siebie.

— Inni nigdy nie pracują dla ciebie tak jak ty sam. Zamierzam wydobyć całe złoto, które jest w kopalni, Noro.

— Jesteś nienasycony... jeśli chodzi o złoto.

Oczy Żbika rozbłyły.

— Nie — powiedział. — Będę wiedział, kiedy skończyć. Muszę być bardzo bogaty.

— A wtedy?

— A wtedy zrobię to, co zawsze chciałem zrobić. Czekałem bardzo długo.

Nie powiedział wtedy nic więcej, lecz zaniepokoił mnie zarys jego ust — wiedziałam, że myśli o zemście.

O zemście na człowieku, który skazał go na zesłanie przed trzydziestu sześciu laty. Czyż można aż tak długo nosić w sercu uczucie nienawiści? Ktoś taki jak Żbik z pewnością mógł. Martwiłam się, bo wiedziałam, że w zemście nie można znaleźć szczęścia.

* * *

Minęło parę miesięcy i znów było Boże Narodzenie. Obchodziliśmy je tradycyjnie na angielski sposób. Gorący posiłek w środku upalnego dnia. Nasycony brandy śliwkowy pudding, nieprawdziwa jemioła. Przypomniałam sobie ubiegłoroczne Boże Narodzenie, gdy wrócili Lambowie i zostali odprawieni z kwitkiem. Ciekawa byłam ich dalszych losów, a na wspomnienie bezlitosnej postawy Żbika ogarnął mnie lęk.

Na początku stycznia znów pojawił się prawnik i spędził sporo czasu ze Żbikiem i Stirlingiem. Mnie nie dopuszczono do tej narady, ale gdy się skończyła, w oczach Żbika był triumf i domyśliłam się, że musi to mieć związek z jego planami o zemście.

Któregoś wieczoru zaprosił mnie na partyjkę szachów. Gdy weszłam do biblioteki, drzwi pracowni zastałam otwarte i Żbik zawołał mnie do środka.

— Chodź tutaj, Noro — rzekł. Weszłam, a on zakrył mi dłońmi oczy, obrócił twarzą do ściany i oderwał dłonie, wołając:

— Teraz patrz!

Zobaczyłam swój portret. Byłam w stroju do konnej jazdy i lekko przekrzywionym cylindrze, miałam szeroko otwarte oczy i rumieńce na policzkach.

— Moje dzieło — rzekł.

— Kiedy to namalowałaś?

— Czy to pierwsze pytanie? Pokazuję ci twój portret, a ty pytasz „kiedy”?

— Ale ja do niego nie pozowałam.

— Myślisz, że to konieczne? Znam każdy rys twojej twarzy, każdy przelotny grymas.

— Byłeś przecież bardzo zajęty.

— Miałem jednak dość czasu, by myśleć o tobie. Powiedz, podoba ci się?

— Czy nie nazbyt pochlebny?

— Taką cię widzę.

— Cieszę się, że tak wyglądam w twoich oczach. Mnie się wydaje, że jestem inna.

— Tak wobec tego wyglądasz, gdy patrzysz na mnie.

— Dlaczego on tu wisi?

— Bo to dobre miejsce... najlepsze w pokoju.

— Ale tu był inny obraz.

Przytaknęłam. Zobaczyłam, że tamten stoi na podłodze odwrócony do ściany.

— Kiedy siedziałeś przy stole, miałeś go dokładnie naprzeciwko siebie.

— Teraz dokładnie naprzeciwko siebie mam ten. Podeszłam bliżej i zaczęłam przypatrywać się swojej podobiznie. Schlebiała mi. Czy moje oczy są tak duże i pełne blasku? Czy mam tak rumianą cerę? Powiedział: „Taką cię widzę”.

— A więc teraz będziesz patrzył na mój portret zamiast na tamten.

— Tak.

— A Arabella...

— Nie żyje.

— Rozumiem. Dlatego powiesiłeś tutaj mnie. Kiedy się dowiedziałeś, że umarła?

— Morfell, mój prawnik, którego wysłałem w interesach do Anglii, był w Domu Białych Dam i przywiózł stamtąd wiadomości.

— Rozumiem.

— Czy na pewno, Noro?

Byłam przekonana, że miał ochotę z czegoś mi się zwierzyć, ale zmienił zdanie i siedliśmy do szachów.

* * *

Upały były okropne — większe aniżeli poprzedniego lata. Trawa wyschła i na farmie niepokojono się o owce. Paru robotników zmarło z powodu gorąca. Stirlinga widywałam tak rzadko, że kiedy spotkałam go któregoś dnia na schodach, zrobiłam mu wymówkę.

— Byliśmy zajęci w kopalni, Noro.

— Wciąż jesteście zajęci złotem — odparłam. — Czasami żałuję, że je wam znalazłam.

Roześmiał się.

— Dokąd idziesz? — spytał.

— Posiedzę trochę w altanie.

— Przyjdę tam za pięć minut.

Kiedy przyszedł, wyraziłam radość, że trochę z nim pobędę.

— To wzajemna radość.

— Czy nie moglibyście zlikwidować kopalni, skoro zdobyliście majątek?

— Myślę, że ojciec zamknie ją w stosownym czasie.

— Myślisz, że to zrobi? Przecież im więcej ma, tym więcej chce mieć.

Jak się spodziewałam, Stirling natychmiast stanął w obronie ojca.

— Będzie wiedział, kiedy przestać. W końcu zabiega o bogactwo dla nas wszystkich.

— Cóż nam z tego? Na razie wszystko jest, jak było, tyle że rzadziej cię widuję.

— I to cię gnębi?

— To mnie gnębi najbardziej.

Spojrzał na mnie i uśmiechnął się szczęśliwy. Pomyślałam: kocha mnie. Dlaczego tego nie mówi? Teraz jest stosowna chwila. Mają swoje złoto, niech przestaną o nim myśleć. Czas zająć się ważniejszymi sprawami.

— Może spodziewam się za dużo, mając nadzieję, że i ty czujesz podobnie?

— Wiesz dobrze, że to nie za dużo — powiedział szczerze.

— Miło mi to słyszeć. Choć muszę stwierdzić, że nie czynisz żadnych starań...

— Czynię nieustanne starania, które wciąż są udaremniane.

— Dobrze. Nie traćmy więc czasu, na dyskusję o straconych okazjach. Jak bardzo bogaty chce być twój ojciec?

— Ma pewne swoje plany.

— Zwierzył ci się z tych planów?

— Zawsze mi się zwierza. Myślę, że chce jechać do Anglii.

— Jechać do Anglii!

Oczywiście wyobraźni zobaczyłam go w ogrodzie Domu Białych Dam.

— A my zostaniemy tutaj?

— Nie wiem, co planuje względem nas.

— Planuje? A my nie możemy decydować o sobie? Spojrzał gdzieś przed siebie, jego oczy miały zagadkowy wyraz. Pomyślałam natychmiast: Żbik musiał mu coś powiedzieć. Jest coś, o czym nie wiem.

Chciałam od niego usłyszeć, że przyszłość będzie nasza, wspólna. Chciałam, aby powiedział, że chce się ze mną ożenić. Chciałam, żeby to powiedział teraz. Zaraz. To było ważne. Miałam wrażenie, że zwłoka niesie z sobą niebezpieczeństwo. Kochałam Stirlinga. Chciałam, by nasza przyszłość ułożyła się tak, jak to sobie wiele razy wyobrażałam. Wiedziałam dokładnie, czego chcę. I chciałam tego teraz. Teraz. Powinnam pójść do Żbika i mu powiedzieć: „Stirling i ja chcemy się pobrać. Zamierzam zostać tutaj na zawsze”. Wszyscy troje powinniśmy wypić szampana, jak wtedy, a ja im uświadomię, że tym razem okazja do toastu jest dużo ważniejsza. Chciałam dzielić się swoim szczęściem także ze Żbikiem. Powiedziałabym mu: „My, we troje, należymy do siebie”. Odwiodłabym go od szalonego pomysłu zemsty. Tak więc nawet kiedy myślałam o małżeństwie ze Stirlingiem, Żbik był najważniejszy w moich myślach.

Stirling uśmiechał się do mnie. Byłam pewna, że mnie kocha. Teraz, powtarzałam w duchu, teraz. To odpowiednia chwila!

Ale nic nie powiedział. Chciał powiedzieć, że mnie kocha, czułam to, lecz coś go powstrzymywało.

I chwila minęła.

* * *

Upały jeszcze się wzmogły. Nawet Adelajda odpoczywała popołudniami. Wyczekiwaliśmy nocy, lecz noce były tak duszne, że nie mogliśmy spać.

Siedzieliśmy właśnie ze Żbikiem nad szachownicą, na której mojego pobitego króla osaczał skoczek, goniec i pogarszający dodatkowo sytuację pionek.

— Zanosi się na... — powiedziałam.

— Chciałabyś pojechać do Anglii, Noro? — spytał nagle.

— Sama?

— Nie. Pojechalibyśmy we troje: ty, ja i Stirling.

— A Adelajda?

— Ona zostałaby tu na straży. Chyba że chciałaby pojechać z nami.

— Czy może o tym sama decydować? Uśmiechnął się.

— Z surowości twojego tonu wnoszę, że niezbyt ci się uśmiecha wyjazd do ojczystego kraju.

— Po co mielibyśmy tam jechać?

— Załatwić pewien interes.

— Rewanż?

— Możesz to tak nazywać.

— Jesteś teraz bardzo bogaty.

— Tak, teraz mogę zrobić wszystko, o czym zawsze marzyłem... z wyjątkiem jednej rzeczy.

— Co stoi na przeszkodzie?

— Czas. Śmierć.

— Nawet ty nie możesz się mierzyć z takimi przeciwnikami.

- Nawet ja — przyznał.
- Jesteś w nastroju do zwierzeń?
- Jesteś w nastroju, by ich wysłuchać?
- Twoich... zawsze.

Uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Moja droga Noro, najdroższa Noro, zrobiłaś dla mnie bardzo dużo.
- Wiem, dałam ci złoto.
- Chyba coś ważniejszego... Mam nadzieję, że to coś ważniejszego... wróciłaś mi młodość.
- To brzmi zagadkowo.
- Pewnego dnia zrozumiesz.
- Pewnego dnia? Czemu nie dziś?

Milczał, unosząc po swojemu jedną brew, by onieśmielić rozmówcę.

- Spróbujmy.

Poprawił się w fotelu i patrzył na mnie z powagą.

— Jak wiesz, mój prawnik był w Anglii, gdzie załatwiał dla mnie pewne interesy. Kupował i sprzedawał moje akcje. Nie będę zanudzał cię szczegółami. Dało mi to pojęcie o sytuacji materialnej pewnych osób i sprawiło dużą satysfakcję.

- Czy to dotyczy Domu Białych Dam? — spytałam szybko.

— Domyślna z ciebie dziewczyna! Czy wiesz, że jedynym sposobem na przetrwanie najtrudniejszych chwil w życiu były marzenia o tym, że jestem w Domu Białych Dam — nie jako skromny nauczyciel rysunku, lecz jako właściciel. Widziałem siebie siedzącego przy stole w holu. Powinnaś zobaczyć ten hol, Noro. Wielki. Majestatyczny. Rzeźbiony sufit przedstawia herb rodziny, na nim motto: „W służbie Królowej i Kraju”. Mowa o królowej Elżbiecie. Ornamenty to oczywiście róże Tudorów — dowód wdzięczności dla dworu królewskiego, który dał rodzinie ten dom, gdy pobożne białe damy przepędzono na cztery wiatry, na głód i poniewierkę. Ściany są wyłożone boazerią, a po obu stronach kamiennego kominka kamienne ławy. Znajdują się tam też zbroje, w których mężczyźni rodu wcielali w czyn wspomniane motto rodziny. W głębi, na podwyższeniu, stoi stół. Jadali przy nim królowie i królowe. Ja też chciałem przy nim jadać. Złożyłem śluby, Noro, że będę panem Domu Białych Dam, że wezmę odwet na człowieku, który zrujnował mi życie. Wiedziałem, na czym zależy mi najbardziej, bardziej niż na żonie czy córce: na Domu Białych Dam! Powiedziałem więc sobie: pewnego dnia mu go odbiorę. Ożenię się z jego córką i będę jadał przy stole, przy którym jadali królowie i królowe. Będę rozglądał się po holu i mówił: ten dom jest mój!

- Ale ten człowiek już nie żyje. Jego córka także.
- Wierzyłem, że pokonam trudności.
- Ale nie można pokonać ani czasu, ani śmierci — sam to powiedziałeś. Więc co teraz?
- Przysiągłem, że Dom Białych Dam będzie mój.
- I jedziesz do Anglii, by go zdobyć.

Uśmiechnął się.

- Myślisz, że mi się nie uda?
- Nie rozumiem, jak go zdobędziesz, skoro właściciele nie chcą się go pozbyć.
- Zrozumiesz, Noro.
- Mylisz się. Wiem, że się mylisz. Wiem, że odwet nie przynosi szczęścia. Masz swój dom. Jesteś otoczony ludźmi, którzy cię podziwiają i troszczą się o ciebie. Dlaczego to ci nie wystarczy?

Płomienne spojrzenie Żbika skupiło się na mnie.

- Czy wśród tych ludzi jesteś także ty?
- Wiesz, że tak — odpowiedziałam natychmiast.

Pochylił się do przodu.

— Cóż, Noro, to w zasadzie powinno mi wystarczyć.

— Powinno. Jeśli jesteś rozsądny — powiedziałam. — Powinieneś zaniechać głupiej myśli o zemście. W porządku, pomagała ci przetrwać trudny okres. Ale pielęgnować ją dalej to szaleństwo.

— Pozwalasz sobie mnie pouczać, Noro.

— Owszem.

— Jak nikt inny.

— Ciesz się, że znalazła się choć jedna osoba, która się ciebie nie boi.

— Cieszę się.

— Dlaczego więc nie zaczniesz odpoczywać, radując się z tego, co osiągnąłeś?

— Noro, czekałem wiele lat. Jeśli sądzisz, że teraz porzucę zamysł, który towarzyszył mi przez całe życie, to mnie nie znasz.

— Znam cię dobrze i uważam, że nie masz racji. Dojrzewamy, zmieniamy się. To, że stawiamy sobie jakieś cele w młodości, nie znaczy, że dążymy do nich, gdy nabierzemy rozumu.

— Ale Dom Białych Dam jest piękny, Noro. Nie chciałabyś mieszkać w takim domu?

Zawahałam się.

— Podoba mi się tutejszy.

— Wiesz, że to imitacja, marna kopia. Chyba przyznasz mi rację.

— Przyznaję, że prawdziwy Dom Białych Dam to piękny, stary dom.

— I byłoby ci przyjemnie nazywać go swoim domem.

— Tak, gdyby stał się moją własnością zgodnie z prawem.

— A nie stałby się, gdybyś go kupiła i za niego zapłaciła?

— Tak, ale rodzina, która mieszka w nim od pokoleń, nigdy go nie sprzeda.

— Może być do tego zmuszona. To dopiero początek, Noro. Moje plany są w powijakach. Nie mogłem niczego planować, póki nie miałem pieniędzy. Teraz, dzięki tobie, właśnie je zdobyłem. Czy opowiedziałem ci całą tę historię, Noro? Arabella wyszła za jakiegoś słabeusza, którego ojciec dla niej wybrał. Nazywał się Hilary Cardew, a po śmierci ojca miał się stać sir Hilarym Cardew. Korzenie jego rodu sięgają czasów Wilhelma Zdobywcy — to ród starszy od rodu Dorianów. Miał pewną sumkę i rodzinną posiadłość odległą o jakieś dziesięć mil. Obie rodziny przyjaźniły się od dawna, a młodego Hilary'ego przeznaczono dla Arabelli już w dzieciństwie.

— I kiedy wyjechałeś, poślubiła go.

— Nie miałem o tym pojęcia, póki nie wysłałem kogoś do Anglii, by się wszystkiego dowiedział.

— Dlaczego sam nie pojechałeś?

— Ślubowałem, że moja noga nie postanie na rodzinnej ziemi, póki nie będę milionerem. Poza tym ożeniłem się z Maybellą. Miałem córkę i syna.

— I to ci nie wystarczyło.

— Jestem człowiekiem, który szuka w życiu pełnej satysfakcji.

— Ale czyż w życiu nie idziemy na ustępstwa?

— Ja nie.

— Jakże nie, stały się przecież twoim udziałem!

— Tylko w oczekiwaniu na całkowitą satysfakcję. Zawsze wierzyłem, że gdy będę miał pieniądze, dostanę to, czego pragnę. Wtedy pragnąłem Domu Białych Dam i Arabelli.

— Ale ona miała męża, a ty żonę.

— Moja żona umarła, rodząc Stirlinga. Sądziłem, że wrócę do Anglii i zastanę Arabellę niezdolną do utrzymania posiadłości... Mając pieniądze, mógłbym do tego doprowadzić. Czy nie mówiłem ci, że sir Henry był zwolennikiem racjonalnego wykorzystywania cudzego czasu?

Dawałem Arabelli lekcje rysunku codziennie, ale trwało to najwyżej dwie godziny. Nauczyciel rysunku na stałe był więc dość kosztowny, dlatego pełniłem także obowiązki sekretarza sir Henry'ego. Miałem smykałkę do interesów i wkrótce zacząłem zarządzać jego kapitałem. Wiedziałem dokładnie, w czym lokował pieniądze. Miał ekstrawaganckie gusty — był znawcą win, pił nadmiernie i uprawiał hazard. Jego sytuacja finansowa była dość chwiejna, nawet za moich czasów. Pragnął małżeństwa córki z Hilarym, żeby wesprzeć własny majątek. Sir James Cardew był wszakże niewiele lepszy od niego. Słyszałem, jak rozmawiali o swoich finansach. Pisałem listy mojemu pracodawcy do sir Jamesa i do jego londyńskich brokerów. Wiedziałem sporo o finansowych posunięciach obu rodzin.

— I postanowiłeś to wykorzystać.

— Ostatnio tak.

— Ostatnio?

— Mam w Londynie człowieka, który dla mnie pracuje. Zainwestowałem w Anglii sporo pieniędzy. Wzbogaciłem się na tym... A niektórzy stracili.

Dech mi zaparło.

— Chcesz powiedzieć, że zrobiłeś to umyślnie?

Rozłożył ręce.

— Powiedzmy, że tak się ułożyło. Niektórzy ludzie wyzbywają się posiadłości, by utrzymać określony standard życia.

— Żbiku! — wykrzyknęłam.

Wyglądał teraz na potwora. Nienawiść lśniła w jego oczach, gdy przywoływał na pamięć lata upokorzeń.

— Rozmyślnie doprowadziłeś tych ludzi do zubożenia?

— To są sprawy, których nie rozumiesz, Noro. Nie szkodzi.

— Jestem pewna, że cokolwiek zrobisz, oni nigdy nie zechcą pozbyć się swego domu.

— Jeśli nie dadzą rady go utrzymać, będą musieli to zrobić.

— Mnie nikt by nie zmusił — stwierdziłam. — Wymyśliłabym jakiś sposób, żeby temu zapobiec. Wynajęłabym część albo zaczęła pracować. Szczególnie gdybym wiedziała, że ktoś specjalnie próbuje mi go odebrać.

— Ty tak, Noro. Ale nie wszyscy są tacy. Zobaczysz.

— Nigdy go nie sprzedadzą. Jestem o tym przekonana. Byłam tam i widziałam tę dziewczynę.

— Jest więcej sposobów na sprzedaż niż tylko transakcja gotówkowa czy przeniesienie własności.

— Co to za sposoby?

— Zobaczysz. Jedno wiem, Noro. Doczekam chwili, gdy mój syn będzie panem Domu Białych Dam. Moje wnuki będą się bawiły na tamtejszych trawnikach, będą wzrastały w wielkopańskim otoczeniu. To mój plan i zamierzam zrobić wszystko, by nie spotkało mnie rozczarowanie.

— A Stirling... Czy on też tego chce?

— Mój syn zna moje zamiary. Zawsze tak było. Lepiej niż ktokolwiek inny wie, ile wycierpiałem. Wiedziałem, jak płakał w bezsilnej złości, gdy zobaczył blizny na moich rękach, wiedziałem, jak zaciskał pięści i przysięgał wyrównanie rachunków. Gdy Dom Białych Dam stanie się moją własnością, będę usatysfakcjonowany.

Milczałam przez chwilę. Wymówił miękko moje imię. Spojrzałam na niego; złagodniał.

— Chcę, żebyś zrozumiała — rzekł. — Należysz teraz do nas. Więzy między nami będą się zacieśniać. Będziesz nam coraz bliższa. Nigdy nie sądziłem, że ktoś tak bardzo zawładnie moim sercem, jak ty nim zawładnęłaś.

— Wiem — odparłam. — Ale wiem także, że nie masz racji. Chcesz odwetu. Chcesz zranić tych ludzi dlatego, że przed laty oni zranili ciebie. Nie szukaj szczęścia w odwecie. Jestem przekonana, że to może prowadzić do złego.

— Zaczekaj, aż zobaczysz te ogrody, trawę jak zielony aksamit, pielęgnowaną starannie przez setki lat. Wodę tryskającą ponad posązką Hermesa, lilie wodne na stawie. W słoneczne dni w ogrodzie panuje idealna cisza. Po trawnikach przechadzają się pawie. Nigdy nie widziałem czegoś równie pięknego, Noro.

— Ale ty chcesz to odebrać prawowitym właścicielom.

— Ludziom, którzy mi odebrali wolność. Ludziom, którzy sprowadzili mnie do poziomu zwierzęcia, omal mnie nie zabili swoją bezwzględnością.

— Ocalałeś jednak. Ożeniłeś się z Maybellą i ocalałeś.

— Maybella była głupia.

— A więc posłużyłeś się nią, by się ocalić.

— Nie było innego wyjścia.

— Nie byłeś szczęśliwym człowiekiem — powiedziałam. — Musiałeś wykorzystywać innych do osiągnięcia swoich celów. Spędziłeś życie na dążeniu do zemsty. A powinieneś był je spędzić na dążeniu do szczęścia.

— Wygłaszasz kazania, Noro.

— Mówię, co myślę.

Roześmiał się nagle. Uniósł brew w znany mi dobrze sposób.

— Och, Noro, co ja bym bez ciebie zrobił!

— Nie wiem, ale proponuję, żebyś nie sprawdzał. Zaniechaj swoich planów. Zostań tutaj. Zapomnij o złotej fortunie i okrutnych planach. Zapomnij o zemście i ciesz się swoim szczęściem.

— Nie obawiaj się, będę szczęśliwy. I dostanę to, czego pragnę. Muszę z tobą porozmawiać, Noro... o przyszłości. Ale jesteś dziś zbyt zasadnicza... Zatem może jutro.

Na tym stanęło. We mnie jednak pozostał niepokój. Wciąż myślałam o trawnikach Domu Białych Dam, o dziewczynie, o kobiecie imieniem Lucie, o Arabelli Żbika, która już nie żyła, a później znów o strasznych chwilach w Dolinie Kerry'ego, gdy zagrzemiał głos Żbika: „Wstawaj, Jagger!”, i gdy Jagger wstał, żeby upaść bez życia.

Żbik nigdy się nie wahał, a śmierć niewiele dla niego znaczyła. Mógł zabić człowieka i nie prześladowało go wspomnienie tego czynu. Myślałam o jego małżeństwie z biedną, słabą Maybellą i o tym, jak żądał, by mu dała syna. Czyżbym zaczynała go rozumieć? Niewielu ludzi obdarzał swoją miłością, ale dla tych, których pokochał, gotów był zabić. Być nienawidzonym przez Żbika wydawało się czymś przerażającym, ale być przez niego kochanym chyba także...

Kochał Stirlinga. Kochał mnie. Zamierzał iść swoją drogą, a my wszyscy mieliśmy się nagiąć do jego życzeń... Ja, Stirling, ludzie z Domu Białych Dam...

Nie, nie wszyscy. Ja nikomu nie dam nad sobą panować, nawet Żbikowi.

* * *

Następnego dnia w okolicy zawrzało. Odległy o jakieś trzydzieści mil pożar buszu przesuwiał się w naszym kierunku. Kiedy się obudziłam, poczułam drażniący zapach, od którego nie było ucieczki. Widziałam z okna łunę na niebie.

Adelajda bardzo się niepokoiła.

— Dotrze na nasze ziemie — powiedziała. — Mam nadzieję, że nikogo nie stracimy. A jest kilka pasterskich szałasów w tamtych stronach.

— Na pewno zdążyli uciec. Musieli się zorientować, że ogień jest coraz bliżej.

— Nie masz pojęcia, Noro, jak potrafi płonąć las. Drzewa, a płyną w nich oleiste soki, eksplodują ogniem. Buchają wciąż nowe i nowe płomienie.

— Czy nie można podjąć żadnych środków ostrożności? Uśmiechnęła się ponuro.

— Mogę powiedzieć tylko tyle, że nie można sobie wyobrazić, jak to jest. I obyś nigdy tego nie widziała.

Nastrój domu zupełnie się zmienił. Wszyscy byli poważni. Służący krzątali się w milczeniu, a jeśli o czymś mówili, to o ogniu.

— Ogień widać aż w Melbourne. Podobno nie było takiego pożaru od lat.

— Nie ma się co dziwić — przy takiej pogodzie! Słyszeliście grzmoty ostatniej nocy? Piorun musiał trafić w las drzew gumowych. I zaczęło się.

Z północy wiał porywisty wiatr — silny i gorący. Wściekły łoskot przetaczał się po niebie. Wysłałam do ogrodu.

Nie mogłam wytrzymać atmosfery domu. Ale na dworze było jeszcze gorzej. Oślepiający blask błyskawic jakby się wzmaczał, a gorący wiatr niósł ów łatwy do rozpoznania zapach.

Wokół nie było żywego ducha. Zastanawiałam się, gdzie się wszyscy podziali. Żbik był, jak sądziłam, w kopalni. Chyba się o nią nie bał. Ogień pewnie pójdzie górą, nie naruszając pokładów pod ziemią, choć mógł zrujnować maszyny i wszystko, co było na powierzchni.

Wróciłam do domu. Poszłam na samą górę i wyjrzałam przez okno. W oddali widać było ciemne chmury dymu. Wracając przechodziłam obok pokoju Jessiki. Drzwi były otwarte. Jessika leżała w łóżku z zimnym kompresem na czole. Zawołała mnie do siebie.

— Ten ohydny zapach — powiedziała — przyprawia mnie o ból głowy. Przypomina mi się pożar w Rozella. Otoczył nas ogień. Jeszcze zanim on przyjechał. Wuj był przerażony. Myślał, że wszystko straci. Maybella chciała uciekać, lecz wuj nie pozwolił. Powiedział: „Zostańmy tu, gdzie jesteśmy. Żebyśmy nie uciekli w jeszcze większe niebezpieczeństwo”. Z ogniem tak bywa. Nigdy nie wiadomo, gdzie wybuchną nowe płomienie i ogarną cię ze wszystkich stron w kilka sekund.

Poszłam sobie. Znowu poczułam wielką ochotę, by wyjść, dosiąść konia i odjechać jak najdalej od chmury widocznej na horyzoncie, uwolnić nozdrza od zapachu dymu i ognia.

W stajni osiodłałam Królową Annę. Wyglądała na niespokojną, jakby węszyła niebezpieczeństwo. Przemawiałam do niej łagodnie: „Pojedziemy na przejażdżkę, tam gdzie powietrze jest świeże i czyste, gdzie nie będzie tego okropnego smrodu”.

Ujechałam milę, może dwie, ale wciąż czułam zapach dymu. Ściągnęłam wodze i spojrzałam za siebie. Odniosłam wrażenie, że dym jest jeszcze bliżej.

Zmusiłam Królową do galopu, pognałyśmy przed siebie. Zapomniałam o ogniu, teraz głowę miałam pełną tych wszystkich spraw, o których Żbik opowiadał poprzedniego wieczora w swojej pracowni, i zastanawiałam się, czy uda mu się zrealizować plany.

Stirling i ja pobierzemy się — pewnie w Anglii. Przypomniłam mi się stary normański kościół o szarych kamiennych murach, z cementarzykiem z rozpadającymi się nagrobkami. Niektóre stały pod murem pewnie dlatego, że nikt dokładnie nie wiedział, gdzie mają swoje miejsce. Żbik prowadziłby mnie ubraną w białą suknię ślubną, a potem szlibyśmy ze Stirlingiem środkiem, między ławkami, a Żbik przyglądałby się nam dumny i uszczęśliwiony. Rozwarłaby się brama z białymi ornamentami, a nasz powóz wjechałby na drogę ku domowi.

A Minta? Nieszczęsna Minta musiałaby zamieszkać w którejś z okolicznych chat. Może podawałaby miejscowym herbatę z domowymi ciasteczkami i jęczmiennymi placuszkami z dżemem i miodem. Lucie pewnie by jej w tym pomagała.

Jakież niedorzeczne myśli chodziły mi po głowie! Byłam nieodrodną córką swego ojca. Nie wierzyłam, by Minta czy jej ojciec — jeśli jeszcze żył — zgodzili się na sprzedaż domu niezależnie od tego, jaką sumą najbogatszy ze „złotych” milionerów by ich kusił.

Ściągnęłam wodze i obejrzałam się przez ramię. Dym gęstniał. Nie mogłam tego zrozumieć. Chciałam się od niego oddalić, a on był coraz bliżej.

Uświadomiłam sobie, jak głupio postąpiłam, opuszczając dom. Nie zgubiłam się, wiedziałam, w jakim kierunku jadę. Nie mogłam tylko zrozumieć, dlaczego dym gęstnieje. Busz był zwodniczy.

Nagle usłyszałam wołanie.

— Hej, hej, Norooo! Odpowiedziałam. To był Stirling.

Przyłożyłam do ust zwinięte w trąbkę dłonie i zawołałam:

— Stirliiiiing! Tutaaaaj!

Zobaczyłam go. Galopował w moją stronę. Był blady ze złości.

— Noro... Ty głupia! — krzyczał. — Powinnaś wiedzieć, że nie wolno było... Boże, mogłaś z tego nie wyjść. Nie widzisz, co się dzieje? Niczego się nie nauczyłaś?

— Wiem, że gdzieś się pali.

— Gdzieś się pali! Całe mile buszu stoją w płomieniach. A ty sobie radośnie wyjeżdżasz na spacer. Dalej!

Zawróciłam konia, potulnie pojechałam za nim.

— To było szaleństwo! — rzucił przez ramię.

— Chciałam od tego uciec. To szaleństwo?

— Skąd możesz wiedzieć, gdzie się zapali za chwilę? Ogień mógł cię osaczyć w ciągu kilku sekund.

— Powinnam była pamiętać o ostrzeżeniach. No, dobrze, teraz już wiem.

— Nie. Nic z tego nie rozumiesz. Co za brak wyobraźni! Musiałaś narazić życie, zanim pojechałaś. Gdyby nie widzieli, jak wyjeżdżasz ze stajni, nie wiedziałbym nawet, w którym kierunku pojechałaś.

Przypomniałam sobie tamten przypadek, kiedy zauważono, że wyjeżdżam i pojechano za mną.

— Czy zawsze będę pod obserwacją? Przestań zrzędzić, Stirling. Wyjechałam. Stało się. Ale jestem. Wszystko w porządku. Przrzekam, że więcej tak nie postąpię.

Usta miał zaciśnięte, bardzo przypominał ojca. Jechaliśmy w ciszy kilka mil.

— Stirling, nie wiedziałam, że będziesz taki zły. Wciąż się uczę. Muszę powiedzieć, że jeśli jest coś, czego nie lubię...

Zamilkłam. Zauważyłam, że nie słucha. Zaczęłam kasłać. Gdziekolwiek spojrzełam, widziałam chmury dymu. Zatrzymał się gwałtownie.

— Któreś? — spytałam.

— Żebym to wiedział...

— Nie jedziemy do domu?

— Nie wiem. Wygląda na to, że jesteśmy odcięci.

— Odcięci...

— Przez ogień, idiotko!

— Jak śmiesz tak do mnie mówić!

— Boże! — jęknął. — Posłuchaj, Noro! Jesteśmy osaczeni przez płomienie. Nie widzisz? Nie wiem, któreś jechać. Każda droga jest zła. Każda prowadzi do najgorszego.

Myślałam, że przesadza, że chce mi dać nauczkę, ale tuż obok nas rozległ się głośny huk i kępa drzew gumowych stanęła w płomieniach.

— Jazda! — rzucił Stirling i pogalopowaliśmy w przeciwnym kierunku.

Wkrótce jednak znów się zatrzymał. Zbliżaliśmy się do ciężkiego całunu dymu.

— Jesteśmy odcięci — rzekł krótko.

Patrzyłam na niego oniemiała. Czulałam dym w oczach i w . nosie. Byłam przerażona; tylko obecność Stirlinga dodawała mi otuchy. Miałam dziecinne przeczucie, że skoro on jest ze mną, wszystko dobrze się skończy.

— Zaraz... — mówił do siebie. Może zdążymy. Dalej! Trzymaj się blisko mnie. Musimy spróbować.

Pogalopowaliśmy w stronę dymu. Nagle Stirling zboczył z drogi i wjechaliśmy w krzaki. Słyszałam, jak mamrocze do siebie: „To jedyna szansa. Musimy spróbować”.

Przed nami płynął wąziutki strumyk. Zsiadliśmy z koni. Zerwał z konia derkę i poprosił o moją.

— Musimy zostawić konie — rzekł. — Nie mamy innego wyjścia. Może same znajdą drogę.

— Nie, Stirling...

— Rób, co mówię. Słaba szansa, że sami się uratujemy.

Zanurzył derki w wodzie i pobiegł tam, gdzie ponad strumykiem sterczała szara skała. Dostrzegłam w niej niewielką szczelinę. Stirling wsadził mi w ręce mokre derki i zaczął zapamiętale wygrzebywać sypką ziemię spod szczeliny. Wkrótce udało mu się powiększyć otwór. Dał mi znak, żebym wślizgnęła się do środka, a ja wiedziałam, że muszę być bezwzględnie posłuszna.

Ku mojemu zdziwieniu znalazłam się w jaskini wielkości małego pokoju. Stirling prawie natychmiast pojawił się obok mnie. Upchnął mokre derki w szczelinie. Znaleźliśmy się w kompletnych ciemnościach.

— Noro! — Głos Stirlinga był zmieniony ze zdenerwowania.

— Jestem tutaj.

Znalazł mnie po omacku i trzymał w objęciach.

— Lepiej się połóż — rzekł.

Leżeliśmy cicho przez parę sekund, aż wreszcie powiedział:

— Będziemy mieli szczęście, jeśli wyjdziemy stąd żywi.

Milczałam i myślałam: to moja wina. Postąpiłam nierozważnie. Ileż trzeba było wiedzieć o tym kraju, gdzie niespodziewana śmierć czyhała na głupców i niefrasobliwych.

— Noro... pomyśleć, że przyjechałaś tu po to... żeby...

— To moja wina, Stirling.

— Nie — rzekł czule — to się mogło stać wszędzie. Kto wie, co się teraz dzieje w domu.

— Ale Żbik będzie wiedział...

Pomyślałam o domu otoczonym przez ogień, wyobraziłam sobie napierające płomienie — niepohamowane, pochłaniające wszystko dookoła. Powtarzałam w duchu, że Żbik będzie wiedział, co robić. Nie może mu się nic stać. Uzmysłowiłam sobie wtedy, że nauczyłam się już o nim myśleć tak jak Stirling: jakby był boski, nieśmiertelny.

— Pamiętam tę jaskinię — wyszeptał Stirling. — Mieszkała tu rodzina aborygenów. Pracowali u ojca. Ich syn, mój rówieśnik, przyprowadził mnie raz tutaj. Może ta jaskinia nas ocali, Noro. To jedyna nadzieja.

Wiedziałam, że próbuje mnie pocieszać. Na zewnątrz ogień zbliżał się, otaczał nas, wkrótce ziemia nad nami zacznie płonąć. Jaka jest szansa na przetrwanie?

Stirling zdawał się czytać w moich myślach.

— Szansa jest niewielka, ale jest.

Pierwszy raz w życiu byłam tak blisko śmierci. Zdawało mi się, że śnię. Stirling i ja zostaniemy tu, pod ziemią, na zawsze. To będzie nasz grób, nikt nawet nie będzie o nim wiedział. Dotknęłam jego ręki, była rozpalona. Robiło się coraz goręcej, wręcz nie do wytrzymania.

Jego usta dotykały mojego ucha.

— Ogień będzie zaraz dokładnie nad nami — rzekł.

— Zaraz, Stirling — odpowiedziałam. — Już zaraz. Słyszeliśmy huk, trzaski i gwałtowne wybuchy. Ohydny smród wpełzał do jaskini.

— Żeby tylko dym nie dostał się do środka — rzekł Stirling i zamilkł na chwilę. — Żeby nie... Nie musiał mówić dalej. Rozumiałam.

— Stirling — powiedziałam. — Przepraszam, że wyjechałam z domu.

Nie odpowiedział. Odsunęliśmy się od siebie, było potwornie gorąco, tylko nasze palce pozostały splecione. To mi dodawało otuchy. Ciekawa byłam, czy i on czuł podobnie.

— Noro — jego głos dochodził jakby z daleka. — Bardzo cię kochaliśmy. Od twojego przyjazdu wszystko się zmieniło.

A więc byłam kochana tak jak wtedy, kiedy żył mój ojciec. Ale czy to miało teraz znaczenie? Mówił w czasie przeszłym, jakbyśmy już nie żyli. Widocznie już niedługo, pomyślałam. Nie chciałam umierać. Nie teraz, kiedy znalazłam dom i ludzi, którzy mnie kochają. Byłam wściekła na los, który zdawał się drwić: to koniec. Tu ma kres twoje życie.

— Nie — powiedziałam tak cicho, że Stirling nie usłyszał.

Nie mogliśmy nic zrobić. Trzeba było leżeć i czekać. Nie przypuszczałam, że może być aż tak gorąco. Nie mogłam złapać tchu.

— W porządku, Noro — usłyszałam głos, a przynajmniej wierzyłam, że go słyszę. — Noro, moja kochana, wszystko będzie dobrze. Żbik nigdy by nam nie wybaczył, gdybyśmy umarli.

To prawda, pomyślałam. Musimy żyć dla Żbika. Musiałam być współprzemyślna, bo zdawało mi się chwilami, że nie wiem, gdzie jestem. Leżałam bez sił w przerażającym gorącu, opuściła mnie wszelka energia. Mogłam tylko leżeć i czekać albo na śmierć, albo na darowane życie.

Przez cały czas tego koszmaru byłam świadoma obecności Stirlinga. Wiedziałam, że mnie kocha, że jeśli wywinie się śmierci, wymarzona przyszłość stanie się rzeczywistością.

Myślę, że to był rodzaj transu. Marzyłam o przyszłości, widziałam nas troje — bo przecież Żbik musi być obecny w moim życiu — na trawnikach pięknego starego domu. Moje dzieci, moje i Stirlinga, bawiły — się z dziadkiem, z nowym Żbikiem, człowiekiem, który zbliża się do końca swych dni, porzucił myśl o rewanżu i osiągnął zadowolenie.

* * *

— Noro! Noro! — twarz Stirlinga była tuż przy mojej. Do jaskini dochodziło światło. Pierwsze, co zauważyłam, to dym. Zaczęłam kasłać.

— Boże, Noro! Myślałem, że umarłaś.

— Co się stało? — spytałam.

— Wiatr się zmienił i lekko mży. Deszcz stłumił ogień, pożar przestanie się rozprzestrzeniać. Wychodzimy stąd.

Pociągnął mnie, postawił na nogi, ale zachwiałam się i upadłam na niego.

Śmiał się z ulgą. Ja żyłam! Przytrzymał mnie, przytulił, krótko, lecz z niewypowiedzianą czułością.

— Wychodzimy stąd — powtórzył.

Ręce i nogi miałam sztywne. Ledwo się ruszałam. Temperatura w jaskini musiała sięgać 60°C, choć nie było już tak gorąco jak przedtem.

— Chodź za mną — rzekł.

Przezołgał się przez dziurę. Później wyciągnął mnie. Jakbym weszła do pieca. Odchyliłam głowę do tyłu, by w drobniutkich kropłach deszczu obmyć twarz.

Straszny widok ukazał się naszym oczom. Czarne kikuty drzew jeszcze się tliły. Panowała całkowita cisza, lecz mnie się zdawało, że słyszę ptaki i owady buszu, choć wiadomo było, że ich nie ma. Niektóre drzewa wciąż jeszcze płonęły.

Spojrzałam na Stirlinga — trudno go było poznać. Twarz miał czarną i czarne ubranie. Wiedziałam, że ja też tak wyglądam.

Otoczył mnie ramionami i przyciągnął do siebie. Staliśmy tak, zbyt wzruszeni, by mówić. Odezwałam się pierwsza:

— Żyjemy, Stirling. Przyszłość jest nasza.

Puścił mnie i ujął za ręce, przyglądając mi się badawczo, w jego twarzy ujrzałam raczej radość niż brud i smołę, i przez chwilę byłam szczęśliwa.

— Martwię się o dom — powiedział.

Obojgiem nami zawałdnęło uczucie paraliżującego strachu, bo choć tak niedawno zapewnialiśmy się, że mamy przed sobą wspólną przyszłość, żadne z nas nie mogłoby być szczęśliwe, gdyby w owej przyszłości zabrakło kogoś jeszcze.

— Wracajmy prędko — powiedziałam.

* * *

Wszystko wokół było doszczętnie zniszczone. Nie wiedzieliśmy, którą z okaleczonych dróg wybrać. Bez Stirlinga zgubiłabym się z całą pewnością. On znał te strony od dziecka, ale także był zdezorientowany. Naszym przewodnikiem był niepokój o los Małego Domu Białych Dam. Byłam przekonana, że Stirling mnie kocha. Wierzyłam, że pójdziemy w przyszłość razem, ale gdyby zabrakło Żbika, czy potrafilibyśmy być szczęśliwi?

Nie wiem, jak długo to trwało. Spędziliśmy w jaskini co najmniej sześć godzin — ledwie powłóczyliśmy nogami, wysuszone gardła dawały nam się we znaki.

Nastała noc i Stirling powiedział, że musimy trochę odpocząć. Położyliśmy się, myśląc o jednym: o Żbiku.

— Jak daleko jeszcze — wyszeptałam.

— Nie więcej niż sześć, siedem mil.

— Dlaczego nie idziemy?

— Musimy trochę odpocząć.

— Ja bym raczej szła.

— Ja też, ale padniesz z wycieńczenia, zanim dojdziemy na miejsce.

— Jak ty się o mnie troszczysz...

— Zawsze się o ciebie troszczyłem, Noro.

— I zawsze będziesz — wyszeptałam. Ale nawet wtedy myślałam o Żbiku.

* * *

Zasnęłam w końcu. To, że pozwolił mi spać, było dowodem jego miłości do mnie. Obudziłam się pełna skruchy. Czułam się winna. Oto spałam, gdy nie wiedzieliśmy, co się dzieje ze Żbikiem.

Ruszyliśmy w dalszą trudną drogę. Nie rozmawialiśmy o Żbiku, ale każde z nas wiedziało, o czym myśli drugie.

Nigdy nie zapomnę ostatniej godziny tego marszu i chwili, gdy zobaczyliśmy, że posesja ocalała. Dom stał, nienaruszony, jakby jakąś niewytłumaczalną siłą potrafił trzymać niebezpieczeństwa z dala od siebie.

Stirling krzyknął. Zaczął biec, ciągnąc mnie za rękę.

— Dom! — wołał. — Jesteśmy w domu!

Adelajda wybiegła nam naprzeciw. Płakała z radości. Chwyliła nas w ramiona i nie puszczała. Zauważyłam, jak to się w takich sytuacjach zdarza, że smolisty brud poplamiał jej sukienkę.

— Powiedzcie panu — wołała. — Jane! Mary! Wrócili. Są w domu.

Potykając się, weszliśmy do środka.

— Z nim... wszystko w porządku?

— Omal nie oszalał — odrzekła Adelajda. — Szukał was, zwołał wszystkich ludzi.

— Zajmij się Norą — powiedział Stirling.

— Nic mu nie grozi? — wymamrotałam. — Naprawdę nic?

Wsadzili mnie do łóżka, zanim przyszedł. Dopiero kiedy znalazłam się w chłodnej pościeli, zdałam sobie sprawę, jak jestem wyczerpana. Leżałam, rozkoszując się łóżkiem, wypiałam filiżankę bulionu, który przyniosła Adelajda.

— Nie za dużo na początek — powiedziała.

Leżałam myśląc o ciemnej jaskini i o Stirlingu, który szeptał, że zawsze będzie się o mnie troszczył. I Żbikowi też nic się nie stało. Znów będziemy razem, we troje.

Wiedziałam, że jest w domu. Czuło się jego obecność. Wiedziałam też, że do mnie przyjdzie najpierw... Choć może nie. Na pewno nie, Stirling to jego ukochany syn. Ja jestem tylko adoptowaną córką.

Stał w drzwiach, z jego oczu biła radość, jakiej nigdy w nich nie widziałam. Dlaczego czuł i reagował głębiej niż inni?

— Nora! Moja Nora! — rzekł.

Podszedł i wziął mnie w ramiona. Jego twarz znalazła się blisko mojej.

— Moja kochana... — powtarzał.

— Jestem, Żbiku. Mój drogi, najdroższy Żbiku, jesteśmy znowu razem.

Przez chwilę nic nie mówił. Obejmował mnie tylko. — Myślałem, że cię stracę. Szalałem z wściekłości... Ale jesteś, najdroższa... — rzekł w końcu.

— A ja umierałam ze strachu o ciebie.

Roześmiał się głośno, z pewnością siebie. Tak jakby jemu nie mogło się nic stać.

— Przez cały czas — mówiłam — myśleliśmy o tobie. Zaśmiał się znowu i powiedział:

— Moja Nora!

Później poszedł do Stirlinga.

Rozdział 6

To, że zastaliśmy dom nietknięty przez pożar, a resztę rodziny całą i zdrową, dało nam tyle radości, że szybko otrząsnęliśmy się z szoku po tej przerażającej przygodzie.

Straty były ogromne. Najbardziej ucierpiało gospodarstwo. Dwóch pasterzy straciło życie w szalasach, zginęło wiele owiec. Kopalnia ocalała.

Adelajda nalegała, żebym została w łóżku przez dwa dni. Byłam rozpieszczana i karmiona smakołykami dla obłożnie chorych. Adelajda twierdziła, że to niezbędne. Stirling nie pozwolił, by traktowano go jak chorego, ja natomiast chorowałam z rozkoszą.

Przyszła w odwiedziny Jessika. Siadła na łóżku i przyglądała mi się uparcie.

— Nigdy nie widziałam, żeby był równie przejęty — powiedziała. — Wysłał ludzi, żeby was szukali, sam narażał życie.

Uśmiechnęłam się uszczęśliwiona. Chciałam tak leżeć i myśleć o przyszłości.

Kiedy wstałam, poprosił, żebym po kolacji przyszła do biblioteki.

Nie przyszedł tego dnia na kolację. Kiedy zjawiłam się na górze, już na mnie czekał. Był chyba podenerwowany, choć powściągliwy. Wyglądał jakoś inaczej niż wtedy, kiedy widziałam go ostatni raz.

— Bledzioch z ciebie, Noro! — rzekł. — Ale w parę dni wrócisz do siebie. Jesteś młoda, zdrowa, twój organizm szybko się zregeneruje.

Nalał portwajnu do kieliszków i wręczył mi jeden. Oczy żbika zalśniły na sygnecie.

— Za nas, Noro. Za szczęśliwy powrót. Co ja bym zrobił, gdybyś nie wróciła?

— Musimy podziękować Stirlingowi. On jest cudowny.

— Jest cudowny — powtórzył.

Zacząłam mu opowiadać o jaskini, choć słyszał już to wszystko wcześniej. Byłam jakoś zdenerwowana i czułam neodpartą potrzebę mówienia.

— Moja droga — rzekł — wróciłaś i uczyniłaś mnie najszczęśliwszym z ludzi w chwili, kiedy myślałem, że wszystko stracone.

Ręce zaczęły mi się trząść, co usiłowałam złożyć na karb przebytego szoku. Ale to nie było to. Nagle przyszło mi coś do głowy, szybko jednak odrzuciłam tę myśl.

Wyjął mi z ręki kieliszek.

— Nie bój się, Noro! To do ciebie niepodobne.

— Czego miałabym się bać?

— O tak, tak mówi moja Nora. Nie masz się czego bać... jesteś tutaj pod moją opieką.

— To krzepiące słowa — powiedziałam, odzyskując animusz.

— Najdroższa, jestem przekonany, że wiesz, o czym od pewnego czasu myślę. Że jesteś świadoma zmian, które zaszły we mnie dzięki tobie.

— Dzięki mnie!

— Wróciłaś mi młodość. Zresztą nie jestem taki stary. Czy wydają ci się stary?

— Zawsze mi się wydawało, że jesteś nieśmiertelny. Jeszcze zanim cię poznałam, Stirling mówił o tobie jak o Zeusie.

Roześmiał się, ale nie chciał mówić o Stirlingu.

— Jesteś dojrzała jak na swoje lata, moja droga — rzekł. — Nie jesteś głupim dzieckiem. Ani nigdy nie byłaś. Musiałaś sama sobie dawać radę, to mi się podoba. Nigdy nie sądziłem, że mi się jeszcze przydarzy coś takiego. Rzeczywiście przywróciłaś mi młodość, Noro.

— Jakim sposobem?

— Przybywając tu, między nas, uświadomiłaś mi, że mam życie przed... a nie za sobą.

— Miło to słyszeć. Czy zatem porzuciłaś niemądrą myśl o zemście?

Zaśmiała się znowu. Śmiała się często tego wieczoru.

— Znęcasz się nade mną, Noro. Zawsze to robiłaś. I musisz robić to dalej, po naszym ślubie. To mi się podoba, moja droga.

— Po ślubie? — Byłam pewna, że źle zrozumiałam. Miał na pewno na myśli Stirlinga i mnie. Ale w głębi serca czułam, że nie mówi o Stirlingu.

— Gdy się pobierzemy. Nie sądzisz chyba, że oddam cię komuś innemu?

W jego oczach był żar, którego się bałam i który zarazem sprawiał mi radość. Jak zwykle w jego obecności, nie byłam pewna swych uczuć.

Chwycił mnie w ramiona i przyciągnął do siebie.

— Nigdy więcej, moja najmilsza, nie pojedziesz na przejażdżkę do płonącego lasu. Mam cię z powrotem i będę miał tak długo, jak długo będziemy żyli.

— Żbiku! — zająknęłam się, a on przytulił mnie jeszcze mocniej.

— Ach, to idiotyczne imię!

— Zawsze tak o tobie myślę — powiedziała głupekowato, jakby to było ważne w takiej chwili.

— Drapieżnik, drapieżne zwierzę — powiedział. — Pasuje. Boże, Noro, myślałem, że umrę. Byłem gotów rzucić się w to szalejące piekło, powstrzymała mnie absolutna pewność, że wrócisz. Potrzebuję cię, Noro. Jak nikogo na świecie. Widzę to teraz. Co się stało, najdroższa?

— Małżeństwo? — powiedziała. — Nie myślałam o małżeństwie.

— A o czym?

— Mówiłaś, że jesteś jak ojciec.

— Na początku. Ale to się zmieniło, prawda? Będę dla ciebie wszystkim, Noro. Niczego ci nie zbraknie.

— Jestem oszołomiona.

— Nie jesteś, Noro. Wiedziałaś. Jestem tego pewien. Wiedziałaś i cieszyłaś się z tego.

— Ale...

— Nie ma żadnych ale. Wszystko zaplanowałem.

— Bez porozumienia ze mną? Zaśmiała się.

— Coś z dawnej Nory. Tak, bez porozumienia z tobą, bez zbędnych słów. Przecież wszystko było jasne dla nas obojga, prawda? Kiedy dałem ci wygrać — nie myślisz chyba, że wygrałabyś, gdybym tego nie chciał.

— A Jagger? — powiedziała wolno.

Przymknął oczy. Uczucia Żbika mnie przerażały, a zarazem jakoś osobliwie poruszały. Na jego twarzy pojawił się wyraz gwałtownej nienawiści.

— Jagger! Tak, Boże jedyny, Jagger!

— Zabiłaś go. Zabiłaś człowieka.

— Kochana moja, on musiał umrzeć. Nie mógłbym na niego patrzeć bez morderczych zamiarów. Udusiłbym go gołymi rękami. Pozwoliłem mu przynajmniej szybko dokonać żywota.

— Och, Żbiku — powiedziała słabym głosem. — Przerażasz mnie.

— Ja ciebie przerażam? Ja, który cię kocham? I nigdy nikogo tak nie kochałem! Arabella! Kaprys, zacheianka! To moja duma wtedy cierpiała. Chciałem tego domu. Chciałem w nim mieszkać z moją żoną i dziećmi. I to właśnie zrobię, Noro.

— Za bardzo się spieszysz.

— Moja władca Nora! — odparował z uśmiechem. — Byłabyś rada, gdybym nieco zwolnił? Pojedziemy do Domu Białych Dam, ty i ja. Będziesz jadała przy stole, przy którym jadali królowie,

a pokój na samej górze, gdzie nieszczęsna Arabella uczyła się abecadła, będzie pokojem naszych dzieci.

— Jeszcze nie powiedziałam, że się zgadzam.

— Moja najdroższa, nie pozwolę ci się nie zgodzić.

— A jeśli jednak odmówię?

— Nie odmówisz.

— A co na to... Stirling? Powiedziałeś mu?

— Wie coś niecoś o moich planach.

— Wie, że chcesz poprosić mnie o rękę?

— Wie. Adelajda także wie. Odgadli moje uczucia do ciebie już dawniej.

— A Stirling... czy on uważa, że to dobry pomysł?

— Oczywiście. Zdaje sobie sprawę z siły uczuć, które do ciebie żywię.

— Czy to znaczy, że on także tego chce?

— Zawsze był dobrym synem. Zawsze pragnął mojego szczęścia.

— Rozumiem.

— A więc mojej władczej Norze pozostaje tylko powiedzieć, że mnie kocha, co i tak wiem.

— Znów mówisz o mnie w ten sam irytujący sposób, jak wtedy, kiedy próbowałeś mnie ubezwłasnowolnić, tuż po moim przyjeździe.

Uśmiechnął się zachwycony.

— Okrutnik ze mnie. A sposób jest rzeczywiście głupi, bo nieskuteczny, prawda? Ogłosimy rodzinie, że uroczystość niebawem się odbędzie. Wiesz, że należę do ludzi, którzy nie lubią tracić czasu.

— Nie mam zamiaru się spieszyć. Lubię sama podejmować decyzje.

— I będziesz je podejmowała, choć widzę, że podobnie jak ja pragniesz, żeby to się odbyło jak najszybciej.

— Jesteś zbyt pewny siebie. Zapewniam cię, traktowałam cię jak ojca...

— Będę lepszym mężem niż ojcem. Zobaczysz. Ostudziłam jego zapędy.

1 — Potrzebuję czasu... czasu. Nie powiem nic, póki się nad tym nie zastanowię.

— Dziś wieczorem ogłoszę nasz bliski ślub.

— Jeszcze nie — zaprotestowałam.

Zastanawiałam się potem, dlaczego. Tak jakby wszystko miało swój określony czas. Wyjść za Żbika! Ten pomysł wprawiał mnie w zakłopotanie, podniecał zarazem. Co do niego czułam? Chyba coś więcej niż to, co adoptowana córka czuje do ojca. Ale był przecież Stirling.

Stirling! Wiedział i zgadzał się. Mieszkać pod jednym dachem ze Stirlingiem i być żoną Żbika! Zgoła niezręczna sytuacja — ale tak właśnie Żbik to zaplanował.

Chciałam odejść, lecz stał w drzwiach, zagradzając mi drogę. Jego oczy błyszczały namiętnością, która zaniepokoiła mnie tak jak wtedy, gdy stałam twarzą w twarz z Jaggerem. Tyle że tym razem nie chciałam uciekać.

Ujął mnie pod brodę i unióśł moją twarz ku swojej.

— Boisz się — rzekł. — Boisz się nieznanych przeżyć, Noro. Będziemy robić to razem. Nie masz się czego bać, kochanie.

Jego twarz była blisko mojej, a jego oczy pałały.

— Nie — powiedziałam. — Jeszcze nie. Chcę wyjść. Muszę pomyśleć. Nalegam. Jeśli powiesz cokolwiek dziś wieczorem, zaprzeczę. Nie dam się do niczego zmusić.

Opuścił rękę.

— Boisz się mnie. Boże, Noro, czyżbyś rzeczywiście się bała?

— Dlaczego w kółko mówisz o strachu? To nie strach. Nie zgadzam się, by mnie informowano, za kogo mam wyjść za mąż i kiedy ma się odbyć uroczystość, nie omówiwszy wszystkiego ze mną. Jeśli dojdzie do tego małżeństwa, to powinno być dla wszystkich jasne, że nie jestem kukiełką, którą można dowolnie obracać, nie należy także oczekiwać ode mnie, że będę mojego męża czciła, jakby był bogiem, który łaskawie zstąpił z Olimpu.

— Ach, Noro, zachwycasz mnie. Moja najdroższa chce czasu, by się zastanowić. Chce sama podejmować decyzje. A moim jedynym życzeniem jest dawać jej wszystko, o cokolwiek poprosi. To zaś jest drobnostka w porównaniu z darami, którymi pragnę ją obsypać.

— Pierwszą rzeczą, o którą poproszę, jest to, żebyś skończył z tą idiotyczną manierą, która mnie wprawia we wściekłość.

Roześmialiśmy się oboje i na moment powrócił dawny dobry nastrój.

— A teraz — powiedziałam — opuszczam cię. Idę do siebie, a gdy podejmę decyzję, powiadomię cię o tym.

Opuścił ręce, które wciąż mnie więziły. Gdy się odwróciłam, chwycił mnie i poczułam jego usta na szyi. Chciałam zostać i chciałam uciec — jak zwykle nie rozumiałam swoich uczuć.

Poszłam do siebie i zamknęłam drzwi. Oparłam się o nie, przyciskając zimne dłonie do rozpalonych policzków. Wiedziałaś, wyrzucałam sobie, i odtrącałaś od siebie tę myśl. Wymyśliłaś sobie, że wyjdiesz za Stirlinga, aby wszystko wyglądało jak trzeba.

Ależ kocham Stirlinga! — protestowałam.

Tak. Kochasz Stirlinga. I Żbika.

Nie mogłam myśleć, o nikim innym. Żbik wypełniał mój umysł, podobnie jak zdawał się wypełniać każde pomieszczenie, w którym się znalazł. Był fascynujący, był wspaniały, był kimś więcej niż istotą ludzką.

Staralam się myśleć spokojnie. Wyjść za Żbika. Dzielić z nim dni i noce. Jestem tak niedoświadczona życiowo! Muszę nauczyć się tylu rzeczy o mężczyznach i małżeństwie... Żbik byłby moim nauczycielem. Ta myśl mnie peszyła, a jednak mnie nie opuszczała. Ależ ja kocham Stirlinga! — powtarzałam w duchu. To on był najważniejszy od chwili, gdy stanęliśmy na pokładzie „Carron Star”. Tak, ale wtedy nie znałam Żbika.

Lecz nawet znając Żbika, nie zmieniałam uczuć do Stirlinga. Rozpamiętywałam koszarne godziny, gdy leżeliśmy obok siebie w ciemnej jaskini ze świadomością, że możemy nie wyjść stamtąd żywi. To, że wyszliśmy, że mieliśmy przed sobą przyszłość, było jak nie wypowiedziana deklaracja miłości.

Jednak nawet tam, w jaskini, Żbik nie opuszczał moich myśli, myśli nas obojga.

Jeśli wyjdę za Żbika, będę macochą Stirlinga. Macochą człowieka, którego chciałam poślubić. To niestosowne. Może powinnam porozmawiać ze Stirlingiem. Może powie, że mnie kocha. Musielibyśmy wyjechać. Nie moglibyśmy się pobrać i żyć pod jednym dachem ze Żbikiem, teraz, kiedy wyjawiał namiętność do mnie.

Ale kiedy pomyślałam o życiu bez Żbika, wpadłam w popłoch. Czyż ze Stirlingiem życie nie byłoby płytkie i nudne? Tak. Zresztą Żbik nie pozwoliłby nam wyjechać. Ta myśl poprawiła mi samopoczucie. Przed oczami miałam obraz Żbika siedzącego na białym koniu, z pistoletem w dłoni. Morderca. Powiedział, że zrobi to samo z każdym mężczyzną, który mnie dotknie. A Stirling?

Złapałam się w pułapkę własnych emocji. Nie wiedziałam, co robić.

Muszę porozmawiać ze Stirlingiem.

Spędziłam bezsenłą noc i wstałam wczesnym rankiem. Spotkałam Stirlinga w jadalni przy śniadaniu i powiedziałam mu, że muszę z nim porozmawiać — natychmiast i na osobności.

Dosiedliśmy koni i ruszyliśmy w busz.

Nie ujechaliśmy mili, gdy wypaliłam:

— Twój ojciec poprosił mnie o rękę.

— Wiem — rzekł z kamienną twarzą.

Byłam zaskoczona.

— Doprawdy? Rozmawiał o tym z tobą?

— Wszystko wyszło na jaw przy okazji planów wyjazdu do Anglii.

A więc Stirling wiedział o tym od pewnego czasu. Jeszcze nim wybuchł pożar. Czy zatem źle go rozumiałam? Kochał mnie jedynie jak siostrę? Popełniłam błąd sądząc, że nasze uczucia są głębsze niż między rodzeństwem. Źle rozumiałam zarówno Stirlinga, jak Żbika.

— Ach, tak — powiedziałam obojętnie.

Zapadła cisza. Twarz Stirlinga nie zdradzała niczego. Czulałam się zawiedziona, pusta jak balon bez powietrza. Jakaś byłam głupia!

— Jeśli wyjdę za Żbika, zostanę twoją macochą — powiedziałam z głupim uśmiechem.

— No i...?

— Trochę to dziwne.

— Dlaczego?

— Bo jesteś ode mnie starszy.

— Nie ja pierwszy będę miał młodą macochę.

— Stirling, co o tym sądzisz?

— Ojciec będzie szczęśliwy jak nigdy. Wiesz, że bardzo cię polubiliśmy. Już do nas należysz. To będzie...

Czekałam bez tchu, co powie. Wzruszył ramionami.

— Staniesz się nam jeszcze bliższa — zakończył.

Znów poczułam się zdezorientowana i zakłopotana. Cze go oczekiwałam? Żeby Stirling przerwał mi i powiedział, że nie wyobraża sobie, abym poślubiła innego mężczyznę — na wet jego ojca? Żeby zaproponował ucieczkę?

Nie wiedziałam. Jakaś część mojej osobowości trzymała się kurczowo dawnych marzeń o wspólnym życiu ze Stirlingiem, o naszych dzieciach wspinających się na kolana; dziadka, okazujących mu szacunek i zachwyty jak my wszyscy. Ale czy Żbik mógłby grać w czymkolwiek drugoplanową rolę?

Puściłam się galopem i natychmiast tętent konia Stirlinga rozległ się tuż za mną. Jemu jest wszystko jedno, myślą łam. Jest zadowolony, bo tego chce jego ojciec. On nie m; własnej woli, jego wola jest wolą jego ojca. Lubi mnie owszem, ale jak siostrę.

Wiedziałam już, co mam robić. Stirling podjął decyzję z; mnie. Czy rzeczywiście? Czy potrafiłabym powiedzieć Żbikowi, że nie wyjdę za niego, bo kocham jego syna?

Kocham ich obu, myślałam z rozpaczą. Jakie to było dziwne — z młodym mężczyzną wyobrażałam sobie zwykłą, spokojną egzystencję, a ze starszym — który mógłby być moim ojcem — życie pełne przygód.

Żbik musiał widzieć, jak wracamy do domu, bo jeden ze służących zszedł zaraz na dół i oznajmił, że pan czeka na mnie w bibliotece.

To brzmi jak rozkaz, pomyślałam z pewną, acz pobłażliwą irytacją. Bo choć drażniła mnie jego arogancja, w jakiś sposób ją aprobowałam.

Zwlekałam umyślnie, żeby się zniecierplwił.

— Ileż to trwało! — rzucił mi na powitanie.

— Musiałam uczesać włosy i umyć ręce przed audiencją u Jego Wysokości.

— Nie wiesz, że oczekuję natychmiastowego posłuszeństwa?

— Wiem, ale nie zawsze dzieje się tak, jak tego oczekujemy.

Roześmiał się, co mu ostatnio łatwo przychodziło. Wyglądało na to, że nie przestaje go bawić. Choć może był to śmiech triumfalny, bo wiedział, że podporządkuję się jego życzeniom. Od samego początku uważałam, że tak... gdyby nie Stirling.

— Jesteś bardziej pewna swego niż wczorajszego wieczoru.

— Wczorajszego wieczoru byłam zaskoczona.

— Do dziś miałaś możliwość rozważyć...

— Szczęście, jakie mnie spotyka?

— Szczęście, jakie nas spotyka — sprostował. — Nie musisz mówić dalej. Znam twoją odpowiedź.

— Byłeś jej tak pewny od samego początku, że nie uznałeś za stosowne spytać mnie o zdanie?

— Wiem, co jest dla ciebie dobre.

— Czy wiesz także, co jest dobre dla ciebie?

— Dla mnie najlepsza jesteś ty, a dla ciebie ja. Nic prostszego. Miła była przejażdżka ze Stirlingiem? — Patrzył na mnie uważnie. — Stirling jest zachwycony. Moja rodzina wie, że małżeństwa z tobą pragnę jak niczego w świecie. Dlatego cieszą się, że do niego dojdzie.

Wyciągnęłam rękę, a on chwycił je skwapliwie.

— Należę do tej rodziny, więc chyba muszę się podporządkować — rzekłam.

Zobaczyłam triumf w jego oczach, chwycił mnie w objęcia.

— Będiesz zawiedziony.

— Niemożliwe.

— Jestem dla ciebie za młoda i za głupia.

— Będiesz mną rządzić!

— Nie będziesz miał dla mnie cierpliwości.

— Będiesz dla mnie taka jak zawsze — czarująca.

— Myślę, że to w jakiś sposób niestosowne.

— Nonsens. Przecież mnie kochasz.

— Czyż to nie obraza majestatu: kochać olimpijskiego boga jak zwykłego śmiertelnika? Czyż boga nie powinno się jedynie adorować?

— Na początek niech zostanie jak jest — rzekł.

* * *

Wieczorem odbyła się uroczysta kolacja. Wszystkie miejsca przy stole były zajęte. Siedziałam obok niego. Był wyjątkowo życzliwy, jego oczy bardziej promieniały, niż lśniły. Puchłam z dumy, bo stało się to za moją sprawą.

Śmiał się przez cały czas, był dobrotliwy, a pod koniec posiłku oświadczył, że zamierzamy się pobrać — niedługo, bardzo niedługo. Była więc okazja, by wypić zdrowie przyszłej panny młodej. Wszyscy wstali i unieśli kieliszki. Niektórzy z mężczyzn pamiętali, co Żbik mówił nad trumną Jaggera. Adelajda patrzyła zarumieniona, zadowolona, że jej ojciec jest wreszcie szczęśliwy. Jessika, posępna Kasandra, siedziała z zaciśniętymi ustami. Twarz Stirlinga nie zdradzała tego, co wciąż miałam nadzieję zobaczyć.

Tej nocy leżąc w łóżku, myślałam o nich wszystkich — a zwłaszcza o Stirlingu. Starłam się odtworzyć, co się między nami wydarzyło, i zadawałam sobie pytanie, jak mogłam tak źle zrozumieć jego uczucia do mnie. Gdyby dawał mi jakieś znaki, że mnie kocha... Ale cóż bym wtedy zrobiła? I tak nie odmówiłabym Żbikowi. On by do tego nie dopuścił. Ja także nie chciałam, żeby do tego doszło. Kochał mnie tysiącokrotnie mocniej aniżeli Stirling. Był zdolny do głębszych i

dojrzałych uczuć. Powinnam sobie poczytywać za honor, że zdobyłam miłość Żbika. Moje życie będzie może przepojone lękiem, lecz jakże ekscytujące!

Leżałam i nie mogłam zasnąć. W otaczających mnie ciemnościach próbowałam zobaczyć przyszłość. Nagle usłyszałam kroki pod drzwiami. Serce zaczęło mi łomotać, bo drzwi otwarły się powoli i przemknęło mi przez myśl, że to duch Maybelli przychodzi mnie ostrzec.

Mogłam się była domyślić, że to Jessika. W rzeczy samej wyglądała jak duch — w nocnym czepku na włosach w papilotach, w długiej flanelowej koszuli, ze świecą w dłoni.

Przyszła mnie ostrzec. Na pewno.

— Śpisz? — spytała.

— Nie. Przeziębisz się, chodząc po domu w samej koszuli.

Potrząsnęła głową.

— Chciałam z tobą porozmawiać.

— Usiądź i otul się kołdrą.

Znów potrząsnęła głową. Wołała stać przy łóżku, trzymając świecę wysoko w górze, bo bardziej wyglądała wtedy na wieszczkę.

— A więc to tak. Masz zostać jego żoną. Wynikną z tego same nieszczęścia.

— Dlaczego tak myślisz?

— Wiem. Ostatniej nocy śniła mi się Maybella. I powiedziała: „Powstrzymaj ją, Jessiko. Ocal tę nieszczęsną młodą dziewczynę”.

— A więc Maybella wiedziała wcześniej?

— Umarli wiedzą takie rzeczy. W szczególności gdy nie spoczywają w pokoju.

— Maybella nie spoczywa?

— Wciąż wraca, by go prześladować. Przecież ją zamordował.

— Nie powinnaś chyba tak tego nazywać. Umarła rodząc syna.

— A jak myślisz? Co będzie z tobą?

— Zrobię wszystko, żeby być dobrą żoną i panią tego domu.

— Maybella chce, żebym cię ostrzegła. On jest okrutny i samolubny. Jest poządlivy i nie będzie ci wierny. Nigdy nie był wierny żadnej kobiecie. Sądzisz, że będzie wierny tobie?

— Zawsze jest czas, by się zmienić.

— Kpisz sobie ze mnie.

— Nie, Jessiko. Ale myślę, że ty czegoś nie rozumiesz. To, o czym mówisz, to przeszłość. On i ja zaczniemy razem nowe życie. Zrobię wszystko, żeby nam się udało. On także.

— Będiesz jego narzędziem. A co ze Stirlingiem?

— A co ma być ze Stirlingiem?

— Myśleliśmy przez pewien czas, że będzie z was para. To byłoby naturalne i on tego chciał.

— On, to znaczy kto?

— Stirling, oczywiście. Wszyscy tak mówili. Małżeństwo dwojga młodych... Wszyscy tego chcieliśmy... spodziewaliśmy się tego. I co? Zachciało mu się ciebie, to powiedział: „Ty, Stirling, trzymaj się z daleka, bo jeśli nie, to cię zastrzelę jak Jaggera”.

— Jak śmiesz mówić o nim takie rzeczy!

— Mówię, co myśli Maybella. Powiedział Stirlingowi: „Łapy przy sobie. Ona jest dla mnie”. A Stirling na to: „Tak, tatusiu”, bo tak go nauczono. Zawsze tak było. On idzie swoją drogą, a reszta go nie obchodzi.

— Jestem zmęczona, Jessiko — powiedziałam. — I nic nie zmieni moich planów. Obiecałam wyjść za niego i dotrzymam słowa. Ludzie się zmieniają. On też się zmienił. Nie jest już tym samym człowiekiem, który przyjechał do Rozella.

— Jest dokładnie tym samym człowiekiem! Nigdy nie zapomnę, jak stał na dziedzińcu z bliznami na nadgarstkach.

I odtąd nic już nie było jak przedtem. Włazi w twoje życie, wykorzystuje cię, a gdy z tobą skończy, idziesz w ką. On się nie zmienił.

— Nie zamierzam iść w ką.

— Ona też nie zamierzała. Zrazu myślała, że jest cudowny. Tak jak ty. Potrafi odgrywać kochanka, kiedy trzeba... nawet, gdy to pozory, jak w przypadku Maybelli. Przez pierwsze miesiące żyła jak na innej planecie. Mówiła do mnie: „Ach, Jessie, gdybym to mogła wyrazić...” A ja wiedziałam... już wtedy.

— To przeszłość, Jessiko. Po co ją przywoływać.

— Ale ja chcę, żebyś wiedziała. Maybella chce, żebyś wiedziała. No, dobrze, spełniłam swój obowiązek.

Podeszła bliżej łóżka, przechyliła świecę. Myślałam, że pościel zajmie się ogniem.

— Uciekaj — powiedziała. — Uciekaj, póki czas. Ze Stirlingiem.

— Jesteś szalona — rozzłościłam się. Pokiwała głową ze smutkiem:

— Może i tak. Przez niego. To jasne jak słońce. Wytlumacz Stirlingowi. Spróbuj. On się zgodzi, jestem pewna. Nie pozwól, by ten człowiek zwyciężał za każdym razem. Uciekajcie oboje. — Zachichotała głucho. — Chciałabym widzieć jego minę, jak mu powiedzą, że uciekliście!

— Wosk kapie na kołdrę.

Wyprostowała świecę i trzymała ją nieco poniżej twarzy. W słabym świetle jej głowa upodobniła się do czaszki. Pomyślałam, że tak wyglądałaby Maybella, gdyby rzeczywiście wróciła ze świata umarłych, by mnie ostrzec.

— Spełniłam obowiązek — powtórzyła. — Nie chcesz słuchać — twoja sprawa.

— Idź teraz do łóżka, Jessiko. I uważaj z tą świecą.

— To ty powinnaś uważać — rzekła.

— Dziękuję, że przyszedłaś.

Było mi jej naprawdę żal. Kochała Żbika, wielokrotnie się z tym zdradzała i niewątpliwie tęskniła do tego, co łączyło ich kiedyś.

— Zrobiłam, co chciała Maybella — mamrotała wychodząc. — Nie mogę zrobić nic więcej.

Leżałam i rozmyślałam o tym, co powiedziała. I o tym osobliwym człowieku, z którym miałam spędzić całe życie. Co przyniesie przyszłość? Gdzieś w zakamarkach serca tkwił Stirling, który może nawet mnie kochał, lecz bardziej ode mnie kochał Żbika. A ja?

Znów owładnęło mną to okropne niezdecydowanie. Kochałam ich obu. Moje życie byłoby niepełne, gdyby któregoś z nich brakło. Ale to oni decydowali za mnie. Jeśli Stirling kiedykolwiek myślał o tym, by mi się oświadczyć, teraz przekazywał mnie ojcu, którego dłonie niecierpliwie mnie oczekiwały, którego oczy lśniły na mój widok blaskiem pożądania.

* * *

Adelajda szyła moją suknię ślubną. Z białego jedwabiu, z wieloma falbankami i szczypankami, obszytą mnóstwem koronek.

— Będiesz z niej miała pożytek także w Anglii — powiedziała.

W Anglii! — myślałam. Nie pojedziemy do Anglii. Przekonam go, żebyśmy zostali tutaj, żeby porzucił idiotyczny zamiar odebrania Domu Białych Dam tym sympatycznym ludziom, których przelotnie poznałam.

— Tam będziesz żyła jak dama. Pomyśl tylko! Będziesz się co wieczór przebierała do kolacji. Myślę, Noro, że najładniej ci w zieleni. Ty będziesz siedziała przy jednym końcu stołu, ojciec — dumny z ciebie — przy drugim.

— Wolałabym zostać tutaj.

— Ale tam będziesz żyła w bardziej stosownych dla siebie warunkach.

— Tutejsze w zupełności mi wystarczają.

— Nie zapominaj, że twój mąż będzie jednym z najbogatszych ludzi w Anglii.

— Dlaczego mam o tym pamiętać? Wystarcza mi poczucie bezpieczeństwa.

— Jemu nie, Noro. A kiedy za niego wyjdiesz, jego wola będzie twoją wolą.

— Nie tak wyobrażam sobie małżeństwo. Małżeństwo jest partnerstwem. Nie zmienię swojej osobowości dlatego, że zostanę mężatką.

Pobłażliwy uśmiech Adelajdy tak mnie rozżłościł, że podniosłam głos:

— Chyba nie oczekuje, że się zmienię. Zainteresował się mną przede wszystkim dlatego, że nie traktuję go jak wyroczni, tak jak wy wszyscy.

Adelajda milczała, ale wiedziałam, że trwa przy swoich poglądach.

Pojechaliśmy do Melbourne. Z jakim szacunkiem witano mnie „U Żbika”!

— Ach, przyszła małżonka! Czuję się jak święta! — powiedziałam z przekazem do Adelajdy.

Kupowałyśmy nie żałując pieniędzy: jedwabie i aksamity, z których Adelajda miała mi szyć sukienki, sobolową mufkę i obszywany sobolami aksamitny płaszcz w kolorze jagód morwy.

— Nie kupuj za dużo — radziła Adelajda. — W Anglii znajdziesz modniejsze rzeczy.

Przemilczałam to.

Wróciłyśmy do Małego Domu Białych Dam.

— Cierpiałem męki, gdy cię nie było — powitał mnie uradowany Żbik. — Już nigdy więcej nie wyjedziesz beze mnie.

Nie posiadałam się z radości, że tak wiele dla niego znaczę.

Adelajda od razu wzięła się do roboty w swojej pracowni krawieckiej. Większość czasu spędzałam z nią — nie dlatego, że tak przejmowałam się strojami, lecz że chciałam być z dala od nich obu: i Żbika, i Stirlinga, aby w spokoju przemyśleć to, co miałam uczynić. Tam, w pracowni Adelajdy, gdzie rozmowa skupiała się głównie na długości rękawa czy spódnicy, mogłam swobodnie zastanowić się nad przyszłością i próbować podjąć jakieś decyzje, zanim wykonam ostateczny ruch.

Było to oczywiście pozbawione sensu. Bo czyż mogłam się cofnąć? Czy chciałam? Pragnęłam jednak zrozumieć samą siebie. Gdyby nie Stirling... Równie dobrze mogłam powiedzieć: gdyby nie Żbik...

Sto razy dziennie powtarzałam sobie: Żbik. Silny mężczyzna, takiego mi trzeba. Ale i tak nie mogłam wyrzucić Stirlinga ze swoich myśli.

* * *

Czas mijał szybko i często przychodziło mi do głowy, że gdybym się wybrała do buszu, stałby się cud i tam uwolniłabym się od moich niepokojów. Żbik wszakże wydał polecenie, żeby mnie nie puszczano samotnie. Odkryłam to pewnego ranka, kiedy poszłam do stajni i poprosiłam stajennego o osiodłanie konia. W odpowiedzi usłyszałam, że uprzedzono ich, iż nie mam pozwolenia na samotne przejażdżki. Nalegałam. Stajenny był przerażony. O, nie, Żbiku! — myślałam. Nie dam się zamknąć w klatce. Musisz to zrozumieć.

Sama osiodłałam konia.

Nie ujechałam daleko, gdy usłyszałam za sobą tętent i zobaczyłam białego wierzchowca, na którym jechał tamtego dnia, gdy zabił Jaggera.

Spiełam konia ostrogami, ale na próżno. Wkrótce był blisko, a jego oczy ciskały błyskawice. Wygląda jak satyr, pomyślałam.

— Noro! — ryknął.

Zrównałam swojego konia z jego koniem i powiedziałam:

— Skąd to wzburzenie?

— Wydałem polecenie, żebyś nie jeździła sama.

— A jeśli miałam ochotę?

— Nie możesz mieć ochoty, bo to niezgodne z moimi życzeniami.

— Nie mów wobec tego stajennem, by mnie powstrzymywali, bo to niezgodne z moimi życzeniami.

— Wiesz dlaczego nie chcę, żebyś jeździła sama! Cierpię męki, kiedy nie jesteś w zasięgu mojego wzroku. Wyobrażam sobie niebezpieczeństwa, na które jesteś narażona w buszu.

— Czy mam rozumieć, że przez resztę życia, dokądkolwiek zechcę pójść, będzie mi towarzyszyła przyzwoitka?

— Wszystko się zmieni, gdy stąd wyjedziemy... A więc wkrótce.

— Wiesz przecież — powiedziałam wolno — że nie chcę stąd wyjechać.

— Tylko dlatego, że nie zdajesz sobie sprawy, o ile wspanialsze może być życie.

— Widziałam ten wielki dom, o którym myślisz. Mówisz, że mnie kochasz...

— Całym sercem.

— A więc będziesz chciał uczynić mnie szczęśliwą.

— To sens mojego życia.

— Wobec tego zostanmy tutaj, a ja będę jeździła konno w towarzystwie przyzwoitki wybieranej każdorazowo na potrzeby danej wycieczki. Może w swoim czasie uznasz, że wyrosłam z głupoty... albo może przestaniesz troszczyć się o mnie tak bardzo.

— Co za bzdury wygadujesz?

— To nie bzdury. Mężowie nudzą się żonami. Nie są to szczególnie odosobnione przypadki.

— My nie będziemy jak inni mężowie i inne żony.

— Ciekawe, jak to jest być żoną bóstwa.

— Zobaczysz... To rozkosz.

Zbliżył swojego konia do mojego. Różowe kakadu prześcigały się w śpiewach. Niedaleko brązowy kangur pędził wielkimi susami po zeschniętych trawach. Od czasu, gdy wyszłam z jaskini w szerniałą ciszę, byłam bardzo uwrażliwiona na odgłosy i zapachy buszu.

— Polubiłam ten kraj — rzekłam.

— Anglię będziesz kochała jeszcze bardziej.

— Chcę zostać tutaj.

— Wszystko jedno gdzie będziemy, bylebyśmy byli razem.

— Skoro wszystko jedno, to po co wyjeżdżać?

— Musimy wyjechać. Któregoś dnia to pojmiesz. Przekonam cię, spojrzysz na tę sprawę moimi oczami. Wtedy zrozumiesz, że to nieuchronne. Kiedy cię tam zabiorę, będziesz mi dziękować przez resztę życia. Będziesz. Z pewnością.

— Wiem, o czym myślisz. Ale nie możesz zamieszkać w tym domu. To niegodne ciebie.

— Masz o mnie zbyt wysokie mniemanie, Noro.

— Przecież nalegasz, by mieć o tobie wysokie mniemanie.

— Próbujesz zrobić ze mnie świętego. Nigdy świętym nie będę.

— Żbiku — zaczęłam — mój drogi...

— Gdy mówisz do mnie w ten sposób, chciałbym ci przychylić nieba.
— Wobec tego, najdroższy: podaruj mi plany zemsty, a ja je unicestwię i będzie tak, jakby nigdy nie istniały.
— One istnieją, Noro.
— Można je zniszczyć.
— Za późno. Są zbyt silne. Są częścią mnie.
— Powiedziałeś, że mnie kochasz.
— Wątpisz w to?
— Jeśli ktoś kocha, pragnie kochanej osobie dać to, czego ona chce najbardziej.
— Dlatego właśnie ty, która mnie kochasz, nie powinnaś żądać ode mnie czegoś niemożliwego. Posłuchaj, moja najmilsza. Jedziemy do Anglii — ty i ja. I Stirling. Po pewnym czasie dołączy do nas Adelajda. Przyjechałem do tego kraju nie z własnej woli, lecz z konieczności.
— Ale wyszło ci to na dobre. Przyznał mi rację.
— Tak. Odsłużyłem wyrok. Zostałem nagrodzony złotem i Norą.
— Taka jest kolejność?
— Jesteś dla mnie ważniejsza niż całe złoto Australii.
— Miło słyszeć, że to mówisz, bo doprawdy nie byłam pew — na. Jest wszakże coś, co jest dla ciebie jeszcze ważniejsze aniżeli te dwa rywalizujące ze sobą uczucia. Mówię o zemście.
— Pewnego dnia zrozumiesz — powiedział krótko.
Gdy jechaliśmy z powrotem, uzyskał ode mnie przyrzeczenie, że nie będę wyjeżdżała konno samotnie. Przypomniał mi, że kiedyś robiłam to często. A on przypominał mi upadek z konia, przygodę z Jaggerem i pożar.
Podkreślałam, że na koniu czuję się coraz lepiej, że nie wsiadłabym na konia, z którym nie potrafiłabym sobie poradzić, że żaden mężczyzna nie ośmieliłby się mnie molestować, a gdyby w sąsiedztwie wybuchł pożar, wiedziałabym o tym i z pewnością nie opuściłabym domu. Jakie inne niebezpieczeństwa mogły na mnie czyhać?
— Boję się ciebie stracić. Pojawiłaś się w moim życiu jak cud. Mam wszystko, czego pragnąłem. Mam — albo wkrótce będę miał. Nie mam tylko zaufania do życia. Nie mogę się wyzwolić od lęku, że właśnie w chwili, kiedy jestem bliski pełnego szczęścia, może mi ono być skradzione.
— Ty masz takie myśli? Zdziwiasz mnie!
— Mówię poważnie.
— Dobrze. Pójdę na ustępstwo. Nie będę jeździła sama do czasu ślubu. Potem będziesz musiał przekonać mnie na nowo.
— Załatwione.
Jechaliśmy do domu, niefrasobliwie się przekomarzając, co go bawiło, a na co nikt przede mną sobie nie pozwalał.

* * *

Dzień ślubu był za pasem, przygotowania w pełnym toku. Zapach rozmaitych wypieków unosił się po domu. Adelajda zrobiła gigantyczny tort weselny składający się z sześciu pięter. Ale ja nie mogłam pozbyć się myśli, że coś niesamowitego przeszkodzi zaślubinom. Co za absurd! Cóż by mogło pokrzyżować Żbikowi plany, w które włożył tyle serca! Skąd więc to przecucie? — pytałam samą siebie.

Stirling mnie unikał, mimo że szukałam jego towarzystwa. Żeby choć cokolwiek powiedział! Fakt, że tak samo jak Adelajdę cieszy go zbliżająca się ceremonia, głęboko mnie ranił. Ale czy on rzeczywiście się cieszył?

Mieliśmy wziąć ślub w małym kościółku, ćwierć mili od domu, i wrócić na przyjęcie weselne. W szafie, w moim pokoju, wisiała suknia ślubna. Adelajda dopiero ją skończyła. Była też gotowa woalka z pomarańczowym kwiatem, który kupiliśmy w Melbourne.

W noc przed uroczystością powróciły wątpliwości po stokroć silniejsze. Wmawiałam sobie, że wiele panien młodych czuje się podobnie w przeddzień ślubu. Nie mogłam jednak zapomnieć o ponurym ostrzeżeniu Jessiki. Czy on się zmieni wobec mnie, tak jak się zmienił wobec Arabelli i Maybelli? Mówił, że miłość, którą czuje do mnie, jest jak pożar lasu, a uczucie, które żywił do Arabelli, było jak płomyk świecy. Pożar lasu — niefortunne porównanie! Co za bzdura rozmyślać o pogórkach Jessiki! Jest trochę niespełna rozumu.

Wyobraziłam sobie jego oczy jutro, gdy mnie zobaczy, i postanowiłam przymierzyć suknię ślubną. Ubierałam ją, podziwiając krawiecki kunszt Adelajdy. Jakże oddaną była córka! Będę teraz jej macochą — ja macochą Adelajdy i Stirlinga!

Zsunęłam woalkę na twarz i poprawiłam pomarańczowy kwiat. Efekt był znakomity.

— Wszystkie panny młode są piękne — powiedziałam głośno. — Czy będziesz mu się podobać? Już mu się podobaś — odpowiedziałam samej sobie.

— Tak jak Arabella, Maybella... i inne?

— Bzdury. One nie żyją, a ty jesteś młoda. I jemu przywróciłaś młodość. Tak powiedział. I dałaś mu złoto.

Nagle drgnęłam. Policzki mi pałały. Jessika naprawdę powinna zerwać ze zwyczajem bezszelestnego wślizgiwania się do pomieszczeń.

— Jessiko! — powiedziałam z wyrzutem. — Nie słyszałam, żebyś pukała.

— Bo mówiłaś do siebie. Maybella też mówiła do siebie. Wyglądasz dokładnie tak jak ona w woalce skrywającej twarz. Całkiem jakbym widziała Maybellę przed laty...

— Jestem pewna, że moda się zmieniła od tego czasu.

— Woalka była inna. Nie miała pomarańczowego kwiatu. Miała kryzkę z białego atlasu. Nigdy nie widziałam kogoś tak szczęśliwego jak Maybella w dniu ślubu o poranku. Nie miała pojęcia, bo i skąd, co ją czeka.

Postanowiłam być praktyczna.

— Skoro już tu jesteś, Jessiko, to rozepnij mi suknię.

Zdjęłam woalkę i pomarańczowy kwiat, włożyłam do pudełka. Odwróciłam się, a Jessika zaczęła gmerać przy haftkach.

— Nie mierzy się sukni w noc przed ślubem. To przynosi nieszczęście.

— Nonsens!

— Maybella też mierzyła suknię w noc przed ślubem... Pytała: „Czy pięknie wyglądam? Muszę pięknie wyglądać, on tego oczekuje...”

— Nie powinnaś się tym przejmować. Pora się kłaść. Przede mną męczący dzień. Dobranoc, Jessiko.

Potrząsnęła głową zrezygnowana.

— Dobranoc.

Ledwie się rozebrałam i weszłam do łóżka, Jessika wróciła.

— Przyniosłam ci ciepłego mleka. Szybciej zaśniesz. Postawiła mleko na stoliku przy łóżku i stała czekając.

— Nie czekaj — powiedziałam. — Wypiję za chwilę. Dobranoc i dziękuję.

Wyslizgnęła się z pokoju. Coś mnie tknęło, żeby zamknąć drzwi na klucz, ale rozśmieszyła mnie ta myśl. Bać się Jessiki! Wypiłam łyk mleka, bo byłoby jej przykro, gdybym choć nie upiła.

Myślałam o dawnym Żbiku, który kochał się z nimi obiema. Z Maybella, bo była córką gospodarza, i z Jessika — pewnie dlatego, że miał na nią ochotę. Ale tamte czasy minęły.

Zmienił się. To nie był ten sam mężczyzna, który stał na dziedzińcu z bliźniami po kajdankach na nadgarstkach. On jednak tego nie zapomniał, nie potrafił wybaczyć. Och, Żbiku, myślałam, tak samo łatwo cię zranić jak każdego człowieka. Doszłam do wniosku, że potrzebna mu moja opieka, on także powinien się czegoś o życiu nauczyć, tego na przykład, że zemsta niszczy spokój, a spokój to fundament szczęścia.

Mądra Nora, uśmiechnęłam się w duchu. Kochany Żbik, jutro go poślubię. Tego chciałam — być z nim, kochać go na dobre i na złe, w bogactwie i nędzy, w zdrowiu i chorobie, póki śmierć nas nie rozłączy. W końcu zrozumiałam: jestem najszczęśliwszą z kobiet. Żbik mnie kocha. Żbik, który kochał siebie, Żbik, którego kochali i bali się wszyscy, ten Żbik wybrał mnie.

Rozumiałam nienawiść Jessiki. Utraciła go, a był dla niej wszystkim. Patrzyła, jak żeni się z jej kuzynką, mieszkała z nimi pod jednym dachem przez wiele lat. Nic dziwnego, że była trochę pomyłona. Trochę?

Spojrzałam na kubek i naszły mnie okropne podejrzenia. W pierwszym odruchu chwyciłam go i wylałam mleko za okno. Ale zaraz ogarnął mnie śmiech. Co za dramatyczna wigilia zaślubin! — powiedziałam głośno. — Wyobrażasz sobie, że ta nieszczęśnica próbuje cię otruć?

Otworzyłam drzwi szafy i patrzyłam na suknię. Potem dotknęłam woalki.

Pojutrze, pomyślałam, wątpliwości ulecą. Będziemy razem. .. póki śmierć nas nie rozłączy.

Zasnęłam prawie natychmiast.

Śniło mi się, że duch Maybelli przyszedł i stanął przy łóżku. Zdjął woalkę z pomarańczowym kwiatem z mojej głowy — bo we śnie miałam ją na głowie — i włożył mi woalkę z białą atlasową kryzką. Usłyszałam głos, głos Jessiki. „Jesteś gotowa, Maybello. Ale pamiętaj, tylko na chwilę...”

Obudziłam się zlaną potem. W pierwszej chwili myślałam, że Maybella naprawdę wyszła z grobu, żeby mnie ostrzec, bo ujrzałam przed sobą prawdziwą woalkę z atlasową kryzką... Minęło trochę czasu, nim sobie uświadomiłam, że jest osadzona na figurce, która stoi na toaletce.

Wstałam i podeszłam bliżej.

To była woalka, o której mówiła Jessika. Musiała ją przynieść, gdy zasnęłam. Spojrzałam na nocny stolik. Tak, szklanka po mleku zniknęła. Obejrzałam woalkę ze wszystkich stron. Pachniała naftaliną. Jessika przechowywała ją przez te wszystkie lata!

Stara wiedźma z tej Jessiki!

Roześmiałam się, udrapowałam woalkę na figurce i wróciłam do łóżka. Spałam głęboko aż do chwili, gdy Adelajda przyszła mnie obudzić i przyniosła filiżankę herbaty. Tego dnia poślubiłam Żbika.

* * *

Wszystko stało się nieistotne wobec nowego życia ze Żbikiem. Wyruszyłam w podróż pełną odkryć, doświadczałam uniesień i głębi uczuć, o których nie wiedziałam, że mogą istnieć. Żbik odciągnął mnie od szarej codzienności. Żyłam w innym świecie.

Powiedziałam mu: „Uniosłeś mnie z sobą na Olimp. Czuję się jak bogini”.

Odparł, że mnie kocha i że nikt nigdy nie był kochany tak jak ja.

Wierzyłam. W moim życiu nie było miejsca na nic poza magiczną obecnością Żbika. Jeździliśmy konno, jadaliśmy sami w bibliotece, raz czy dwa rozegraliśmy partię szachów, ale nie dał mi wygrać.

Byłam wesoła i beztroska, on także. Wydawał mi się zupełnie innym mężczyzną. Teraz otaczała go jakby jasność, choć może po prostu patrzyłam na niego oczyma miłości. Kiedyś zbudził mnie koszmarny sen: przez chwilę wydawało mi się, że go nie ma. Krzyknęłam ze strachu. Pochylił się nade mną, objął ramionami.

— Myślałam, że odszedłeś, że cię straciłam.

Usłyszałam w ciemności jego śmiech pełen radości i triumfu. Ja, która opierałam się temu małżeństwu, teraz we śnie oblewałam się zimnym potem ze strachu, że go stracę.

* * *

Także dom wydawał się inny. Uwielbiałam ten dom. Chciałam pozostać w nim na zawsze i uczynić go swoim domem. Adelajda nie miałaby nic przeciwko temu.

— Przemebłuję pracownię. Chciałabym żółte zasłony, ale nie za jasne.

— W kolorze złota — powiedziała Adelajda.

— Nie złota! — wykrzyknęłam. — W kolorze słońca.

Nie myślałam o przyszłości ani przeszłości. Teraźniejszość dawała mi wszystko, czego pragnęłam.

— A więc chcesz przemebłować pracownię niezależnie od tego, że wyjeżdżasz?

— Nie chcę wyjechać, Adelajdo.

— Ależ to będzie ekscytujące przeżycie.

— Stirling też nie będzie chciał tak wszystkiego zostawić.

— Stirling zrobi to, czego życzy sobie ojciec.

Patrzyła na mnie, dając mi łagodnie do zrozumienia, że i ja powinnam.

Przemyślałam nad tym. Wyjechać do Anglii ze Żbikiem i Stirlingiem, zostawić ten cudowny kraj, który dopiero poznawałam. Dom Białych Dam... tamta dziewczyna na trawniku... tamta starsza pani. Mój mąż zbyt się zapędził w spiskowaniu i planowaniu...

Na razie nie rozmawiałam z nim na temat wyjazdu. Śmiałyśmy się i przekomarzaliśmy, byliśmy poważni, kochaliśmy się w różnych nastrojach — beztrosko, czule, żywiołowo, namiętnie.

Byłam szczęśliwa mówiąc: teraz. Nigdy nie było tak wspaniale. Nic nie powinno tego zepsuć. Muszę w tym trwać, muszę sprawić, by tak było wiecznie.

Nic jednak nie trwa wiecznie.

* * *

Jakże męczący potrafią być ludzie! Wydawało się, że Jessica rozmyślnie próbuje zniszczyć moją radość. Pewnego dnia przechodziłam koło jej pokoju. Drzwi były otwarte i zawołała mnie do środka. Miałam ochotę odmówić, ale nie mogłam.

Siedziała przed lustrem, przymierzając moją ślubną woalkę.

— Skąd ją masz? — spytałam.

— Nie jest ci potrzebna, prawda? Chciałam tylko przymierzyć.

Wyglądała dziwnie z tymi dzikimi oczyma i bladą szkieletowatą twarzą. Zdawała się czytać w moich myślach, bo powiedziała:

— Wyglądam jak panna młoda z „Gałęzi jemioly”. Znasz tę historię? Schowała się w kufrze. Zamek się zatrzasnął i znaleźli ją po latach.

— Co za makabra!

— Ja też tak uważałam. Akurat! — pomyślałam.

— Może dla niej lepiej było zatrzasnąć się w kufrze.

— Co ty wygadujesz, Jessiko!

— Dusła się pewnie powoli, ale męka nie trwała długo. Lepsze to, niż cierpieć przez całe życie. A wręcz nie sposób wyrazić, jak Maybella cierpiała, roniąc tak często.

Odwrociłam się. Nie chciałam myśleć o pierwszym małżeństwie mojego męża. Tak, było to małżeństwo z wyrachowania, ale usprawiedliwiałam go — był dumnym człowiekiem, uwięziono go i niesłusznie skazano, małżeństwo było jedyną drogą ocalenia. I cieszyłam się nawet, że to było takie małżeństwo. Nie chciałam z nikim dzielić się namiętnością, która uniosła mnie jak szalony wir.

Jessika zdjęła woalkę z pomarańczowym kwiatem; pod nią była ta z atlasową kryzką. Przymierzała obie naraz.

— To ty ją przyniosłaś do mojego pokoju w noc przed ślubem — powiedziałam z wyrzutem.

— Tak, wiedziałam, że będziesz chciała ją mieć. Pozwala sobie grasować po moim pokoju, pomyślałam. To mnie złościło, lecz jej bezradność była godna współczucia i mój gniew opadł.

Składała woalki pieczołowicie.

— Zatrzymam je sobie — powiedziała. — Mam śliczne pudło z sandałowego drewna. Jest w nim dużo miejsca.

Spojrzała na mnie z ukosa. Co chciała przez to powiedzieć? Że któregoś dnia włoży do pudełka jeszcze jedną, trzecią woalkę? Nie będę przejmować się szaloną kobietą, której umysł najwyraźniej nie pracował jak należy!

Zostawiłam ją i poszłam do biblioteki. Oczy Żbika zajaśniały na mój widok.

* * *

Pojechaliśmy do Melbourne z wielką paradą, specjalnym powozem, który Żbik kazał dla siebie zrobić. Zmienialiśmy konie co dziesięć mil. Chwilami Żbik powoził osobiście. Ależ wtedy pędziliśmy!

Zamieszkaliśmy w największym apartamencie naszego hotelu. Żbik załatwiał interesy, a ja dziwiłam się, że nie zawsze zabiera mnie ze sobą. Później się dowiedziałam, że interesy dotyczyły naszego wyjazdu z Australii i doszłam do wniosku, że znając mój stosunek do tej sprawy, nie chciał psuć nam wakacji.

A trzeba przyznać, że bawiliśmy się znakomicie. Rano jeździliśmy do sąsiednich prowincji, do Richmond i dalej wzdłuż rzeki Yarra Yarra aż do Dandenong. Chodziliśmy na koncerty i do teatru. Żbik był, rzecz jasna, dobrze znany w Melbourne. Otrzymywaliśmy wiele zaproszeń, z których większość odrzucał. Sam natomiast wydał przyjęcie w hotelu — wielka jadalnia zamieniła się w salę bankietową. Była kolacja, a później koncert młodego pianisty, którym zachwycano się w Europie i który właśnie debiutował w Australii.

W białej atlasowej sukni, mając za jedyną ozdobę diamentową broszkę, stałam obok niego i witałam gości. Byłam dumna widząc, że nie tylko wśród członków swojej rodziny budził wielki respekt.

Gratulowano nam. Unoszono brwi — byłam tyle od niego młodsza! Chciałam tłumaczyć, że wiek nie ma nic do rzeczy, zwłaszcza w przypadku Żbika. Żbik jest wiecznie młody. Wyobrażałam sobie, że będzie żył jeszcze długo po mojej śmierci.

Siedziałam, słuchając gry na fortepianie. Muzyka Chopina zawsze będzie mi przypominała tamten wieczór. Było w niej coś smutnego i tęsknego. Czułam, że mówi o przemijaniu radości i szczęścia, o nieuchronnym otrzeźwieniu. Ach, brednie! To przez Jessikę, przez jej woalki i pudła nachodzą mnie takie myśli.

Usłyszałam szepty kobiet:

— Rozrzutny. Nie dba o wydatki.

— Wydatki? To dla niego drobnostka. Jest multimilionerem.

— To się nazywa mieć szczęście!

— I młoda żona, i majątek.

Żałowałam, że mam tak ostry słuch. Byłam pewna, że słyszałam, jak ktoś mówi: „Tylko czy to długo potrwa!”

Zadrżałam, jakbym słyszała Jessikę!

Nie czułam najmniejszego zakłopotania, obracając się wśród tyłu ludzi. Zmieniłam się od chwili, gdy wyszłam za mąż. Stałam się damą. Byłam obiektem pożądania, byłam kochana przez człowieka, ku któremu zwracały się wszystkie oczy, gdziekolwiek się pojawił. Powtarzałam sobie: „Wybrał mnie”. I wyżej unosiłam głowę. W sukni z białego atlasu poruszałam się swobodnie, wiedziałam, że jestem doskonale ubrana. Wciąż czułam jego wzrok na sobie, wymienialiśmy porozumiewawcze spojrzenia. Chciałam, żeby był ze mnie dumny.

Wmieszałam się w tłum gości. Rozmawialiśmy o Melbourne, jak się ostatnio zmieniło. Mówiliśmy o nowych budynkach, sklepach, o teatrze.

— Mam nadzieję, że będzie pani częściej bywała w Melbourne, pani Herrick — powiedziała jedna z kobiet. — Do lutego zostało jeszcze dużo czasu.

Nie byłam pewna, co miała na myśli.

— Do lutego? — spytałam.

— Czy nie w lutym państwo wyjeżdżają? Pani mąż mówił, że jego zdaniem lepiej przyjechać do Anglii przy ciepłej pogodzie.

— Ach, tak. Naturalnie.

— Wyobrażam sobie, jakie to musi być dla pani ekscytujące. Myślę jednak, że kiedyś pani tu powróci. Choć Anglia to pani ojczyzna, nieprawdaż?

Nie słuchałam. Ustalił datę wyjazdu i nic mi o tym nie powiedział! Byłam wściekła. Jeszcze raz, tak jak przed ślubem, pokazał mi, że miałam głos w nieistotnych sprawach naszego życia — o podstawowych problemach rozstrzygał sam.

* * *

— Odniosłaś wielki sukces — powiedział. — Jestem z ciebie dumny. Wyglądałaś zupełnie inaczej niż ta nauczycielka, która przyjechała do nas przed dwoma laty.

Stałam milcząc przed dużym lustrem. Podszedł i otoczył mnie ramionami, patrząc ponad moją głowę na nasze odbicie.

— Słyszałam, że powziąłeś postanowienie w sprawie wyjazdu do Anglii — powiedziałam z kamienną twarzą.

— Ach, o to chodzi! Powiedział ci któryś z tych głupców? A może żona Adamsa? Adams nie dyskutowałby o interesach swego klienta z jego żoną.

— Fakt pozostaje faktem.

— Lubię trzymać rękę na pulsie.

— A więc to za pięć — sześć miesięcy.

— Sądziłem, że będzie ci miło powitać Anglię przy dobrej pogodzie.

— To miłe, że się tak o mnie troszczysz.

— Moja najdroższa wie, że zawsze troszczę się o jej wygody.

Spojrzałam w lustro.

— Skoro przechodzimy na ów irytujący sposób rozmowy o niej, jakby ona nie była obecna, to wolałabym, żeby o jej życzenia dbano równie pieczołowicie, jak o jej wygody.

— Zaliczam do przyjemności spełnianie tych życzeń, jeśli to możliwe.

— To znaczy wtedy, kiedy ci to wygodne.

— Wciąż ta idiotyczna kwestia wyjazdu. Zdziwiasz mnie, Noro. To miasto, które, przyznaję, rozwija się i na pewno będzie za jakiś czas bardzo interesującym miejscem, nie może być porównywane ze starym krajem.

— Chcę zostać tutaj. Proszę cię, wiem, że najlepszą dla nas rzeczą jest zostać tutaj — powiedziałam błagalnie.

— Skąd możesz to wiedzieć? Mówisz, jakbyś była wieszczką.

— Wiem, po co chcesz jechać do Anglii.

— Zabieram rodzinę do Anglii, ponieważ tam będzie mogła żyć na poziomie stosownym do jej...

— Majątku — powiedziałam. — Majątku, który zawdzięczasz mnie.

— Moja mądra Noro. Nigdy nie zapomnę tego dnia, kiedy przyszedłaś i pokazałaś mi bryłkę złota. Wyglądałaś na przestraszoną, jakbyś zrobiła coś niestosownego.

— Żałuję... — zaczęłam.

Nieprawda, nie żałowałam. Byłam zadowolona. Byłam zadowolona, że to ja dokonałam tego niezwykłego odkrycia.

Nagle stał się czuły, jakby fakt, że znalazłam złoto, dawał mi przywilej bycia głupią we wszystkich innych sprawach.

— Noro, zostaw to wszystko mnie.

— Ośmielam się twierdzić, że dogadzałoby ci, gdybyś miał głupią żonę, która powtarza: „Tak, tak, jesteś cudowny. Masz zawsze rację. Rób, co uważasz za słuszne, a ja będę cię podziwiać”.

Wybuchnął śmiechem. Potrząsnął głową.

— To nie ma sensu, Noro. I tak wyjedziemy.

— A kiedy będziemy na miejscu, zdobędziemy Dom Białych Dam, nie przebijając w środkach.

— Jak pięknie to ujęłaś...

— A więc jesteś zdecydowany. Och, Żbiku, dlaczego tak chcesz tego domu? Kup jakiś dom w pobliżu, skoro podoba ci się tamta okolica. Albo wybudujemy nasz własny.

Stał z kamienną twarzą. Wyglądał jak wtedy, gdy go poznałam: pojawił się w nim chłód, który mnie przerażał i ranił.

— To coś, czego nie zrozumiesz — rzekł. — Jedziemy do Anglii, a kiedy będziemy na miejscu, postanowimy, co dalej.

— Ja, twoim zdaniem, nie mam w tej sprawie nic do powiedzenia?

Odwróciłam się i podeszłam do okna. Walczyłam z sobą, bo miałam ochotę ustąpić i powiedzieć: „Zrobię, co zechcesz. Chcę tylko, żebyś mnie kochał”. Ale wtedy nie byłabym wierna sobie samej. Żbik mnie pokochał, gdy się go nie bałam. Nie powinnam więc bać się i teraz.

— Moim zdaniem — rzekł — powinnaś zachować właściwy sobie rozsądek. Powinnaś sobie uświadomić, że nic o tej sprawie nie wiesz, i zdać się na moje decyzje.

Rzuciłam mu się w ramiona.

— Więc powiedz mi wszystko, powiedz.

Pociągnął mnie na stojącą obok sofę. Położyłam się przy nim, a on zaczął opowiadać o tamtych dawnych dniach. Słyszałam to już wcześniej, ale chyba nigdy nie uświadomiłam sobie tak dokładnie głębi upokorzeń, których doznał. Chciał mieć ten dom na własność — jedyne lekarstwo na ranę, która jeszcze się nie zagoiła.

— Czy to konieczne? — pytałam. — Czyż nie zmieniło się wszystko? Masz teraz mnie.

— Mam ciebie — przyznał — a kiedy zdobędę Dom Białych Dam, będę całkowicie zadowolony.

— A więc ja nie wystarczę?

— Dałaś mi wszystko, o czym można marzyć, wiążąc się z innym człowiekiem. Jesteś moim najdrogocenniejszym klejnotem. Ale potrzebuję dla ciebie oprawy i tylko ta jedna może mnie zadowolić.

— Będę szczęśliwa również w innej oprawie.

— Ale ja nie będę.

— Nie sądzę, by tamta oprawa była dla mnie odpowiednia.

— Skąd możesz to wiedzieć?

Uniosłam głowę i popatrzyłam na niego srogo.

— Wiem, jestem pewna. Zemsta to diabelska sprawa. Rani ludzi. Nie można osiągnąć szczęścia raniąc innych. Żbiku, dałeś mi tak wiele. Zmieniłam się przy tobie. Wydoroślałam. I kocham cię za to z całego serca. Proszę tylko o jedno: porzuć ten szaleńczy plan.

— To jedyne twoje życzenie, którego nie mogę spełnić.

— Ależ Żbiku, jesteśmy razem, żyjemy dla siebie. Dom to jedynie cegły i zaprawa, która je łączy.

— Dom może być symbolem.

— Jesteś bogaty. Możesz kupić dom. Ogromny, wspaniały dom, twój własny. Są z pewnością w Anglii domy na sprzedaż.

— Ale mówisz, że nie chcesz jechać do Anglii.

— Czyż nie wszystko jedno, gdzie będziemy, bylebyśmy byli razem?

— Moja najdroższa — rzekł czule.

Korzystając z jego łagodnego nastroju, ciągnęłam:

— Boję się zemsty i nienawiści. To nie są środki prowadzące do szczęścia. Nawet jeśli zdobędziesz ten dom, nie będziesz w nim szczęśliwy.

— Nonsens! — powiedział ostro.

— Jak mógłbyś być szczęśliwy, mając świadomość, że wyrzuciłeś prawowitych właścicieli.

— Właśnie z tego powodu będę szczęśliwy. Że przestaną być prawowitymi właścicielami. Ja stanę się prawowitym właścicielem. I nie mówmy o tym więcej. Sama się przekonasz na miejscu.

Ziewnął. Zdrowy rozsądek podpowiadał mi, żeby skończyć rozmowę, przystać na wszystko, a później robić co w mojej mocy i wyleczyć tę jego okropną ranę, otwartą od wielu lat. Ale coś uporczywie popychało mnie dalej:

— Jest w tym coś małostkowego.

— Coś małostkowego? — wykrzyknął. — Co za bzdury znowu wygadujesz?

— Karać dzieci za grzechy ojców.

— O, Boże, Noro. Mówisz jak kaznodzieja.

— Wiem, że pielęgnowanie uczucia doznanej krzywdy to nie tylko zło, to także szaleństwo.

— Siedem lat upokarzającej niewoli nazywasz krzywdą?

— Nie ma znaczenia, jak długo się cierpi...

— Szczególnie dla tych, którzy nie cierpieli.

— Nie tak to rozumiem.

— Co w ogóle rozumiesz? Posłuchaj, Noro. Zaczynam tracić cierpliwość. — Zaśmiał się. Miał kamienną twarz. — Może już czas, żebyśmy doszli do porozumienia. Musisz zrozumieć, że to ja jestem panem w moim domu.

— Czy to znaczy, że ja nie mam prawa głosu, póki mnie o to nie poprosisz?

— Zawsze chętnie słucham, kiedy masz do powiedzenia coś sensownego. Ale powinnaś jak najszybciej sobie uświadomić, że od żony wymagam posłuszeństwa.

Nie kochanek przemawiał do mnie, lecz arogancki mężczyzna, którego poznałam tuż po przyjeździe do Australii i którego sposób bycia wcale mi się nie podobał. O, nie, pomyślałam. Ja nie będę taką potulną żoną! Nie wyprę się swego zdania tylko dlatego, że on go nie podziela. Niech ma swoją zemstę, do której nie pozwala mi się mieszać, w porządku, ale ja mam poczucie własnej odrębności i jestem zdecydowana je zachować. I choć bardzo go kocham, choć całą sobą pragnę powrotu do dawnej czułości, nie zamierzam płacić za to tyle, ile on sobie życzy.

— Jeśli sądzisz, że usłyszysz potulne „tak” na wszystko, co powiesz, jesteś w błędzie. W gruncie rzeczy zaczynam się niepokoić, czy nasze małżeństwo nie okaże się błędem — powiedziałam.

— Jesteś dziś we frywolnym nastroju — rzekł swobodnie. — Twój sukces wśród pań i panów z Melbourne uderzył ci do głowy.

— Mówię całkowicie poważnie i nie ma to nic wspólnego z panami i paniami z Melbourne. To sprawa między nami. Nie będę się zgadzać ze wszystkimi twoimi poglądami. Nie będę cię uważać za swojego pana i władcę, którego słowa są prawem i którego opinie są zawsze bardziej słuszne niż moje tylko dlatego, że jesteś mężczyzną, a ja kobietą.

— Czy kiedykolwiek prosiłem, żebyś była taką nudną idiotką?

— Zdaje mi się, że tego właśnie oczekujesz.

— Nie myślisz logicznie. Wiesz, że chcę znać twoje zdanie, ale nie pozwolę, żebyś mi dyktowała, co mam robić w sprawach największej wagi. Dostyc już. Chodźmy do łóżka.

Ja jednak obstawałam przy swoim. Wiedziałam, że nie powinniśmy tak po prostu porzucić tego tematu, bo stale będzie źródłem zadrażnień między nami.

— Musimy to wyjaśnić. Złapał mnie za ramię.

— Pięknie dziś wyglądasz. Świetnie ci w tej sukni. Zaczął mi rozpinać haftki, ale wyrwałam się i pobiegłam do garderoby. Był zaskoczony. Zanim przyszedł, zamknęłam się na klucz. Miałam łzy w oczach. Przynajmniej udało mi się ukryć przed nim łzy — byłam pewna, że nimi gardził.

Stało się, myślałam. Skończył się miodowy miesiąc. Nasze stosunki nie ułożyły się tak, jak sądziłam.

Siadłam na łóżku i myślałam o Stirlingu. Czy on mnie kocha? Tak, na pewno. Pamiętam, jak leżeliśmy w jaskini. Ale ojciec powiedział mu: „Trzymaj się od niej z daleka. Ona jest dla mnie”. Stirling trzymał się więc z daleka. A teraz Żbik mówi do mnie: „Będziesz robiła, co każe. Będziesz uczestniczyła w moim wielkim planie zemsty”. I chociaż rozum podpowiadał: „Źle czyni, nic dobrego z tego nie wyniknie”, moje serce wołało: „A co to szkodzi? Będziesz z nim, a on będzie cię kochał. Lecz jeśli zwrócisz się przeciwko niemu...”

Ukazała mi się Jessika trzymająca pudło z sandałowego drzewa, w którym było jeszcze dużo miejsca... O, tak. To był koniec miodowego miesiąca.

* * *

Spędziłam bezsenłą noc. Położyłam się na niewygodnym łóżku, zdjawszy atlasową suknię. Miałam nadzieję, że zapuka do drzwi i poprosi, żebym wyszła. Nie zapukał. To ja otworzyłam drzwi następnego ranka.

Siedział w fotelu i czytał. Byłam w halce, a suknię trzymałam w ręce.

— Och, kobieta z zasadami — powiedział.

Jego nastrój zupełnie się zmienił. Nie był już zły, powróciła czułość, choć jeszcze nie w słowach.

- Mam nadzieję, madame, że dobrze pani spała.
- Trudno to tak nazwać — odrzekłam, trzymając się narzuconej konwencji.
- Wyrzuty sumienia?
- Zbyt twardy materac.
- Ach, pani preferuje puchowe pośłanie.
- W pewnych sytuacjach. Roześmiał się.

— Moja biedna dziecina. Co za brutal ze mnie! Powinienem był nalegać, żebyś opuściła swój twardy materac, ale tak zdecydowanie broniłaś praw kobiet i wolności wyboru — cóż mogłem uczynić?

— Nic. Byłam zdecydowana ponieść wszelkie koszty.

— Zapewne życzysz sobie wziąć kąpiel. W tym czasie ja zamówię śniadanie i poproszę, by nam je przyniesiono na górę. Zgadzasz się czy pragniesz przedstawić własne propozycje?

— Zgadzam się w całej rozciągłości.

Byłam szczęśliwa. Nie, to nie koniec. Zachowałam się głupio, nie powinnam być taka agresywna. Muszę wyperswadować mu wyjazd delikatnie, subtelnie. Usiedliśmy przy stoliku na kółkach, który właśnie wjechał do pokoju. Nalałam kawę, a on nałożył z ogrzewacza na talerz bekon i przysmażone cynaderki. Była w tej scenie przytulna intymność, czułam się szczęśliwa.

— A teraz — powiedział — przedyskutujemy tę sprawę w cywilizowany sposób. Mamy o niej odmienne opinie. Ja mówię, że pojedziemy do Anglii i nasze dzieci będą bawiły się na trawnikach Domu Białych Dam. Moje wnuki z moim synem i córką. Stirling się ożeni, Adelajda dołączy do nas w swoim czasie. Dom Białych Dam nie jest jeszcze moją własnością. Mogą wystąpić pewne trudności, ale lubię zmagać się z trudnościami. Ty, Noro, masz swoje własne purytańskie poglądy. Wyrównywanie porachunków wydaje ci się barbarzyństwem. Ja mówię: oko za oko. Ty mówisz: nadstaw drugi policzek. Ale ta sprawa jest moją sprawą. Będę walczył o Dom Białych Dam i będę miał przeciwniczkę we własnej rodzinie — moją żonę. Ta sytuacja jest dla mnie wyzwaniem.

— A więc jedziesz do Anglii.

— Jedziemy do Anglii.

— I zamierzasz zdobyć ten dom.

— Nie przebierając w środkach, jak to ujęłaś. I jeśli chcesz mnie powstrzymać, cóż, będę miał dodatkową podniętę. Zamierzasz mi pokazać, dlaczego nie powinienem zdobyć tego domu. A ja zamierzam ci pokazać, dlaczego powinienem to zrobić.

— Czyli nie odepchniesz od siebie żony, która nie zgadza się potulnie z twoimi racjami?

— A na cóż by mi było takie stworzenie? Jestem w sumie dość zadowolony z mojej Nory. Może się stawiać, może być arogancka, ale najbardziej drażni mnie ta jej pobożność, ten jej misjonarski duch...

— A mnie najbardziej denerwuje to, że mój mąż ma wielce irytujący sposób mówienia do mnie o mnie — jakby mnie nie było.

— Złościmy się wzajemnie, zatem wszystko w porządku.

— Postanowiłeś wspaniałomyślnie wybaczyć żonie, że cię nie uważa za wszechmocnego i wszechwiedzącego?

— Doszedłem do wniosku, że kocham tę kobietę, co oznacza, że gotów jestem wiele wytrzymać. W rzeczy samej spodziewam się kilku zaciętych bitew z Norą głoszącą ideę nadstawiania drugiego policzka. Udowadniając jej zresztą przez cały czas, jaka może być szczęśliwa w swojej angielskiej posiadłości.

— Nigdy się z tobą nie zgodzę.

— Wiem — powiedział. — Dzisiaj wracamy. Musimy zacząć przygotowania.

— Przygotowania?

— Do wyjazdu do Anglii... i do naszych bitew.

* * *

Tego dnia opuściliśmy Melbourne. Osiągnęliśmy kompromis. Obiecałam, że nie będę się sprzeciwiać żadnym przygotowaniom. Miałam zamiar nakłonić Żbika do porzucenia planu zdobycia Domu Białych Dam w stosownym czasie.

Nie powiedział mi, co zamierza zrobić. Myślę, że Stirling wiedział. Czulałam się nieco odsunięta, ale skrywałam urazę. Byłam przekonana, że nie powinniśmy odbierać Domu Białych Dam jego właścicielom. Czasy średniowiecza, kiedy brano zamki siłą — minęły. Zamierzałam namówić Żbika, by kupił dom, który ja wybiorę. Wyobrażałam sobie, że będzie duży i wspaniały. Lecz ilekroć malowałam jego obraz w wyobraźni, zawsze przybierał kształt Domu Białych Dam.

Zbliżał się koniec lata, wiatr był chłodny i porywisty, słyszałam, jak hulał po buszu. Uderzał o szyby i mierzył się z domem, jakby chciał wyrwać go z fundamentów.

Gdy jeździłam konno — zwykle ze Żbikiem, czasami z Adelajdą, nigdy ze Stirlingiem, którego widywałam teraz bardzo rzadko — wzdrygałam się na widok zniszczeń, jakie poczynił pożar, choć wiele drzew nie obumarło całkowicie i z czasem miało odżyć.

Między Żbikiem a mną powróciły dawne stosunki, choć może przekomarzaliśmy się częściej niż tuż po ślubie. Lubił walczyć ze mną na argumenty, lubił, gdy miałam inny punkt widzenia. To mu sprawiało przyjemność. Przestałam martwić się jego obsesją zemsty, byłam pewna, że uda mi się go od niej odwieść.

Często mówiliśmy o Domu Białych Dam, lecz nigdy nie wspomniał, w jaki sposób ma zamiar go zdobyć.

* * *

Jak niespodziewanie można stracić życie w tym kraju! Śmierć zawsze jest o krok.

Tamtego słonecznego poranka jechaliśmy do kopalni. Nie byliśmy sami. Jechał z nami Stirling i dwóch czy trzech mężczyzn. Żbik sprzedał ostatnio większość udziałów.

— Przyszędł czas — wyjaśniał. — Co najlepsze jest już nasze, choć w skałach kwarcowych tkwi jeszcze sporo złota. Starczy pracy na parę lat.

Likwidował swoje interesy w Australii, bo był zdecydowany nigdy tu nie wrócić. Adelajda miała zostać jeszcze kilka miesięcy, a potem sprzedać dom i dołączyć do nas. Wszystko było ustalone.

Słońce przygrzewało, lecz wiatr był przenikliwie zimny i bardzo silny. Żbik jechał przodem, obok niego jeden z ludzi z kopalni. Stirling i ja nieco z tyłu. Po raz pierwszy od czasu ślubu byłam z nim sam na sam — jeśli można to tak nazwać.

— Cieszysz się na wyjazd do Anglii? — spytałam. Powiedział, że tak, i byłam o to na niego zła. Nie miał nigdy swojego zdania, przyjmował poglądy ojca.

— Cieszysz się, że opuścimy to wszystko? — nalegałam.

— A ty?

— Ja byłam tu stosunkowo krótko. Ty masz tu dom.

— W Anglii też będzie dobrze.

Dojechaliśmy do miejsca, gdzie Jacob Jagger stracił życie. Wyglądało niesamowicie. Drzewa stały wysokie i majestatyczne, obojętne i szerniałe. Pożar ich nie ominął. Niektóre miejsca są

przekłete. Tu zginął człowiek... Jego życie ustało niespodziewanie na skutek czyjegoś chwilowego wzburzenia. Czy jego duch został tu na zawsze, szukając zemsty?

Stirling spojrział na mnie. Może też pomyślał o Jaggerze?

— A więc ogień przeszedł i tędy — powiedziałam, a moje słowa poniósł wiatr, który zerwał się ze świstem.

I wtedy to się stało. Wielka gałąź spadła z wierzchołka największego eukaliptusa. Ktoś krzyknął, gdy runęła jak grom z jasnego nieba. Zobaczyłam Żbika — spadł z konia i leżał na ziemi.

Usłyszałam czyjś głos:

— O, Boże, wdowi konar!

Zanieśli go do domu na skleconych naprędce noszach. Jaki był długi! Dłuższy po śmierci niż za życia. Zginął niczym starożytny bóg — od spadającej gałęzi, która runęła z taką siłą, że przebiła mu serce i przyspiliła go do ziemi.

Wdowi konar dopadł go jak wielu innych, mniej od niego znaczących ludzi. Nie mogłam w to uwierzyć. Poszłam do biblioteki. Dotykałam szachów. Wzięłam w ręce jego sygnet z wygrawerowaną głową żbika i wpatrywałam się w niego tak długo, aż lśniące kamienne oczy zdały mi się jego oczami.

Żbik... nie żyje! Przecież miał być nieśmiertelny. Byłam całkowicie otepiąta. Czułam się tak, jakbym to ja umarła.

* * *

Gdy odwiedził mnie Stirling, wyplakałam długo powstrzymywane łzy. Trzymał mnie w ramionach i byliśmy tak blisko siebie jak wtedy w jaskini, gdy ogień szalał ponad nami.

— Musimy pojechać do Anglii — powiedział. — On życzyłby sobie tego.

Wzdrygnęłam się.

— Nie życzyłby sobie, żebyśmy pojechali. Po co? On chciał tam jechać, ale już nie pojedzie. Już po wszystkim.

Potrząsnął głową i powiedział:

— Życzyłby sobie, żebyśmy pojechali. Wyruszymy, tak jak wyruszylibyśmy, gdyby był z nami.

Pomyślałam wtedy, że Żbik żyje nadal, by kierować naszymi losami. Podświadomie zawsze wierzyłam, że śmierć nie może go dotknąć. I może tak właśnie było.

Minta

Rozdział 1

Dziś wieczorem, kiedy siedziałam w swoim pokoju, patrząc w dół na rozległe trawniki, postanowiłam spisać minione wydarzenia, zatrzymać pamięć upływających dni na zawsze. Tak szybko zapominam! Doznania tracą wyrazistość, umysł wypacza obraz przeszłości, nadaje mu kształt swoich życzeń: uwypukla to, co chciałby zachować, odrzuca, co woli uznać za niebyłe. Postanowiłam zatem prowadzić dziennik, zapisywać wszystko rzetelnie i bez upiększeń.

Skłoniła mnie do tego przygoda z parą nieznajomych, wspomnienie tamtego popołudnia, gdy przyszedł Stirling. Przedziwna rzecz: pojawił się w moim życiu na krótką chwilę i nic nie wskazywało na to, że pojawi się raz jeszcze, więc nieodparta chęć opisanego owego wydarzenia zdawała się absurdalna. W gruncie rzeczy nie stało się nic nadzwyczajnego. Wiedziałam, że on ma na imię Stirling, dziewczyna zaś — Nora, bo w ten sposób zwracali się do siebie. Każde z imion padło nie więcej niż raz, ale mój umysł pracował wyjątkowo sprawnie, miałam bardziej niż zwykle wyostrzoną uwagę, zapamiętałam wszystko w szczegółach.

Przyszli zabrać szal dziewczyny, który przefrunął ponad murem. Miałam wrażenie, że całe zajście zostało specjalnie przygotowane. Ale może to głupie podejrzenie, bo dlaczego miałyby tak być!

Siedzieliśmy z Lucie w ogrodzie. To był jeden z nie najlepszych dni mamy. Biedna mama! Wiedziałam, że nigdy nie będzie szczęśliwa. Patrzyła jedynie w przeszłość, która nie była tak wspaniała, jak być mogła.

Mama utraciła w młodości szansę na prawdziwe szczęście. Obiecała, że kiedyś mi o tym opowie.

Lucie pracowała nad gobelinkiem, robiła obicie na krzesło z jadalni. Ojciec stracił na nie popiół z cygara i wypalił dziurę w materiale utkanym w 1701 roku. Ot i cała Lucie: postanowiła odtworzyć wzór z czasów Jakuba I i utkać materiał tak, aby nowo obite krzesło nie odróżniało się od reszty. Cicha i spokojna Lucie była zręczna i inteligentna. Cieszyłam się, że jest z nami. Życie byłoby bez niej bardzo nudne. Ze wszystkim potrafiła się uporać, pomagała ojcu w pracy, czytała mamie najnowsze powieści, czasopisma i gazety, mnie zaś dotrzymywała towarzystwa.

Zachwycałam się podobieństwem materiału, który robiła, do materiału na krzesłach.

— Prawie identyczny!

— Ale tylko prawie! — stwierdziła zawiedziona. — Nie nadaje się. Musi być identyczny w każdym szczególe.

— Ależ prawie jest — pocieszałam ją. — Kto się będzie tym siedzeniem przyglądał?

— Może będzie... w przyszłości. — Oczy Lucie rozbłyły marząco. — Chciałabym, żeby za sto lat, patrząc na te krzesła, ludzie mówili: „Które z nich było przerabiane w końcu XIX wieku?”

— Ale... dlaczego? Zniecierpliwiła się.

— Nie zasługujesz na ten dom, Minta — urągała. — Pomyśl tylko: korzenie twojej rodziny sięgają czasów Tudorów albo nawet wcześniejszych. Przypadło ci w udziale wspaniałe dziedzictwo — Dom Białych Dam. A ty zdajesz się tego nie doceniać.

— Kocham Dom Białych Dam, Lucie, i nie wyobrażam sobie, żebym miała mieszkać gdzie indziej, ale to w końcu tylko dom.

— Tylko dom! — Wzniosła oczy ku niebu. — Dom Białych Dam! Tylko dom! To zabytek! Już przed pięciuset laty mniszki wiodły tu bezpieczny żywot. Czasami wydaje mi się, że słyszę dźwięk

dzwonów wzywających je na wieczorne pacierze, że po nocach z cel dochodzi głos modlitwy i słyhać szelest habitów, gdy mniszki wspinają się po kamiennych schodach.

Roześmiałam się.

— Lucie, bardziej przejmujesz się tym domem niż my.

— Traktujecie go jak coś, co się wam należy — wybuchnęła z ponurą miną.

Wiedziałam, że myśli o małym domku w brudnym miasteczku w Black Country. Opowiadała mi o nim i chyba rozumiałam jej sentyment dla Domu Białych Dam. W gruncie rzeczy to Lucie sprawiła, że poczułam się dumna z domu, który należał do mojej rodziny od stuleci.

Lucie przyjechała do nas dzięki mnie. Uczyła historii i literatury angielskiej w mojej szkole, opiekowała się mną także przez pierwsze miesiące mojego pobytu w internacie. Pomagała mi znieść nieuniknioną tęsknotę za domem, uczyła samodzielności — wszystko dyskretnie, nie narzucając się. Podczas drugiego semestru miałyśmy napisać wypracowanie o jakimś starym domu, który kiedyś widziałyśmy. Ja opisałam naturalnie Dom Białych Dam. Lucie zainteresowała się nim i spytała, gdzie go widziałam. „Ja w nim mieszkam”, odpowiedziałam. Lucie często potem o niego pytała. Gdy zbliżały się wakacje, niecierpliwie oczekiwałyśmy wyjazdu do domów. Zauważyłam, że Lucie była smutna, i spytałam, gdzie spędzi lato. Odpowiedziała, że nie ma rodziny i że spróbuje znaleźć pracę u jakiejś starszej pani. Może będzie mogła w ten sposób gdzieś wyjechać. Gdy spontanicznie krzyknęłam: „Proszę przyjechać do Domu Białych Dam”, jej radość mnie wzruszyła.

Przyjechała więc i taki był początek. W tamtych czasach nie poruszano jeszcze przykrego tematu braku pieniędzy. W wielkim domu było dużo wolnych pokoi i mnóstwo służby, przyjeżdżało wielu gości. Jedna Lucie Maryan nie robiła różnicy. Choć, trzeba przyznać, różniła się od innych. Była bardzo pożyteczna. Mama lubiła tembr jej głosu. Niełatwo też było Lucie zmęczyć; wysłuchiwała opowieści o dolegliwościach mamy z prawdziwą życzliwością. Wiedziała sporo o różnych chorobach i zabawiała mamę historyjkami o przypadłościach, na które cierpieli rozmaici ludzie. Nawet tata się nią zainteresował.

Pisał akurat biografię swego słynnego przodka, który zasłużył się w bitwach pod wodzą księcia Marlborougha. W gabinecie ojca leżały listy i dokumenty znalezione w kufrze w jednej z wież. Ojciec zwykł mawiać: „To dzieło mojego życia. Ciekaw jestem, czy będę żył dostatecznie długo, by je ukończyć”. Podejrzywałam wszakże, że większość popołudnia i wieczoru, czyli czasu przeznaczonego na pracę, spędzał na drzemce.

Pamiętam, jak podczas pierwszej wizyty Lucie spacerowała z ojcem pomiędzy drzewami, dyskutując o owych bitwach i stosunkach Marlborougha z żoną i królową Anną. Ojciec zachwycał się rozległością jej wiedzy i zanim wizyta dobiegła końca, przyjął ofiarowaną mu przez Lucie pomoc w segregowaniu listów i dokumentów.

Taki był początek. Później stało się rzeczą naturalną, że Lucie spędza wakacje u nas. Tak bardzo interesował ją Dom Białych Dam, że zaczęła namawiać ojca, by napisał jego historię. Pomysł wydał się ojcu na tyle pociągający, że zapowiedział rozpoczęcie badań nad dziejami naszego domostwa, gdy tylko ukończy pracę o generale Harrym Dorianie.

Lucie pasjonowała się pracą ojca. Mnie zaś bawiło, że ojca i Lucie o wiele bardziej zajmuje ten dom aniżeli mamę czy mnie, choć ojciec jedynie się w niego wzenił, a Lucie nie miała z nim nic wspólnego.

Kiedy skończyłam szkołę, mama zaproponowała, żeby Lucie zamieszkała z nami na stałe. Znaliśmy jej sytuację: sama na świecie, zmuszona zarabiać na swoje utrzymanie. W szkole nie było jej łatwo, a w Domu Białych Dam czekało na nią tyle zajęć!

Tak więc Lucie dostała miesięczną pensję i stała się częścią domostwa. Wszyscy ją lubiliśmy, a ponieważ była bardzo pożyteczna, wkrótce nie mogliśmy sobie wyobrazić, co byśmy bez niej

poczęli. Nie miała specjalnych obowiązków — była sekretarką ojca, pielęgniarką i towarzyszką mamy, przyjaciółką nas wszystkich.

Tego dnia, gdy pojawili się Stirling i Nora, miałam siedemnaście lat — Lucie dwadzieścia siedem.

Służący wyprowadził wózek mamy do ogrodu i Lucie odłożywszy robotę, ruszyła w ich kierunku. Wybrałyśmy przyjemne miejsce w cieniu drzew, obok stawu z posążkiem Hermesa. Mama chodziła z łatwością, ale lubiła swój wózek inwalidzki i często go używała. Siedziałam beczynnie, patrząc, jak Lucie pcha go po trawniku, i zastanawiałam się, czy dzisiejszy dzień jest jeszcze jednym złym dniem mamy. Zwykle miała to wypisane na twarzy. — Och, oby nie! — myślałam, dziś jest tak pięknie!

— Upewnijmy się, czy jesteśmy w cieniu — powiedziała mama. — Po słońcu okropnie boli mnie głowa.

— To miejsce jest całkowicie zacienione, mamó — rzekłam.

— Dziś jest tak jakoś jasno. O tak, to był jej zły dzień.

— Ustawię wózek w taki sposób, by światło nie padało na pani twarz, lady Cardew — powiedziała Lucie.

— Dziękuję, Lucie.

Lucie ustawiła i unieruchomiła wózek. Wtedy zjawił się Jeffs, majordomus, i pokojówka Jane, która przyniosła na tacy chleb i masło, rozki pszenne z dżemem i miodem oraz ciasto owocowe.

Lucie uwijała się wokół mamy, a ja siadłam przy stole i czekałam, aż służący przyniesie na srebrnej tacy czajnik i spirytusową maszynkę. Gdy taca znalazła się na stole, nalałam wszystkim herbaty. Mama uznała herbatę za zbyt mocną, więc Lucie natychmiast ją rozcieńczyła, i mama w milczeniu zaczęła popijać małymi łykami. Wiedziałam, że rozmyśla o przeszłości. Spojrzałam w stronę domu. Okno w gabinecie ojca na pierwszym piętrze było uchylone. Pewnie siedzi przy biurku — wokoło rozrzucone w nieładzie papiery — i drzemie. Nie lubił, gdy go niepokojono w godzinach pracy; podejrzewałam, że się boi, by go nie przyłapano śpiącego. Kochany tata, nigdy się na nikogo nie gniewał. Najzgodniejszy człowiek na świecie. Znajdował nawet zrozumienie dla mamy, choć nieustannie wysłuchiwanie jęków, jak to ona żałuje, że za niego wyszła, musiało wymagać nie lada cierpliwości z jego strony.

— Lucie — zaczęła znowu mama — chciałabym jeszcze jedną poduszkę pod plecy.

— Oczywiście, lady Cardew. Pójdę do domu po tę większą. Zawsze mi się wydaje, że poduszki, które są w ogrodzie, mogą być nieco wilgotne.

Mama przytaknęła, a gdy Lucie odeszła, wymruczała:

— Co to za dobre stworzenie.

Drażniło mnie, gdy nazywała Lucie „stworzeniem”. Zbyt ją lubiłam. Patrzyłam, jak oddala się po trawie — raczej wysoka, prosta jak świeca, z ciemnymi włosami zaczesanymi gładko i zebranymi na karku w węzeł. Nosila ciemne kolory — dziś kolor jagód morwy — które pasowały do jej oliwkowej cery. Natura obdarzyła ją elegancją. Nawet w niezbyt drogich strojach wyglądała gustownie.

— Jest przyjazna nam wszystkim — powiedziałam z lekkim wyrzutem.

Byłam jedyną osobą, która od czasu do czasu robiła mamie wymówki. Ojciec, nie znosząc jakichkolwiek niesnasek, zawsze był delikatny i ugodowy i zrobiłby wszystko, byleby uniknąć najlżejszych choćby zadrażnień. Lucie z kolei, ponieważ była u nas zatrudniona — ojciec i ja dokładaliśmy starań, by nie musiała o tym pamiętać — spełniała pośpiesznie każdą zachciankę mamy, postawiła sobie bowiem za punkt honoru pokazać nam, że nie traktuje swego miejsca w Domu Białych Dam jako intratnej posady.

— Wielkie nieba! Lucie! Nie masz się czego bać — mawia — łam często. — Jesteś nam przewodniczką, pocieszycielką, przyjaciółką! Za jedno wynagrodzenie gospodyni! Na to Lucie odpowiadała tak:

— Zawsze będę wdzięczna za to, że mogę przebywać w tym domu. Mam nadzieję, że nikt nie będzie żałował, że mnie tu przygarnięto.

Mama mówiła, że wiatr jest bardzo zimny, a słońce zbyt mocno grzeje, że ból głowy, z którym się obudziła, dokucza jej coraz bardziej. Lucie wróciła z poduszką i umieściła ją za plecami mamy, która dziękowała omdlewającym głosem.

I wtedy na trawniku pojawili się oni. Robili wrażenie nieokrzesanych i może nawet tacy byli, bo przecież nikt ich nie zapraszał ani nawet zapowiedział. On wysoki i ciemnowłosy, ona także ciemna, niezbyt ładna, ale niezwykle energiczna, co rzucało się w oczy i co czyniło ją bardzo pociągającą.

— Dzień dobry — powiedział Stirling. — Przyszliśmy po szal mojej podopiecznej.

Było to dość osobliwe obwieszczenie. Uderzyło mnie, że on jest jej opiekunem. Pomyślałam, że ona może mieć tyle lat co ja, a on tyle co Lucie. Zobaczyłam zielony szal leżący na trawie. Mówiła, że porwał go wiatr i szal przefrunął ponad murem.

— Bardzo proszę... — zaczęłam.

Mama patrzyła zdumiona. Lucie zachowywała niezmacony spokój. Zauważyłam, że ręka dziewczyny krwawi, i spytałam, czy się skaleczyła. Powiedziała, że się zadrasnęła, ale to nic strasznego. Lucie stwierdziła, że zabierze dziewczynę do pani Glee, bo ranę należy opatrzyć. Nastąpiły protesty, ale ostatecznie Lucie zabrała ją do pani Glee, a ja zostałam ze Stirlingiem i mamą.

Zaproponowałam herbatę, na co on z ochotą przystał. Interesował się żywo domem. Był zupełnie inny niż mężczyźni, których znałam. Niewielu ich zresztą wówczas znałam. Przypominam sobie, że porównywałam go z Franklynem Wakefieldem. Nie było dwóch mężczyzn mniej do siebie podobnych. Spytałam, gdzie mieszka, i zdumiałam się, gdy odpowiedział, że w Australii.

— W Australii? — powiedziała mama, prostując się w wózku. — To daleko.

— Dwanaście tysięcy mil mniej więcej.

Było w nim coś ożywczego, wzbudzającego sympatię; ich wtargnięcie wyrwało to popołudnie z uświęconej zwyczajem monotonii.

— Przyjechał pan tutaj na zawsze? — spytałam.

— Nie, odpływam z powrotem pojutrze.

— Tak szybko!

Poczułam się irracjonalnie zawiedziona.

— Moja podopieczna i ja odpływamy na „Carron Star” — rzekł. — Przyjechałem tu, by jej towarzyszyć w podróży. Straciła ojca i my ją adoptujemy.

— To niezwykle... intrygujące — stwierdziłam głupawo.

— Tak pani sądzi?

Zaśmiał się ironicznie, a ja oblałam się rumieńcem. Złęklam się, że będzie uważał mnie za głupią gęś. Na pewno porównywał mnie ze swoją podopieczną, która wyglądała na inteligentną.

Mama wypytywała go o Australię. Jaka jest? I gdzie on mieszka? Znała kogoś, kto wyjechał do Australii przed laty.

Stirling okazał zaciekawienie. Zapytał o nazwisko tego człowieka.

— Hmm... nie pamiętam — powiedziała mama.

— Och, to wielki kraj.

— Często się zastanawiam... — zaczęła mama, lecz zamilkła. Powiedział, że mieszka czterdzieści mil na północ od Melbourne. Czy znajoma osoba udała się do Melbourne?

— Nie potrafię powiedzieć — odrzekła mama. — Nigdy potem o niej nie słyszałam.

— Czy to było dawno temu? — nalegał.

Osobliwy grymas pojawił się na jego twarzy, jakby bardzo go ciekawiła, a zarazem trochę bawiła rozmowa o dawnej znajomości mamy.

— Trudno mi sobie przypomnieć — powiedziała mama.

A potem szybko dodała: — Minęło tyle czasu. Trzydzieści lat... albo i więcej.

— Nigdy nie kontaktowała się pani z tą osobą?

— Niestety, nie.

— Jaka szkoda! Mógłbym zawieźć mu... czy jej... wiadomość od pani.

— Och, to było tak dawno, tak bardzo dawno temu — mówiła mama lekko zarumieniona, wręcz ożywiona. Nigdy jej takiej nie widziałam. Nasz niespodziewany gość w dość dziwny sposób działał na nas obie.

Podając mu herbatę, zwróciłam uwagę na jego mocne brązowe palce. Uśmiechnął się, biorąc filiżankę z moich rąk. Wokół oczu miał mnóstwo drobnych zmarszczek — przypuszczałam, że od silnego słońca. Pytałam o Australię, zaciekało mnie gospodarstwo będące własnością tych ludzi. Mieli ponadto hotel w Melbourne i kopalnię złota.

— Takie życie musi być pasjonujące — powiedziałam.

Przyznał mi rację i wtedy po raz pierwszy odczułam niepokój. Do tej pory nie uświadamiałam sobie, jak mało urozmaicone są dni w Domu Białych Dam. Lucie wciąż mi wmawiała, że powinnam być wdzięczna losowi. Stirling był dla mnie uosobieniem zgoła odmiennej postawy. Wyglądało jednak na to, że jego z kolei zafascynował nasz dom. Pytał o mnóstwo szczegółów i przy rozmowie o domu zastała nas dziewczyna, gdy wróciła z obandażowaną ręką. Nalałam jej herbaty.

Wtedy przyszedł Franklyn. Był czarujący i niezwykle opanowany. Znałam go całe życie i nigdy nie widziałam, by się zirytował. W rzadkich przypadkach, gdy uznał za konieczne kogoś skarcić, robił to w imię słusznych racji, a nie z gniewu. Niektórzy ludzie mogliby nazwać Franklyna nudziarzem. Ale nie był nim.

Przeciwieństwa między nim a Stirlingiem były bardzo wyraźne. Stirlinga można by określić jako nietaktownego, gdyby nie to, że był człowiekiem innego rodzaju; był po prostu całkowicie nieświadomy swoich niedociągnięć. Nienaganny krój ubrania Franklyna nie zrobił na nim żadnego wrażenia — jeśli w ogóle nie uszedł jego uwagi.

Trudno mi było przedstawić ich sobie wzajemnie, wyjaśniłam więc Franklynowi, że szal przefrunął ponad murem i ci państwo przyszli po ów szal.

Wtedy Nora wstała, powiedziała, że muszą już iść, i podziękowała nam za uprzejmość. Stirling był trochę zły, co mi sprawiło przyjemność. Miał wyraźną ochotę zostać u nas dłużej! Nie mogłam jednak zrobić nic, by ich zatrzymać, i Lucie odprowadziła ich do bramy.

To wszystko. Niby zwyczajne zdarzenie, a jednak nie mogłam wyrzucić go z pamięci. Dlatego, chcąc utrwalić wszystko dokładnie tak jak było, zaczęłam pisać dziennik.

* * *

Siedzieliśmy w ogrodzie do pół do szóstej, kiedy przyszedł ojciec. Włosy miał potargane, twarz lekko zaróżowioną. Udała się drzemka, pomyślałam

— Jak się pracowało, sir Hilary? — spytała Lucie. Uśmiechnął się do niej, a jego oczy zapaliły się blaskiem, który ogarnął całą twarz — uwielbiał mówić o swojej pracy.

— Opornie dzisiaj szło — rzekł. — Ale powiedziałem sobie, że to po prostu trudny etap. Mama spojrzała zniecierpliwiona, więc Franklyn szybko dodał:

— Obawiam się, że praca składa się z samych trudnych etapów. Gdyby wszystko szło gładko, pojawiłoby się niebezpieczeństwo pójścia na łatwiznę.

Franklyn zawsze mądrze mówił. Siedział wyprostowany na ogrodowym krześle — wyglądający nienagannie, uprzejmy i tolerancyjny wobec nas wszystkich. Mama i tata uznali, o czym wiedziałam, że Franklyn byłby dla mnie odpowiednim mężem. Można by połączyć posiadłości obu rodzin: Park Wakefieldów i Dom Białych Dam. Oba domy znajdowały się w niezbyt dużej odległości od siebie, a ziemie ze sobą graniczyły. Rodzice Franklyna nie byli zbyt zamożni, ale jak to się mówi, żyli dostatnio. My zresztą także nie byliśmy już bogaci. Coś musiało się stać z naszymi finansami w ciągu ostatnich dwóch lat, bo ilekroć wspomniano o pieniądzach, ojciec rozmyślnie się nie odzywał, co oznaczało, że nie chce nawet słyszeć o tej przykrej sprawie.

Tak czy owak moje małżeństwo z Franklynem byłoby dla wszystkich bardzo wygodne. Osobiście uważałam je za coś nieuniknionego i byłam ciekawa, czy Franklyn myślał podobnie. Zawsze traktował mnie z zachwycającą uprzejmością, tak jednak zachowywał się wobec wszystkich. Widziałam, jak naczelniczka wiejskiej poczty spłonęła rumieńcem, gdy zamienił z nią kilka słów. Był wysoki, jak wszyscy Wakefieldowie. Zarządzał majątkiem ojca zręcznie będąc zarazem dobrym panem dla swoich farmerów. Za jego naturalnym wdziękiem kryła się powściągliwość. W jego oczach — bardziej ciemnoszarych niż niebieskich — brakowało ciepła. Czuło się, że tak jak nigdy się nie złościł, tak nigdy naprawdę się nie cieszył. Był zrównoważony; jego towarzystwo dawało poczucie bezpieczeństwa, nie miał w sobie jednak nic intrygującego. Wszystko musiało być zgodne z zasadami: nienaganny strój, uprzejme maniere, uporządkowane życie.

Fakty te nie były dla mnie do tej pory oczywiste. Dopiero za sprawą tamtych dwojga zaczęłam patrzeć na niego w ten sposób. Ale nie ma o czym mówić — odeszli i nigdy więcej ich nie zobaczę.

— Otóż to — podchwycił tata. — Zawsze sobie powtarzam, że trudy tego przedsięwzięcia ponoszę w imię potomności.

— Jestem pewien — dodał Franklyn — że ukończone wkrótce dzieło służyć będzie z pożytkiem nie tylko potomności, lecz także naszemu pokoleniu.

Ojciec był zadowolony, zwłaszcza że Lucie dodała żarliwie:

— Z pewnością, sir Hilary.

Lucie i Franklyn zaczęli rozmawiać z ojcem, mama ziewnęła i stwierdziła, że znów boli ją głowa, Lucie zabrała ją więc do pokoju.

— Zjesz z nami, Franklynie? — spytał ojciec, a Franklyn uprzejmie przyjął zaproszenie.

Mama nie przyszła na kolację. Posłała po Lizzie, pokojówkę, by natarła jej czoło wodą kolońską. Na kolację zaproszony był także doktor Hunter. Zanim do nas dołączył, spędził ponad pół godziny z mamą na rozmowie o symptomach jej choroby.

Doktor Hunter przybył w te strony przed dwoma laty i zdawał się za młody, by udźwignąć odpowiedzialność za nasze życie i naszą śmierć, ale może nam się tak tylko wydawało, bo porównywaliśmy go ze starym doktorem Hedglingiem, po którym przejął praktykę. Doktor Hunter miał nieco ponad trzydzieści lat i był kawalerem. Najęta gospodyni troszczyła się o jego codzienne potrzeby. Zdając sobie sprawę, że uważamy go za niezbyt doświadczonego, zabiegał przesadnie, moim zdaniem, o naszą dobrą o nim opinię. Był wesołym młodym człowiekiem, a mama go lubiła, co było szczególnie ważne.

Kolacja upływała w miłej atmosferze. Młody doktor potrafił zabawnie opowiadać, a Franklyn puentował jego historyjki w dowcipny, choć chłodny sposób. Byłam rada, że mama postanowiła

zjeść w swoim pokoju. Nieustannie mówiła o objawach swej choroby, co było nieco męczące, a w obecności doktora najprawdopodobniej pofolgowałyby sobie.

Ojciec też wyglądał na zadowolonego. Gdy jej nie było, stawał się innym człowiekiem, bez mała upajał się wolnością.

Doktor opowiadał o niektórych pacjentach, jak na przykład o starej Betty Ellery, która, przykuta do łóżka, nie życzyła sobie, jak to ujmowała, „ani kawałka młodego chłopca”.

— Przyznaję się do mojego wieku — żartował doktor — musiałem stanowczo obstawać przy tym, że jestem cały i nie uszkodzony, i na pewno nie jestem jedynie kawałkiem siebie.

— Biedna Betty — powiedziałam. — Leżała już w łóżku, kiedy byłam małą dziewczynką. Pamiętam, jak chodziło się do niej na Boże Narodzenie z kocami, kurczakiem i puddingiem śliwkowym. Gdy powóz zatrzymywał się przed jej drzwiami i wysiadaliśmy, wołała: „Proszę, łaskawa pani, witam panią prawie tak serdecznie jak prezenty, które pani przywiozła”. Siadałam przejęta na krzesło u jej łóżka i słuchałam opowieści o czasach, kiedy żył dziadek Dorian i moja mama odwiedzała ją ze swoją mamą.

— Ostają się stare obyczaje — rzekł Franklyn.

— To dobrze, nie uważasz, Franklynie? — spytał ojciec. Franklyn stwierdził, że w niektórych przypadkach dobrze jest trzymać się starych obyczajów, w innych znów nie. I tak toczyła się rozmowa.

Po kolacji Lucie dyskutowała żywo z doktorem, a ja gwarzyłam z Franklynem. Spytałam go, co sądzi o ludziach, którzy odwiedzili nas tego popołudnia.

— Masz na myśli tę młodą damę od szala?

— Oboje. Wyglądali dość niezwykle.

— Doprawdy?

Franklyn najwyraźniej był innego zdania i bodaj już o nich zapomniał. Nieco mnie tym zirytował, skupiłam więc uwagę na Lucie i doktorze. Doktor opowiadał o swojej gospodyni, pani Devlin, że pije więcej, niż powinna.

— Mam nadzieję, że trzyma pan alkohole pod kluczem — rzekła Lucie.

— Droga panno Maryan, gdybym to zrobił, straciłbym tę kobietę.

— Czy byłaby to wielka strata?

— Nie ma pani widać pojęcia o ciężkich doświadczeniach, na jakie wystawiona jest egzystencja kawalera zdanego na łaskę pokojówek. Bez nadzoru pani Devlin chodziłbym goły, dom zaś upodobniłby się do chlewu. Muszę jej wybaczyć zamięłowanie do mocnych trunków w imię wygód, które wnosi do mojego życia.

Uśmiechnęłam się do Franklyna. Ciekawe, czy myślał o tym samym co ja. Kochana Lucie! Zbliża się do trzydziestki i jeśli zamierza wyjść kiedykolwiek za mąż, powinna to zrobić teraz. Jaką dobrą byłaby doktorową! Oczyma wyobraźni widziałam, jak znakomicie radzi sobie z pacjentami, pomagając mężowi w pracy. To byłby idealny układ — choć dla nas wielka strata. Nie wiem, co byśmy bez niej poczęli. Ale, rzecz jasna, nie możemy być samolubni. To dla Lucie wielka okazja, a poza tym gdyby wyszła za doktora, mieszkałaby blisko mnie do końca życia.

Odwrociłam się do Franklyna. Chciałam mu powiedzieć szeptem, że byłoby wspaniale, gdyby Lucie i doktor Hunter się pobrali. Takich rzeczy nie można było jednak mówić Franklynowi. Uznałby za niestosowne szeptanie i w ogóle rozmowę o sprawach, które dotyczą wyłącznie dwojga zainteresowanych. Och, jaki on potrafi być męczący! Ile radości traci w życiu!

Wkrótce po dziesiątej goście wyszli, a my udaliśmy się na spoczynek.

Wstąpiłam do pokoju mamy powiedzieć dobranoc, ale nie zamierzała jeszcze kłaść się spać. Była jakaś zmieniona.

— Usiądź, Minto, porozmawiajmy chwilę — rzekła. — I tak dzisiaj nie zasnę.

— Dlaczego? — spytałam.

— Wiesz przecież, że źle sypiam — powiedziała z wyrzutem. Pomyślałam, że znów zacnie wyliczać swoje dolegliwości, ale tak się nie stało.

— Czuje, że powinnam z tobą porozmawiać — rzekła pośpiesznie. — Jest tyle rzeczy, o których nigdy nie mówiłam. Mam nadzieję, dziecko, że twoje życie będzie szczęśliwsze niż moje.

Kiedy myślałam o jej życiu, pobłażliwym mężu, pięknym domu, służbie gotowej spełnić każdą jej zachciankę, o możliwości robienia wszystkiego — albo prawie wszystkiego — na co miała ochotę, nie uważałam jej za osobę godną współczucia. Teraz jak zwykle udawałam, że słucham, ale myślami byłam zupełnie gdzie indziej i pomrukiwałam grzecznie „tak”, „nie” i „to okropne”, nie wiedząc w gruncie rzeczy, o co chodzi.

Nagle moją uwagę przykuło jej stwierdzenie: — Ludzie, którzy tu przyszli dzisiejszego popołudnia, obudzili moje wspomnienia. Ten młodzieniec przyjechał z Australii, stamtąd, dokąd on pojechał przed laty.

— Kto, mamo?

— Charles. Szkoda, że go nie możesz poznać. To wyjątkowy człowiek.

— Kto to taki?

— Jak mam ci powiedzieć, kto? Zatrudniono go tu jako nauczyciela rysunku, mojego nauczyciela. Ale był kimś więcej. Pamiętam dzień jego przyjazdu. Siedziałam w sali lekcyjnej. Miałam szesnaście lat, mniej niż ty teraz. On o kilka lat więcej. Wszedł patrząc śmiało, wyzywająco — w każdym razie nie jak nauczyciel rysunku — i spytał: „Czy ty jesteś panną Dorian? Przyszedłem, żeby cię uczyć”. I uczył mnie, Minto. Nauczył mnie bardzo wiele.

— Ale dlaczego oni przypomnieli ci o tym człowieku?

— Bo przyjechali z Australii, stamtąd, dokąd on pojechał, dokąd został zesłany. I ten młody mężczyzna jest do niego bardzo podobny. Emanuje swobodą, niezależnością. Wiesz, co mam na myśli? Nie dba o to, co pomyślą ludzie. Wie, że jest równie dobry jak inni, że jest lepszy od innych. Rozumiesz, o czym mówię?

— Tak, rozumiem.

— To było okrutne. Nienawidziłam twojego dziadka, bo Charles był niewinny. Jemu miałyby zależeć na moich klejnotach! Pragnął mnie... a nie tego, co mu dam. Jestem o tym przekonana, Minto.

Jakże się zmieniła! Gdzie się podziała swarliwa inwalidka? Nawet wypiękniała. Tak zapewne wyglądała przed laty. Wiedziałam, że w tej popołudniowej wizycie było coś bardzo znaczącego i umierałam z ciekawości.

— Opowiedz mi, błagam.

— Och, moja droga, mam wrażenie, że to było wczoraj. Żałuję, że nie mogę opisać ci Charlesa.

— Kochałaś go, jak się domyślam.

— Tak, kochałam go całe życie.

Zaprotestowałam, bo uważałam, że to nielojalne wobec ojca:

— Czy nie mówisz tak dlatego, że pamiętasz go jako młodego i przystojnego. Gdybyś go zobaczyła teraz, mogłabyś doznać szoku.

— Gdybym go zobaczyła teraz... — Jej oczy były rozmarzone. — Ten młody człowiek tak bardzo go przypomina... wszystko wróciło. Dni, kiedy pracowaliśmy w pokoju lekcyjnym i kiedy wychodziliśmy w plener; siadywaliśmy pod kasztanem... tam, gdzie dzisiejszego popołudnia, rysował kwiaty albo ptaka, a ja miałam to kopiować. Chodziliśmy razem na spacer, przypatrując się przyrodzie i próbując przenieść jej obraz na papier. Mówił o Domu Białych Dam w taki sposób jak Lucie. Aż dziwne, jakie wrażenie robi ten dom na ludziach! Rozmowa o nim nigdy go nie

mężczyła. Później pokochaliśmy się i chcieliśmy się pobrać, lecz twój dziadek oczywiście na to nie pozwolił.

— Miałaś tylko siedemnaście lat, mamó. Może dałaś się ponieść uczuciom.

— Są rzeczy, których człowiek jest pewien, choćby był bardzo młody. Ja byłam pewna. Kiedy poznałam Charlesa, wiedziałam, że nikt inny nie będzie znaczył dla mnie tyle, co on. Charles ostrzegł mnie, że nie wolno nam mówić o niczym dziadkowi, bo zabroni nam się pobrać i może stać się coś okropnego — był wówczas moznym człowiekiem i wiele mógł. Twój dziadek jednak dowiedział się o wszystkim, ktoś musiał mu donieść, i Charles został zwolniony. Zaplanowaliśmy ucieczkę. Ojciec obawiał się Charlesa; wiedział, że on nie jest przeciętnym młodzieńcem. Pilnowano mnie nieustannie, lecz udawało mi się przemycać liściki. Ustaliliśmy wszystko. W noc zaplanowanej ucieczki wspiał się do mojego pokoju po drabinie. Dałam mu biżuterię, by ją schował do kieszeni, kiedy będę schodziła.

Usta mamy zaczęły drżeć.

— Nakryto nas. Znalezione przy nim moją biżuterię i ze — słano go do Australii na siedem lat. Twój dziadek był twardy, a ja miałam złamane serce.

— Moja biedna! To okropna historia! Czy z nim byłabyś szczęśliwa?

— Gdybyś go znała, zrozumiałabyś. Nie mogłam być szczęśliwa z nikim innym. Uważał, że jeśli się pobierzemy, po pewnym czasie ojciec nam wybaczy. Byłam przecież jego jedyną córką. Nasze dzieci byłyby jego wnukami. Charles mawiał: „Nie bój się, nasze dzieci będą się bawiły na trawnikach Domu Białych Dam”. Został zesłany i więcej go nie widziałam. Ale nigdy, nigdy go nie zapomnę.

Wtedy pojęłam przyczynę jej drażliwości w ciągu tych wszystkich lat. Uważała, że ją oszukano. Miłość do wybranego mężczyzny zamieniła się w niechęć do męża — wybranego przez innych. Dlaczego nie byłam bardziej wyrozumiała! Postaram się o to teraz.

— W skrytości ducha uważałam — ciągnęła — że powinnam była coś w tej sprawie zrobić. Jako jedynaczka mogłam zagrozić, że ucieknę, że się zabiję, cokolwiek. Jestem przekonana, że gdybym tak postąpiła, coś bym wskórała. Ale ja bałam się twojego dziadka, pozwoliłam mu wysłać Charlesa daleko i nie protestowałam, a w pięć lat później poślubiłam twojego ojca, bo taka była jego, dziadka, wola.

— Ale tata jest bardzo dobrym człowiekiem — przypomniałam. — Tamten nauczyciel wcale nie musiał być taki.

— Życie z nim pewnie nie byłoby łatwe, ale byłoby wspaniałe. A tak...

— Masz wiele powodów, żeby być wdzięczną losowi, mamó. Uśmiechnęła się słabo.

— Z losem pogodziłam się wtedy, gdy urodziłam ciebie, Minto. Wiele lat po ślubie. Myślałam, że w ogóle nie będziemy mieli dzieci. Może gdybyś urodziła się wcześniej... Ale twoje przyjście na świat odbiło się na moim zdrowiu. Znow była sobą, omdlewającym głosem przywoływała na pamięć trudny okres ciąży, straszne doświadczenia porodu, słyszałam to już wiele razy i nie chciałam słuchać znowu.

— Ci ludzie, którzy nas odwiedzili dzisiajszego popołudnia, przypomnieli ci przeszłość — powiedziałam szybko.

— Szkoda, że nie wiem, co się z nim działo, Minto. Taki dumny człowiek zesłany jako skazaniec!

— Można przypuszczać, że był dość zaradny, żeby się tam jakoś urządzić.

Uśmiechnęła się.

— Tym się właśnie pocieszałam.

Rozległo się pukanie do drzwi i weszła Lizzie. Miała mniej więcej tyle samo lat co mama. Była moją nianią, a przedtem pokojówką mamy. Traktowała mnie wciąż jak niemowlę, a z mamą była w

najbardziej zażytych stosunkach. Gęste siwe włosy — jedyny atut jej urody — okalały jej głowę bujnymi splotami i wciąż przyciągały wzrok.

— Panna Minta nie daje mamie spać — powiedziała. — A ja myślałam, że pani bardzo znużona.

— Rozmawiamy — powiedziałam.

Lizzie cmoknęła.

— Wiem. Czy mam pościelić?

Matka przytaknęła, a ja pocałowałam ją na dobranoc i wyszłam.

Gdy zamknęłam drzwi, usłyszałam, jak mówi z rzadką u niej nutą podniecenia w głosie: „Gdy zobaczyłam dzisiaj tego młodego człowieka, przypomniały mi się dawne czasy. Pamiętasz, jak siadywał na trawie ze szkicownikiem...”

Poszłam do swojego pokoju. Lizzie musiała tu wtedy być, pomyślałam. Musiała to wszystko widzieć.

Biedna mama! To okropne przeżyć życie, myśląc wciąż o tym, co się nie spełniło.

Nie mogłam zasnąć. Popołudniowi goście zrobili na mnie równie silne wrażenie, jak na mojej matce.

* * *

Długo pamiętałam tamtą wizytę. Miałam ochotę porozmawiać o niej z Lucie, ale czułam, że to, co powiedziała mi mama, było poufne. Mama miała portret, namalowany w jakieś dwa lata po zakończonej fiaskiem próbie ucieczki. Była na nim bardzo piękna. Teraz patrzyłam na ten portret inaczej, dostrzegałam wyzieraający z jej oczu smutek. Myślałam o dziadku Dorianie. Pamiętałam go mgliście jako srogiego pana tego domu, którego burkliwe rozkazy sprawiały, że drżałam z przerażenia. Wyobrażałam sobie, jak surowy musiał być dla własnej córki. Zgodził się, oczywiście, na takiego męża jak tata. Tata był utytułowanym dżentelmenem, dość zamożnym i absolutnie stosownym; człowiekiem delikatnym i uległym, który zgodził się zamieszkać w Domu Białych Dam. Niedaleko, w Somerset, miał dom i posiadłość. Stały się własnością jego rodziny przed stuleciem. Odwiedzaliśmy Somerset dwa razy do roku, ale przed paru laty tata sprzedał posiadłość. Utrzymywanie dwóch domów było bardzo kosztowne, a potrzebowaliśmy, jak twierdził tata, pieniędzy. Ciekawe, co biedna mama czuła, kiedy się dowiedziała, że ma wyjść za mąż. Było oczywiste, że Charlesa straciła na zawsze. Ciekawe, czy udawała, że tatę kocha.

Ścinałam właśnie w ogrodzie kwiaty do wazonów, gdy zobaczyłam doktora Huntera wychodzącego z domu. Zawołałam go; przystanął uśmiechając się do mnie.

— Był pan u mamy? Przytaknął.

— Chciałabym z panem o niej porozmawiać, ale lepiej, żeby nas nie widziała. Może wyglądać przez okno i natychmiast pomyśli, że dyskutujemy o nowej straszliwej chorobie, która ją zaatakowała.

— Może mi pani przecież pokazywać róże — rzekł.

— Świetny pomysł. A jeszcze lepiej chodźmy do ogrodu nad stawem. Tam już nas nie zobaczy.

Ogród ze stawem okrążała urocza alejka, nad którą latem zamykało się bujne, zielone sklepienie liści. Uwielbiałam ten zakątek, zdawał się odcięty od reszty świata. Z pewnością mama i jej ukochany artysta siadywali nad wodą, snując wspólne plany. Za mojego dzieciństwa było tu bardziej kolorowo, więcej robotników pracowało wtedy w ogrodzie. Z dnia na dzień potrafili zmienić delikatne odcienie wiosny w bogate barwy lata. Szczególnie żywo utkwiły w mojej pamięci niebieskie ostróżki i mocna woń goździków, a później brąz i purpura chryzantem z ich wyraźnym zapachem kończącego się roku. Teraz, późnym latem, kwiatów było co niemiara. Wokół białego posążku Hermesa pływały po stawie lilie o płatkach jak z wosku. Ten ogród, jak

powiedział mi tata, został założony przed dwustu laty na podobieństwo jednego z ogrodów Hampton Court, gdzie Henryk VIII spacerował podobno z Anną Boleyn.

— Co właściwie jest mojej matce? — spytałam.

— Choroba tkwi w jej usposobieniu.

— Uważa pan, że jest urojona?

— Cierpi bez wątpienia na bóle głowy, na stałe znużenie i bóleci niewiadomego pochodzenia.

— Sądzi pan, że tak naprawdę nic złego się nie dzieje?

— Nic złego w reszcie jej organizmu.

— A więc choroba tkwi w jej umyśle i mogłaby poczuć się jutro lepiej, gdyby tylko chciała?

— Nie jest to aż takie proste. Jej choroba jest samoistna.

— Ostatnio miało miejsce pewne zdarzenie. Zjawili się ludzie, którzy przywołali jej na pamięć wspomnienia z przeszłości. Wydawało się, że mama jest znowu młoda.

Przyznał mi rację.

— Potrzeba jej chęci życia. Powinna myśleć o czymś więcej niż tylko o sobie, o minionych podnietach i obecnej nudzie. To wszystko!

— Zastanawiam się, czym można by ją zainteresować?

— Może, gdy pani wyjdzie za mąż, gdy pojawią się wnuki, znów odnajdzie w życiu sens. Sens życia! Tego jej trzeba.

— Nie mam zamiaru wychodzić za mąż. Czy ma czekać na kurację wiele lat, zanim się zdecyduje?

Roześmiał się.

— Będziemy robić, co w naszej mocy. Na razie bierze lekarstwa, dzięki którym odczuwa ulgę w cierpieniu.

— Skoro nie jest fizycznie chora, czy potrzebne jej lekarstwa?

— Bierze placebo. Obojętny środek, który pomaga jej tylko dlatego, że wierzy w jego skuteczność. Tak właśnie trzeba ją leczyć, jestem o tym przekonany.

— Trudne zadanie. Starać się wyleczyć kogoś z nie istniejącej choroby.

— Pani się myli. Choroba istnieje. Jest realna. Proszę się nie martwić, panno Minto. Przypadek pani matki mamy dobrze opanowany. Panna Maryan jest bardzo pomocna, nieprawdaż?

— O tak, Lucie jest cudowna.

— W istocie — powiedział doktor, a jego uśmiech zdradzał uczucia do Lucie.

— Czy wyjaśnił jej pan... mam na myśli stan zdrowia mojej matki?

— Jest w pełni wszystkiego świadoma. Zresztą sama na to wpadła. Mówiliśmy o tym zaledwie kilka dni temu, gdy przyszła po lekarstwo dla pani matki.

— Po placebo?

— Tak, po placebo.

— A jak się miewa pani Devlin?

— Jak zwykle. Miała czerwoną twarz i zaróżowiony czubek nosa, gdy wróciłem wczoraj z wizyty.

— Pewnego dnia może wypić za dużo.

— Pewnego dnia! Podejrzewam, że ona to robi co wieczór. Ale cóż, cieszymy się z tego, co mamy. Pani Devlin i tak jest skarbem. Póki nie zorganizuję wszystkiego inaczej, nie powinienem być zbyt krytyczny.

— Myśli pan o zorganizowaniu wszystkiego inaczej?

— To nic konkretnego... na razie.

Zmieszał się nieco. Zdałam sobie sprawę, że jestem zbyt dociekliwa. Nie miałam wątpliwości, że chodziło o Lucie.

Skierowaliśmy się z powrotem w stronę domu. Stałam i rozmawiałam z nim jeszcze chwilę, zanim wsiadł do powozu i odjechał.

* * *

Poszłam do pokoju Lucie. Było tam zawsze czysto i schludnie. Lucie obchodziła się z meblami jak ze świętościami, co mnie śmieszyło. W tym pokoju mieszkała podczas pierwszej wizyty w Domu Białych Dam i bardzo go polubiła. Na wysokim suficie widniał wyrzeźbiony herb rodziny. Niewielki żyrandol, pięknie rżnięty, podzwaniał delikatnie niczym kościelne dzwonki. Pod ogromnym oknem było siedzenie podokienne wyściełane pluszem w kolorze jagód morwy, takie same dywaniki leżały na podłodze. Do tego łóżko z baldachimem. Pokój miał swój urok, lecz w domu było kilka takich pokoi i ten nie robił na mnie żadnego wrażenia, póki nie spostrzegłam, z jaką miłością dba o niego Lucie.

— Lucie, właśnie rozmawiałam z doktorem.

Siedziała przy toaletce i nie podnosząc wzroku, zaczęła przesuwając stojące na niej drobiazgi. Przysiadłam na krześle z rzeźbionym oparciem i z podnóżkiem. Przyglądałam się Lucie. Nie była szczególnie atrakcyjna, jedynie dana jej przez naturę elegancja wynosiła ją ponad przeciętność. Cerę miała zbyt bladą, a rysy zbyt pospolite, by mówić o urodzie.

— Zdaje się, że... ma nie najlepiej zorganizowany dom.

— To przez jego gospodynię.

— Powinniśmy go namówić, żeby wziął sobie inną. Nigdy nie wiadomo, na co taką osobę stać. Może się dostać do szafki z lekarstwami i poczęstować się czymś trującym.

— Nie interesują jej lekarstwa. Raczej... dobrze zaopatrzona piwniczka.

— Ale w upojeniu alkoholowym...

— W jej przypadku należy mówić o pijackim odretwieniu.

— Tak czy siak, gospodyni doktora powinna być wstrzemięzliwa.

— Każdy powinien być wstrzemięzliwy — stwierdziła Lucie poważnie.

— Naprawdę lubię doktora Huntera — powiedziałam. —

Uważam, że czas, by ożenił się z kobietą, która potrafiłaby mu pomagać. Nie sądzisz?

— Większość pracujących zawodowo mężczyzn potrzebuje żony, która potrafiłaby im pomagać — odpowiedziała wymijająco.

Roześmiałam się.

— Jednak masz w sobie wiele z nauczycielki, Lucie. A skoro mowa o małżeństwie, mam nadzieję, że jeśli się na nie zdecydujesz, nie zamieszkasz daleko stąd.

Lucie nie dała się jednak pociągnąć za język.

* * *

Było słoneczne popołudnie. W domu panowała cisza. Mama odpoczywała, tata chyba też, choć był w gabinecie. Lucie pojechała dwukółką do doktora po lekarstwa dla mamy, wyszłam więc z robótką na trawnik i siedząc pod dębem, rozmyślałam znowu o dniu, kiedy szal przefrunął ponad murem.

I tak jak tamtego dnia nadszedł Franklyn i usiadł na krześle obok.

— A więc jesteś sama — rzekł.

Poinformowałam go, gdzie się podziewa cała reszta.

Wygłosił parę uwag dotyczących gospodarstwa i dzierżawców — to był jego ulubiony temat. Uważał za swoją powinność znać szczegóły z ich życia rodzinnego i słyszałam, że jego dzierżawcy nie mogli niczego ukryć przed dziedzicem. Lubił rozmawiać ze mną o ich sprawach, dzieląc ogólny — jak sądzę — pogląd, że pewnego dnia sprawy te staną się także moimi sprawami, bo żona takiego właściciela ziemskiego jak Franklyn będzie miała obowiązki wobec gospodarstwa. Franklyn był dobrym człowiekiem, lecz tak mało ciekawym! Wiedziało się z góry, jaka będzie jego opinia w każdej bez mała sprawie, o której się myślało.

Miałam wręcz złośliwą ochotę czymś go zaskoczyć. Zaczęłam więc mówić o stosunkach Lucie z doktorem Hunterem.

— Lucie pojechała do doktora Huntera po lekarstwo dla mamy. Lubi tam jeździć. Chyba z przyjemnością myśli o dniu, gdy stanie się panią jego domu.

— Są zaręczeni? — spytał Franklyn.

— Nie było jeszcze o tym mowy, ale...

— A więc skąd ta pewność?

— Czyż to nie oczywiste?

— Uważasz, że jest między nimi jakieś uczucie? Powiedziałbym zatem, że istnieje możliwość zaręczyn, ale nie można mieć pewności, póki ich nie będzie!

Kochany Franklyn! Przemawiał jak prezes podczas zebrania najwyższej komisji. Tak właśnie pracował jego umysł: w sposób ścisły i uporządkowany. Miał do dyspozycji pewną liczbę reguł i kurczowo się ich trzymał.

— Ach, Franklynie, to byłaby idealna para.

— Teoretycznie tak. Ale nie można ocenić, czy małżeństwo jest idealne, póki nie trwa przynajmniej rok.

— Mimo wszystko sądzę, że bylibyśmy zachwyceni, gdyby doktor Hunter poprosił Lucie o rękę, a ona przyjęła jego propozycję. Chciałabym widzieć Lucie szczęśliwą i dobrze urządzoną. Doktor Hunter to dla niej doskonała partia. W całej okolicy nie ma drugiego równie stosownego kandydata. Mężem Lucie może więc być tylko doktor Hunter. Ona potrafiłaby koić cierpienia pacjentów, którzy zgłaszałyby się do gabinetu, i z pewnością nauczyłaby się przygotowywać lekarstwa. Jest bardzo pojętna.

— Masz całkowitą rację, to byłby doskonały układ. Jest coś, Araminto, o czym od dłuższego czasu chcę z tobą porozmawiać.

Używał mojego pełnego imienia tylko w chwilach poważnych, wiedziałam więc, że będzie mowa o czymś istotnym. Może chce się oświadczyć? — pomyślałam. Może rozmowa o ślubie Lucie nasunęła mu myśl o naszym?

Nie, nie. Franklyn nigdy by się nie oświadczył pod wpływem chwili. Kiedy przyjdzie poprosić mnie o rękę — jeśli przyjdzie — zrobi to zgodnie z obowiązującym ceremoniałem, uzyskawszy przedtem pozwolenie taty.

— Słucham, Franklynie — powiedziałam lekko zaniepokojona, że to, co powie, będzie prowadziło do naszych oświadczeń, które wedle oczekiwań powinnam przyjąć, a których przyjąć nie chciałam.

Ale już po pierwszych jego słowach poczułam ulgę.

— Próbowałam rozmawiać z twoim ojcem, ale nie bardzo miał ochotę słuchać. Nie mówiłem, rzecz jasna, z twoją matką. Chodzi o wasze interesy rodzinne. Myślę, że są chyba powody do niepokoju.

— Czy chodzi o to, że nie mamy pieniędzy? Zawahał się.

— Jestem przekonany, że interesy twojego ojca nie idą najlepiej i że nie można lekceważyć tego stanu rzeczy.

— Czy możesz mi powiedzieć, Franklynie, o co konkretnie chodzi?

— Jestem właścicielem ziemskim — odparł — a nie finansistą, ale chyba nie trzeba nim być, żeby dostrzec, co się dzieje na rynku. Twój i mój ojciec przyjaźnią się od lat. Mieli tych samych kupców, podobnie lokowali pieniądze. Ogromną większość mojego dobytku stanowi ziemia, a w przypadku twojego ojca jest inaczej. Sprzedał posiadłość w Somerset przed kilku laty, a pieniądze zainwestował, obawiam się, niezbyt rozsądnie. Szczerze mówiąc, twój ojciec nie jest człowiekiem interesu.

— Czy to znaczy, Franklynie, że jesteście biedni?!

— Chyba nie. Ale sądzę, że należałoby zaniechać rozrzutności. Ostrzegam ciebie, bo twoi rodzice zdają się nie widzieć konieczności ograniczania wydatków domowych, a te przewyższają przychód. Wybacz, że mówię tak otwarcie, ale jestem nieco zaniepokojony. Nie chciałbym wiedzieć, jak Dom Białych Dam podupada.

Przygłębiło mnie to. A więc ojciec ma kłopoty finansowe i powinien je sobie przynajmniej uświadomić. Choć pewnie nie zechce. Wyrzuca z pamięci to, co nieprzyjemne. A jeśli nawet poruszę z mamą ten temat, nie będzie miała o niczym zielonego pojęcia. A Franklyn? Jakie były powody jego troski o nas? Kiedy mnie poślubi, zamieszka w Domu Białych Dam, tak jak mój ojciec. Gdy brak potomka płci męskiej, własność przechodzi na potomka płci żeńskiej. Odziedziczyła go mama, odziedziczę i ja. Nazwisko rodziny może się zmienić, ale więzy krwi pozostaną. Tak więc Franklyn już myśli o naszym domu. Jest zaniepokojony, bo ubóstwo ojca może uniemożliwić utrzymanie domu do chwili, gdy on, Franklyn, go przejmie.

Pamiętałam, jak mówiłam tacie, że drewniane belki izby w jednej z wież toczy kołatek, a on to zlekceważył, a przecież należało zająć się tą sprawą. Kilka podłóg wymagało pilnej naprawy, co też zaniedbywano od miesięcy. Już sobie wyobrażałam, jak Dom Białych Dam staje się stopniowo miejscem nie nadającym się do zamieszkania, powoli się rozpada, a ojciec zamknięty w swoim pokoju, nie chce o niczym słyszeć.

— Co ja mogę w związku z tym zrobić?

— Spróbuj wprowadzić jakieś oszczędności. Porozmawiaj przy okazji z ojcem. Wszystko się zmieniło w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Podatki wzrosły, z nimi koszty utrzymania. Świat się zmienia, a my musimy się do tego dostosować.

— Wątpię, czy cokolwiek wskóram. Skoro ojciec nie chciał słuchać ciebie i mnie nie zechce wysłuchać.

— Jeśli powiesz, że się niepokoisz...

— Ale on i tak nic nie zrobi. Po prostu zamyka się w gabinecie i drzemie nad rękopisami.

Stało się! Zdradziłam sekret pracy ojca.

Ale może to nie była taka wielka tajemnica i Franklyn wiedział o tym równie dobrze jak ja. Mój błąd polegał na tym, że wspomniałam o czymś, o czym grzeczność i konwenanse wspominać nie pozwalały.

— Porozmawiam z Lucie — obiecałam. — Śmiem przypuszczać, że ona będzie wiedziała o wiele lepiej niż ja, jak wprowadzić oszczędności.

— Świetny pomysł — zgodził się Franklyn.

Spełniwszy swój obowiązek — a nigdy ich nie zaniedbywał — Franklyn zmienił temat i rozmawialiśmy o tym, co dzieje się we wsi, póki nie usłyszałam wracającej dwukółki Lucie.

* * *

Po nocy zwierzeń mama stała się bardziej drażliwa niż kiedykolwiek przedtem. Większość czasu spędzała w swoim pokoju, w porze posiłków wysyłano na górę tace i musiała zjadać wszystko z apetytem, bo wielokrotnie widziałam, jak Lizzie znosi je na dół puste.

Mama miała w Lizzie powierniczkę i czasami, gdy odwiedzałam ją na dobranoc, odnosiłam wrażenie, że tylko czeka, by się mnie pozbyć. Jeszcze przy mnie zaczynała rozmawiać z Lizzie: „Pamiętasz tamten dzień, gdy Herrick i ja byliśmy w ogrodzie...” albo „To było wtedy, gdy ojciec poprosił, żeby zjadł z nami kolację. Brakowało mężczyzn, a on był taki dystyngowany...”. Pewnie zanudzała biedną Lizzie wspomnieniami z przeszłości. Choć może Lizzie podchodziła do całej sprawy z większym zrozumieniem niż ja, bo przecież znała tego niepospolitego dżentelmena, którego niecznie przetransportowano do Australii.

Biedny tata! Mama okazywała mu wyraźną niechęć. Wciąż rozdrażniona, nie zadawała sobie nawet trudu, by mu odpowiadać uprzejmie. Wszyscy więc ucieszyliśmy się, gdy postanowiła jadać u siebie, choć było to zarazem przykre i kłopotliwe. Żałowałam, że ci młodzi ludzie się u nas pojawili. I po raz kolejny z wdzięcznością myślałam o Lucie, która zawsze wiedziała, jak rozładować napiętą atmosferę. Ilekroć mama zbyt lekceważąco traktowała ojca, Lucie wtrącała jakąś pochlebną uwagę o jego pracy, dzięki czemu ojciec zapominał o afroncie. Wszystko to było bardzo przykre, bo jeśli istnieją ludzie, którzy potrafią być szczęśliwi, to ojciec się do nich zaliczał — miał dar odsuwania od siebie tego, co nieprzyjemne. Trzymał się z daleka od matki, gdy tylko mógł. Lucie zaś coraz częściej bywała w gabinecie, co, jak mniemałam, wiązało się z postęпами w pracy nad książką.

Nasze sprawy rodzinne stawały się sprawami Lucie. Była nam tak oddana! Z jednej strony potrafiła podeprzeć autorytet mojego ojca, z drugiej — sympatyzowała z matką. Myślę, że wiedziała o matce więcej niż ktokolwiek z nas. Sytuacja była jednak dość niezręczna.

Pewnego dnia Lucie wróciła od doktora Huntera zarumieniona i podenerwowana. Zaniosiła lekarstwo do pokoju mamy, a gdy po chwili stamtąd wyszła, poprosiłam ją do siebie.

— Wejdz, porozmawiajmy chwilę. Mama była dziś w okropnym nastroju.

Lucie patrzyła z dezaprobatą.

— Wiem. Szkoda, że ci ludzie wtedy do nas przyszli.

— To takie dziwne. Przychodzą sobie jacyś obcy ot tak, i nagle tyle się zmienia.

— Zaczęło się to wcześniej, ale oni przypomnieli mamie przeszłość.

— Szkoda, że ona nie może zobaczyć tego niezwykłego mężczyzny teraz. Założę się, że jest stary i siwy i nie tak przystojny jak kiedyś. Biedny tata, tak mi go żal.

— Rzeczywiście, bardzo łatwo uczynić go szczęśliwym, a jednak szczęśliwy nie jest — rzekła Lucie i znieacka dodała:

— Doktor Hunter poprosił mnie o rękę.

— Och, Lucie, gratulacje!

— Dziękuję, ale jeszcze nie podjęłam decyzji.

— Ależ, Lucie, to byłoby idealne małżeństwo.

— Skąd wiesz?

Roześmiałam się.

— Mówisz jak Franklyn. Myślę, że byłabyś wspaniałą doktorową. On zaś mógłby się pozbyć tej pijanej Devlin, bo ty otaczałabyś go opieką. Mam nadzieję, że zdaje sobie sprawę, jaki z niego szczęściarz.

— Powiedziałam ci, że jeszcze się nie zdecydowałam.

— Ale się zdecydujesz.

— Mówisz, jakbyś chciała się mnie pozbyć. m

— Jak ci coś takiego przeszło przez gardło, skoro wiesz, że cieszę się między innymi dlatego, iż wychodząc za doktora, byłabyś blisko nas.

— Ale nie byłabym w Domu Białych Dam.

— Wiem, że lubisz ten dom bardziej niż my. Tak samo jak...

Nie. Powinnam zapomnieć o tym błahym wydarzeniu. Ale jego zainteresowanie domem było nienormalne. Tłumaczyłam to sobie tym, że mieszkając całe życie w Australii, nigdy nie widział starej i pięknej rezydencji. Ale Lucie też zdawała się opętana urokiem tego domu.

— Tak, nie będziesz daleko — zakończyłam.

— Jest bardzo ambitny. Wątpię, czy zechce być przez całe życie wiejskim lekarzem. Planuje wyjazd do Londynu, chce zrobić specjalizację i otworzyć gabinet przy Harley albo Wimpole Street.

— O tym nie pomyślałam. Ale jeśli nawet, będziesz wiodła wspaniałe życie doktorowej! A skoro jest taki ambitny, akurat takiej żony mu potrzeba. Nie chcę nawet myśleć, że stąd odjedziesz, ale Londyn nie jest daleko. Będziemy mogły często się spotykać.

— Wszystko wydaje ci się bardzo proste.

— Mam nadzieję, że takie właśnie będzie. W czym chce się specjalizować?

— W takich przypadkach jak przypadek twojej matki.

— Chodzi więc o ludzi, którzy nie są w rzeczywistości chorzy, lecz to sobie wyobrażają.

— Schorzenia umysłu — rzekła Lucie.

— Będę osamotniona, gdy odjedziesz, ale uważam, że powinnaś to zrobić.

— Moja droga, musisz pozwolić kierować mnie samej moimi sprawami. Jeszcze nie podjęłam decyzji.

Byłam zaskoczona i nagle zdałam sobie sprawę, że wielu rzeczy związanych z Lucie po prostu nie rozumiem. Sądziłam, że jest opanowana i skrupulatna, że kieruje się rozsądkiem. Może jednak była też romantyczna? Chyba nie jest namiętnie rozkochana w doktorze Hunterze, lecz na pewno rozumie, że małżeństwo z tym człowiekiem to dla niej wielka szansa.

* * *

Był mglisty listopadowy dzień; żadnego podmuchu wiatru, tylko przygnębiająca wilgoć. Po krzakach snuły się niezliczone pajęczyny połyskujące malusieńkimi kuleczkami wody i wszędzie panowała niesamowita cisza. Mgła zdawała się wdzierać do domu; była jak czyjaś nieuchwytna obecność.

Przez cały ranek Lucie krzątała się po domu, a potrafiła panować nad wszystkim. Służba nie miała nic przeciwko temu, może jedynie pani Glee, która niejasno podejrzewała, że Lucie bierze na siebie część jej obowiązków. Lucie schodziła na dół do kuchni — przedtem przedstawiała na kartce propozycje mamie za pośrednictwem Lizzie — dysponowała posiłki. Mama nigdy nawet na kartkę nie spojrzała, lecz Lucie nalegała, by ją mamie pokazywano. Lucie świetnie się spisywała jako gospodyni. Powinna prowadzić własny dom.

Większą część poranka spędziłam na układaniu kwiatów. W ogrodzie nie zostało prawie nic poza chryzantemami, astrami, daliami i michałkami. Układając bukiety, myślałam o moim nudnym, jednostajnym życiu. Wdychałam delikatny zapach jesiennych kwiatów i widziałam siebie układającą kwiaty rok po roku — pierwiosnki, żonkile i kwiaty wiosny barwione promieniami słońca, aż do ostrokrzewu i jemioly w grudniu, zawsze w tym samym pokoju, dawnej mniszej celi z kamienną posadzką, małym okienkiem z trzema poprzecznymi metalowymi prętami wysoko na ścianie. Tęskniłam za zmianą. Później przypomniałam sobie, jak żarliwie tej zmiany pragnęłam i jakie to dziwne, że właśnie owego dnia życie nieoczekiwanie się zmieniło.

Patrząc w promienne twarzyczki michałków, widziałam jego twarz, jego zielone oczy, dumne rysy.

Nie było sensu myśleć wciąż o nieznanym, którego spotkałam tylko raz, i to przez przypadek, a którego, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, nigdy więcej nie zobaczę.

Pokojówka zabrała ułożone bukiety. Pozostała jeszcze godzina do obiadu i zwykle o tej porze szłam na spacer do ogrodu, ale tamto przedpołudnie było zbyt wilgotne i posepne. Udałam się więc do swojego pokoju, ciągle wracając myślami to do zdarzenia z szalem nieznaną dziewczyną, to znów do mamy, która w tym domu kochała i była kochana. Zastanawiałam się, czy i ja, kiedyś stara i niezdolna, będę z goryczą wspominała przeszłość, widząc, że życie przepłynęło gdzieś obok mnie.

Przyszedł doktor Hunter i spędził z mamą pół godziny. Chciał porozmawiać ze mną i z ojcem, zesłaliśmy więc do gabinetu. Ojciec poczęstował go kieliszkiem sherry.

— Państwo muszą zdawać sobie sprawę — mówił doktor Hunter — że nie ma żadnego powodu, by lady Cardew nie prowadziła umiarkowanego, lecz normalnego trybu życia. Ma kłopoty z oddychaniem, owszem, ale to wynik niedoboru ruchu. Siedzi w pokoju, pielęgnując nie istniejące dolegliwości serca. Wedle mojej opinii wszyscy, którzy ulegaliśmy jej kaprysom, teraz musimy spróbować czego innego.

Słuchając go, oczyma wyobraźni widziałam, jak w umeblowanym ze smakiem gabinecie przy Harley Street przyjmuje bogatych pacjentów, a potem wraca do domu, do Lucie, która potrafi błyskotliwie zabawiać towarzystwo i, dostatecznie obyta z profesją męża, inteligentnie uczestniczy nawet w bardzo uczonych rozmowach. Zastanawiałam się, dlaczego nie daje odpowiedzi doktorowi Hunterowi.

— Spróbujemy pewnego eksperymentu — mówił. — Nie tak wiele współczucia! Po prostu nieco delikatnej dezaprobaty. Nie za ostro na początek.

Tata zaprosił go na obiad, lecz doktor był zbyt zajęty. Skończył swoją sherry i nas opuścił.

Mama zesłała na obiad w bardzo złym nastroju.

— Wszystko mnie boli przy takiej pogodzie — utyskiwała. — Całą tę wilgoć mam w kościach. Nie możecie sobie wyobrazić, jaki to ból.

Ojciec, usiłując wcielić w czyn sugestie doktora, odpowiedział:

— Nie musimy uruchamiać naszej wyobraźni, kochanie, opisywałaś ten ból bardzo szczegółowo i bardzo często.

Mama była całkowicie zaskoczona. To, że tolerancyjny zwykle i wyrozumiały tata skrytykował ją w tak niesympatyczny sposób, wstrząsnęło nią.

— Ach, więc jestem przykra?

— Źle mnie zrozumiałaś, moja droga.

— To właśnie dałaś mi do zrozumienia. Wiem, że jestem chora i wam, których natura obdarowała dobrym zdrowiem, wydaję się nudna. Jakież jesteś nieuprzejmy! Gdybyś wiedział, jak cierpię! Gdybyś doświadczył choć jednej setnej mojego bólu, może byś zrozumiał. Ale nie życzę tego nikomu. Całe moje życie jest nie kończącym się pasmem bólu. Cierpię od chwili, gdy się urodziłaś, Minto.

— Przykro mi, mamo, że to moja wina.

— Teraz ty znowu drwisz ze mnie. Nigdy nie myślałam, że możesz to zrobić tak otwarcie, choć wiem od dawna, że jestem w twoim wyobrażeniu jedynie uprzykrzonym ciężarem. Och, gdyby wszystko potoczyło się inaczej. Gdybym miała więcej szczęścia i wyszła za mąż za wybranego przez siebie mężczyznę zamiast za ojca.

Trzymałam jego stronę, więc powiedziałam:

— Masz bardzo szczęśliwe życie, mamo, i najlepszego męża pod słońcem.

Zamknęłam usta. Mama wściekłym spojrzeniem powiodła po pokoju, po czym utkwiała wzrok gdzieś ponad głową ojca, jakby widziała tam coś, czego istnienia my w ogóle nie byliśmy świadomi. Wiedziałam, że myślała o tamtym człowieku i wydawało się, że on jest w pokoju — on, którego zabrano i wysłano za morze jako złodzieja — i natrząsa się z niej, bo gdyby miała więcej odwagi i nalegała na małżeństwo, mogłaby żyć inaczej...

— Najlepszego męża pod słońcem! — drwiła. — A w czymże on taki najlepszy? Siedzi w gabinecie i pisze... Pisze! Przesypia życie! Książka, słynna książka! Taka sama jak on. Czyli nic, absolutnie nic. A mogło być całkiem inaczej!

— Lady Cardew, doktor Hunter powiedział mi, że nie powinna się pani zanadto podniecać. Czy pozwoli pani odprowadzić się do pokoju? — rzekła Lucie.

Myśl o powrocie do roli inwalidki uspokoiła ją. Zwróciła się bez mała z wdzięcznością ku Lucie.

Tata i ja patrzyliśmy, jak wychodzą z jadalni. Tak mi go było żal! Sprawiał wrażenie zupełnie bezradnego.

— Zdaje się, że nowa kuracja doktora Huntera się nie sprawdza — powiedziałam. — Ale nie przejmuj się, tato. Zrobiliśmy, co było w naszej mocy.

* * *

To był bardzo nieprzyjemny dzień. Kilkoro służących słyszało wybuch złości mamy. Ojciec wyglądał na zakłopotanego i jakby się skurczył. Wszyscy podejrzewaliśmy, że drzemie przy biurku, ale nikt mu tego otwarcie nie powiedział.

Matka obwieściła, że nie chce nikogo widzieć, a Lizzie powiedziała mi, że wyczerpana płaczem przespała część popołudnia.

— Jutro będzie się czuła lepiej, panno Minto — pocieszała mnie.

Omówiliśmy całe to zajście z Lucie, która była bardzo strapiona.

— Zdaje się oczywiste, że krytyczne uwagi mamie nie pomagają — powiedziałam.

— Twój ojciec jest z natury delikatny. Może powinien zachowywać się dalej tak jak przedtem.

— Jest zbyt uprzejmy, by wziąć na siebie nową rolę. Musiałby chyba zmienić charakter.

Lucie nie chciała naturalnie przyznać, że diagnoza doktora Huntera była chybiona. Powtórzyła słowa Lizzie:

— Jutro będzie się czuła lepiej.

Wieczorem chciałam mamie powiedzieć dobranoc, zawahałam się jednak, nim weszłam. Stojąc pod drzwiami, usłyszałam jej głos: „Jesteś obrzydliwy. Jaka szkoda, że nie mogę cofnąć czasu. Wtedy wiedziałabym, co zrobić... jesteś obrzydliwy”.

Stanęło mi przed oczyma łagodne, przygaszone żalem spojrzenie ojca i zdecydowałam, że nie wejdę. Długo nie spałam, myśląc o smutnym życiu moich rodziców.

Żadne z nich nie było winne. Szkoda, że nie potrafiłam im tego powiedzieć, błagać ich, by zapomnieli o przeszłości i zaczęli wszystko od nowa.

Jak bardzo żałowałam, że nie porozmawiałam z mamą tamtej nocy. Nigdy więcej nie widziałam jej żywej.

Następnego ranka Lizzie weszła do pokoju obudzić panią i znalazła ją martwą.

Rozdział 2

Lizzie mówiła później, że miała dziwne przeczucie; czekała na dzwonek, żeby jej zanieść poranną herbatę, ale dzwonka nie było, więc sama z siebie poszła na górę.

— Leżała i wyglądała jakoś inaczej. Kiedy podeszłam bliżej!... Ach, mój Boże!

Lizzie wpadła w histerię, ale pobiegła po Lucie, a Lucie przyszła po mnie.

Obudziłam się przestraszona, widząc je obie stojące obok mojego łóżka.

— Minto, przygotuj się na wstrząs — powiedziała Lucie. Wygramoliłam się z łóżka i patrzyłam na nie.

— Twoja matka — mówiła Lucie. — To okropne...

— Co?... Umarła?

Lucie skinęła powoli głową. Nie poznawałam jej. Oczy szeroko otwarte, źrenice powiększone, drżące usta. Czułam, że bardzo się stara panować nad sobą. Lizzie zaczęła szlochać.

— Po tylu latach... To nieprawda. Mylicie się. Ona tylko zemdląła.

— Posłałam po doktora Huntera — powiedziała Lucie.

— A ojciec? — spytałam.

— O niczym nie wie. Pomyślałam, że lepiej poczekać na doktora. On i tak nie może nic zrobić.

— Ale powinien wiedzieć.

— Weszłam tam — mruzczała Lizzie. — Widzi panienka, nie dzwoniła i...

Zakryła twarz dłońmi i szlochała dalej. Złapałam szlafrok:

— Idę do niej...

Lucie pokręciła głową.

— Nie idź — powiedziała.

— Muszę, nie wierzę, że umarła. Jeszcze wczoraj doktor Hunter mówił...

Przeszłam obok Lucie w stronę drzwi; podążyła za mną.

— Minto, nie... — wyszeptała. — Zaczekaj, aż przyjedzie lekarz.

Ujęła mnie za rękę i pociągając delikatnie, poprowadziła korytarzem do swojego pokoju.

Zanim przyjechał doktor Hunter, wstał ojciec. Lucie przemawiała do niego tak jak do mnie, uspokajając nas i panując nad sytuacją. Ojciec chętnie na to przyzwalał, ja także.

I nie my, lecz Lucie poszła z doktorem do pokoju mamy.

— Weź ojca do biblioteki i czekajcie tam, aż wrócimy — powiedziała. — Opiekuj się nim. To dla niego straszny cios.

Wydawało się, że upłynęło dużo czasu, zanim doktor i Lucie wrócili. W rzeczywistości minęło tylko piętnaście minut.

Doktor Hunter był wstrząśnięty, opuściła go cała beztraska pewność siebie. Nic dziwnego. Wczoraj powiedział, że dolegliwości mojej matki były — bardziej lub mniej urojone, a dziś leżała martwa.

— A więc to prawda? — spytał ojciec bezbarwnie.

— Zmarła w nocy z powodu niedomogi pracy serca — odpowiedział.

— A więc miała chore serce, doktorze?

— Nie — odparł prowokująco. — Coś takiego może się zdarzyć każdemu w każdej chwili. W jej sercu nie było żadnych zmian chorobowych. Oczywiście, życie inwalidki nie sprzyja dobremu zdrowiu. Ale to był przypadek nagłego zaburzenia pracy serca.

— Biedna mama — powiedziałam.

Było mi przykro z powodu doktora Huntera. Wyglądał na strapionego. Zawiesił wzrok na twarzy ojca, jakby oczekiwał współczucia. Ale czego miałyby to współczucie dotyczyć? Tego, że postawił mylną diagnozę? Albo że podejrzewał pacjentkę o symulanctwo, podczas gdy ona była poważnie chora?

Lucie wpatrywała się w niego, lecz on unikał jej wzroku.

— To wielki wstrząs — powiedziałam. — Jeszcze wczoraj wszystko było w porządku...

— Takie przypadki zdarzają się od czasu do czasu.

— Minta i jej ojciec są naturalnie wytrąceni z równowagi — odezwała się Lucie — ale jeśli mi pozwolą, zajmę się niezbędnymi sprawami.

Ojciec spojrział na nią z wdzięcznością, a doktor powiedział:

— Byłoby znakomicie, jak sądzę.

Lucie skinęła na niego i wyszli razem, pozostawiając nas w bibliotece. Ojciec patrzył na mnie i nie mogłam się otrząsnąć z wrażenia, że w jego oczach był przestach, lecz nie żal. Nie mogłam też nie zauważyć malującego się na jego twarzy uczucia ulgi.

Później poszliśmy ją zobaczyć. Leżała w łóżku z zamkniętymi oczami. Falbanki białej nocnej koszuli sięgały po brodę. Wyglądała po śmierci spokojniej niż kiedykolwiek za życia.

* * *

Coś dziwnego działo się z naszym domem. Nie był to już ten sam dom. Mama leżała na cmentarzu, gdzie od pięciuset lat grzebano członków rodziny. Otwarto uroczyste grobowiec, oddaliśmy jej smutną ostatnią posługę. Lizzie chorowała po pogrzebie, po tygodniu pojawiła się wymizerowana i osłabiona.

Zmieniła się także Lucie. Stała się powściągliwa. Inny był ojciec: jakby ciężar spadł mu z barków i chociaż się starał, nie potrafił ukryć uczucia ulgi.

Lecz chyba najbardziej zmienił się doktor Hunter. Przed śmiercią mojej matki był towarzyskim młodym człowiekiem o wyjątkowo dużych ambicjach. Przyjaźnił się z miejscowymi rodzinami, będąc zarazem ich domowym lekarzem. Demonstrując pewność siebie, chciał, by ludzie zapomnieli o jego młodym wieku. Najwyraźniej pragnął wspiąć się na szczyty kariery zawodowej. Zmiana była ledwie uchwytna, niemniej jednak znacząca — w każdym razie dla mnie.

Zresztą rozumiałam go. Moja matka była chora, a zatem bóle, na które się uskarżała — prawdziwe. On patrzył na nią jak na kłótniawą, niezadowoloną kobietę i pozwolił, by ocena jej charakteru przysłoniła ocenę stanu jej zdrowia. Wydawało mi się oczywiste, że postawił mylną diagnozę i to zachwiało jego pewnością siebie. Można było także poddać w wątpliwość jego postępowe teorie, na których miał oprzeć swoją karierę. Współczułam mu.

Rzadko do nas przychodził. Żadne z nas nie potrzebowało jego pomocy, póki nie wezwałam go do Lizzie, o którą zaczynałam się niepokoić. Było to mnie więcej w tydzień po pogrzebie. Odbyliśmy wtedy dłuższą rozmowę.

— Nie wygląda pan dobrze, doktorze — stwierdziłam.

— Chce pani powiedzieć: „Szewc bez butów chodzi”?

— Zdaje się, że gnębi pana śmierć mojej matki — powiedziałam i natychmiast zrobiło mi się przykro, że ujęłam to tak obcesowo. Zobaczyłam nerwowy tik na jego policzku, szarpnął gwałtownie głową jak marionetka.

— Nie, nie — powiedział spieszenie. — To nie był tak niezwykły przypadek, jak pani sądzi. To się mogło zdarzyć całkiem zdrowemu człowiekowi. Skrzep krwi w mózgu lub w sercu i przychodzi śmierć. Czasami nie ma żadnych sygnałów ostrzegawczych. A pani matka nie była okazem zdrowia, choć nie miała żadnych organicznych kłopotów. Czytałam o wielu takich

przypadkach. Sam spotkałem się z kilkoma, gdy pracowałem w szpitalu. Nie, nie. To nie było nic niezwykłego.

Mówił zbyt szybko i zbyt przekonywająco. Jeśli to, co mówił, było prawdą, po co się obwiniać; pech chciał, że dokładnie w przeddzień śmierci matki powiedział mi, że jej choroba jest wyimaginowana i nie należy się nią przejmować.

— Wciąż to samo — powiedziałam. — Pan zdaje się wyrzucać sobie...

— Bynajmniej. To są przypadki, których nie można przewidzieć.

— Cieszę się, że się mylę. Wiemy przecież, jak pan troszczył się o mamę.

Odniosłam wrażenie, że trochę go ułagodziłam, ale na pewno nas unikał, bo nigdy nie odwiedzał naszego domu w celach towarzyskich.

Ojciec zamykał się na długo w gabinecie. Zdaniem Lucie, był bardzo wytrącony z równowagi faktem, że po raz pierwszy odezwał się do żony nieuprzejmie.

— Próbuję go nakłonić do rzeczywiście ciężkiej pracy — mówiła Lucie. — Jestem pewna, że jest to dla niego teraz najlepsze.

* * *

W tym trudnym okresie Lucie była wspaniała. Spytała, czy Lizzie mogłaby być jej osobistą pokojówką.

— Nie dlatego — zastrzegła się — że potrzebuję pokojówki ani że moja pozycja tego wymaga. Myślę, że to dobrze Lizzie zrobi. Przeżyła silny wstrząs.

Odpowiedziałam jej, że powinna robić, co uważa za stosowne.

— Ale to ty jesteś teraz panią Domu Białych Dam, Minto. Do tej pory nawet o tym nie pomyślałam.

Franklyn był z nami stale od śmierci mamy. Pomagał ojcu wszędzie tam, gdzie Lucie nie mogła mu pomóc. Często się zastanawiałam, co byśmy poczęli bez Lucie i Franklyna.

Przyjeżdżał do Domu Białych Dam codziennie i zawsze spędzał ze mną trochę czasu. Rozmawialiśmy o mamie, o tym, że była nieszczęśliwa i przeszła przez życie nie zaznając radości, z wyjątkiem krótkiego okresu, gdy pojawił się w domu wspaniały nauczyciel rysunku i zakochała się w nim. Dość nawet lubiłam rozmawiać z Franklynem o takich sprawach, bo jego banalne poglądy i zwięzły sposób ich wyrażania zwyczajnie mnie bawiły.

— Myślę, że lepiej mieć w życiu jedno ekscytujące przeżycie — powiedziałam raz — niż trwać nieustannie w komforcie i spokoju... Nawet jeżeli przez resztę swoich dni się narzeka.

— Taki sposób rozumowania wydaje mi się niedorzeczny — rzekł Franklyn.

— I ty to mówisz! Jestem pewna, że twoje życie zawsze, ale to zawsze będzie gładkie, nie zmaćcone ani wstrząsającymi wypadkami, ani wielkimi uniesieniami.

— Kolejny niedorzeczny wniosek.

— Ależ ty nigdy nie popełniasz błędów i w związku z tym element podniecenia jest z góry wykluczony.

— Dlaczego uważasz, że interesujące jest tylko popełnianie błędów?

— Skoro wiesz, jak wszystko się potoczy...

— Nikt nie wie, jak się wszystko potoczy. Nie myślisz logicznie, Minto.

Roześmiałam się po raz pierwszy od śmierci mamy. Próbowałam mu wyjaśnić, jakie zmiany zachodzą w naszym domu.

— Tak jakby duch mamy nie mógł zaznać spokoju.

— To tylko twoja wyobraźnia.

— Na pewno nie. Wszyscy się zmienili. Czyżbyś nie zauważył? Nie zauważyłeś, oczywiście. Nigdy nie zauważasz takich rzeczy.

— A więc wydają ci się zupełnie niespostrzegawczy?

— Tylko jeśli chodzi o doznania psychiczne. W dziedzinach praktycznych twoje zdolności obserwatora są bez zarzutu.

— To miłe z twojej strony...

— Sarkazm do ciebie nie pasuje, Franklynie. Nie leży w twojej naturze. Jesteś zbyt uprzejmy. Ale w domu są zmiany. U ojca widać ulgę...

— Minto!

— Jesteś wstrząśnięty. Prawda wszakże nie powinna nikim wstrząsać.

— Sądzę, że powinnaś być bardziej powściągliwa w tym, co mówisz.

— Rozmawiam tak tylko z tobą, Franklynie. Nikomu innemu bym tego nie powiedziała. Czy możemy mieć mu to za złe? Wiem, że nie mówi się źle o umarłych, a zwłaszcza ty nigdy byś źle nie mówił. Ale mama była dla niego okropna, więc nic dziwnego, że odetchnął z ulgą. Lizzie czuje się zagubiona, chociaż bez przerwy się z mamą kłóciły i Lizzie ciągle to groziło zwolnienie, to sama chciała odejść.

— Nic niezwykłego w przypadku więzi, która je łączyła. To zgoła naturalne, że jest „zagubiona”, jak powiadasz. Los pozbawił ją pani.

— A nieszczęsny doktor Hunter jest w jeszcze gorszym stanie! Czuje się winny, to pewne. Zdaje się unikać naszego domu.

— To także naturalne, skoro nie ma już w domu chorego.

— I Lucie się zmieniła.

— Przykro mi. Ona wygląda na najrozsądniejszą osobę w tym domostwie.

— Zamknęła się w sobie, zachowuje rezerwę, niełatwo z nią rozmawiać. Przypuszczam, że martwi się o doktora Huntera. Dziwi mnie, że nie ogłosili zaręczyn, gdy to się stało.

— Dlaczego?

— Skoro doktor jest przygnębiony i myśli, że postawił złą diagnozę...

— Kto to powiedział?

— Myślę, że tak właśnie było.

— Nie powinnaś mówić takich rzeczy nawet do mnie. To zniesławienie.

— Ależ Franklynie, nie jesteśmy w sądzie.

— Nie wolno ci być lekkomyślną, Minto. Musisz zaprzestać tego dramatyzowania, układania romantycznych powiastek.

— Dlatego że jesteś dość bliskim przyjacielem, nie mogę ci nic powiedzieć? Poza tym lubię, jak się oburzasz. Ale, ale, jeszcze coś! Wczoraj Lucie zaproponowała, żebyśmy się pozbyli pani Glee. Powiedziała, że w gruncie rzeczy nie jest nam potrzebna. Lucie będzie robiła to, co robi pani Glee, bo teraz, po śmierci mamy, ma mniej obowiązków.

— To logiczna i uzasadniona propozycja. Wiele razy mówiłem, że żyjecie ponad stan. A pani Glee jest najkosztowniejsza spośród służby. Tak, to doskonały pomysł.

— Widzisz, oczywiście, praktyczne strony tej propozycji. Problem w tym, że jeśli Lucie przejmie obowiązki pani Glee i będzie prowadzić dom, to co z jej małżeństwem z doktorem Hunterem?

— Nic w tej sprawie nie zostało postanowione.

— Oświadczył się jej. Ona miała się zastanowić. To było tuż przed śmiercią mamy. Biedny doktor Hunter!

— Czy nie wydaje ci się, że jego przygnębienie może się wiązać z faktem, iż oświadczyły nie zostały przyjęte?

— Wciąż myślę, że to się wiąże ze śmiercią mamy.

— Minto, czas, żebyś wydorowała. Byłoby to pożądane z wielu powodów.

Domyślałam się, że gdy stanę się bardziej dojrzała, poprosi mnie o rękę. W mojej pamięci rozbłysła tamta scena, gdy na trawniku koło stawu siedział na krześle — niedbale, wręcz nieelegancko — Stirling i rozmawialiśmy o Australii oraz o Domu Białych Dam.

I pomyślałam: O nie, jeszcze nie zamierzam dorosnąć.

Niedojrzałość będzie moją osłoną.

* * *

Kilka dni później o poranku miało miejsce niezbyt miłe zdarzenie. Nacinałam łądygi brązowych chryzantem w pokoju, gdzie zwykle zajmuję się kwiatami, gdy wpadła pani Glee.

— Chciałabym porozmawiać, panno Minto — powiedziała. Jej twarz była czerwona, a małe oczka wyglądały jak kawałki czarnego gagatu.

— Oczywiście, pani Glee. Chodźmy do biblioteki.

— Nie ma potrzeby. Powiem panience, co mam do powiedzenia tu, natychmiast. Dostałam polecenie, że mam odejść. Chciałabym wiedzieć dlaczego, bo polecenie pochodzi z pewnego określonego źródła, a ja jeszcze się nie nauczyłam przyjmować poleceń z tamtego kierunku.

— Od panny Maryan? W istocie staliśmy się o wiele ubożsi w ciągu ostatnich lat i musimy ograniczyć wydatki.

— I ja zostałam wybrana jako ofiara, tak?

— Nie ofiara, pani Glee. To po prostu kwestia konieczności.

— Proszę panienki, ja tam nic przeciwko panience nie mam. Nie panienka jest winna. Ślepy by to widział. Ale jeśli już trzeba odprawiać ludzi — a pierwsza przyznam, że nie byłoby źle, gdyby niektórzy odeszli — to jest parę osób, bez których łatwiej się obejść niż beze mnie.

— Nie ma wśród was osoby, bez której łatwo się obejść. Pozostaje jednak kwestia finansów.

— Powtarza panienka cudze słowa. Jakieś dziwne rzeczy dzieją się w tym domu. Powiedziałabym...

— Jakie rzeczy?

Pani Glee zacisnęła usta z miną męczennicy.

— Nie moja sprawa mówić o tych rzeczach. Ale biedna mama umarła, więc panienka teraz zarządza domem. Nie ma co chować głowy w piasek i pozwalać innym częstować się tym, co się panience prawnie należy.

— Nie mam zamiaru tego robić, pani Glee.

— Może będzie panienka musiała. Nie podoba mi się to wszystko, panno Minto, i to nie dlatego, że mam pakować manatki i się wynosić, ale żal mi panienki.

— To miłe z pani strony. Obawiam się, że nie zasługuję na pani sympatię.

To była zdecydowanie dobra linia postępowania, bo jej gniew znacznie osłabł. Złościca zmieniła się raptem w wieszczkę.

Podeszła bliżej i powiedziała:

— Ta nieszczęsna mama panienki, żeby tak umrzeć... i ta, Lizzie... A co z nią? Jak ona się odzywała do tej biednej, na pół żywej istoty? Wywrzaskiwały na siebie ostatniej nocy. Słyszałam, jak mama mówiła, że Lizzie ma odejść. Można by powiedzieć, że takie było jej ostatnie życzenie. Ja, ja nigdy ani się nie przemówiłam z naszą drogą panią. Widzi panienka? Czy nie dziwne rzeczy się tu dzieją?

— Chyba nie dziwne — odparłam. — Lizzie bardzo mamę lubiła i mama bardzo lubiła Lizzie. Ich kłótnie nie miały żadnego znaczenia.

- Ostatnia miała. Ale nie o Lizzie chodzi. Tylko o innych.
- Jakich innych?
- Przyszło panience kiedyś do głowy, że tylko patrzeć, jak będzie miała nową mamusię?
- Nie.
- Ano właśnie.

Założyła ręce na obfitym biuście.

— A ja panience mówię! Nie żeby mi o sobie chodziło. Dostyc się nasłużyłam. Pojadę do krewniaczki, ma dom przy drodze do Dover. Mieszka tam sobie wygodnie, tyle że reumatyzm robi z niej kalekę. Potrzebuje kogoś, kto by się nią zajął, żeby nie była sama. Zostawi mi chałupę i trochę grosza na życie. Więc o sobie się nie martwię. Ale, mówię: to ta niewinna młoda dama. Dziwne rzeczy dzieją się w Domu Białych Dam. Dlatego panienkę ostrzegam.

— Tak się cieszę, pani Glee, że ma pani tę kuzynkę!

— Pani jest bardzo miła, panno Minto. Zawsze to mówiłam. Ale powtarzam: coś dziwnego się dzieje i panienka powinna o tym wiedzieć. Ktoś chce zarządzać tym domem, ktoś zastawił pułapkę na uczciwych ludzi. A ja mam odejść. Dlaczego? Bo widzę coś więcej niż czubek własnego nosa.

Z westchnieniem podniosłam wazon i skierowałam się ku drzwiom. Spojrzałam jeszcze przez ramię na panią Glee.

— Jestem pewna, że krewniaczka będzie bardzo rada mieć panią u siebie, pani Glee.

Stała kiwając złowieszczą głową, a ja poszłam do biblioteki. Postawiłam wazon na pierwszym dogodnym miejscu, bo ręce mi się trzęsły.

Byłam mocno wytracona z równowagi. Ulżyło mi, gdy kilka dni później pani Glee przyjęła miesięczną odprawę i odjechała, oświadczając, że nie zostanie ani minuty dłużej tam, gdzie jej nie chcą.

* * *

Nieobecność pani Glee nie wniosła żadnych zmian w życie domu. Lucie miała wiele zajęć, ale zawsze tak było. Mama nigdy nie interesowała się domem, a pani Glee zajmowała się głównie utrzymaniem dyscypliny wśród pokojówek i dbała o morale służby. Pokojówki były zadowolone, że pozbyły się groźnej pani Glee, i z ochotą przyjęły rządy Lucie. Rzadziej widywałam Lucie, mój ojciec zaś widywał ją częściej.

— Zachęcam go do wyteżonej pracy nad książką — mówiła. To dla niego najlepsze. Nie myśli wtedy o tragedii, którą przeżył.

Lizzie przynosiła jej poranną herbatę, tak jak nosiła mamie. Lucie zlecała jej sprzątanie swojego pokoju i pokoju taty, a także wszelkiego rodzaju szycie, co Lizzie robiła znakomicie.

Minęły dwa miesiące, minęło Boże Narodzenie. Świętowaliśmy je bardzo spokojnie. Franklyn i jego rodzice przyszli do nas na obiad w pierwszy dzień świąt i zostali na kolacji. Graliśmy w wista — tata z lady Wakefield, ja z Franklynem. Lucie siedziała skromnie przy kominku, gawędząc z sir Everardem i upewniając się w stosownych po temu momentach, czy służący przynieśli przekąski i czy spełniają swoje obowiązki jak należy.

Przywołałam na pamięć poprzednie Boże Narodzenie, kiedy jedliśmy w dużym holu pod pękami ostrokrzewu i jemioli, a jednym z najweselszych gości był doktor Hunter. Mama siedziała u szczytu stołu zadowolona, że może rozmawiać z nim o swoich dolegliwościach. Lucie, rzecz jasna, także była obecna — skromna i kompetentna. Pamiętam, miała na sobie suknię koloru fiołkoloróżowych orchidei i wyglądała bardzo elegancko.

W tym roku, kiedy goście poszli i wszyscy szykowali się do snu, narzuciłam szlafrok i poszłam do niej.

— Pozwolisz? — spytałam. — Nie mogę spać.

Podsunała mi krzesło z morwowym obiciem, sama usiadła na łóżku.

— Myślałam o zeszłorocznych świętach — powiedziałam.

— Biedactwo, tęsknisz do matki.

Popatrzyłam na nią krzywo. Nie chciałam być obłudna. Kochałam mamę, ale ona czyniła czasem nasze życie nieznośnym, a poza tym nie mogłam zapomnieć tamtej ostatniej sceny przy obiedzie i wyrazu skrajnego cierpienia na twarzy ojca. Powiedziałam więc szybko:

— Co z doktorem Hunterem, Lucie? Miałaś się zastanowić, czy za niego wyjdiesz.

— Kto to powiedział? Chcesz, żebym odeszła?

— Jak możesz o coś takiego pytać! Bez ciebie bylibyśmy całkiem zagubieni. Myślę wszakże, że biedny doktor Hunter potrzebuje pociechy i pomocy, więc jeśli go kochasz...

— Widzę, że wysuwasz daleko idące wnioski, Minto. Lubię doktora. Lubię was wszystkich tutaj i kiedy twoja matka umarła, zdawało mi się, że jestem wam potrzebna.

— Ale nie powinnaś się tak poświęcać.

— Robię to z własnej woli.

— Tak mi żal doktora Huntera. Myślę, że jest bardzo nieszczęśliwy, a ty potrafiłabyś mu pomóc. On czuje, że nie zrobił wszystkiego jak trzeba... mówię o mamie.

— Skąd ty to możesz wiedzieć?

— To oczywiste. Myślał, że ona udaje, a okazało się, że nie udawała. Gdyby uważał, że jest naprawdę chora, inaczej by ją leczył.

— Ależ ty go oskarżasz o brak zawodowych umiejętności!

— Nie. Wiem, że to dobry specjalista, ale ludzie popełniają błędy.

— Lekarze nie mogą sobie pozwolić na błędy. Na miłość boską, nie mów nikomu takich rzeczy.

— Nie mówię... tylko tobie i Franklynowi, który się nie liczy.

— Nikomu — powiedziała żarliwie. — Przyrzeknij mi. Pomyślałam: więc jednak go kocha. I ochoczo przyrzekłam.

— Zapomnij o tym — mówiła. — Przestań o tym myśleć. To... to niezdrowo. Twoja matka umarła na atak serca. To się zdarza. Słyszałam o ludziach, zdrowych ludziach, którzy umierali nagle, a twoja matka miała organizm nadwątłony.

— Wiem, Lucie, wiem.

— Twoja matka umarła, a my musimy żyć dalej.

Skinęłam głową.

— Nie zapominaj — ciągnęła — że jestem tu, żeby ci pomagać i być podporą. Czyż nie tak było od szkolnych lat?

Przyznałam jej rację.

— Ale nie powinnaś się zbytnio poświęcać, Lucie, sami możemy o siebie zadbać. Nie zamieszkasz daleko, jeśli wyjdiesz za doktora.

Lucie potrząsnęła głową.

— Nie sądzę, bym kiedykolwiek wyszła za doktora. Jestem przekonana, że moje miejsce jest tutaj... w Domu Białych Dam.

— Powtarzam, Lucie, nie wolno ci się aż tak poświęcać.

— Męczennicy są uciążliwi — powiedziała z uśmiechem. — Nie zamierzam być męczennicą. Ja chcę tu być, Minto. Tu chcę zostać.

Powinnam była wiedzieć, że to się stanie, lecz gdy się stało, doznałam szoku.

* * *

Był maj — sześć miesięcy od śmierci mamy. Piękny dzień, prawie lato, ptaki śpiewały rozkosznie, pękały pąki, kwitły kasztany, życie zdawało się piękne, szczęście zaś czekało, by Po nie sięgnąć.

Po obiedzie wybrałam się na przejażdżkę, daleko, aż po granice posiadłości Wakefieldów. Wróciwszy marzyłam o filizance herbaty. Ponieważ brakowało jeszcze kwadransa do czwartej, przysiadłam pod kasztanem.

Podeszła do mnie Lucie. Przyglądałam się jej, jak idzie po trawie. Bardzo różniła się od tamtej Lucie, nauczycielki z mojej szkoły, było w niej wówczas coś buntowniczego. Teraz szła sprężystym krokiem, a nowa suknia, którą Lizzie uszyła, stosując się do jej wskazówek, pięknie na niej leżała.

Była, jak to mówią Francuzi, *une jolie laide*. Rozpatrując każdą z jej cech z osobna, dochodziło się do wniosku, że jest zdecydowanie pospolita, lecz cała jej osoba miała wdzięk graniczący z pięknnością.

— Chcę z tobą porozmawiać — powiedziała.

— Chodź, siadaj.

Usiadła. Patrzyłam na jej profil — za długi nos i wysunięty podbródek.

— Mam ci do powiedzenia coś bardzo ważnego i nie jestem pewna, jak to przyjmiesz.

— Dlaczego trzymasz mnie w niepewności? Mów szybko, bo się niecierpliwię.

Wzięła głęboki oddech.

— Zamierzam poślubić twojego ojca, Minto.

— Lucie!

— Ano właśnie! Jesteś oburzona. — Ależ... Lucie!

— Czyż to aż tak niestosowne?

— To... takie nieoczekiwane.

— Lubimy się od dawna.

— Ale on jest o wiele starszy od ciebie, Lucie.

— Szukasz argumentów przeciw temu związkowi?

— Nie, ale to prawda, że on ma dwa razy więcej lat niż ty.

— No to co? Jestem bardzo poważna jak na swój wiek. Zgodzisz się z tym, prawda?

— Ale ty i doktor...

— To raczej twoja wyobraźnia.

— Przecież poprosił cię o rękę.

— A ja odmówiłam.

— A teraz ty i tata...

— Trapi cię, że będę twoją macochą? — Oczywiście że nie. Dlaczego miałabym nie chcieć, żebyś została członkiem naszej rodziny? W gruncie rzeczy i tak do niej należysz, tylko że...

— Wydaje ci się to niestosowne?

— Po prostu nie spodziewałam się tego.

A więc o tym mówiła pani Glee, pomyślałam. Dla wszystkich było to oczywiste, tylko nie dla mnie.

— Staliśmy się sobie bardzo bliscy — ciągnęła Lucie w ciągu ostatnich miesięcy, kiedy próbowałam go podnieść na duchu. Robił sobie wyrzuty. Zupełnie niepotrzebnie! Musiałam go stale zapewniać, że to nie jego wina. Myślę, że będziemy bardzo szczęśliwi, Minto. Ale potrzebna mi jest twoja przychylność. Bez tego nie będę szczęśliwa.

— Moje zdanie nie ma chyba żadnego znaczenia.

— Dla mnie ogromne. Och, Minto, powiedz, że chcesz mnie za macochę!

Wstałam i objęłam ją.

— Najdroższa Lucie, to wspaniałe i dla taty, i dla mnie. Ale myślałam o twoim szczęściu. Poglaskała mnie po włosach.

— Jesteś taka romantyczna. Doszłaś do wniosku, że doktor jest dla mnie stosowną osobą, i ułożyłaś piękny plan, jak to szczęśliwie go powiodę drogą sukcesu. Ale ty i twój ojciec jesteście dla mnie najdroższymi istotami. Tu jest mój dom. Idź teraz do ojca. Powiedz mu, że wiesz o wszystkim, niech widzi, jak bardzo jesteś szczęśliwa.

Poszłyśmy więc do ojca i powiedziałam mu, że to cudowna nowina. Nigdy przedtem nie widziałam go tak szczęśliwego.

— Musimy poczekać, póki nie minie pełny rok, inaczej ludzie wezmą nas na języki — powiedziała Lucie.

— No to niech wezmą — odparł ojciec.

Lucie uważała jednak, że lepiej będzie poczekać. A on polegał na jej sądach.

Miała naturalnie rację, więc czekali. W mglisty listopadowy dzień, przypominający dzień śmierci mamy, Lucie została lady Cardew, moją macochą.

* * *

Jak bardzo wszystko się zmieniło! Służący wiedzieli, że muszą okazywać posłuszeństwo Lucie. Ona zaś, zawsze dostojna, nigdy się nie denerwowała. Wątpię, czy Dom Białych Dam miał kiedykolwiek bardziej szanowaną gospodynię.

Kochała dom i dom odwdzięczał się jej tym samym. Widywałam ją, jak stojąc na trawniku wpatruje się w niego z zachwytem i niedowierzaniem, że to ona jest tu teraz panią.

— Myślę, że jesteś kolejnym wcieleniem którejś z mniszek — podrwiwałam. — Wiedziałaś, że to miejsce jest twoim domem od pierwszej chwili.

— Romantyczne bzdury Minty — odpowiadała z przekąsem.

Praca nad książką ojca szła opieszale. Lucie miała teraz tyle zajęć! Ojciec zaś, któremu przestano wytykać nieudolność, nie musiał się już usprawiedliwiać. Zaczął interesować się ogrodem i domem, Lucie zaś natychmiast wytknęła najpilniejsze remonty i naprawy.

— Finanse twojego ojca są w opłakanym stanie — powiedziała raz do mnie, widać czymś silnie wytrącona z równowagi. — Ci jego prawnicy są do niczego. Stracił ostatnio większość pieniędzy na giełdzie i dał się zwieść złym doradcom, pożyczając pieniądze pod zastaw domu.

— Franklyn napomykał o tym jakiś czas temu.

— I nic mi nie powiedziałaś!

— Nie sądziłam, że cię to zainteresuje.

— Mnie miałyby nie interesować sprawy tego domu!

— Obecnie tak, oczywiście. Ale co to oznacza, Lucie?

— Nie jestem pewna. Muszę się dowiedzieć. Ale nie możemy się narażać na utratę Domu Białych Dam.

— Myślę, że teraz, kiedy ty nim zarządzasz, wszystko będzie dobrze.

Ta uwaga sprawiła jej przyjemność, lecz zarazem zniecierpliviła ją nieco. Uważała, że byliśmy nierozważni. Nie zasługujemy na Dom Białych Dam, skoro zaryzykowaliśmy jego utratę.

Siadywała w gabinecie ojca z plikami rachunków i papierów przed sobą:

— Te wydatki musimy zmniejszyć — mówiła. — Tu też można zaoszczędzić. Dom musi być bezpieczny teraz i w przyszłości.

Ojciec był zachwycony. Miał uczucie dziecięcej pewności, że skoro Lucie jest panią tego domu, wszystko dobrze się ułoży. Podzielałam ten pogląd. Lucie miała przynioły, które wzbudzały zaufanie.

Często jej powtarzałam, jak się cieszę, że jest prawdziwym członkiem naszej rodziny, a jej małżeństwa z doktorem chciałam tylko dlatego, że mieszkałaby blisko nas.

Była zadowolona.

— Macocha nie jest przykrym słowem w tym domu — skomentowała pewnego razu.

— Kochana Lucie, mieliśmy szczęście, że przyjechałaś do Domu Białych Dam — uzupełniłam.

Wiedziałam, że ojciec mówił jej to samo.

Żadne z nas nie mogło przyznać tego otwarcie, ale nasz dom stał się szczęśliwszym i spokojniejszym miejscem po śmierci mamy.

Lucie jeszcze raz nas zadziwiła. Mnie powiedziała pierwszej. Miałam wrażenie, że przez kilka tygodni była nieco przygaszona, aż pewnego dnia, kiedy siedziałam w moim ulubionym miejscu przy sadzawce, przyszła do mnie:

— Muszę ci coś powiedzieć. Chcę, żebyś wiedziała pierwsza. Nawet twój ojciec jeszcze nie wie.

Popatrzyłam na nią, ale nie rozumiałam wielkiej radości w jej szarych oczach.

— Mam nadzieję, że się ucieszysz, ale nie jestem pewna.

— Mów, proszę... szybko. Uśmiechnęła się zmieszana.

— Spodziewam się dziecka.

— Lucie! Kiedy?

— Jeszcze dużo czasu jakieś siedem miesięcy.

— To... cudownie!

— Tak sądzisz?

— A ty nie?

— Zawsze tego pragnęłam.

Zarzuciłam jej rękę na szyję.

— Och, Lucie. Co za szczęście! Pomyśl tylko — maleństwo w naszym domu! Ciekawa jestem, czy będzie chłopiec, czy dziewczynka. Co byś wołała?

— Nie wiem, chyba chłopca. Większość mężów chce, żeby pierwszym dzieckiem był syn.

— A więc przewidujesz, że będziesz miała całą gromadkę!

— Tego nie powiedziałam. Jestem taka podekscytowana. Chciałam być całkowicie pewna przed rozmową z twoim ojcem.

— Powiedzmy mu teraz. Albo nie, powinnaś powiedzieć mu to sama. Po co wam intruz w takiej chwili.

— Jesteś najmilszą pasierbicą na świecie.

Zostawiła mnie samą przy stawie. Patrzyłam na ważkę, która krążyła ponad wodą, przysiadając na posążku.

To wynagrodzi Lucie wszystko, myślałam. Okropny mały dom w Midlands, niedostatki młodości. Co za szczęśliwy dzień dla Lucie!

* * *

Ojciec, z początku zakłopotany, później nie posiadał się z radości. Nigdy chyba nie przeszło mu przez myśl, że będzie miał jeszcze dzieci. Ale Lucie, jak się okazało, mogła mu zapewnić wszystko. W domu mówiło się tylko o mającym przyjść na świat dziecku. Lucie złagodniała, a w miarę jak traciła kształty i swoją elegancję, zyskiwała nowe piękno. Uwielbiała siadywać ze mną i rozmawiać o dziecku. Zaprojektowała wyprawkę, którą Lizzie miała uszyć. Były to spokojne, cudowne miesiące oczekiwania.

Próbowałam ją trochę rozpieszczać, ale na to nie pozwalała. Dziecko ma być silne i zdrowe, mówiła. I nie powinno mieć matki-inwalidki. Zauważyłam, że mówi o dziecku, używając rodzaju męskiego, z czego wnioskowałam, że chce syna, choć byłam przekonana, że gdy dziecko się urodzi, jego płeć będzie jej obojętna.

Doktora Huntera często wzywano teraz do Domu Białych Dam. Powiedział, że nie ma żadnych powodów do niepokoju. Lucie, silna i zdrowa, urodzi pełnego wigoru malca.

Dopiero Franklyn uświadomił mi, że narodziny dziecka mogą wpłynąć na moją osobistą sytuację.

— Jeśli dziecko będzie płci męskiej — rzekł — ono odziedziczy wszystko po twoim ojcu, bo twoja matka wychodząc za mąż, scedowała posiadłość na rzecz męża. Czy się nad tym zastanawiałaś?

— Nie, nigdy.

— Co za brak zmysłu praktycznego! Dom Białych Dam przejdzie na syna twojego ojca. A ty nie będziesz mogła wysunąć żadnych roszczeń.

— Ten dom będzie zawsze moim domem, Franklynie. Co za różnica, czy będzie należał do mojego przyrodniego brata, czy...

Franklyn stwierdził, że różnica jest wielka i zarzucił mi, że jestem całkiem oderwana od problemów tego świata.

Śmiałam się z niego, lecz on był bardzo poważny.

Dziecko przyszło na świat w listopadzie.

Była to dziewczynka; nadano jej imię Druscilla.

Myślę, że Lucie była trochę rozczarowana, że nie urodziła syna. Rozczarowany był też tata, ale duma rodzicielska z małej uroczej dziewczynki wkrótce to uczucie rozwiała.

Druscilla stała się niebawem najważniejszą osobą w domu. Wszyscy zabiegali o jej względy, a wybrańcy, przy których gaworzyła, nie posiadali się z radości.

Czasami zdumiewały mnie zmiany, które zachodziły w naszym domu od czasu śmierci matki.

Tak oto sprawy się miały, gdy Stirling i Nora wrócili do Anglii.

Nora

Rozdział 1

Jechałam do Anglii wbrew własnej woli. Wciąż spieraliśmy się o to ze Stirlingiem.

— Co to da? — pytałam.

Stirling zaciskał uparcie usta i odpowiadał:

— Ja jadę. On tak chciał.

Próby przekonania go były bezskuteczne. W pewien sposób cieszyła mnie ta różnica zdań. Gdy udowadniałam Stirlingowi swoje racje, nie myślałam o Żbiku leżącym na brązowej trawie i o tym, jak nieśli jego ciało na pośpiesznie skleconych noszach. A trzeba było przestać o tym myśleć. Wiedziałam, że to samo czuje Stirling. Oboje zaś wiedzieliśmy o czymś jeszcze. Nie było dla nas innej pociechy niż ta, którą dawaliśmy sobie wzajemnie.

Zdrowy rozsądek Adelajdy mógł okazać się pomocny. Powiedziała, że nie opuści domu, że zostanie i będzie wszystkiego doglądać, póki nie wrócimy.

Chciałam zostać, a jednocześnie chciałam jechać. Chciałam być z dala od domu, który nazwałam Małym Domem Białych Dam. Zbyt wiele było tu wspomnień. Odczuwałam jakąś chorobliwą radość z rozpamiętywania każdego spotkania ze Żbikiem, każdej partii szachów, które rozgrywaliśmy. Zdecydowało wszak to, że Stirling jechał, a ja musiałam być ze Stirlingiem. Nie całkiem rozumiałam, co nas łączy. Patrzyłam na nasz związek jak przez dymne szkła. Ileż to razy w przeszłości myślałam o naszym małżeństwie! Potem jednak poślubił mnie Żbik, Stirling zaś nie protestował. Byłam przekonana, że czuł coś do mnie, tak jak ja do niego, ale silna osobowość Żbika stała na drodze naszego związku i szczęścia. Dlatego teraz powinnam być ze Stirlingiem. Przeżyliśmy jakoś tygodnie pustki po śmierci Żbika, bo wiedzieliśmy, że tę pustkę dzielimy, że do siebie należymy.

— Jadę do Anglii — powiedział stanowczo. — On chciał, żebym pojechał.

Wiedziałam więc, że ja także muszę jechać. Któregoś późnego popołudnia wślizgnęła się do mojego pokoju Jessika.

— A więc jedziesz — powiedziała. Wiedziałam, Mówiłaś, że zostaniesz, a ja wiedziałam, że pojedziesz.

Milczałam. Przysiadła na łóżku, obserwując mnie.

— I już po nim — ciągnęła. — Umarł jak zwykły śmiertelnik. Kto by się spodziewał, że jemu także się to przytrafi? Ale czy rzeczywiście go nie ma, Noro? Okpi śmierć, tak jak się wykpił od wyroku. Zszedł ze statku jako więzień. Po paru tygodniach zerwał pęta. Czy uda mu się zerwać pęta śmierci?

— Co masz na myśli, Jessiko?

— Czy on wróci? Jak myślisz, Noro? Wróci?

— On nie żyje — odrzekłam.

— Miałaś szczęście. Straciłaś go, zanim go dobrze poznałaś.

— Znałam go dobrze — odparłam. — Byłam z nim bliżej niż ktokolwiek inny.

Zmrużyła oczy.

— Nie poznałaś w nim tego, co złe. Bo on był zły, Noro! Zły! Byłaś pionkiem w jego rękach, Noro, takim ładnym, ulubionym... do czasu. Rozpieszczał cię, ale i tak byłaś tylko pionkiem.

— Posłuchaj, Jessiko — powiedziałam — mam mnóstwo pracy. Nie sądz, że możesz zmienić moje uczucia do niego. Znałam go lepiej niż ty.

— Zostań więc ze swoimi miłymi wspomnieniami. Nie dasz sobie udowodnić, że tkwi w nich fałsz, mam rację? Ale on wróci. Znajdzie sposób, by oszukać śmierć, tak jak oszukiwał innych. On nie odszedł. Czuję jego obecność nawet tutaj, teraz. Patrzy na nas, Noro. Śmieje się ze mnie, bo próbuję uświadomić ci prawdę.

— Obyś miała rację — powiedziałam żarliwie. — Chciałabym, żeby wrócił.

— Nie mów tego — wykrzyknęła gniewnie, spoglądając przez ramię. — Jeśli będziesz tego chciała zbyt mocno, naprawdę wróci.

— A więc pragnę tego z całego serca.

— Ale nie wróci takim, jakim go znałaś. Przecież nie ma już ciała. Choć wróci... taki sam.

Odwrociłam się. Jessika wyszła potrząsając ze smutkiem głową, a ja powiedziałam:

— Żbiku, jesteś tutaj? Wróć. Chcę z tobą porozmawiać. Chcę ci powiedzieć, że nienawidzę twoich planów zemsty, tak jak ich zawsze nienawidziłam. Wróć, Żbiku.

Ale nie było żadnego znaku, żadnego odzewu w ciszy pokoju.

* * *

Adelajda pojechała z nami do Melbourne. Weszła aż na pokład, by nas pożegnać. Jestem pewna, że Stirling tak samo jak ja był jej wdzięczny, że ucałował nas czule, powtórzyła raz jeszcze, iż będzie troszczyła się o dom, póki nie wrócimy. Powiedziała to tak spokojnie i zwyczajnie — zastanawiałam się, czy wrodziła się w matkę, bo nie miała w sobie nic ze Żbika.

Gdy statek odpływał, machała do nas z nadbrzeża. Nie było łez. Tak, jakbyśmy się wybierali na wycieczkę do Sydney.

Pamiętałam, jak płynęliśmy do Australii na „Carron Star”. Jak bardzo różniłam się teraz od tamtej dziewczyny! Poznałam Żbika. Niedoświadczona panna stała się bogatą wdową — z pozoru zrównoważoną światową kobietą.

Stirling stał obok mnie tak jak wtedy: jego bliskość radowała mnie. Uśmiechałam się do niego, wiedziałam, że on czuje podobnie.

Zajechaliśmy do gospody Pod Orłem. Dziwnie było zasiąść w tym samym saloniku, w którym poznałam Stirlinga, nalewać mu herbatę, którą nam przyniesiono, podawać talerz pszennych rozków. Oboje doznawaliśmy tych samych wrażeń. Świadczyły o tym uśmiechy, którymi mnie obdarzał.

— Wydaje się, jakby minęło wiele lat — rzekł. — I chyba minęło, bo tyle się wydarzyło. My sami także się zmieniliśmy.

Rozmawialiśmy dużo na statku. Stirling zamierzał kupić Dom Białych Dam, bo jak twierdził, właściciele będą chcieli go sprzedać. Mieli się znaleźć w sytuacji bez wyjścia. Stirling zaproponuje dobrą cenę, taką, której prawdopodobnie nigdy by nie uzyskali. Jest przecież „złotym” milionerem.

— Nie możesz być pewien, że sprzedadzą — upierałam się.

— Będą musieli, Noro — brzmiała odpowiedź. — To bankruci.

Wiedziałam, kto maczał w tym palce, i było mi wstyd. „Triumwirat”, jak nazywał nas Żbik, gdy znalazłam złoto. Żałowałam, że byłam jego częścią. Coś jednak było w tym, co mówiła Jessika. Żbik był ciągle z nami.

Oczy Stirlinga wyglądały jak zielone szkiełka połyskujące w wypalonych słońcem brzdach. Był teraz tak podobny j do Żbika, że robiło mi się ciepło koło serca i czułam się prawie szczęśliwa. Wiedziałam, że cokolwiek powiem, on i tak zdobędzie Dom Białych Dam, bo musiało być tak, jak chciał i Żbik. Dzieci Herricków miały się bawić na trawnikach tego domu, a z czasem stać się jego dumnymi właścicielami. To miały być nasze dzieci: moje i Stirlinga. Słyszałam prawie głos Żbika:

„Moja kochana Nora”. Myślałam o owym trawniku, na którym już raz zakłopotana siedziałam, o domu ze starymi szarymi wieżami — i rozumiałam go.

— Pierwsza rzecz, którą trzeba zrobić, to rozgłosić, że szukamy domu — powiedział Stirling. — Spodobała nam się oko — lica i chcemy osiąść tu na pewien czas. Jesteśmy szczególnie zainteresowani czymś bardzo starym i mamy wielką ochotę na Dom Białych Dam. Wspomniałem już o tym właścicielowi gospody.

— Nie tracisz czasu — zauważyłam.

— Spodziewałaś się czegoś innego? Uciałem sobie z nim pogawędkę. Pamięta nas, tak przynajmniej twierdzi. Powiedział też, że lady Cardew umarła, a sir Hilary ożenił się z jej damą do towarzystwa, czy kto to tam był.

— Miała na imię Lucie, jeśli się nie mylę. Pokiwał głową z uśmiechem.

— Myślałam, że była niewiele znaczącą osobą — mówiłam dalej. — Nie wyglądała na członka rodziny. Teraz oczywiście to się musiało zmienić.

— Bardzo się nimi interesujesz, Noro.

— A ty nie?

— Biorąc pod uwagę, że przybyliśmy z drugiego końca świata, żeby kupić ich dom, to oczywiście tak.

— Jesteś zbyt pewny swego. Skąd możesz wiedzieć, jakiej zażądają ceny?

Popatrzył na mnie zdziwiony. A co to ma za znaczenie? Dla milionera?

Tego samego dnia udaliśmy się do miejscowego pośrednika handlu nieruchomościami i dowiedzieliśmy się, że szczęśliwym zbiegiem okoliczności Wakefieldowie chcą wynająć Dom Bławatnika — piękny dom, w sam raz dla nas. Pośrednik ostrzegł jednak, że nigdzie w sąsiedztwie nie ma na sprzedaż domu, który można by porównać z Domem Białych Dam. Powiedzieliśmy, że jesteśmy żywo zainteresowani wynajęciem na jakiś czas Domu Bławatnika.

Pośrednik zawiózł nas na miejsce swoim powozem. Oczekiwał nas Franklyn Wakefield. Od razu go poznałam. Stirling spojrzeniem dał mi do zrozumienia, że poznaje go także.

Skłonił się najpierw mnie, potem Stirlingowi. Zachowywał się bardzo oficjalnie, lecz uśmiechał się przyjaźnie.

— Mam nadzieję, że dom się państwu spodoba, choć mogą go państwo uznać za nieco staroświecki. Słyszałem, jak mówiono, że nie jest wygodny.

— Jestem przekonana, że to nieprawda — powiedziałam, zaśmiewając się w duchu, bo zdaniem pośrednika wzbudzał powszechne zachwyty, podczas gdy sam właściciel robił co mógł, żeby go obrzydzić. — Jesteśmy oczarowani jego wyglądem... z zewnątrz, prawda Stirling?

Stirling, jak to Stirling, powiedział, że w zasadzie powinniśmy skupić uwagę na jego wnętrzu, skoro zamierzamy w nim zamieszkać.

— Wobec tego — rzekł Wakefield — powinni państwo szczegółowo go obejrzeć.

— Tak też zrobimy — rzekł Stirling ponuro.

— Przypomniałam sobie, że od pierwszej chwili nie czuł sympatii do Franklyna Wakefielda.

— Pan wie, że potrzebujemy domu jedynie na pewien czas — dodałam spieszenie.

— Zostałem powiadomiony o szczegółach — Wakefield uśmiechnął się. — Śmiem jednak przypuszczać, że szukają państwo możliwie największych wygod bez względu na czas najmu.

Przypatrywałam się gustownej architekturze domu — czasy królowej Anny, jak przypuszczałam. Mury całe w girlandach dzikiego wina pięknie musiały wyglądać jesienią. Przed domem były dwa trawniki — po obu stronach dróżki — przystrzyżone i dobrze utrzymane. Aby wynagrodzić panu Wakefieldowi gburowatość Stirlinga, starałam się być dla niego czarująca.

— Jeśli wewnątrz jest choć w połowie tak zachwycający jak z zewnątrz, będę usatysfakcjonowana.

Wyglądał na zadowolonego, więc mówiłam dalej:

— Czy mam rację sądząc, że pochodzi z czasów królowej Anny lub z pierwszych lat panowania Jerzego I?

— Został zbudowany w 1717 roku przez mojego przodka i cały czas jest własnością rodziny. Służył jako zabezpieczenie — nie dla wdów. Obecnie stoi pusty, dlatego uznaliśmy za słuszne poszukać użytkownika.

— W domach powinno toczyć się życie — powiedziałam. — Gdy nikt w nich nie mieszka, stają się smutne.

Stirling wybuchnął śmiechem.

— Słowo daję, Noro. Cegłom i zaprawie murarskiej przypisujesz uczucia, których doprawdy mieć nie mogą!

— Myślę, że pani...

— Herrick.

— Myślę, że pani Herrick trafnie to określiła — powiedział Wakefield. — Domy szybko przestają nadawać się do zamieszkania, gdy zbyt długo stoją puste.

— Obejrzyjmy zatem wnętrze — powiedział Stirling.

Dom był wytwornie umeblowany. Aż wykrzyknęłam z podziwu na widok pięknie rzeźbionego sufitu w holu.

— Na suficie wyryty jest herb Bławatnika — wyjaśnił Wakefield. — Zobaczą go państwo w wielu pokojach.

Przeszliśmy do salonu, którego oszklone drzwi otwierały się na trawniki.

— Będziemy musieli zatrudnić co najmniej dwóch ogrodników — rzekł Stirling, jakby był zdecydowany szukać wad tego miejsca. — Czy trudno będzie ich znaleźć?

— Żaden kłopot — zapewnił go Wakefield. Tutejszym ogrodem opiekują się ogrodnicy naszego domu. Koszta ich wynagrodzenia zostały przedstawione w spisie, który dostarczy państwu pośrednik.

— Koszta nas nie interesują — rzekł Stirling. Poczulałam, jak się czerwienię z powodu jego niestosownego zachowania.

— Ani nas, pozwolę sobie dodać — rzekł Wakefield i uśmiechnął się wyłącznie do mnie. — Ważne jest, by znaleźć odpowiednich użytkowników. Sądzę, pani Herrick, że pani i jej mąż chcieliby teraz sami obejrzeć dom.

— Nie jesteśmy małżeństwem — wyjaśniłam szybko. — Jestem wdową, macochą pana Herricka.

Jeśli był zaskoczony, to tego nie okazał. Maniery pana Wakefielda były bez zarzutu. Wychowywano go zapewne w przekonaniu, że uzewnętrznianie uczuć to najcięższe przewinienie w stosunkach z innymi ludźmi. Był także taktowny. W rzeczy samej chciałam swobodnie porozmawiać ze Stirlingiem o domu.

— Jeśli zechce pan nam dać trochę czasu...

— Naturalnie. Potem, jeśli państwo mają ochotę, proszę zająć do naszego domu. Kiedy państwo skończą...i będą zainteresowani... Będzie mi bardzo miło. Mogę przysłać powóz. A może wolał państwo zrobić sobie spacer — trzeba tylko przejść przez park, mniej więcej pół mili.

Powiedziałam, że przyjdziemy piechotą. Gdy drzwi się za nim zamknęły, Stirling rzucił się na sofę i pękając ze śmiechu, wykrztusił:

— Może łaskawa pani zechce teraz uprzejmie udać się na oględziny domostwa, a następnie odbyć przechadzkę po parku...

— Przestań, Stirling, on wcale nie mówił w taki wyszukany sposób!

— Nasz dziedzic! O mój Boże!

— Nie dziedzic nas interesuje, lecz jego dom.

— Przypuszczam, że musielibyśmy go czasami widywać. Zachodziłby do nas... on albo jego żona. Możesz sobie wyobrazić, że on ma żonę? Ciekawe jaką. Będzie wysiadała z karety i zostawiała trzy bilety wizytowe. To stosowna liczba? Bylibyśmy zapraszani w gości i zanudzani na śmierć.

— Skąd wiesz, że bylibyśmy zanudzani? Skąd wiesz, że ma żonę?

— Oczywiście że bylibyśmy zanudzani i oczywiście że ma żonę. Życie pana Wakefielda toczy się według ściśle ustalonego wzorca, a ten wzorec przewiduje żonę.

— Ciekawa jestem, jaki jest Park Wakefieldów, ich dom.

— Wielka stara rezydencja odziedziczona po przodkach.

— Jak Dom Białych Dam.

— Nie ma na świecie drugiego takiego miejsca jak Dom Białych Dam.

— Dobrze, wynajmujemy ten dom?

— Zostańmy w gospodzie. Jeśli zwiążemy się z nim poprzez ten dom, pociągnie to za sobą zobowiązania towarzyskie.

— Które z pewnością będziesz niezmiennie lekceważył.

— Masz rację, Noro. Choć raz!

— Raz! Co to znaczy? Idę obejrzeć dom i powiem ci jedno: podoba mi się tutaj. Mam wielką ochotę dowiedzieć się, kim był ów Bławatnik i co łączyło zwykłego kupca z eleganckim panem Wakefieldem.

Obejrzeliśmy salon i zeszliśmy do ogromnej kuchni o kamiennej podłodze. Podobała mi się! Podobały mi się spiżarnie, schowki i kredensy. To był wspaniały dom.

— Duży — rzekł Stirling.

— Za duży dla milionera! — skomentowałam ironicznie. — Właściwie powiedziałeś mi, że nim jesteś.

— Zdaje się, że trzymasz jego stronę.

— Bzdura! Tak jakby o trzymanie jakiegokolwiek strony tu chodziło. Obejrzyjmy górę.

Dom miał trzy piętra i ze dwanaście pokoi, dużych i przestronnych, z oknami do podłogi.

— Chyba go wynajmiemy, Stirling — powiedziałam. Nie oponował. Był równie oczarowany jak ja. Poza tym jako mieszkańcy tego domu prawie na pewno mielibyśmy okazję nawiązać kontakty z właścicielami Domu Białych Dam. Nie wiedziałam dokładnie, jakie Stirling ma plany i ile czasu mu potrzeba, aby przejąć Dom Białych Dam, domyślałam się jednak, że to może długo potrwać.

— A więc? — spytał, gdy obeszlśmy już wszystkie zakamarki.

— Powiemy panu Wakefieldowi, że go wynajmujemy. Poszliśmy aleją do domu, który nazywał się Park Wakefieldów. Był to duży ozdobny dom wczesnowiktoriański. Wyglądał potężnie i solidnie. Na frontowym trawniku była sadzawka z wodotryskiem. Białe kamienne schody prowadziły na taras. Kwiaty, starannie pielęgnowane, rosły równiutko.

— Oto dom godny swojego właściciela — skomentowałam.

— Możesz być pewna, że wszystko tu jest na swoim miejscu — dodał Stirling, a potem naśladując Wakefielda powiedział:

— Nie ulega wątpliwości, że każda, ale to każda rzecz, która przynależy do tego domu, znajduje się w wyznaczonym dla siebie miejscu.

— Zdaje się, że on ci się nie podoba.

— A tobie się podoba?

— Mnie się podoba Dom Bławatnika, i to wystarczy. Wspięliśmy się po schodkach tarasu do przedsionka, gdzie wisiał dzwonek. Pociągnięty, zadzwieczał głucho i prawie natychmiast w drzwiach ukazał się lokaj.

— Zapewne pani i pan Herrick? — powiedział. — Pan Wake — field i sir Everard z jaśnie panią oczekują państwa w bibliotece. Bardzo proszę za mną.

Rzuciłam Stirlingowi spojrzenie: „Widzisz, jak wszystko doskonale zorganizowane!”, a Stirling odpowiedział spojrzeniem: „Czy po panu Wakefieldzie można się było spodziewać czegoś innego?”

Hol był przeogromny i cokolwiek przytłaczający.

Na ścianach wisiało wiele rodzinnych portretów, nie mieliśmy jednak czasu im się dokładnie przyjrzeć. Schody z rzeźbioną w wyszukany sposób balustradą, zakręcając pięty się stromo w górę. Poszliśmy nimi, prowadzeni przez lokaja.

— Pani i pan Herrick — obwieścił zapukawszy, a następnie otwarłszy drzwi.

Oprócz pana Wakiefielda w środku byli starsi państwo i młody mężczyzna.

— Miło, że państwo przyszli — powiedział. — Pozwolą państwo, że ich przedstawię moim rodzicom: sir Everard i lady Wakefield, a to doktor Hunter.

Lady Wakefield, wąta staruszka, obdarzyła mnie miłym uśmiechem. Zwróciłam się do sir Everarda.

— Proszę wybaczyć, że nie wstaję — rzekł.

Zobaczyłam, że siedzi na wózku, z kolanami okrytymi kocem.

Podaliśmy sobie ręce z doktorem.

— Doktor Hunter właśnie przyszedł z wizytą — powiedziała lady Wakefield. — Jeśli zamierzają państwo zamieszkać tutaj i będą potrzebować dobrego lekarza — miejmy nadzieję, że nie będzie takiej potrzeby — znajdą w nim państwo znakomitego specjalistę. Franklynie, zadzwoń po świeżą herbatę.

— Powiedziałem już, by przyniesiono herbatę, jak tylko zjawią się goście.

— Wspaniale — rzekła lady Wakefield obdarzając syna pełnym uwielbienia spojrzeniem, on zaś w swój wyszukany sposób zwrócił się do nas:

— Zechcą państwo usiąść.

— Przyszliśmy powiedzieć, że jesteśmy zachwyceni Domem Bławatnika — zaczęłam — i chcemy go wynająć.

— Doskonale, odrzekł pan Wakefield.

— Czas, by ktoś w nim zamieszkał — włączył się do rozmowy sir Everard. — Niedobrze, gdy dom zbyt długo stoi pusty.

— To cudowny stary dom — wtrącił doktor.

Zapukano do drzwi; wjechał stolik pchany przez lokaja i pokojówkę. W Parku Wakefieldów prowadzono wykwinne życie.

— Pani i pan Herrick szukają w okolicy domu, jak rozumiem — rzekł Franklyn. — A tymczasem chcą wynająć Dom Bławatnika

— Nie będzie to łatwe — ostrzegł doktor. — W każdym razie, jeśli szukają państwo czegoś szczególnego.

— Czegoś takiego właśnie szukamy — odparłam.

— Widzieliśmy tu bardzo uroczy dom — zaczął Stirling.

— Dom Białych Dam! — powiedziała lady Wakefield z uśmiechem. — Niezwykłe miejsce. Zbudowano go na ruinach starego klasztoru. Część starych murów klasztoru została nawet zachowana.

— Rodzina Cardew to nasi wielcy przyjaciele — rzekł sir Everard. — Jeśli zamieszkają państwo tutaj, z pewnością nadarzy się okazja, by ich poznać.

— To byłoby interesujące — Stirling spojrział na mnie z taką miną, że powiedziałam szybko:

— Dom Bławatnika niezmiernie nas zaintrygował. Zastanawialiśmy się, skąd ta nazwa?

— Zbudował go mój pra-pra-dziadek. Był londyńskim bławatnikiem, a potem osiadł na wsi i postawił ten właśnie dom, a ponieważ nigdy nie zapomniał, jakim zawodem parał się w przeszłości, nazwał go Domem Bławatnika.

— Rodzinie dobrze się powodziło, więc później zbudowano drugi dom, który bardziej odpowiadał jej potrzebom — podchwycił opowiadanie sir Everard. — W Domu Bławatnika mieszkały ciotki, kuzyni i inni krewni. Teraz stoi pusty. Syn wpadł na pomysł, by go wynająć, a państwo będą pierwszymi lokatorami spoza rodziny.

— Zdaje się, że ów Dom Białych Dam odwiedziliśmy przypadkiem przed laty — zwrócił się do mnie Stirling. — Niedawno przyjechaliśmy z Australii — wyjaśnił.

— Mój brat pojechał do Australii — zaczął sir Everard.

Zorientowałam się, że musi być rozmownym starszym panem, bo jego żona uśmiechając się do niego pobłaźliwie, powiedziała szybko:

— Byli państwo w Domu Białych Dam...przypadkiem? Opowiedziałam historię z szalem i pan Wakefield bardzo się ucieszył.

— Pamiętam! — powiedział.

— Ma pan wspaniałą pamięć! — odrzekłam. — Była tam starsza pani na wózku...

— Lady Cardew. Umarła. Teraz jest inna lady Cardew.

— I bardzo ładna młoda dziewczyna.

— Pewnie Minta — rzekła lady Wakefield. — Takie kochane dziecko!

Pobłaźliwy uśmiech skierowany został tym razem do syna. O tak, pomyślałam, „to będzie para: Minta i pan Wakefield.

— Ma teraz małą siostrzyczkę, Druscille, córkę drugiej lady Cardew.

— A Minta? Czy jest mężatką?

Lady Wakefield posłała panu Wakefieldowi figlarne spojrzenie.

— Jeszcze nie — powiedziała.

Doktor, który prawie się nie odzywał, spojrział na zegarek:

— Pójdę już.

— Pewnie czeka na pana jeszcze wielu pacjentów — rzekła lady Wakefield.

— Rozumiem, że będą państwo wracać do gospody Pod Orłem? Mogę państwa podwieźć — zaproponował doktor.

— To dobry pomysł — rzekł pan Wakefield. — Ale jeśli nie jedzie pan tamtędy, doktorze, zrobimy to my...

Doktor zapewnił, że akurat jedzie w tamtą stronę. Pan Wakefield powiedział, że to wspaniale, i niebawem toczyliśmy się drogą w powozie doktora.

— Czarujący ludzie — powiedział doktor.

— Mam nadzieję, że nasi sąsiedzi z Domu Białych Dam też są czarujący — mruknął Stirling.

Doktor zacisnął usta; ciekawa byłam, co to mogło oznaczać. Zdaje się, że zauważył, jak mu się przyglądałam, i powiedział szybko:

— Myślę, że będą państwo mogli ocenić to sami. Wysadził nas przed gospodą. Gdy odjechał, powiedziałam do Stirlinga:

— Był trochę dziwny. Czy zauważyłeś jego wyraz twarzy, gdy wspomniałam o Domu Białych Dam?

Ale Stirling niczego nie zauważył.

* * *

Czułam się teraz znacznie lepiej aniżeli zaraz po śmierci Żbika. Życie znów mnie interesowało. Potępiałam szalony plan obrabowania właścicieli Domu Białych Dam z ich posiadłości — a im więcej o tym myślałam, tym bardziej niedorzeczny mi się ten plan wydawał — a jednocześnie ludzie ci mnie fascynowali, i było trochę tak, jak mówiła Jessika: jakby Żbik wrócił i nakłaniał mnie, żebym działała wbrew własnej woli.

Nie mogłam się doczekać, kiedy zamieszkamy w Domu Bławatnika. Podobała mi się rodzina Wakefieldów. Dowiedziałam się od właściciela gospody, niezłego plotkarza, że sir Everard i jego żona byli już w średnim wieku i dawno stracili nadzieję, że będą mieli dzieci, gdy urodził im się syn. Świata poza nim nie widzieli, a on poza nimi — był bardzo dobrym synem, jeśli tacy synowie w ogóle się zdarzają. A poza tym z pewnością nie później niż za kilka miesięcy Park poślubi Dom Białych Dam.

— To znaczy pannę Mintę?

— Właśnie. Przemiała młoda dama, ciesząca się wielką sympatią w okolicy.

— Ma szczęście pan Franklyn.

— Oboje mają szczęście, będzie z nich wspianała para.

— A Dom Białych Dam? Przecież pewnego dnia stanie się własnością panny Minty, a ona zamieszka w Parku Wakefieldów.

— Niech pani w to nie wierzy. Ona zostanie w Domu Białych Dam. Dom przejdzie na nią jako najstarszą — kto by pomyślał, że będzie jeszcze jedna córka. Sir Hilary ma już przecież swoje lata. Ale nowa młoda żona, wiadomo jak to jest.

Pokiwałam ze zrozumieniem głową. Ten człowiek był znakomitym źródłem informacji. Będzie mi go brakowało, gdy przeniesiemy się do Domu Bławatnika.

Do domu przypisane były dwie służące: pokojówka i sprzątaczką.

— Nie można powiedzieć, że nie dbają o wygody — powiedziałam do Stirlinga.

Z pewnym oporem, lecz przyznał mi rację. Nie mógł myśleć o niczym poza Domem Białych Dam i niecierpliwie czekał spotkania z jego właścicielami.

— Na miłość boską, zachowuj się stosownie! — mówiłam. — Nie możesz po prostu tam pójść i powiedzieć: „Chcę kupić ten dom i nalegam, by mi go państwo sprzedali!” Musisz postępować z wyczuciem!

— Nie martw się. Dam sobie radę. Ale to tak długo trwa!

Dwa dni przed przeprowadzką żona właściciela gospody weszła do mojego pokoju i powiedziała, że „pewna osoba jest na dole i chce się ze mną zobaczyć”. Gospodyni „umieściła ją” w saloniku. Zeszłam na dół. Czekala na mnie kobieta w średnim wieku.

— Pani Herrick? — spytała. Przytaknęłam.

— Nazywam się Glee, Amy Glee. Byłam gospodynią w Domu Białych Dam, póki tamtejsza pani nie doszła do wniosku, że nie potrzebuje dłużej moich usług.

Nie mogła trafniej sformułować myśli, by wzbudzić moje zainteresowanie.

— Tamtejsza pani?

— Nowa lady Cardew — powiedziała ze znaczącym, pogardliwym prychnięciem.

— Aha, a co panią sprowadza do mnie?

— Słyszałam, że przenoszą się państwo do Domu Bławatnika — może będzie potrzebna gospodyni. Ja wiem, że będzie potrzebna, bo znam Ellen i Mabel. Obie kiedyś były w Domu Białych Dam, ale gdy zaczęto się pozbywać służby, przeniosły się do Parku.

— Ach, tak.

— Pracują, jak się ich pilnuje. Już ja wiem, co to za jedne, dużo jest takich. A więc jeśli pani nie chce spędzać całego czasu na pilnowaniu leniwych pokojówek...

— Długo była pani w Domu Białych Dam?

— Piętnaście lat. I dobrze służyłam.

Teraz ją rozpoznałam. To do niej zaprowadziła mnie Lucie, żeby obandażować moją rękę.

— Nie wątpię — powiedziałam.

— Po piętnastu latach mi wypowiedzieli. Ma pani pojęcie?

Chociaż wszystko robiłam jak należy. Miałam krewniaczkę... na drodze do Dover. Umarła sześć miesięcy temu, zostawiła mi chatę i trochę grosza. Nie z potrzeby tu przychodzę. Ale lubię coś robić. Żeby mi wypowiedzieć — po piętnastu latach!

Było coś w jej zaciśniętych ustach, w sposobie, w jaki potrząsała głową, co budziło moją ciekawość. Zdecydowałam, że w Domu Bławatnika potrzebna będzie gospodyni.

Rozdział 2

Cieszyło mnie urządzenie domu. Czułam, że znajdę w nim spokojne szczęście. Miałam dość przygód. Widziałam, jak zabito człowieka, szarpały mną dziwne, niepojęte uczucia, byłam żoną człowieka, który mnie zdominował i który nie miał równego sobie. Wystarczy. Dość tamtych gwałtownych uniesień i lęków, chyba nie pragnę ich już zaznawać. Żbik nie może wrócić. Zastanawiałam się, czy przy nim kiedykolwiek zaznałabym spokoju. Za to w tym eleganckim wiejskim domu, zbudowanym przez zamożnego londyńskiego kupca prawie przed dwustu laty, można by rozpocząć nowe życie. Ów kupiec przyjechał tu po spokój. Ten dom mógł stać się także moim schronieniem. Tu można by się poddać przeznaczeniu, spróbować kształtować życie wedle swoich naturalnych skłonności. Czasami przychodziło mi do głowy, że wiedziałam, iż moje życie ze Żbikiem będzie jedynie krótkim epizodem. Był tyle lat ode mnie starszy! Co prawda uważałam go za nieśmiertelnego...

Jedno było oczywiste: poznałam go i mnie pokochał — miałam szczęście. Ale to się skończyło. Muszę przebudować swoje życie. Czasem zdawało mi się, że Jessica miała rację, że Żbik jest w pobliżu, że mnie prowadzi, popycha w kierunku, który uważa za słuszny. Na pewno chce, bym wyszła za Stirlinga, i gdyby sam mnie nie pragnął, doprowadziłby do naszego ślubu. Marzyłam więc o małżeństwie ze Stirlingiem. Porzucimy szalony pomysł zdobycia Domu Białych Dam. Może kupimy Dom Bławatnika i nasze potomstwo urodzi się tutaj. Minta wyjdzie za Franklyna i ich dzieci oraz nasze dzieci będą bawić się wspólnie na trawnikach Domu Białych Dam. W ten sposób wnuki Żbika rzeczywiście bawiłyby się na tamtejszej gładkiej aksamitnej trawie. Lecz czy Żbika zadowoliliby taki kompromis?

Oto, co mi chodziło po głowie.

* * *

Nie mieszkaliśmy w Domu Bławatnika ani tygodnia, gdy przyszła z wizytą Minta. Niewiele się zmieniła. Była bardzo ładna, taka, jaką ją pamiętałam. Miała w sobie szczególną naiwność, która wydawała mi się sympatyczna.

— Franklyn mi powiedział, że państwo tu zamieszkali. Jakie to niezwykle! Pamiętam, oczywiście, jak państwo do nas przyszli, gdy pani szal przefrunął ponad murem.

Ponieważ przyszła rano, spytałam, czy miałyby ochotę na kawę i kieliszek wina. Powiedziała, że napije się kawy, zadzwoniłam więc na pokojówkę.

Weszła Ellen, schludna i starannie ubrana, Minta uśmiechnęła się do niej i powiedziała: „Dzień dobry, Ellen”.

Gdy wyszła, Minta dodała:

— Mam nadzieję, że służba dobrze się spisuje. Panu Wakefieldowi bardzo na tym zależy. Ellen i Mabel to dobre dziewczęta.

Pani Glee była odmiennego zdania, lecz Minta w każdym widziała same dobre strony.

— Nasza gospodyni trzyma je w ryzach.

— Ach, tak. Pani Glee.

— Widzę, że nasze posunięcia były bacznie obserwowane.

Roześmiała się.

— Takie jest życie na wsi. Wszyscy interesują się nowymi przybyszami. Nie będziemy państwa niepokoić, jeśli zechce pani trzymać się na uboczu, ale coś mi się zdaje, że tak nie będzie.

— Jest tu też mój pasierb.

— Tak — uśmiechnęła się. — Jest pani bardzo młoda jak na dorosłego pasierba. Ja natomiast mam macochę niewiele starszą od siebie. Gdy spotkaliśmy się poprzednio, sądziłam, że państwo są rodzeństwem, póki nie...

— To dość skomplikowana sytuacja. Poślubiłam ojca Stirlinga, ale on zmarł i teraz jestem wdową...

— Tak mi przykro — powiedziała Minta.

Doszłam do wniosku, że musi być bardzo uczuciowa. Polubiłam ją, uważałam, że będzie wspaniałą żoną dla Franklyna Wakefielda. Jego także lubiłam. W obojgu było coś zacnego, poczciwi ludzie, myślałam. Tak, to najlepsze słowo. Poczciwi! Niezbyt interesujący, ale dobrzy. Żadnych wybryków, co najwyżej jakaś niespodzianka — od czasu do czasu. Byli inni niż my: Żbik, Stirling czy ja. Nie zdradzali egoizmu, który był w nas. Wydawali się bezbarwni. Ale może nie należy mówić w ten sposób o tak czarującej dziewczynie jak Minta.

— To już przeszłość. Trzeba umieć zapomnieć. Przytaknęła, a ja mówiłam dalej.

— Tak dobrze pamiętam ten dzień, gdy po raz pierwszy zobaczyłam Dom Białych Dam. Zrobił na nas obojgu wielkie wrażenie. Wspaniałe trawniki i miły sposób, w jaki nas państwo przyjęli, troska o moją zranioną rękę.

— To Lucie. Jest teraz moją macochą. Pozna ją pani! Moja matka umarła...

Na jej twarzy pojawił się cień smutku. Żywa, wciąż się zmieniająca twarz, z której łatwo było wyczytać nastroje.

— Zdaje się, że była inwalidką.

— Tak, ale...

Czekałam, lecz Minta nie dokończyła.

— Lucie jest wspaniała. Taka dobra dla taty. Pomaga mu w pracy i znakomicie zarządza domem.

— Miło to słyszeć z pani ust.

— I ktoś nowy pojawił się w rodzinie. Moja mała siostrzyczka, Druscilla. Jest bardzo kochana. Niedługo skończy roczek.

— Tak niewiele czasu minęło od chwili, gdy widziałyśmy się po raz pierwszy, a tak wiele się wydarzyło.

Pomyślałam: zostałam żoną Żbika i wdową po nim. Pewnie odgadła moje myśli, bo szybko zmieniła temat.

— Jestem pewna, że będzie się pani tu podobało. Tutejsi ludzie są bardzo mili.

Ellen przyniosła kawę. Pani Glee weszła w ślad za nią i rzuciła Mincie triumfalne: „Dzień dobry, panno Cardew”, na co Minta wyraziła radość, że widzi panią Glee, i zapewniła mnie, że pani Glee wspaniale zajmuje się domem. Gospodyni z zadowoleniem kiwała głową, nadzorując jednocześnie podającą kawę Ellen.

Gdy wyszła, Minta powiedziała:

— Ona jest naprawdę znakomitą gospodynią. Cieszę się, że jest u pani. Nie zostałaby zwolniona, gdybyśmy mogli pozwolić sobie na jej utrzymanie.

A więc to prawda, że nie najlepiej im się powodzi. Może Stirlingowi się uda. Choć co innego zwolnić kosztowną służącą, a co innego sprzedać dom.

— Myślę, że wkrótce złoży państwu wizytę Maud Mathers, córka pastora. Od śmierci matki Maud niestrudzenie zajmuje się sprawami parafii. To dobra, rozsądna dziewczyna. Polubi ją pani bez wątpienia. Ale, proszę, pierwszym domem, w którym złoży państwo wizytę, niech będzie Dom Białych Dam. Z pewnością dołączy do nas także pan Wakefield. Sir Everard i lady Wakefield rzadko opuszczają Park. Nie mają już ani sił, ani ochoty. A więc przyrzeka pani?

Przyrzekłam ochoczo.

W tym momencie wszedł do pokoju Stirling.

— Stirling, przyszła panna Cardew. Czy pamiętasz? — spytałam.

— Ależ oczywiście! — wykrzyknął.

Zobaczyłam błysk podniecenia w jego oczach. Ona też to zauważyła i zarumieniła się wdzięcznie.

— Miło panią widzieć — powiedział ze szczerą radością. Wiedziałam: sądzi, że sprawa ruszy do przodu.

— Napij się z nami kawy. — Podeszłam do stołu. — Jesteśmy zaproszeni do Domu Białych Dam.

— Bardzo się cieszę — rzekł.

Uśmiechała się. To normalne, myślałam, jest podekscytowana, bo widuje tylko Franklina Wakefielda.

* * *

Nawet miło było stwierdzić, że aż takie poruszenie wywołaliśmy w okolicy. Sprawialiśmy chyba wrażenie dziwacznej pary — młody mężczyzna około trzydziestki z macochą rozpoczynającą dwudziestą wiosnę życia mieszkają razem w Domu Bławatnika. Łączące nas więzy zasługiwały wszakże na szacunek, poza tym mieliśmy za przyzwoitki służące i panią Glee. Pokoje Stirlinga były na pierwszym piętrze, moje na drugim, jego od frontu, moje od tyłu. Pani Glee w czarnej bombazynowej sukni rozpraszała wszelkie podejrzenia — to, że mogłaby przyjąć miejsce tam, gdzie działałyby się jakakolwiek niestosowność, było nie do pomyślenia.

Przychodziła do mnie każdego ranka ustalić całodzienne menu. Zachowywała się, jakbyśmy byli wielką rodziną. Doszłam do wniosku, że cały ten ceremoniał jest potrzebny jej poczuciu własnej godności. Tylko wtedy, gdy mówiła o Domu Białych Dam, zapominała o dobrych obyczajach. Przyznaję, że pociągałam ją za język, gdyż w najwyższym stopniu interesowała mnie rodzina Cardew.

— Nie podoba mi się to, proszę pani — powróciła znów do starego tematu pewnego ranka. — Przez całe lata służyłam lady Cardew, to jest pierwszej lady Cardew, i ośmielę się twierdzić, że nigdy nie miała powodu do narzekań. A tu nagle się dowiaduję, że się obęda beze mnie. Tak jakby moja praca była całkiem nieważna i jeśli odejdę, to i tak nikt tego nie zauważy.

— Wiem od panny Cardew, że musieli poczynić pewne oszczędności.

— Oszczędności! Tyle pieniędzy wydawano w tym domu niepotrzebnie. Nie, nie! Druga lady Cardew chciała, żebym jej zeszała z drogi. Sama postanowiła zarządzać domem. Krótko mówiąc, nie chciała mieć nikogo, kto by zobaczył, do czego jest zdolna.

— Sądzę, że koszt utrzymania takiego domu jak Dom Białych Dam musi być ogromny.

Pani Glee prychnęła pogardliwie.

— Zawsze uważałam, że coś tam się dzieje w tym domu.

— Tak?

Nie powinnam, naturalnie, dyskutować o problemach moich sąsiadów z gosposią, lecz nie mogłam oprzeć się pokusie.

— O, tak — ciągnęła pani Glee. — Umyśliła sobie pewien plan i nie chciała, żeby ją ktoś przejrzał. Kim ona zresztą wtedy była? Kimś w rodzaju damy do towarzystwa, ni to, ni sio.

— Panna Cardew zdaje się lubić swoją macochę.

— Panna Cardew to chodząca naiwność. Nie dostrzegłaby niczego, choćby to się działo pod jej nosem.

— Wygląda na czarującą młodą damę.

— Ona i jej ojciec to... dwoje dzieci. Może się pani śmiać, pani Herrick, ale tamta była swego czasu związana z doktorem. Wszyscy myśleli, że się pobiorą, a tu jaśnie pani umiera, a ona: „Nie, dziękuję”, mówi doktorowi, „lepiej mi w innym łóżku”.

Sposób wystawiania się pani Glee stawał się barwniejszy, gdy podejmowała ulubione tematy. Poczuałam, że muszę położyć temu kres.

— Mam nadzieję, pani Glee, że nie żałuje pani zbytnio tej zmiany. Panna Cardew powiedziała, że mieliśmy szczęście, najmując panią.

— Panienska zawsze była damą.

— Z pewnością. A więc szarlotka. Pan Herrick za nią przepada.

Koniec plotek, czas wracać do jabłek.

* * *

Franklyn Wakefield przyjechał po nas swoim powozem. Nasz jeszcze nie dotarł do nas, lecz Stirling miał już cztery dobre konie w stajni. Podobał mi się wytworny sposób, w jaki pan Wakefield podał mi rękę, gdy wsiadałam do powozu. Spytał, czy wolę siedzieć przodem czy tyłem do kierunku jazdy. Powiedziałam, że wszystko mi jedno.

— Podejrzewam, że w Australii sporo pani jeździła wierzchem.

— Wszędzie. To było konieczne. Czasami nawet rozbijało się obóz. Pamiętasz, Stirling, jak pojechaliśmy do Melbourne, jakieś czterdzieści mil w jedną stronę?

Poczuałam zapach eukaliptusów, przypomniałam sobie Adelajdę i Jaggera, gdy zbliżył się do mnie klęczącej przy ogniu. Czy te wspomnienia zawsze będą mnie nawiedzać?

— Jest pani zatem doświadczoną amazonką. Wzruszyłam ramionami.

— Chciałbym pokazać pani któregoś dnia moją posiadłość — mówił dalej. — Czy wybierze się pani ze mną na przejażdżkę? Pozna pani w ten sposób okolicę.

Stirling zaczął opowiadać o bezkresnych posiadłościach w Australii w tak zuchwały i protekcyjny sposób, że aż się skrzywiłam z niesmakiem. Im bardziej się krzywiłam, tym bardziej on się puszył. Franklyn grzecznie słuchał, nie przerywając i znakomicie maskując swoje odczucia. Oto lekcja dobrych manier — przypomnę ją Stirlingowi, gdy będziemy sami.

Przybycie do Domu Białych Dam po zachodzie słońca było dużym przeżyciem. Dom wyglądał romantycznie i tajemniczo — a zarazem bardzo ponuro. Na ganku wisiała latarnia i kołysząc się, lekko skrzypiała. Gdy weszliśmy po stromych kamiennych schodkach, ogarnęło mnie podniecenie. Zerknęłam na Stirlinga. Oczy mu błyszczały. Wiedziałam, co przeżywa.

Franklyn pociągnął za sznur dzwonka i usłyszeliśmy, jak echo jego głosu niesie się po holu. Drzwi nabijane żelaznymi gwoździami zdawały się nie do sforsowania. Zanim się otworzyły, w zakratowanym otworze ukazało się oko służącego.

Znaleźliśmy się w holu. Wyłożona kamiennymi płytami podłoga, boazeria o wyszukanym wzorze, ociekające świece w kinkietach.

Tak samo musiało wszystko wyglądać przed czterdziestu laty, gdy Żbik przybył tu, by dawać Arabelli lekcje rysunku. Jakże mam o nim zapomnieć, skoro tysiące rzeczy wciąż mi go przypominają!

Na schodach w głębi holu pojawiła się Minta.

— Usłyszałam dzwonek — mówiła schodząc. — Tak się cieszę, że państwo przyszli.

Promieniała. Filigranowa, wyglądała w blasku świec jak księżniczka z bajki.

— To my się cieszymy, że nas pani zaprosiła — odparł Stirling. — Muszę przyznać, że być gościem w tym domu to wielkie przeżycie.

Minta powiedziała, że chyba nie tyle wizyta w domu, ile wizyta u jego mieszkańców jest powodem radości Stirlinga.

— I jedno, i drugie — rzekł.

— Jeśli interesuje pana architektura — powiedział Franklyn — to ma pan tutaj najlepszy przykład budownictwa z epoki Tudorów. Tylko niektóre detale są późniejsze.

— Przez całe życie mieszkałem w Australii i nigdy nie widziałem takich zabytkowych budowli. To dla mnie coś zupełnie nowego. Co innego Nora. Ona była nowicjuską wśród australijskich pionierów. Spędziła tam zaledwie dwa lata.

— Ale Dom Białych Dam również mnie zachwyca.

— Musimy po nim państwa oprowadzić — obiecała Minta. — Może po kolacji. Najpierw poznają państwo mojego ojca i macochę.

Stirling udał się na górę za Mintą. Gdy szliśmy za nimi, Franklyn pokazał mi rzeźbę, która była dziełem szesnasto — wiecznego artysty. Artysta ten pozostawiał na swoich pracach charakterystyczny znak — głowę mniszki, Franklyn nie miał więc wątpliwości. Prace tego rzeźbiarza znajdowały się także w innych domach tej okolicy. Może pierwsze zlecenie dostał właśnie w Domu Białych Dam i od tego czasu oznaczał swe rzeźby symbolem mniszej główki.

— Zajmuje się pan minionymi epokami?

— Wyłącznie dla przyjemności. Ciekawi mnie ten kawałek świata. Dokonaliśmy nawet paru odkryć. Znaleźliśmy — stare monety i biżuterię z epoki kamiennej i epoki brązu. Ale mnie interesują nowsze czasy. Dzieje starych domów, na przykład. A ten dom jest najbardziej fascynujący spośród tych, które kiedykolwiek widziałem.

— Mnie także wydaje się fascynujący — powiedziałam. Stanęliśmy u szczytu schodów. Minta rozwarła na oścież drzwi do pokoju.

Zachwyciły mnie wysokie okna dzielone kamiennymi słupkami, kopuła sklepienia zaprojektowana tak, by wewnątrz wydawało się jeszcze wyższe, niż w istocie było. Wyobrażałam sobie, że w świetle dnia drewniane rzeźby na nim muszą wyglądać imponująco. Na ścianach wisiały portrety, meble oceniałam na osiemnasty wiek. Niezwykle eleganckie. Później okazało się, że przy świetle dziennym widać, jak są zniszczone, ale tamtego wieczoru nie byłam tego świadoma.

Od razu poznałam Lucie, choć trochę się zmieniła. Było w niej teraz jakieś dyskretne dostojęństwo, wyglądała bardzo skromnie w brązowofioletowej aksamitnej sukni, doskonale skrojonej i nad wyraz eleganckiej w swej prostocie, z ciemnymi włosami uczesanymi także prosto, lecz twarzowo. Zachowywała się powściągliwie. Podeszła i podała mi rękę.

— Bardzo mi miło — powiedziała łagodnie, lecz bez serdeczności. — Pamiętam panią. Minta opowiadała o pani.

Następnie zwróciła się do Stirlinga.

— Och, naturalnie. Pamiętam. W końcu to nie było tak dawno. Proszę poznać mojego męża.

Sir Hilary, ojciec Minty, podszedł do nas i podaliśmy sobie ręce. Wyglądał na słabowitego i miał wypisaną na twarzy tę samą prostoduszność, którą zauważyłam u Minty. Naiwny, myślałam, i całkiem oderwany od świata. I zaraz przyszło mi na myśl jego małżeństwo z kobietą, którą kochał Żbik, i wy — dało mi się bezsensowne, że jestem tu oto i pociągam za nitki przeszłości Żbika. I że tu będę go miała równie żywo w pa — mięci, jak miałam w Australii.

— Tak się cieszymy, że mamy sąsiadów — rzekł. — Franklyn mówił, że zamieszkali państwo w Domu Bławatnika. Mieli państwo szczęście. To klejnot wśród domów.

— To my mieliśmy szczęście, że znaleźli się tacy najemcy — rzekł Franklyn.

— Ach, Franklyn! Jak się dziś czują rodzice?

Franklyn odpowiedział, że mają się dobrze, ale sir Hilary nie dawał za wygraną. Najwyraźniej interesowały go ich dolegliwości i porównywanie ich z własnymi.

Przyszli następni goście. Zналиśmy już doktora, który sprawiał wrażenie skrepowanego. Była z nim panna Maud Mathers, córka pastora, dość wysoka młoda kobieta o pełnym werwy usposobieniu. Natychmiast sobie pomyślałam, że ojciec musi mieć z niej pociechę w parafialnej pracy.

Kolację podano w jadalni podobnych rozmiarów co salon. Minta wspomniała, że właśnie tu rodzina zwykle spożywa posiłki, tylko w przypadkach gdy jest wielu gości, na przykład w Boże Narodzenie, jada się w holu.

— W dawnych czasach częściej korzystaliśmy z holu — wyjaśniała. W domu było zazwyczaj pełno gości. Jestem pewna, że rodzice nie znali połowy ludzi, których podejmowali. Teraz, oczywiście, musimy być ostrożniejsi.

— Może kiedyś to się zmieni — rzekł Stirling.

Czułam się niezręcznie. Zbyt otwarcie demonstrował swoją obsesję związaną z tym miejscem. Był w pewien sposób szczery i kochałam go za to, czułam jednak, że byłoby lepiej skrywać niektóre zamiary, przynajmniej na razie. Brakowało mu subtelności, podczas gdy Franklyn... Wciąż ich porównywałam, także to, co w Stirlingu kochałam, choć niekoniecznie pochwalałam czy podziwiałam. Teraz zachowywał się wręcz naiwnie, wodził po domu pełnymi zachwyty oczami.

Zauważyłam tylko jedną pokojówkę, a obowiązki lokaja wykonywał człowiek, który otworzył nam drzwi. Mieli widać niewiele służby. Posiłek był dobrze ugotowany i dobrze podany, czego pewnie dopilnowała Lucie. Nic nie uchodziło jej uwagi i szybko spostrzegłam, że służba nieco się jej boi.

Przy stole rozmawiano z ożywieniem. Sir Hilary i Franklyn dyskutowali o majątku Wakefieldów. Stirling wypytywał Mintę o dom. Lucie ze szczytu stołu włączała się to do jednej, to do drugiej rozmowy. Ja siedziałam obok doktora, a naprzeciwko miałam pannę Maud Mathers, która opowiadała o sprawach parafii.

— Kościół na pewno się pani spodoba. Pochodzi z tego samego okresu, co ten dom. Wieża robi duże wrażenie, prawda, doktorze?

Doktor przyznał, że kościół jest zabytkowy i ładny.

— Mam nadzieję, że będą państwo uczestniczyć w wydarzeniach organizowanych przez naszą wspólnotę.

— Jak długo zamierzają państwo tu pozostać? — chciał wiedzieć doktor.

— Trudno powiedzieć — odrzekłam. — Mój pasierb zakochał się w tej okolicy, a zwłaszcza w Domu Białych Dam.

— To jeden z tych domów, na których punkcie ludzie dostają bzika — powiedziała Maud. — Jedna czy dwie osoby nawet chciały go kupić!

— Należy, jak się domyślam, do rodziny od wielu wieków.

— Tak, przechodzi z pokolenia na pokolenie. Nie to co nasz, który jest częścią uposażenia pastora.

— Panna Cardew obiecała pokazać nam dom po kolacji. Lucie włączyła się do rozmowy.

— Większość naszych gości chce go obejrzeć.

— Musi to być dla państwa męczące.

— Wcale. Jestem równie zafascynowana tym domem jak wszyscy, z wyjątkiem tych, rzecz jasna, którzy się tutaj urodzili, jak Minta. Zawsze jej mówię, że go nie docenia. Pewnie to samo będzie z Druscillą — uśmiechnęła się. — Moją córką — dodała.

— A jak się ma Druscillą? — spytał doktor.

Twarz Lucie rozpromieniła się. Uczucia macierzyńskie, pomyślałam, plus blask świec.

— Już w porządku. Zwróciła się do mnie.

— Jak każda matka, przy pierwszym dziecku trochę przesadzam. Wzywam doktora z byle powodu.

— Typowe przeczulenie — powiedział doktor.

— Które świadczy o czulej trosce — wtrąciła Maud. — Jestem pewna, że doktor Hunter świetnie to rozumie i nie gani za to żadnej matki w parafii.

— Och, jestem bardzo wyrozumiały — rzekł swobodnie doktor.

— To podstawowe wymaganie stawiane lekarzowi — wtrąciła Lucie prawie złośliwie.

Wydawało mi się, że jestem szczególnie wrażliwa tego wieczora. Wyczuwałam jakieś napięcie między doktorem a Lucie. A może mi się tylko zdawało? Miałam wrażenie, że on bardzo się nią interesuje, że ją podziwia, a ona nie odwzajemnia jego uczuć. I znów pomyślałam o Żbiku. Musiały tu się odbywać kolacje, na które nauczyciela rysunku nie zapraszano. Mogłam sobie wyobrazić jego gniew, jego pragnienie, by pewnego dnia zasiąść u szczytu tego stołu.

Ocknęłam się z zadumy słysząc, jak Lucie mówi:

— Ach, Maud, wiesz, że mi ją psujesz. Robi się nieznośna.

— Jest taka kochana — upierała się Maud. — I taka bystra.

— Zdaje się, że mówisz o mojej małej siostrzyczce — rzekła Minta. I opowiedziała historyjkę ukazującą inteligencję nieobecnej Druscilli. Wkrótce potem panie przeszły do salonu, a panowie zostali przy stole przy portwajnie. Maud wiodła prym w rozmowie, która dotyczyła głównie zysków ze zbliżającej się sprzedaży robótek, mających wspomóc naprawę toczzonego przez robaki dachu kościoła. Impreza miała się odbyć w Parku Wakefieldów.

— Zwykle takie imprezy odbywały się u nas — wyjaśniała Minta — lecz Park jest o wiele stosowniejszym miejscem.

— Naprawdę? — spytałam — wydawało mi się...

— Och, nasz dom jest zabytkowy, ale ogrodnicy są teraz lepsi w Parku niż u nas. Mamy ich zaledwie dwóch. Gdy żył dziadek, było sześciu. A to oznacza, że spora część terenów zdziczała, tam natomiast kwiaty są wspaniałe.

Następna oznaka biedy. Lecz dziewczyna zdawała się tym w ogóle nie przejmować. Ciekawa byłam, jak Stirling radzi sobie przy stole. Panowie wkrótce do nas dołączyli. Po kawie Minta powiedziała, że wie, jak bardzo Stirling i ja chcemy obejrzeć dom, więc nam go teraz pokaże.

— Uważaj w bartyzanie — ostrzegła Lucie.

— Dobrze — obiecała Minta. — Kamienne elementy w niektórych częściach domu zaczynają się kruszyć — wyjaśniła, gdy wyszliśmy z salonu.

— Co to jest ta bartyzana? — spytał Stirling.

— Mała wieżyczka strzelnicza, wysunięta poza mur wieży na samym jej szczycie. Lucie się boi, że może się zawalić.

— A nie można tego naprawić?

— Naprawimy ją, gdy będzie nas na to stać.

— Ale skoro to niebezpieczne...

— Och, tyle rzeczy wymaga naprawy. Nie ma pan pojęcia.

— Mam pojęcie — odparł Stirling.

Uśmiechnęła się do niego jakby w nagrodę, że jest taki rezolutny.

— Większość ludzi nie zdaje sobie sprawy — mówił dalej — że taki dom jak ten wymaga nieustannych wydatków. Jeśli się zaniedbuje przez parę lat...

Minta uniosła brwi.

— ...to, czego naturalnie nie powinno się zaniedbywać... — ciągnął Stirling.

— Jeśli nie ma na to pieniędzy, to tak musi być — przerwała mu Minta.

— Przykro mi... — bąknął Stirling. Wzruszyła ramionami.

— Przez całe życie słyszę od różnych ludzi, że Dom Białych Dam zawali nam się na głowy, jeśli się nie przeprowadzi koniecznych remontów. Już do tego przywykłam.

— Ale taki dom to coś w rodzaju powierzonego majątku.

— Tak — przyznała. — Coś w rodzaju powierzonego majątku. Tu jest wejście do starej części. Te mury są oryginalnymi murami zakonu. Zaraz państwo zobaczą, jakie grube. Proszę uważać na schodach. Są dość niebezpieczne.

Wspięliśmy się po spiralnych kamiennych schodach, trzymając się poręczy z grubego sznura. Stopnie były strome i wytarte.

— Nigdy czegoś podobnego nie widziałem — rzekł Stirling, a w jego głosie brzmiało wyraźne podniecenie.

— Miło mi, że się panu podoba — rzekła Minta, nie zauważając chciwego błysku w jego oczach.

Zdjęła latarnię ze ściany i podała ją Stirlingowi. Szliśmy za nią w górę, krętymi kondygnacjami schodów do alków, które wyglądały jak cele. Było bardzo zimno.

— Czasami przechowujemy tu różne produkty — powiedziała Minta. — Kiedy byłam mała, trzymano tu dziczyznę i szynki. Przyjmowaliśmy wtedy wielu gości i służba była liczna.

Poprowadziła nas z powrotem do mieszkalnej części budynku. Ta część została wybudowana nieco później, za czasów Elżbiety Tudor, i dlatego ma kształt litery E. To jest najdłuższe skrzydło, a są jeszcze trzy prostopadłe, dwa na końcach i jedno krótsze, pośrodku.

— Można się zgubić w takim domu — powiedziałam.

— Kiedyś się zgubiłam — podjęła Minta. — Szukali mnie i szukali. A ja byłam w studio, bo tak nazywamy to pomieszczenie. Jest tam przeogromny kredens, do którego z jakichś powodów nikomu nie przyszło na myśl zajrzeć. Nazwa pozostała z czasów, gdy mama pobierała w tym pokoju lekcje rysunku.

— Chciałabym zobaczyć to studio — powiedziałam.

— Bardzo proszę, ale tam nie ma nic ciekawego poza dobrym światłem z północy.

Nic ciekawego! Tam z nią siadywał, uczył ją, zakochał się w niej!

— Moja matka była jedynaczką. Ojciec zamieszkał z nią tutaj po ślubie.

— A więc nie zawsze nazwisko Cardew przynależało do Domu Białych Dam.

— Nie. Dom nie utrzymywał rodzowego nazwiska. Było ich kilka. Są wypisane na ścianie w bibliotece. W ciągu trzystu lat zmieniło się sześć razy. W naszym rodzie od czasu do czasu dziedzictwo przechodzi na kobietę, a ona wychodzi za męża, stąd nazwisko ulega zmianie. Tak było w przypadku mamy.

— I tak będzie w przypadku pani.

Zaśmiała się beztrzesko, jakby zupełnie jej nie obchodziło, czy Dom Białych Dam stanie się jej własnością, czy też nie.

— Zanim Druscilla się urodziła, myśleliśmy, że to może być chłopiec, a wtedy...

— Ale to nie byłby potomek w linii prostej — rzekł Stirling. — Pani ojciec wzenił się w tę rodzinę, a jego obecna żona nie ma nic wspólnego z...

— Och, nie! — powiedziała szybko Minta. — Gdy ludzie się pobierają, wchodzi do rodziny — zawsze tak było. Dom Białych Dam należy teraz do mojego ojca...

— A więc mogła pani utracić ten dom! — wykrzyknął Stirling. — A sprawia pani wrażenie osoby, która się tym w ogóle nie przejmuje.

— Chciałabym mieć małego braciszka, a mój ojciec bardzo pragnąłby mieć syna. Był taki dumny, gdy urodziła się Druscilla.

— Ale gdyby to był syn, pani straciłaby dom.

— Nie myślę o domu jak o czymś, co mi się należy. To dom całej rodziny. Ktokolwiek z nas będzie jego właścicielem, dom pozostanie domem.

— Chyba że przejdzie w ręce kogoś spoza rodziny — rzekł Stirling.

Posłałam mu ostrzegawcze spojrzenie. Parł naprzód za szybko i posuwał się za daleko.

— To nie może się stać — odrzekła z pełnym zdziwienia spojrzeniem. — To jest dom rodziny.

— Ale gdyby stał się ciężarem.

— Ciężarem? Ach, rozumiem. Myśli pan o pieniądzach. — Zaśmiała się bez mała wesoło. — Zawsze był finansowym ciężarem.

— Ale jeśli stanie się za wielkim ciężarem...

— Zawsze był za wielkim ciężarem. Tędy prowadzi droga do studia, o którym mówiłam. Musimy wejść na górę po tych wąskich schodach.

Otworzyła szeroko drzwi.

— Tutaj! Co za kurz! Nie używamy tego pomieszczenia i służba tu nie zagląda. Tylko matka często tu zachodziła. A oto ten kredens. Ogromny... Z tych, w których można pospacerować.

Pokój był skromnie umeblowany. Duży stół, parę krzeseł, sztaluga.

— Nigdy nie byłam dobra w rysunkach — ciągnęła Minta. — Może Druscilla będzie miała więcej uzdolnień, a wtedy studio znów się przyda.

Otworzyła drzwi kredensu. Był rozmiarów małego pokoju, po jednej stronie na półkach u dołu leżały ołówki, kredki i dwie rysownice. Minta wzięła jedną z nich. Było na niej kilka szkiców koni. Prace Żbika. Rozpoznałabym je wszędzie. Och, Żbiku, myślałam, jak mogłam przypuszczać, że kiedykolwiek zapomnę.

— Nie ma tu nic ciekawego — powiedziała Minta. Poczułam, że jestem na nią zła, choć to było głupie. Skąd mogła wiedzieć, co się dzieje w moim sercu?

Zaprowadziła nas do biblioteki i pokazała herby oraz wypisane artystycznie na gałęziach drzewa rodowego nazwiska: Merrivale, Charton, Delmer, Berrington, Dorian i Cardew. Stirling przyglądał się temu oniemiały. Wiedziałam, że już widzi siódme nazwisko: Herrick.

Poszliśmy jeszcze wyżej.

— To wschodnie skrzydło litery E. Teraz go nie używamy, ale mama je lubiła. Lucie uznała — gdy wyszła za ojca — że będzie oszczędniej zamknąć tę część domu. Lucie potrafi doskonale zarządzać. Myślę, że nasza sytuacja się poprawiła, od czasu gdy ona zajęła się finansami. Byłam gotowa w to uwierzyć.

— A to pokój mojej matki. Lucie kazała okryć meble, żeby się nie kurzyły. Służba niechętnie tu przychodzi.

— Dlaczego? — spytał Stirling.

— Wie pan, jak to jest, gdy ktoś umrze... A może pan nie wie. Służący są przesądni. Mama umarła tak nagle.

— Sądziłam, że od jakiegoś czasu była inwalidką — wtrąciłam.

— W pewnym sensie. Uważaliśmy, że jej choroba jest urojona, aż tu zmarła niespodziewanie na atak serca. Chyba źle oceniliśmy jej stan zdrowia. A Lizzie, pokojówka, zaczęła wymyślać różne historie.

— Historie?

— Och, że mama nie odpoczywa w spokoju, że jest ciągle w domu... to znaczy jej duch. Biedna Lizzie, znała mamę od dzieciństwa. Zawsze była rozsądna i trzeźwo myśląca, ale widać śmierć mamy wytrąciła ją z równowagi. Lucie wzięła się za nią i chyba już jest lepiej.

Rozejrzałam się wokoło. Jej pokój! Tu wracała po lekcjach rysunku, by o nim marzyć. W tym pokoju przyłapano go z jej biżuterią w kieszeniach. Miałam wrażenie, że wyczuwam wielki dramat, który tu się rozegrał.

Minta wyprowadziła nas z pokoju i wskazała na koniec korytarza.

— Tam są znowu schody — wyjaśniła.

Ale ja wciąż myślałam o tamtym pokoju i o tym, co się stało przed bez mała czterdziestu laty. Wyobrażałam sobie rozpacz i udękę Żbika, gdy wpadł w potrzask bez nadziei na sprawiedliwość. Oto powód, dla którego byłam tu teraz ze Stirlingiem. Biedna naiwna Minta. Nie wiedziała, że pełni zachwyty goście, których właśnie uprzejmie oprowadza, to dwie harpie planujące pozbawić ją domu rodzinnego.

Chciałam jeszcze raz zobaczyć sypialnię jej matki. Chciałam zostać w niej sama. Poczuć atmosferę tamtej tragicznej nocy, gdy duma Żbika została upokorzona. Minta i Stirling zniknęli za rogiem. Pośpiesznie wślizgnęłam się z powrotem do pokoju. Wyglądał teraz inaczej. Rozróżniałam garby okrytych pokrowcami mebli, bo przez okno wpadało światło księżyca.

Och, Żbiku, myślałam, rozumiem twoją niedolę, ale to przeszłość. Trzeba zapomnieć. My osiadzimy w Domu Bławatnika — Stirling i ja. A Minta i Franklyn zostaną naszymi przyjaciółmi. Twoje wnuki będą się bawiły na trawnikach Domu Białych Dam. To w ten sposób urzeczywistnią się twoje marzenia.

Nie! Niemal słyszałam jego drwiący głos. Chciał zemsty. W moich myślach grzmiało jego: Nie!

Nagle serce zaczęło mi walić jak młotem — w pokoju ktoś był. Czułam czyjaś obecność, ktoś na mnie patrzył.

Żbiku! — wyszeptałam. — Żbiku! Wróć!

Kształt w pobliżu drzwi przybrał cielesną postać i zaczął sunąć w moim kierunku.

— Pani Herrick?

To był ludzki głos. I nie Żbika.

— Przestraszyłam się.

— Przepraszam. Nie spodziewałam się nikogo w pokoju Arabelli.

— Panna Cardew oprowadza nas po domu.

Rozejrzała się za Mintą.

— Zostawili mnie w tyle, więc wróciłam do tego pokoju. Badała mnie wzrokiem, jakbym była dla niej szczególnie interesującym obiektem.

— Pani się nazywa Herrick. Był tu ktoś dawno temu... o takim nazwisku.

— Długo musi pani mieszkać w tym domu.

— Jestem o dwa lata starsza od Arabelli. Miałam czternaście lat, kiedy zaczęłam tu służyć. Ponieważ różnica lat między nami była niewielka, spędzałyśmy razem dużo czasu... bardzo dużo.

— Pani jest Lizzie.

Przytaknęła.

— Byłam tu... cały czas. A teraz umarła i jest inna lady Cardew.

Niesamowity był ten pokój, oświetlony jedynie światłem księżyca. Zdawało się, że osobliwe kształty mebli lada chwila ożyją. Czułam instynktownie, że ta kobieta знаła go i kochała. Nikt nie mógł oprzeć się jego osobowości. Przypominała mi Jessikę.

— Przyjechała pani z Australii, czyli stamtąd, dokąd on pojechał... mężczyzna, który tu kiedyś mieszkał. Wiem, że pani była jego żoną, ale wcześniej musiał mieć inną żonę. A on jest jego synem. Podobny, choć daleko mu do ojca. Coś jest w powietrzu. Czuję to. Jakby on wrócił.

— On nie żyje — powiedziałam ostro — więc nie może wrócić.

— Mógłby, gdyby chciał. Wszystko mógłby zrobić. Spokojna głowa. Wiem, że coś się stanie. Zawsze coś się dzieje tam, gdzie on jest... a on tutaj jest. Na pewno. Już ja go znam.

Zadrzałam. Była taka podobna do Jessiki, zdawało mi się, że wpadłam w tryby jakiegoś obracającego się koła.

— Będą się zastanawiać, gdzie jestem — powiedziałam. Nie zwróciła uwagi na moje słowa.

— Lady Cardew umarła tak nagle — ciągnęła. — Nie spodziewaliśmy się tego. To było bardzo dziwne. Czasami myślę sobie, że...

Na szczęście rozległo się wołanie Minty.

— Tu jestem! — zawołałam.

Stała w drzwiach, a Stirling z lampą tuż za nią.

— Ooo! Lizzie! — rzekła z wyrzutem.

— Rozmawiałam z panią Herrick — odparła Lizzie bez mała prowokująco.

— Skoro znaleźliśmy panią, idziemy dalej — powiedziała Minta. — Na twoim miejscu siedziałabym w pokoju. Tu za chłodno na spacer — zwróciła się łagodnie do Lizzie.

— Tak, panno Minto — odpowiedziała Lizzie potulnie.

Poszliśmy za Mintą. Na półpiętrze Lizzie zniknęła, a Minta pokazała nam rzeźbione balaski galeryjki bardów.

— Mam nadzieję, że Lizzie pani nie przestraszyła — rzekła.

— Dziwnie się zachowuje od czasu śmierci matki.

— Jak Jessika — powiedział Stirling i wyjaśnił Mincie: — Kuzynka mojej matki. Zrobiła się nieco ekscentryczna, gdy matka umarła. Zawsze były razem.

— Rzeczywiście, jak Jessika — przyznałam. — Obie były bardzo oddane.

— Muszę z nią porozmawiać. Nie powinna błąkać się po nie używanych pokojach. Galeryjka bardów pochodzi z XVI wieku, z czasów gdy budowano to skrzydło. Nie zauważyli jej państwo z holu, bo jest przysłonięta kotarą.

Staralam się okazać zainteresowanie galeryjką, ale Lizzie obudziła tyle wspomnień, że myślami byłam całkiem gdzie indziej. Wyobrażałam sobie Żbika, który w tym domu zalecał się do panienki — i do pokojówki.

Gdy dołączyliśmy do reszty towarzystwa, doktor zbierał się do wyjścia. Miał jeszcze odwiedzić jednego czy dwóch pacjentów i powiedział, że przy okazji odwiezie do domu Maud. Zasugerowałam, że my także już pójdziemy, i Franklyn natychmiast ofiarował się z powozem. Wkrótce znaleźliśmy się w drodze do Domu Bławatnika.

— Co za miejsce! — rzekł Stirling. — Nigdy nie widziałem takiego domu.

— Nie dziwię się — dodałam. — To wyjątkowy dom.

— Są też stare domy, zbudowane na miejscu dawnych klasztorów... po części z oryginalnego budulca — rzekł Franklyn.

— Żeby wspomnieć Fountains Abbey w Yorkshire Springs.

— Szkoda — westchnął Stirling — że nie mogą sobie pozwolić na niezbędne remonty.

— Wielka szkoda — zgodził się Franklyn.

— Może będą na tyle rozsądni, by sprzedać dom komuś, kto go doprowadzi do ładu.

— Och, nigdy — wykrzyknął Franklyn. — Taki dom to instytucja. To tradycja.

— Domy tego rodzaju należą do potomności — rzekł Stirling z namaszczaniem. — Jeśli nie daje się rady ich utrzymać, trzeba innym na to pozwolić.

— Gdyby był mój, nigdy bym go nie sprzedała — stwierdziłam.

— Może pan być pewien — dodał Franklyn — że oni też nigdy tego nie zrobią.

Było już widać światła naszego domu; resztę drogi spędziliśmy w milczeniu.

* * *

Byliśmy zbyt podekscytowani, by kłaść się do łóżek. Poszliśmy do salonu. Stirling rzucił się na sofę. Ja usiadłam w fotelu i patrzyłam na niego.

— Pierwszy ruch — rzekł.

— Uważasz to za ruch? Ja nie!

— Byliśmy tam, obejrzelśmy dom. Wielkie nieba, trzeba w niego włożyć kupę pieniędzy! A oni nie mają złamanego grosza.

— Przesada! Znaleźliby środki, gdyby tylko chcieli.

— Zaczynasz ulegać wpływom pana Franklyna Wakefielda. On powiedziałby to samo.

— Czyli coś, co ma sens.

— Ale poważnie, Noro. Jaki udany wieczór!

— Doprawdy? Ja odniosłam wrażenie, że im nigdy nawet przez myśl nie przeszła sprzedaż Domu Białych Dam.

— A co innego mogą zrobić? Pozwolić, żeby im się zwałił na głowę.

— Nie grozi mu zawalenie.

— Straci na wartości, jeśli będzie niszczał dalej.

— To zawsze będzie ich dom. I niech się nim cieszą. Ja osobiście polubiłam Dom Bławatnika. Jest o wiele wygodniejszy.

— Póki się nie przeniesiemy do Domu Białych Dam, wystarczy.

— A kiedy się przeniesiemy?

— Już niedługo. Mam takie przeczucie.

— Nie polegałabym na przeczuciach.

— Postawiłaś na pesymizm.

— Po prostu trzeźwiej myślę.

— Bądźmy raczej praktyczni.

— Bądźmy. Ale to nie są ludzie, których nazwałbyś praktycznymi. Nigdy nie sprzedadzą domu. To jasne. Franklyn też tak uważa. A on musiałby wiedzieć.

— Niczego nie musi wiedzieć. Jest tępy. Wie, jak się kłaniać i co mówić, żeby ludzie chętnie go słuchali. Oto suma jego talentów. A od kiedy to jesteście po imieniu?

— Nie jesteśmy po imieniu. Nazywam go tak w rozmowie z tobą. I myślę, że go nie doceniasz.

— Posłuchaj, Noro. Ci ludzie nie są tacy jak my. Zostali wychowani do życia w luksusie. Nie mają tej wytrzymałości, tej witalności, co my. My jesteśmy inni. Pomyśl o naszych ojcach. Byli ambitni, potrafili sięgać po to, czego pragnęli, i my to odziedziczyliśmy. Ci zaś wychowali się w swoich pałacach i czekają, aż je po tatusiach dostaną. Ale jeśli ich nie dostaną, co wtedy? Założę się z tobą, Noro, że za rok o tej porze będziemy w Domu Białych Dam.

— Nie sądzę.

— Tego chciał mój ojciec. Tego oczekiwał — rzekł Stirling. Wydawało mi się, że jego oczyma patrzy na mnie Żbik, poczułam się jak zdrajczynie i zamilkłam.

Stirling uśmiechnął się do mnie z czułością.

— Zobaczysz — rzekł.

* * *

Zapraszano nas nie tylko do Domu Białych Dam i Parku Wakefieldów, ale także do pastora i kilku innych domów. Staliśmy się częścią sąsiedztwa — Maud Mathers się o to postarała. Cieszyłam się, że mogę być pożyteczna, bo bardzo polubiłam Maud. Wyglądała na rozsądną, szanowałam ją. Na moje uczucia wobec Minty i Franklyna miała do pewnego stopnia wpływ

postawa Stirlinga. Stirling zdawał się nieco nimi pogardzać. Ilekroć rozmawialiśmy o nich, nuta litości wkradała się do jego głosu. Wyśmiewałam go, ale coś z tego we mnie zostawało.

Lucie go drażniła. Wiedziałam dlaczego. Była bardziej podobna do nas. Nie wychowano jej do życia w luksusie. Praktyczna z natury, robiła co mogła, żeby żyć ze środków, które miała do dyspozycji. Stirling był tego całkowicie świadom. W jakiś sposób ranił mnie fakt, że cieszyły go nieszczęścia rodziny Cardew. To była wręcz obsesja. Nie mogłam go jednak potępić całkowicie, bo robił to przez pamięć ojca.

W sobotę przed dożynkami poszłam pomóc Maud w dekoracji kościoła. Pracowałyśmy wytrwale, strojąc ołtarz chryzantemami, astrami, daliami i michałkami.

Wystawiono na pokaz ogromne dynie, pomidory i główki kapusty. Snopki zboża związane czerwonymi wstążkami stały obok bochnów pysznego chrupiącego chleba, który miał być później rozdany potrzebującym.

— To był urodzajny rok — powiedziała Maud, spoglądając na mnie z wysokości drabiny, na której stała, upinając brunatne liście na mosiężnej poręczy chóru.

— Uważaj, żebyś nie spadła — ostrzegałam.

— Ubieram to miejsce w ten sam sposób od pięciu lat. Wiem, co robię.

Podeszłam jednak, by przytrzymać drabinę.

— Co by ojciec bez ciebie począł?

— Znalazłby wielu pomocników, którzy zrobiliby to równie dobrze jak ja.

— Ciekawam, co by mógł robić taki doktor Hunter? I tak jest już przepracowany.

— O, tak. To prawda — powiedziała poważnie.

Zeszła z drabiny i dopiero wtedy zauważyłam, jak różowe ma policzki.

— Często mu mówię, że przydałaby mu się jakaś pomoc — ciągnęła. — Chwilami się o niego niepokoję. — Zagryzła wargi zakłopotana. — Wygląda, jakby się czymś martwił. To dlatego, że ma tyle pracy.

Byłam przekonana, że Maud ma rację. Ja też to zauważyłam.

Zaczęła opowiadać o jego bezinteresownym poświęceniu dla chorych, o tym, ile dobrego zrobił a to temu, a to owemu.

Układając kwiaty i liście, myślałam: ona go kocha.

* * *

Sporo jeździłam konno tej jesieni. Pobyt w Australii uczynił ze mnie pierwszorzędną amazonkę, a najłatwiej i najwygodniej było poruszać się po okolicy na końskim grzbiecie. Czasami towarzyszył mi Stirling. Zrobił się niespokojny, wciąż snuł nowe projekty. Planował nabyć ziemię i stać się najbardziej wpływowym właścicielem ziemskim w okolicy. Zwróciłam mu uwagę, że to naruszyłoby pozycję Franklyna Wakefielda.

— Nie widzę powodu, dla którego nie miałyby nas być dwóch — odpowiedział.

Ale przede wszystkim jego celem było zdobyć Dom Białych Dam. Nie był wszakże ani o krok bliżej od tego celu niż w chwili, kiedyśmy przyjechali.

Miał zamiar pójść do sir Hilary'ego z propozycją kupna domu. Odradzałam, bo byłam pewna, że spotka go rozczarowanie. Przekonałam go dopiero ostrzegając, że zrazi do siebie rodzinę Cardew, jeśli odgadną, dlaczego teraz stara się podtrzymać z nimi przyjacielskie stosunki.

Jeździłam też konno z Franklynem Wakefieldem. Zwykle Franklyn pojawiał się w Domu Bławatnika i proponował, że pokaże mi jakiś zakątek, którego jeszcze nie widziałam. Lubiłam te przejażdżki. Często przywiązywaliśmy konie przed jakąś starą gospodą — we wszystkich dobrze znali Franklyna — raczyliśmy się chlebem i serem i popijali jabłecznik. Jedzenie zawsze

znakomicie smakowało, a ja lubiłam poznawać nowych ludzi. Widziałam, jak wielkim szacunkiem darzono Franklyna i jego rodzinę — i sprawiało mi to przyjemność.

Kochałam smak jesieni — wilgoć w powietrzu, woń palonych liści dochodzącą z ogrodów, które mijaliśmy, szczypiące w twarz pierwsze przymrozki. Patrzyłam, jak drzewa ogałacane powoli z liści tworzą koronkowy wzór na tle szaroniebieskiego nieba. Wiele się dowiedziałam o powinnościach właściciela ziemskiego, które Franklyn traktował bardzo poważnie. Przyzwyczyłam się już do jego starannego sposobu mówienia i zaczęło mi się to podobać.

Gdy byłam z Franklynem, zapomniałam o cokolwiek protekcyjnej postawie Stirlinga, która zawsze mnie drażniła.

Było w tym człowieku coś godnego zaufania i szacunku. Wielkim uczuciem darzył rodziców. Był im całkowicie oddany. Podobnie jak swoim dzierżawcom — zdumiewało mnie, jak wiele o nich wiedział i jak się o nich troszczył.

Pewnego ciepłego listopadowego dnia znów wybraliśmy się razem na przejażdżkę. Mgła otulała czerwone słońce, a pajęczyny wisiały u żywopłotów. Franklyn wyglądał na przygnębionego, więc spytałam, czy coś się wydarzyło.

— Nic niespodziewanego — odrzekł. — Doktor Hunter twierdzi, że ojciec ma przed sobą co najwyżej sześć miesięcy życia.

— Och, jak mi przykro.

— Jest stary i stan jego zdrowia wciąż się pogarsza. Martwię się szczególnie o matkę.

— Czy także choruje?

— Nie, ale spędzili ze sobą całe życie. Byli sąsiadami i znają się od dzieciństwa. Nie mogę sobie wyobrazić, jak ona przeżyje śmierć ojca.

— Będzie miała pana.

— Nie sądzę, by to starczyło. Śmierć ojca załamałaby ją, zabiła.

— Pan sądzi, że można umrzeć z powodu takiego załamania?

— Całe jej życie by się załamało.

Pomyślałam o sobie i o Żbiku. Znaczył dla mnie tak wiele, a jednak jestem tutaj bardziej żywotna niż kiedykolwiek przedtem.

Jechaliśmy w milczeniu i wiem, że wyczuwał serdeczne uczucie, które do niego żywiłam.

Tego właśnie dnia znaleźliśmy kocięta. Zajechaliśmy do jakiejś farmy w majątku. Gospodyni wyszła z kuchni, wycierając ubielone mąką ręce, a Franklyn przedstawił mnie jako nową mieszkankę Domu Bławatnika.

— Piękny stary dom — powiedziała. — I nie można sobie wyobrazić bardziej dbałego właściciela.

Nalegała, byśmy wypili po szklaneczce wina własnej roboty z jagód czarnego bzu i zjedli po bułce z rodzynkami, które właśnie wyjęła z pieca. Siedliśmy więc w kuchni, a gospodyni opowiadała Franklynowi, że w przyszłym roku jej mąż zamierza wydzierżawić leżące ugiorem trzyakrowe zwirowisko. Wielka bura kotka mrucząc, ocierała się o moje nogi.

— Nasza stara Tibbles znowu domaga się mleka — uśmiechnęła się gospodyni. — A po kociętach jakoś nie miała apetytu.

— Ile kotów teraz macie?

— Jeśli mam być szczerą, panie Wakefield, straciłam rachubę. Nie mogę się zdobyć na to, żeby uśmiercać maleństwa, a one bardzo szybko przestają być maleństwami i mają własne maleństwa. Buszują po stodołach i nie sprawiają nam kłopotu, a myszy trzymają się z daleka.

Gdy wrócił gospodarz, poszliśmy obejrzeć nowo zbudowaną stodołę i tam właśnie zobaczyłam kociątko. Kotów było z dziesięć albo i dwanaście — większość już wyrosła z niemowlęcego wieku

— ale zwróciłam uwagę na jednego, bo nie był taki ładny jak pozostałe, raczej chudy i zastraszony. Zawołałam go, a on przybiegł ochoczo i żałowałam, że nie mam dla niego nic do jedzenia.

— A ten mały cherlak?

— Zdarzają się i takie od czasu do czasu — powiedział gospodarz. — Nie są tak silne jak reszta i nie dają sobie rady.

— Nie mamy kota. Czy mogę go zabrać? — spytałam spontanicznie.

— Będziemy radzi, jeśli wybierze sobie pani, którego tylko pani chce.

Czułam się szczęśliwa, że mogę zabrać to maleństwo, karmić je i rozpieszczać, wynagradzając ciężkie czasy na farmie.

Wychodziliśmy już ze stodoły, gdy przybiegł drugi mały kociak: też brązowy, jak ten, którego wybrałam, lecz o wiele ładniejszy, choć z takim samym spojrzeniem głodomora. Zamiauczał smutno. Też chce z nami jechać, pomyślałam.

— Wezmę oba. Żeby miały towarzystwo — powiedziałam.

Żona gospodarza wsadziła koty do koszyka, wręczyła go Franklynowi i odjechaliśmy. Po drodze wstąpiliśmy do Domu Białych Dam — Franklyn chciał się zobaczyć z sir Hilarym. Minta wyszła do nas i bardzo się zainteresowała kotkami. Gdy panowie rozmawiali, wyjęłyśmy je z koszyka i dałyśmy im po spodku mleka.

— Są śliczne! — uznała Minta — I chyba nie z tych, co to zaglądną do domu tylko w porze posiłków. Na pewno też bardzo się różnią od pieszczonych od urodzenia maskotek.

Widziałam, że chciałyby mieć takiego kota, więc dałam jej jednego. Była uszczęśliwiona.

— Wybierz sobie jednego — powiedziałam. — I wymyślimy im imiona.

Gdy wylizały do czysta spodeczki, zaczęły lizać swoje futerka.

— Ten jest ładniejszy — powiedziała Minta.

— A tamten ma w sobie więcej godności. Próbowaliśmy kilku imion, aż wreszcie zaproponowałam:

Bella i Donna. Bella dla ładniejszego, Donna dla dostojnego. Minta wybrała Bellę, zostawiłam ją więc w Domu Białych Dam.

* * *

Zaledwie kilka tygodni później doszły nas wieści o zagajniku. Stirling przyszedł podekscytowany: Cardew wystawił na sprzedaż zagajnik na skraju własnych gruntów.

— Z pewnością muszą zdobyć trochę pieniędzy — powiedział.

Słyszałam o zagajniku od Franklyna. Gdy powiedział, że zamierza go kupić, spytałam, czy planuje ściąć drzewa i coś na tej ziemi zbudować. Potrząsnął głową.

— Nie. Zostawię wszystko tak, jak jest.

A więc myślał o małżeństwie z Mintą: chodziło o to, by ziemia nie poszła w obce ręce.

Byłam zaskoczona, gdy się dowiedziałam, że nie on kupił zagajnik. Ktoś inny zaproponował zań bardzo wysoką cenę. Poczułam się nieswojo. Nie mogłam się doczekać spotkania ze Stirlingiem.

Wiedziałałam, zanim mi powiedział. To mógł być ów pierwszy ruch.

— A więc kupiłeś zagajnik — powiedziałam.

— Skąd wiesz?

— I zapłaciłeś dwukrotnie więcej, niż jest wart.

— A jakie to ma znaczenie!?

— Żadne dla naszego „złotego” milionera. Dlaczego mi nie powiedziałeś?

— Zrobiłaś się ostatnio bardzo dziwna, Noro. Bardziej taka jak oni niż jak my.

— Jeśli masz na myśli to, że staram się postępować taktownie...
— Daj spokój. Co jest nietaktownego w zapłaceniu ludziom podwójnej ceny, żeby im pomóc.
— Jeśli się dowiedzą, że to ty, będą zakłopotani.
— Jakoś nie byli zakłopotani, biorąc mój czek na kwotę dwukrotnie większą, niż warta jest ziemia.
— Sir Hilary...
— Nie ma pojęcia o interesach.
— Ale Minta...
— Wie jeszcze mniej. Lady Cardew trzyma finanse tego domu.
— A więc z nią to załatwiłeś.
— Załatwiłem to z człowiekiem, który zajmuje się moimi interesami.
— Uważam, że nie powinien być tego zrobić, Stirling.
— Dlaczego?
— Dlatego, że Franklyn Wakefield chciał kupić tę ziemię i gdyby ją kupił, ziemia pozostałaby w rodzinie.
— Nie nadażam za twoim rozumowaniem.
— Wobec tego jesteś chyba ślepy. Franklyn chce poślubić Mintę, i gdy to zrobi, da sobie radę z utrzymaniem domu.
— Trzeba więcej pieniędzy, niż ma Franklyn, żeby doprowadzić ten dom do porządku.
— Skąd wiesz?
— Moja w tym głowa, żeby wiedzieć. Na ten dom trzeba tysięcy. Wakefieldowi powodzi się dobrze, ale on nie jest...
— Milionerem — powiedziałam.
Przytaknął z uśmiechem. On naprawdę był opętany.

* * *

Minta sama zaczęła rozmowę o zagajniku.
— Wiem już, że to pan Herrick go kupił. Zapłacił o wiele więcej, niż zagajnik jest wart.
— Stać go na to — powiedziałam krótko.
W jej oczach pojawił się błysk ciepłej wdzięczności.
— To miło z jego strony.
— Myślę, że bardzo chciał kupić tę ziemię.
— Nie potrzebuje jej chyba! Jest mnóstwo o wiele wartościowszej ziemi wokoło.
Ale nie należącej do Domu Białych Dam, pomyślałam. Z zachowania Stirlinga wnioskowałam, że czuje się, jakby jedną nogą był już tam, gdzie chciał być.
Mylisz się, Stirling, mówiłam sobie w duchu. Sprawy nie pójdą po twojej myśli. Albo osiadziemy w Domu Bławatnika, albo wrócimy do Australii.
Mnie było wszystko jedno — byleby ze Stirlingiem.

* * *

Boże Narodzenie było tuż-tuż. W ciągu poprzedzającego je tygodnia Stirling i ja z Maud, Mintą i Franklynem towarzyszyliśmy kolędnikom w zbieraniu po wsi pieniędzy na kościół. Później razem poszliśmy do Parku Wakefieldów, gdzie poczęstowano nas gorącą zupą. Zorientowałam się, że taki był obyczaj i że przed laty kolędników podejmował Dom Białych Dam. Franklyn zdawał się

przejmować jego obowiązki. Po ślubie, myślałam, zamieszka w nim i stare zwyczaje powrócą na swoje miejsce.

Gdy patrzyłam na ojca Franklyna siedzącego z kolanami owiniętymi kraciastym kocem, na matkę krążącą w pobliżu fotela, wydało mi się oczywiste, że Franklyn zwleka z oświadczeniami. Gdyby się ożenił, oczekiwano by od niego, żeby zamieszkał w Domu Białych Dam, a on nie chciał opuścić ojca w czasie tych niewielu miesięcy, które mu pozostały.

Spotkaliśmy się wszyscy razem w bożonarodzeniowy poranek w kościele, a późnym popołudniem w Parku Wakefieldów na kolacji. Dom, udekorowany ostrokrzewem i jemiolą, wyglądał świątecznie.

Wszystko odbyło się zgodnie z tradycją — indyk i płonący pudding śliwkowy, upominki na choince stojące pośrodku salonu. Toasty wznoszone za zdrowie gospodarzy i ich gości, szczególnie nowo przybyłych. Poza nami zaproszono jeszcze kilka osób, a po kolacji przybyły kolejne. Tańczyliśmy w wielkiej sali balowej przy dźwiękach pary skrzypiec — najpierw stare tańce ludowe, później walca, a nawet menueta. Dobrze się bawiłam i starałam nie myśleć o świętach spędzonych w Australii. Rodzice Franklyna uczestniczyli w zabawie aż do końca, widziałam, jak starszy pan kiwał głową i wybijał dłonią takt muzyki, nie spuszczając wzroku — podobnie jak lady Wakefield — z Franklyna.

— To było wspaniałe Boże Narodzenie — oświadczyłam na pożegnanie, a Franklyn odpowiedział w swoim podniosłym stylu, że bardzo się cieszy, iż mnie nie znużyły ich stare zwyczaje.

W drodze do domu Stirling przyznał, że dzień był udany, i zapowiedział, że zaprosił wszystkich do Domu Bławatnika w wigilię Nowego Roku.

— Musimy się naradzić, obmyślić plan czegoś takiego jak przyjęcie u Franklyna Wakefielda.

Było mi trochę wstyd za to noworoczne przyjęcie. Stirling sprowadził londyńskich specjalistów, którzy mieli wszystko urządzić. Rozesłał zaproszenia po okolicy, kupił srebrną zastawę, przybyli najlepsi kucharze. Postanowił też, że lokaj wystąpi w liberii z niebieskiego aksamitu i posypanej pudrem peruce.

Roześmiałam się głośno.

— Ależ to będzie głupio wyglądało w takim małym wiejskim domu. — To w złym guście.

— Szkoda, że nie możemy urządzić przyjęcia w Domu Białych Dam — rzekł tęsknie. — Wyobraź sobie ten hol...

— Ale to nie jest Dom Białych Dam, co pomyślą goście na widok wynajętych lokajów?

Nie udało mi się go przekonać. Pani Glee była oburzona.

— Świetnie bym sobie ze wszystkim poradziła, pani Herrick — utyskiwała z wyrzutem — z pomocą jednej lub dwóch dodatkowych służących, a wiedziałabym, gdzie je znaleźć. Mam nadzieję, że pan Herrick nie jest niezadowolony z mojej kuchni.

Zapewniłam ją, że nie o to chodzi i że pan Herrick podjął decyzję, nie uzgodniwszy ich ze mną. Ja zorganizowałabym przyjęcie zupełnie inaczej — naturalnie z pomocą pani Glee.

Dała się ułagodzić, a gdy zobaczyła udekorowaną jadalnię i salon, napuszyła się z dumy. Zamierzaliśmy przyćmić Dom Białych Dam, a to już coś dla niej znaczyło. Była nawet podekscytowana, tym bardziej że brała żywy udział w przygotowaniach.

Nie wiem, czy ów wieczór można by nazwać sukcesem. W każdym razie zapadł nam w pamięć. Przed domem umieszczono fantazyjne latarnie, a na frontowych schodach rozciągnięto czerwony chodnik. Stirling opłacił orkiestrę, która grała w małym pokoju pomiędzy jadalnią a salonem. Muzycy mieli na sobie czerwone spodnie i białe bluzy. Stół udekorowano najpiękniejszymi różami, które o tej porze roku nie mało kosztowały. Goście byli oszołomieni, a zarazem zakłopotani taką pompą, toteż nie było tak wesoło jak w Parku Wakefieldów. Stirling zaangażował pianistę,

który zagrał dla nas kilka utworów. Potem zaczęły się tańce w specjalnie do tego celu przygotowanym salonie i zrobiło się bardzo przyjemnie. Tańczyliśmy tańce ludowe, w których prym wiodła Maud — Maud prowadziła lekcje tańca dla dzieci — i wszyscy stali się bardziej naturalni. Za piętnaście dwunasta usiedliśmy i czekaliśmy, aż wybije północ, a gdy wybiła, wzięliśmy się za ręce i zaśpiewali starą ludową piosenkę. Po jednej stronie miałam Franklyna, po drugiej — Mintę. Czułam się szczęśliwa.

Gdy wyszli ostatni goście, siedliśmy ze Stirlingiem w salonie.

— Dopiąłeś swego — powiedziałam. — Twój przyjaciele i sąsiedzi nie będą mieli od dziś żadnych wątpliwości, że obcuja z milionerem.

— Miło nim być.

— Miło mieć to, co się chce. Lecz pamiętaj — nie wszystko można zdobyć za pieniądze.

— Czego mianowicie nie można?

— Tego, co nie jest na sprzedaż.

— Zobaczysz. Podjąłem decyzję. Porozmawiam z sir Hilarym.

— Kiedy?

— Za parę dni!

— A więc parę dni odczekasz. To ładnie z twojej strony, choć zadziwia mnie twoja gnuśność. Dlaczego nie miałbyś pójść już jutro i powiedzieć: „Sir Hilary, dałem dowody na to, że jestem milionerem, gościem, który lubi się pokazać i lubi dopiąć swego. Jestem gotów zapłacić tyle, ile pan zaproponuje”.

— Zmieniłaś się, Noro. Czasami nie jestem pewien, czy trzymasz moją stronę.

— Zawsze trzymam twoją stronę.

Uśmiechnął się wyrozumiale. Taka była nasza miłość: niezachwiana, niezmienna i nieunikniona. Mogłam go krytykować, mógł ze mnie drwić — to nie miało znaczenia. Byliśmy sobie przeznaczeni — na zawsze. To prawda, poślubiłam Żbika. Ale to Żbik o tym zadecydował.

Stirling nie miał wyboru — uwielbiał ojca i musiał dać pierwszeństwo Żbikowi, i ja teraz nie mam wyboru — muszę dać pierwszeństwo Domowi Białych Dam... co zresztą też robiłam dla Żbika. Ale stanowiliśmy jedność — Stirling i ja. Po roku wdowieństwa zostanę jego żoną.

Nim się skończył styczeń, cierpliwość Stirlinga wyczerpała się — poszedł do sir Hilary'ego. Byłam w bibliotece, gdy wszedł, blady jak ściana, z zaciśniętymi ustami i rozpaczą w oczach.

— Co się stało? — wykrzyknęłam.

— Właśnie byłem w Domu Białych Dam.

— Czy stało się coś strasznego?

Przytaknął.

— Złożyłem propozycję sir Hilary'emu.

— Odmówił. To wszystko? Mówiłam ci, że tak będzie.

Siadł ciężko i wpatrywał się w czubki swoich butów.

— Powiedział, że nie sprzeda... nigdy. Bez względu na wysokość oferowanej zapłaty. Nie może. „Jestem tym domem obarczony, tak jak i reszta rodziny”, powiedział. To są jego słowa. Obarczony! Istnieje jakiś zapis, który zabrania sprzedaży. Zrobiony przez jednego z przodków, który miał syna hazardzistę. Dom pozostanie przy rodzinie... cokolwiek się stanie.

Poczułam ulgę, jakby jakiś wielki ciężar spadł mi z ramion.

— A więc sprawa załatwiona. Zrobiłeś wszystko co w twojej mocy... i koniec.

— Tak. Na to wygląda.

— Próbowałaś. Nikt, nawet Żbik, nie mógłby zrobić nic więcej.

— Nie spodziewałem się czegoś takiego.

— Wiem. Ale mówiłam ci, że są rzeczy, których nie można kupić. Teraz możesz wyrzucić całą tę sprawę ze swoich myśli i zacząć planować przyszłość.

— Jesteś zadowolona, jak sądzę.

— Myślę, że to źle próbować zabrać ludziom coś, co do nich należy.

— Tyle o tym mówił. Był zdecydowany zdobyć go dla nas.

— Ale nie wiedział, że istnieje taki zapis, prawda? Poza tym nigdy się z nim nie zgadzałam. Mylił się... czasami. Kierowała nim chęć zemsty, a zemsta jest złem. Nie daje szczęścia.

Milczał. Wiem, że mnie nie słuchał.

Podeszłam do niego i położyłam mu dłoń na ramieniu.

— Co teraz zrobimy? Czy wrócimy do Australii?

Nie odpowiedział. Wstał i otoczył mnie ramionami.

— Noro — powiedział.

Powtarzał moje imię i całował mnie jak nigdy przedtem. Tak jak całują kochankowie. Byłam szczęśliwa.

* * *

Sądziłam, że od tej pory będziemy mogli mówić o pewnych sprawach otwarcie, bo choć bez słów, lecz wyznaliśmy sobie nasze uczucia. Ale tak nie było. Stirling stał się milczący, wręcz posepny. Jeździł na samotne przejażdżki. Raz nawet zobaczyłam, że zgrzał konia.

— Zamęczyłeś to biedne zwierzę — powiedziałam z wyrzutem, mając nadzieję, że mi wyzna, co się dzieje w jego umyśle. Sądziłam wszakże, że wiem. Kochał mnie, lecz Żbik był między nami. Żbik — jego ojciec, a mój mąż. To z jego przyczyny nasze stosunki układają się tak dziwnie.

To minie, zapewniałam samą siebie. Żbik pragnąłby najszczerzej naszego — Stirlinga i mojego — małżeństwa. Nas dwoje kochał najbardziej na świecie. Chciałby widzieć nas razem. Pierwszego syna nazwiemy Charles, na jego cześć. Nigdy o nim nie zapomnimy.

Nie byłam przygotowana na to, co się później stało.

Któregoś popołudnia Stirling wrócił późno, już o zmroku.

Ellen przyniosła lampy i zasunęła kotary — byłam w salonie sama. Miał dziwny wyraz twarzy, niczym lunatyk.

— Lepiej od razu ci powiem — rzekł. — Zaręczyłem się.

Myślałam, że źle zrozumiałam.

— Właśnie poprosiłem Mintę o rękę.

Usłyszałam mój własny głos, zimny, oschły, prawie obojętny.

— Ach... rozumiem.

— Rozumiesz, prawda? — powiedział bez mała błagalnie.

— Oczywiście. To jedyny sposób, żeby zdobyć Dom Białych Dam.

— Jedyny... jeśli wziąć pod uwagę, że nie można go oddzielić od tej rodziny.

— Gratuluję — powiedziałam szorstko.

Rzuciłam się w stronę drzwi. Musiałam wyjść, inaczej skoczyłabym do niego z pięściami. Popędziłam do pokoju i zamknęłam się na klucz.

Leżałam na łóżku, patrząc w sufit, na herb Bławatnika, i pragnęłam śmierci.

* * *

Nie wiem, jak przeżyłam następne tygodnie. Musiałam patrzeć na szczęście Minty. Jak ona go kochała! Rozumiałam ją. Kiedyś pewnie wystarczała jej perspektywa małżeństwa z Franklynem Wakefieldem. Aż pojawił się on — silny, pełen życia Stirling, który nie zważał na przeszkody, gdy coś pragnął zdobyć. Biedna Minta. Czy zdawała sobie sprawę, dlaczego chciał się z nią ożenić? Często miałam ochotę jej to powiedzieć. Musiałam bardzo się pilnować, żeby nie wybuchnąć złością, ale przede wszystkim było mi jej niezmiernie żal. Nieszczęsna, wystrychnięta na dudka Minta! Ofiara żądzy zemsty Żbika. Nieszczęsna, naiwna Minta! Sądziła, że jest kochana. Nie wychodziła za męża, by ratować Dom Białych Dam, choć wiadomo było, że teraz powróci do dawnej świetności, że będzie zadbany w każdym szczególe. Wyobrażałam sobie, jak skrupulatnie Stirling szacuje wszystkie niezbędne naprawy. Żadnych oszczędności. Oto nadchodzi „złoty” milioner.

Czy takie małżeństwo może dać szczęście? myślałam z goryczą. Byłam zazdrosna, wściekła i upokorzona. Kochałam Stirlinga i wiedziałam, że on kocha mnie. Kocha, lecz spełnienie obietnicy, którą dał Żbikowi, było ważniejsze. Tak jak twoje zaślepienie wobec Żbika było ważniejsze od miłości do Stirlinga, pamiętasz? — pytał jakiś głos we mnie.

Żbik wciąż był przy nas i kierował naszymi losami!

Głęboko zrozpaczona, postanowiłam jednak nie okazywać swych uczuć. Myślę, że dobrze mi się to udawało. Stirling unikał kontaktów ze mną. Dużo czasu spędzał w Domu Białych Dam. Sporządzał, jak się domyślałam, listę koniecznych remontów i rzucił się w wir tej pracy z żarliwością godną mężczyzny, który adoruje wybrankę swego serca.

Minta złożyła mi wizytę. Siedziała w salonie, pieszcząc Donnę i mówiła, jak bardzo jest szczęśliwa. Zawierzyła mi sekret: pokochała Stirlinga, ledwo osiedliśmy w Domu Bławatnika, a tak naprawdę to jeszcze wcześniej. Pytała, czy pamiętam, kiedy spotkaliśmy się wszyscy po raz pierwszy... Gdy Stirling przyjechał znowu, uznała to za zrządzenie losu.

Nie zrządzenie losu, tylko Żbika, sprostowałam w duchu.

— Stirling ubóstwia Dom Białych Dam. Będzie szczęśliwy, mogąc tam mieszkać.

To jedyny powód małżeństwa, myślałam ponuro.

— Sprawił, że patrzę na ten dom innymi oczyma. Udało mu się to lepiej niż Lucie.

— A Lucie? Czy ona też się cieszy?

Minta zmarszczyła brwi, a ja poczułam do Lucie sympatię.

— Lucie się martwi. Myślę, że uważa mnie za dziecko. Była moją nauczycielką i wciąż traktuje mnie jak jedną spośród swoich mniej pojętych uczennic.

A więc Lucie nie próbuje tego związku.

— Noro, pamiętaj, że gdybyś chciała zamieszkać z nami, Dom Białych Dam zawsze będzie twoim domem.

— Ja? Z wami? Ooo, nie! Nie chcesz chyba, żeby przyszywana teściowa...

Usłyszałam swój własny, nieco dziki, chichot.

— A cóż to za bzdurne słowo! Wiem, że Stirling by tego chciał.

— Powiedział ci to?

— Ależ naturalnie.

O, nie, myślałam. Nigdy! Jak mogłabym żyć z nimi pod jednym dachem, widzieć ich razem, myśleć o tym wszystkim, co miało być moje? Stirling mnie kochał. I zdawał sobie z tego sprawę. Biedna, naiwna Minta nie rozumiała przebiegłości ludzi, którzy ją otaczali.

— Bardzo się przywiązałam do Domu Bławatnika.

— Co? Taki wielki dom tylko dla ciebie? Nie sądzisz chyba, że byłoby nam ciasno! Dom Białych Dam jest ogromny. Możesz mieć całe własne skrzydło. Apartamenty, które kiedyś należały do mamy.

— To miło z twojej strony, Minto, ale chyba nie zabawię tu długo. Raczej wrócę do Australii.

— Proszę, nie mów tak. Nie znieśliśmy tego... ani Stirling, ani ja.

A jak ja nie znosiłam jej sposobu mówienia o nim! Jakby był jej własnością! Nie miałam pojęcia, co robić, byłam nieskończenie nieszczęśliwa, a Mincie mogłam jedynie współczuć.

* * *

Pobrali się w kwietniu, kiedy na drzewach zaczęły pojawiać się pąki, a ptasie śpiewy o brzasku brzmiały najweselej.

Maud udekorowała kościół, a ja — o gorzka ironio! — pomagałam jej. Jakże ona paplała! Cieszyło ją szczęście Minty.

Aż do dnia ślubu robiłam sobie nadzieję, że stanie się coś, co przeszkodzi zawarciu tego małżeństwa. Ale ów dzień nastał, sir Hilary poprowadził córkę do ołtarza, a wielbny John Mathers dopełnił reszty.

Siedziałam i patrzyłam, jak Stirling składa przy ołtarzu śluby Mincie, mając po jednej ręce Lucie, po drugiej — Franklyna. Lucie popatrywała srogo, jakby obawiała się czegoś w związku z tym małżeństwem. A Franklyn? Co on czuł? Nie było widać, by cierpiał, patrząc, jak przeznaczona mu dziewczyna wiąże się z innym. Ale on już taki był.

Dla mnie to było jak koszmarny sen.

A oto i nowożeńcy: promieniejąca Minta i nieodgadniony Stirling odchodzą od ołtarza. Rozległy się dźwięki organów — marsz weselny z *Lohengrina*. Było po wszystkim.

Wyszliśmy z kościoła. Z Franklynem u boku stałam w niepewnym blasku kwietniowego słońca.

Minta

Rozdział 1

Nie potrafię określić, kiedy zaczęłam podejrzewać, że ktoś usiłuje mnie zabić. Niejasne zrazu odczucie, które odrzucałam jako bezsensowne, później przerodziło się w pewność. Stałam się przerażoną i nieszczęśliwą kobietą.

A przecież tego dnia, gdy poślubiłam Stirlinga, byłam najszcześniejszą panną młodą na świecie. Nie mogłam uwierzyć, że spotkało mnie coś tak cudownego. To prawda, że jego oświadczyzny całkowicie mnie zaskoczyły. Stirling miał w sobie coś szczególnego, podobnie jak Nora. Należeli do ludzi, których życie było o wiele ciekawsze niż moje, tym bardziej więc pobudzali moją wyobraźnię. Nora nie była piękna, ale nie znałam równie uroczej osoby. Zrównoważona i dostojna już na pierwszy rzut oka wzbudzała zainteresowanie. Jej losy toczyły się tak niezwykle! Wyszła za męża za ojca Stirlinga, o którym niewiele mówiła, ale zauważyłam, że ilekroć wspomniano jej męża, milkła na chwilę, jakby nie mogąc złapać tchu — podobnie zresztą Stirling — zupełnie jakby była mowa o jakimś bóstwie. To, że była jego żoną, wywyższało ją w pewien sposób, wyróżniało. Niełatwo było ich zrozumieć, przewidzieć, co zrobią. Oboje różnili się od ludzi, z którymi miałam do czynienia przez całe życie, jak Maud Mathers czy Franklyn, a nawet Lucie.

Nie łudziłam się wcześniej, że Stirling zwróci na mnie uwagę. Sądziłam raczej, że on i Nora pasują do siebie i że gdyby nie była jego macochą, mogliby się pobrać. Aż przyszedł tamten dzień, gdy powiedział bez żadnych wstępów:

— Minto, chcę cię poślubić.

— Co powiedziałaś? — wyjąkałam. Byłam pewna, że się przesłyszałam.

Ujął moje dłonie, pocałował je i powtórzył, że chce mnie poślubić. Odrzekłam, że go kocham i kochałam od pierwszej chwili, nie śmiałam jednak marzyć, że on także coś do mnie czuje.

Zaraz powiedzieliśmy o tym ojcu. Ucieszył się. Wiedział, że Stirling jest bogaty i gdy za niego wyjdę, nie zaznam nigdy biedy, tak jak on. Zwołał wszystkich domowników, nie wyłączając służących, i obwieścił im dobrą nowinę. Posłał po ostatniego szampana, żeby wszyscy wypili nasze zdrowie. Służący pili z ochotą w nadziei, jak przypuszczałam, że ich pensje zaczną być wypłacane regularnie.

Nie cieszyły się tylko dwie osoby.

Pierwszą z nich była Lucie. Kochana Lucie, zawsze zachowywała się tak, jakbym właśnie wyszła z klasy i potrzebowała opieki. Ledwie Stirling sobie poszedł, zjawiała się w moim pokoju i przysiadła na łóżku, jak zwykła była czynić w czasach, gdy przyjeżdżała do Domu Białych Dam na wakacje.

— Minto, czy jesteś pewna? — zapytała.

— Nigdy nie byłam niczego bardziej pewna. To wspaniałe! Przez myśl by mi nie przeszło, że on zwróci na mnie uwagę.

— A to dlaczego? Jesteś piękną młodą kobietą i zawsze uważałam, że dobrze wyjdiesz za męża.

— Jednak wyglądasz na zaniepokojoną.

— Tak... trochę.

— Dlaczego?

— Nie wiem. Tak czuję.

— Och, Lucie. Wszyscy się cieszą. Nawet gdybym nie była zakochana, byłoby to dobre posunięcie, i to z wielu powodów — nie sądzisz? Przystaniemy się martwić o pieniądze, a sama zawsze ubolewałaś, że dom obraca się w ruinę.

— Wiem. Kocham ten dom, a on wymaga pilnych napraw, lecz to nie powód, żebyś ty dla domu wychodziła za męża.

— Jesteś zrędliwą starą kwoką, Lucie.

— Od czasu, gdy wyszłam za twojego ojca, jesteś dla mnie jak córka. Także wcześniej bardzo cię lubiłam. Chcę, żebyś była szczęśliwa, Minto.

— Ależ jestem szczęśliwa. Jak nigdy przedtem.

— Lepiej byłoby poczekać... a nie tak pochopnie...

— Mówisz jak posępna wieszczka. Coś ci się nie podoba w Stirlingu?

— Nic. Ale to zbyt nagle. Nie miałam pojęcia, że on cię kocha. Nigdy nie sprawiał wrażenia...

— Ani ja — zachichotałam jak uczennica. — Ale on jest inny, Lucie. Żył inaczej niż my. Nie należy oczekiwać, żeby zachowywał się jak zwykły śmiertelnik. On nie okazuje uczuć.

— Ano właśnie. Nie okazuje. Nie dał po sobie poznać, że cię kocha.

— To po co by się ze mną żenił? Nie mogę przecież dać mu majątku.

— On się bardzo interesuje domem. Może chce się wżenić w rodzinę taką jak nasza. Bo kimże on jest? Prostacki przepych towarzyszący noworocznemu przyjęciu był dowodem braku ogłady.

— Lucie, jak śmiesz mówić takie rzeczy!

— Przepraszam — rzekła pełna skruchy. — Dałam upust swoim niepokojom. Wybacz mi, Minto.

— Lucie, kochanie. To ja powinnam prosić cię o wybaczenie. Wiem, że się o mnie martwisz. Ale naprawdę niepotrzebnie. Jestem absolutnie szczęśliwa.

— W każdym razie nie spiesz się za bardzo, dobrze?

— Nie za bardzo — przyrzekłam.

Wiedziałam jednak, że Stirling chce ślubu jak najprędzej, i że wszystko będzie teraz tak, jak on chce.

Drugą niezadowoloną była Lizzie. Jakże tragiczną — i męczącą! — postacią stała się po śmierci matki. Lizzie zaczęła, aż położyłam się spać, i dopiero wtedy przyszła, a raczej wślizgnęła się do pokoju niby duch, z wysoko uniesioną świecą w ręku. Miała na sobie długą białą koszulę z flanelety, co potęgowało wrażenie, że przybywa z zaświatów. Byłam zbyt podekscytowana, żeby spać, wciąż wracałam myślami do tego cudownego momentu, gdy Stirling poprosił mnie o rękę.

Gdy otwierała drzwi, powiedziałam:

— Czemu krążysz po domu, Lizzie? Koszula zajmie ci się ogniem od świecy!

— Muszę z panią porozmawiać.

— Teraz? W nocy?

— Nie szkodzi, że w nocy.

— Szkodzi, Lizzie, bo ja jestem zmęczona, a ty także powinnaś się już położyć.

Przysiadła na skraju łóżka.

— A więc masz wyjść za męża... za niego.

— Mam wyjść za męża za pana Stirlinga Herricka, jeśli to o nim mówisz.

— O nim, o nim. Podobny jest. Od razu wiadomo, kto zacz.

— Proszę cię, Lizzie, nie mów o moim przyszłym mężu bez szacunku.

— Jest w tym coś nienormalnego. Wręcz dziwnego. Jego ojciec chciał poślubić twoją matkę, a teraz on się tu zjawił i chce poślubić ciebie.

— O czym ty mówisz, Lizzie?

— To jego ojciec był tu przed laty.

— Jego ojciec? Jego ojciec był mężem pani Herrick.

— Strasznie to zagmatwane. Dlatego uważam, że dziwne. Twoja matka oszalała na jego punkcie... i nie ona jedna.

— Idź do łóżka, Lizzie. Mówisz od rzeczy.

— Nie. Mówię prawdę. To jakby wrócił. I to tak, jak myślałam.

Zdarzenia zaczęły układać się w logiczną całość.

— Sądzisz, że ten mamy artysta...

— Tak. To Charles Herrick. Możesz zobaczyć jego nazwisko na rysunkach w kredensie w studio. Przybył tu, żeby ją uczyć rysunku, a potem odszedł... to znaczy zesłano go do Australii za kradzież, i twoja matka nigdy więcej go nie widziała. Ale też nigdy potem nie była sobą. On podobno nie żyje. Lecz jest drugi, za którego chcesz wyjść. Czy to nie wygląda jak zrządzenie losu?

— Nie rozumiem. Może się mylisz, Lizzie.

— Nie myślę się. Są tacy, którzy nie giną, choć umierają, i on był jednym z nich.

— Dramatyzujesz.

— Miejmy nadzieję, panno Minto. Miejmy nadzieję. Ale skąd się tu wziął tak nagle? Rzucił na ciebie urok, tak jak jego ojciec na twoją matkę... i na wiele innych.

— Spytałem o to wszystko pana Herricka, kiedy przyjdzie.

— Spytaj i bacz pilnie, co ci odpowie.

— A teraz, Lizzie, jestem śpiąca.

— Rozumiem, chcę cię tylko ostrzec. Nic więcej nie mogę zrobić.

Zabrała świecę i wyszła.

Nie mogłam zasnąć. Byłam zbyt podekscytowana. Czy możliwe, by ojciec Stirlinga był nauczycielem mamy? Co za zbieg okoliczności, że szal Nory przefrunął ponad naszym murem! Co to znaczyło? Zresztą, wszystko jedno. Ważne, że Stirling poprosił mnie o rękę. Czy rzeczywiście pragnął tylko domu, jak sugerowała Lucie? A w końcu... co mnie to obchodzi? I tak wyjdę za Stirlinga.

* * *

Stirling powiedział, że nie trzeba niczego odkładać i że pragnie jak najszybciej zostać moim mężem. Wspomniałam mu o tym, co powiedziała Lizzie.

— To prawda — rzekł. — Mój ojciec był nauczycielem rysunku w Domu Białych Dam. Niesłusznie oskarżono go o kradzież i zesłano do Australii, gdzie los wynagrodził mu krzywdy. W sposób karygodnie niesprawiedliwy posadzono wspaniałego człowieka. Gdy przyjechałem do Anglii po Norę, chciałem, rzecz jasna, zobaczyć dom, gdzie ojciec pracował. Szal Nory przefrunął ponad murem, więc przyszedłszy go zabrać.

W jego słowach nie doszukałam się niczego nadzwyczajnego. Wszystko układało się w logiczną całość — z wyjątkiem faktu, że do tej pory Stirling nigdy nie wspomniał o związkach swego ojca z tym domem.

— Przykro mi z powodu twojego ojca — powiedziałam.

— Nie potrzebował współczucia.

— Został niesłusznie skazany.

— W tamtych czasach często się to zdarzało.

— Musiałeś go bardzo kochać.

— Był moim ojcem.

— Darzysz go szczególnym uwielbieniem. Nora też.

— Gdybyś go znała, zrozumiałabyś.

— Biedna Nora! Jak musiała cierpieć, gdy umarł!

Nic nie powiedział i odwrócił twarz. Złękłam się, że powiedziałam coś niestosownego. Nie lubił mówić o Norze. Myślałam, że martwi się o jej przyszłość, powiedziałam więc, że jeśli Nora kiedykolwiek zechce zatrzymać się w Domu Białych Dam, zawsze będzie mile widziana.

— Jest w końcu dla ciebie jak siostra. Wiem, macocha! Ale to idiotycznie brzmi. To bardzo atrakcyjna kobieta. Żałuję, że nie jestem choć trochę taka jak ona.

Stirling nie odpowiedział. Patrzył przed siebie, jakby mnie nie było. Myśli o ojcu, powiedziałam sobie w duchu. Cieszyło mnie, że jest zdolny do tak głębokich uczuć.

* * *

Przygotowań do ślubu było co niemiara. Podniecona Maud Mathers zazdrościła mi tego w najsympatyczniejszy ze sposobów. Przemyśli wała, jak udekorować kościół.

— Szkoda, że ślub ma być w kwietniu, a nie w maju — powiedziała. — Byłoby więcej kwiatów do wyboru.

Lucie nadzorowała szycie mojej sukni ślubnej. Jenny Callow i jej córka, Flora, przychodziły po to specjalnie. Za starych dobrych czasów mego dzieciństwa, zanim zbiednieliśmy, Jenny była na stałe zatrudniona w Domu Białych Dam. Flora, wówczas mała dziewczynka, uczyła się zawodu od matki. Pamiętam, jak stała i trzymała szpilki. Później Jenny musiała odejść i zarabiała na utrzymanie, szyjąc po domach.

Jedyną osobą, z którą mogłam pogadać, była Maud. Wołałabym rozmawiać z Lucie, ale nie mogłam znieść jej cichej dezaprobaty. A Nora trzymała się na uboczu. Byłam zawiedziona. Sądziłam, że będę w niej miała siostrę. Maud chciała wiedzieć, dokąd udamy się na miesiąc miodowy, a gdy jej powiedziałam, że w ogóle o tym nie rozmawialiśmy, dała wyraz swemu rozczarowaniu.

— Wenecja! — powiedziała. — Przeplłynąć gondolą Canale Grandę. Albo Florencja — przechadzać się po mieście Dantego i Beatrice. Albo Rzym — zobaczyć Forum Romanum, albo stanąć w miejscu, gdzie, zaszytetylowany, upadł Juliusz Cezar. Zawsze mi się wydawało, że Włochy to kraj na miodowe miesiące.

Gdy wspomniałam o wyjeździe Stirlingowi, odparł:

— Po co dokądkolwiek wyjeżdżać? Czy może być bardziej fascynujące miejsce niż Dom Białych Dam?

— Zostać w domu?!

— To będzie mój dom — rzekł Stirling. — Poznawanie go zamierzam zaliczyć do moich najulubieńszych zajęć. Ale, oczywiście, jeśli ty chcesz wyjechać...

Ja chciałam tego, czego chciał on.

— Na razie nie będzie miodowego miesiąca — powiedziałam Maud. — Odkładamy go na później.

Tydzień przed ślubem, późnym wieczorem, przyszła do mnie na pogawędkę Lucie.

— Mam ci coś do powiedzenia, Minto. Jeśli chciałabyś zmienić zamiar, zrób to bez wahania.

— Zmienić zamiar? Dlaczego?

— Wszystko się stało w takim pośpiechu! Wciąż się tylko mówiło, „jak to dobrze dla Domu Białych Dam”. Ale jeśli zdecydujesz, że nie chcesz wyjść za mąż, też damy sobie radę. Tak jak dawaliśmy sobie radę do tej pory. Nie chcę, żebyś wychodziła za mąż dla ratowania domu.

— Nigdy w ten sposób o tym nie myślałam, Lucie. Kocham ten dom i przykro mi patrzeć, jak niszczeje, ale nie dlatego wychodzę za mąż. To po prostu łut szczęścia, przypadek, że Stirling jest

bogaty, że uwielbia ten dom i ma zamiar doprowadzić go do ładu. Będziesz zadowolona. Wiem o tym. Tyle się o niego namartwiłaś.

— Oczywiście że będę zadowolona, lecz nic nie wynagrodzi nieudanego małżeństwa.

— Przestań o tym myśleć. Wychodzę za Stirlinga, ponieważ go kocham.

To ją uspokoiło. Zaczęła mówić o weselu. Miała nadzieję, że Maud, moja drużna, będzie ładnie wyglądała w wiśniowym jedwabiu, który dla niej wybrała.

Zrazu sądziłam, że drużną będzie Nora, ale Nora jako mężatka tak wyraźnie okazała niechęć do tego pomysłu, że jej nie namawiałam. Lucie żałowała, że Druscilla nie jest dostatecznie duża, by wystąpić w tej roli. Na drużbę poprosiliśmy doktora Huntera. Myślałam o Franklynie, ale byłaby to niezręczność. Zbyt wielu ludzi sądziło, że na moim weselu on będzie panem młodym. Ale mówiłam sobie, to wszystko nie ma żadnego znaczenia. Ważne jest, że wychodzę za Stirlinga.

* * *

Aż w końcu przyszedł dzień ślubu, najszczęśliwszy dzień mojego życia. Po ceremonii wróciliśmy do Domu Białych Dam i odbyło się przyjęcie w wielkim holu, czyli tam, gdzie od stuleci panny młode naszej rodziny świętowały swoje zaślubiny. Stirling był zachwycony. Kocha mnie, myślałam. Nie mógłby tak wyglądać, gdyby było inaczej.

Staliśmy obok wielkiego tortu, prowadził moją dłoń, gdy go kroiliśmy. Wiedziałam, że czuje coś, czego nie potrafiłam określić inaczej jak triumf.

Wygłoszono okolicznościowe przemówienia. Ojciec mówił chaotycznie i sentymentalnie, doktor Hunter krótko i dość dowcipnie, Franklyn — konwencjonalnie. Takie mowy wygłaszano podczas każdej uroczystości weselnej od stuleci. Odpowiedział na nie Stirling. Mówił prosto: że to dla niego szczęśliwy dzień i że odnalazł tu swój dom.

Niektórzy goście zostali na przyjęciu. Po poczęstunku tańczyliśmy w holu, który był wspaniałą salą balową. Stirling i ja tańczyliśmy walca. Nie był dobrym tancerzem, ale tym bardziej go kochałam.

— Dojdiesz do wniosku, że jestem nieokrzesany — rzekł.

— Będę to w tobie kochała — odpowiedziałam.

Później goście wyszli, a my zostaliśmy sami. Obawiałam się trochę własnej nieudolności, ale Stirling był bardzo miły — tak jakby mi współczuł. Ja zaś byłam oczarowana czułością, której się po nim nie spodziewałam.

O tak, to był najszczęśliwszy dzień mojego życia.

Rozdział 2

Nasz miesiąc miodowy był zgoła osobliwy. Pierwszego dnia Stirling poprosił, żebym go oprowadziła po domu.

— Ale tylko my dwoje — rzekł.

Byłam uszczęśliwiona. Poszliśmy. Stan zniszczeń go przeraził, zrobił wiele notatek. Pamiętam, jak oglądał dębowe belki w paru pokojach.

— Stoczone przez robaki — mówił. — W każdej chwili mogą się zawalić. Trzeba się natychmiast wziąć do roboty.

— Zachowujesz się jak urzędnik, a nie jak mąż.

— To twój dom — odrzekł — i majątek naszych dzieci. Musimy utrzymać go w należytym porządku.

Nie zdawałam sobie sprawy, że zaniedbania są aż tak wielkie.

— Trzeba na to fortuny — powiedziałam. — Mam nadzieję, że nie wszystko musi być zrobione od razu.

— Ja mam fortunę — powiedział.

Roześmiałam się. To, co Lucie nazywała z niesmakiem „ostentacją”, mnie bawiło. Był bogaty i był z tego dumny, ponieważ bogactwo zdobył jego ojciec, a wszystko, czego dokonał jego ojciec, uważał za cudowne.

— I niczego nie trzeba odkładać na później — ciągnął. — Chcę zobaczyć twój dom w stanie idealnym.

— Szkoda, że mówisz o nim „twój dom”, Stirling. To, co moje, należy do ciebie. Wiesz przecież o tym.

Uśmiechnął się w sposób, który do głębi mnie poruszył, pocałował czule i rzekł:

— Jesteś kochana, Minto. Wybacz, że jestem, jaki jestem. Ja także uśmiechnęłam się do niego i powiedziałam:

— Ależ takiego cię kocham. Objął mnie i przytulił.

— Będziemy bardzo szczęśliwi — powiedziałam, jakby to on był tym, kto potrzebował takiego zapewnienia.

— Nasze dzieci będą się bawiły na trawnikach Domu Białych Dam — rzekł uroczyście.

— Wyremontowanego i pięknego, w którym robaki nie toczą drewna, a wieże przetrwają następne tysiąc lat.

Ileż energii miał Stirling i jak wielką jej część poświęcał domowi! W ciągu trzech miesięcy proces niszczenia został zatrzymany i dom zaczął powracać do dawnej świetności. Ale to mu nie wystarczało. Wciąż było dużo do zrobienia. Tamte czasy nazwałam Latem Domu Białych Dam.

Z początkiem września dom Wakefieldów dotknęła tragedia. Sir Everard dostał kolejnego ataku serca i zmarł. Spodziewaliśmy się tego, wiedzieliśmy, że nie pożyje długo, ale to nami wstrząsnęło. Lady Wakefield bez męża czuła się zagubiona. Franklyn jej nie odstępował, ale nie przestawała utyskiwać. W tydzień po pogrzebie położyła się do łóżka i leżała przez kilka tygodni, nie chcąc za nic wstać. W połowie października umarła i wszyscy uznali to za „szczęśliwe wyzwolenie”.

Biedny Franklyn był bardzo przygnębiony, lecz nie okazywał tego. Doktor Hunter, wzywany często do Domu Białych Dam — Lucie przesadnie lękała się o zdrowie dziecka i traciła zdrowy rozsądek, gdy o nie chodziło — powiedział:

— Nie chciała dłużej żyć. To się często zdarza, gdy ludzie spędzą ze sobą całe życie. Jedno umiera i prawie natychmiast odchodzi drugie.

Ojciec był przybity utratą bliskich przyjaciół. Uparł się, żeby iść na pogrzeb. Lucie protestowała, ponieważ wiał przenikliwy wschodni wiatr, i groziła, że nie pozwoli mu wyjść z domu. Tak bardzo się o nas troszczyła. Nie miała rodziny i my byliśmy dla niej wszystkim. Ojciec zwykle ustępował, lecz tym razem twardo obstawał przy swoim.

Powiedział, że jest zdecydowany „oddać ostatnią posługę starej przyjaciółce”. Pojechał więc do kościoła, szedł w kondukcie na cmentarz i stał na wietrze z kapeluszem w ręce.

Współczułam Franklynowi, wiedząc, jak był zżyty z rodzicami. Cieszyłam się, że jest z nami Nora, bo jej obecność dodawała mi otuchy. Od jakiegoś czasu podejrzewałam, że Nora mu się podoba: odnosiła się do niego z rezerwą, lecz na swój sposób przyjaźnie. Wspomniałam Stirlingowi, że byłoby dobrym rozwiązaniem, gdyby poślubiła Franklyna, choć wciąż napomykała, że ma w planach powrót do Australii.

— Zupełnie do siebie nie pasują — rzekł Stirling chłodno. — Franklyn! — rzucił pogardliwie, jakby Franklyn nie mógł być dobrym mężem.

— Nie znasz go — broniłam dawnego przyjaciela. — Jest najuprzejmiejszym człowiekiem na świecie.

Odwrocił się zagniewany. Nora wyszła za jego ojca i pewnie nie w smak mu była sama myśl, że ktokolwiek może zająć jego miejsce.

Ja jednak wciąż o tym rozmyślałam. Ciekawiło mnie, czy i Franklynowi przyszło coś takiego do głowy. Bo Norze na pewno nie.

* * *

W kilka dni po pogrzebie lady Wakefield u ojca wystąpiły oznaki przeziębienia. Lucie denerwowała się okropnie, jak zwykle kiedy był chory, i kazała mu zostać w łóżku. Nie powinien chodzić na pogrzeby, sarkana.

Posłała po doktora Huntera i długo trzymała go przy chorym. Gdy wyszedł, zaprosiłam doktora do biblioteki i spytałam, czy są powody do obaw.

— Przeziębienie — rzekł. — Prawie bronchit. Ale mam nadzieję, że w porę chwyciliśmy byka za rogi. Parę dni leżenia w łóżku.

Biedny doktor Hunter! Wyglądał na bardzo zmęczonego. Wyobrażałam sobie, jak wraca do ponurego małego domu, gdzie zastaje gospodynię w stanie pijackiego odrętwienia.

Dlaczego nie żeni się z Maud? Ona z pewnością by o niego dbała.

Nalegałam, by wypił kieliszek sherry, zanim odjedzie. Jego policzki nabrały kolorów, nieco poweselał.

— Zajrzę wieczorem — rzekł — upewnić się, że wszystko w porządku.

Lecz gdy przyszedł wieczorem, było gorzej, bronchit nie ustąpił. W ciągu kilku dni rozwinęło się zapalenie płuc. Rzadko widywało się Lucie tak wyprowadzoną z równowagi. Dotąd uważałam, że małżeństwo Lucie było małżeństwem z wyrachowania. Wiedziałam, że chciała, aby Dom Białych Dam na zawsze pozostał jej domem, i na pewno chciała zostać lady Cardew. Ale gdy patrzyłam, jak jest zaniepokojona i pełna poświęcenia, uświadomiłam sobie, że szczerze troszczy się o ojca. Nie wychodziła z jego pokoju. Siedziała przy nim dzień i noc, ucinając sobie jedynie godzinną drzemkę w pokoju obok, gdy ja ją zastępowałam.

— Nie mam zaufania do służby — mówiła. — On może czegoś potrzebować.

— Jeśli nie będziesz odpoczywać, sama się rozchorujesz — upominałam ją.

Siedałam przy nim, ale ledwo zaczynał kasłać, była przy łóżku.

Czekaliśmy na przesilenie, ale doktor Hunter nie robił nam wielkich nadziei. Ojciec był stary i od pewnego czasu nie najzdrowszy. A zapalenie płuc to niebezpieczna choroba nawet dla młodych.

Ojciec chciał, by Lucie była przy jego łóżku cały czas, i czuł się nieswojo, gdy się oddalała. Miło było patrzeć na miłość tych dwojga. Przypomniałam sobie wieczne niezadowolenie mamy i cieszyłam się, że ojciec znalazł w końcu szczęście.

Obie byłyśmy przy nim, gdy umierał, ale jego dłoń tkwiła w dłoni Lucie. Nigdy nie zapomnę wyrazu jej twarzy, gdy na mnie spojrzała. Tak jakby straciła wszystko, na czym jej zależało.

— Lucie, najdroższa, masz przecież Cillę — powiedziałam. Zaprowadziłam ją do pokoju Druscilli. Była dziewiąta wieczorem i dziecko już spało. Wzięłam je na ręce i podałam Lucie.

— Mama — powiedziała Druscilla sennie, lecz z pewnym wyrzutem.

Lucie stała w pełnej tragizmu pozie, przyciskając do siebie dziecko, póki nie wzięłam Druscilli i nie położyłam jej z powrotem do łóżeczka. Może mój pomysł był sentymentalny i teatralny, lecz dał dobry rezultat. Lucie zebrała siły, uświadomiła sobie, że musi żyć dla Druscilli.

* * *

Przyszło Boże Narodzenie. W ubiegłym roku byliśmy u Wakefieldów, tegoroczne święta miały być obchodzone w Domu Białych Dam. „Nie mogą być tak huczne, jak będą za rok, z powodu śmierci ojca, powiedział Stirling, ale powinny być stosowne do pozycji domu. Wszyscy muszą zrozumieć, że Dom Białych Dam, a nie Park Wakefieldów jest pierwszym domem w okolicy”.

Lucie krążyła jak duch we wdowiej żałobie. Było jej nawet do twarzy w czerni. Druscilla miała prawie dwa lata. Stała się władczą i wymagającą — oczko w głowie całej rodziny. Lucie kochała ją nad życie, ale nie psuła jej, w przeciwieństwie do całej reszty domowników. Ja ją ubóstwiałam i nie mogłam się doczekać własnego dziecka. Stirling także go pragnął. Wciąż powtarzał, jak to nasze dzieci będą się bawiły na trawnikach Domu Białych Dam.

Raz nawet myślałam, że jestem w ciąży, ale myliłam się. Byłam zła i zdecydowałam, że nigdy więcej nic nikomu nie powiem, póki nie będę całkowicie pewna. Lucie wciąż uszczypliwie o to pytała albo mówiła: „Jak sama będziesz miała dziecko...”. Kiedyś powiedziała:

— Może zbyt mocno pragniesz ciąży. Słyszałam, że czasem, gdy ludzie za bardzo na to czekają, dziecko nie może się począć. Taka przewrotność natury.

Pomysł Stirlinga, by powrócić do starych bożonarodzeniowych zwyczajów, praktykowanych w naszym domu przed laty, uznała za znakomity.

— Dom Białych Dam to dom z tradycjami. Park Wakefieldów zaś jest parweniuszowski. Myślę, że twój mąż ma rację.

Cieszyłam się, że zaczyna lubić Stirlinga i pozbyła się podejrzeń co do motywów jego ślubu ze mną.

— Jak będziesz miała rodzinę, zechcesz pewnie, żebym odeszła — powiedziała któregoś dnia.

— Co za bzdury — zawołałam. — To twój dom. A poza tym co my byśmy bez ciebie poczęli?

— Jestem macochą — niezbyt potrzebną.

— A kiedyż to ja ciebie nie potrzebowałam?

— Muszę wiedzieć, kiedy mam odejść.

— Przestań, proszę, mówić takie rzeczy.

— W porządku. Zapomnijmy o tym. Ale odejdę, gdy poczuję się nie chciana.

Zapewniłam ją, że nigdy się nie rozstaniemy.

Jakże Stirlinga cieszyło planowanie Bożego Narodzenia! Zatrudnił kilku nowych służących. Mieliśmy teraz sześciu ogrodników i otoczenie domu zaczynało wyglądać przepięknie. Większość

najważniejszych prac związanych z domem już ukończono i Stirling był z tego bardzo dumny, choć dalej pozostawało sporo do zrobienia. Wewnątrz zawsze kręciło się kilku robotników, a parę pokoi nie nadawało się jeszcze do użytku, bo wciąż coś w nich robiono, a to przy podłogach, a to przy boazerii.

Dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem byłam już prawie pewna, że jestem w ciąży. Chciałam komuś o tym powiedzieć, ale postanowiłam milczeć. Nie mogłam łudzić Stirlinga nadzieją. Wydało mi się to nader dziwne, ale osobą, która domyślała się mego stanu, była Lizzie. Odkurzała pokój Druscilli, co należało do jej obowiązków, gdy weszłam, aby spędzić trochę czasu z dzieckiem. Druscilla siedziała na podłodze, bawiąc się klockami, więc przyklękłam przy niej i razem zaczęłyśmy budować domek. Nie mogłam oderwać oczu od tej małej twarzyczki ze śmiesznym noskiem i delikatnymi splotami włosów nad czołem. Myślałam o moim dziecku, gdy Lizzie powiedziała, jak to ona, bez osłonek.

— A więc tak?

— Co tak? — spytałam.

Lizzie zakłosała ramionami, jakby kołysała dziecko. Zarumieniłam się, a Druscilla zawołała:

— Co tam trzymasz, Lizzie?

— Zdziwi się panienska, jak powiem, że drugiego dzieciaczka. Trochę się małej Cilli przytrze noska.

Druscilla złapała się za nos i zapytała:

— Co to znaczy? Pocałowałam ją i powiedziałam:

— Nic, Lizzie żartuje.

— Nie oszukasz mnie — powiedziała Lizzie. — Tego się nie da ukryć.

Druscilla niecierpliwie pociągnęła mnie ku klockom. Czy to prawda? myślałam. Czy tego rzeczywiście nie da się ukryć?

* * *

Boże Narodzenie przyszło i minęło. Wenta dobroczynna odbyła się w holu odnowionego Domu Białych Dam, a Stirling pokrył koszty sutego posiłku, co się przedtem nie zdarzało. To był wielki sukces i wszyscy cieszyli się naszym bogactwem. Ugościliśmy kolędników zupą, winem i ciastem śliwkowym. Podśledzałam, jak jeden z nich powiedział, że było jak za dawnych lat, lecz nawet za dawnych lat nie podejmowano kolędników tak wyśmienitym winem.

W dniu Bożego Narodzenia — z powodu żałoby — było tylko małe przyjęcie dla rodziny, na które zaprosiliśmy także Norę i Franklyna. W drugi dzień świąt gościliśmy w Parku Wakefieldów.

Zaraz po Nowym Roku miało miejsce pierwsze z owych niepokojących zdarzeń.

Tamtego poranka podczas śniadania Stirling mówił, jak zwykle, o remontach.

— Zabrali się za bartyzanę — rzekł. — Jest tam więcej do zrobienia, niż przypuszczaliśmy.

— Jak to będzie wspaniale, gdy skończą — zawołałam. — Zaczniemy znowu cieszyć się domem, po którym nie kręcą się robotnicy.

— Wszystkie prace, wykonane do tej pory, były absolutnie niezbędne — przypomniał Stirling.

— Gdyby moi przodkowie mogli zobaczyć, co zrobiłeś dla Domu Białych Dam, z pewnością by cię błogosławili.

Stirling milczał przez chwilę, a potem rzekł:

— Duży dom powinien służyć wielu ludziom. I zwrócił się do Lucie.

— Zgadzasz się? Przyznajesz mi rację?

— Oczywiście — odparła.

— A wspominałaś, że opuścisz ten dom — powiedziałam z wyrzutem.

— Nie pozwolimy na to, prawda, Stirling?

— Minta nie dałaby sobie bez ciebie rady — rzekł Stirling. Lucie wyglądała na zadowoloną.

— I Nora... — ciągnęłam. — Żałuję, że nie mieszka z nami. To absurdalne! Sama w tym wielkim Domu Bławatnika!

— Zamierza wyjechać — oznajmił Stirling.

— Nie powinniśmy do tego dopuścić.

— Jak możemy nie dopuścić, skoro ona tego chce? — spytał chłodno.

— Od dawna mówi, że wyjedzie, a nie wyjeżdża. Myślę, że coś ją tu trzyma.

— Co mianowicie?

Patrzył na mnie, jakby mnie nie lubił, ale sądziłam, że nie lubi myśli o wyjeździe Nory. Wzruszyłam ramionami, a on mówił dalej:

— Idź i zobacz od czasu do czasu, jak idą prace przy bartyzanie. Nie możemy pozwolić, żeby zatraciła swój dawny charakter. Musi być odnowiona z wielką skrupulatnością.

Lubił, gdy interesowałam się robotami, które prowadzono w domu. Powiedziałam więc, że pójde tam po południu, za — nim się ściemni — o tej porze roku zmrok zapadał już po czwartej — że rano nie mam czasu, bo umówiłam się na poranną kawę z Maud, która urządza wentę w wigilię święta Trzech Króli i martwi się, że nie da sobie rady z bufetem. Będziemy więc zajęte cały ranek i Maud prosiła, żebym została na obiedzie. Stirling zdawał się nie słuchać.

Popatrzyłam na niego ze smutkiem; z pewnością nie był zbyt wylewny. Czasem mi się wydawało, że kocha się ze mną dla zachowania pozorów — tak jakby tylko wypełniał obowiązek.

Oczywiście cały czas pamiętałam, że Stirling to niezwykły człowiek. Zawsze podkreślał, że jego maniere nie są wyszukane, bo nie wychował się w angielskim dworze, jak niektórzy. Miał na myśli Franklyna. Czasem przychodziło mi do głowy, że on go po prostu nie lubi, i zastanawiałam się, czy dlatego, że Franklyn adoruje Norę, a Stirling uważa, że żaden mężczyzna nie może zastąpić jego ojca.

Nie było wszakże powodu do niepokoju. Miałam całkowitą pewność, że jeśli nawet Franklyn kocha Norę, ona traktuje go z równie chłodnym dystansem jak Stirling mnie. Ale ja kochałam Stirlinga głęboko i niezależnie od tego, co on czuł do mnie, nie zamierzałam przestać go kochać. Czasami budziłam się w nocy i myślałam zrozpaczona: ożenił się z tobą dla tych murów! Jego obsesja na punkcie domu mogła o tym świadczyć, choć w głębi serca w to nie wierzyłam. Po prostu nie był mężczyzną, który potrafiłby okazywać uczucia.

Wróciłam z plebanii o wpół do czwartej. Dzień był pochmurny i zaczął zapadać zmierzch. Pamiętałam o bartyzanie. Stirling najprawdopodobniej zapyta mnie wieczorem, czy tam byłam. Postanowiłam więc pójść natychmiast na wieżę, bo mój brak zainteresowania remontami zdawał się go irytować.

Wieża z bartyzaną znajdowała się w najstarszym skrzydle budynku, była częścią starego klasztoru, dotąd nie zamieszkaną. Stirling miał wiele pomysłów dotyczących jej wykorzystania. Na szczyt wiodły kręcone schody z poręczą z grubej liny. Dawniej rzadko tu przychodziliśmy i gdy oprowadzałam Stirlinga po domu, ta część domu była mi równie obca jak jemu. Teraz na schodach widoczne były plamy wapna i inne oznaki obecności robotników.

Wspinałam się długo. W połowie przystanąłam, żeby nabrać tchu; wokół panowała cisza. Co za ponure miejsce! Podest, na którym stałam, prowadził do szerokiego korytarza — po obu jego stronach znajdowały się cele — alkowy.

Przypomniała mi się stara, zasłyszana w dzieciństwie legenda o zakonnicy, która rzuciła się ze szczytu wieży. Zgrzeszyła złamawszy śluby, i odebrała sobie życie. Jak wszystkie stare domy, także ten miał swego ducha, a jakież duch byłby stosowniejszy nad ducha którejś z białych dam? Od czasu do czasu widziano ponoć białą postać na wieży albo w bartyzanie. Po zmroku nikt ze

służących nie poszedłby do wieży ani nawet nie przeszedłby obok niej. Nigdy nie braliśmy tych opowieści poważnie, ale teraz, kiedy byłam tu sama, historia samobójczyni żywo stanęła mi w pamięci. Takie popołudnie — chmurne, trochę mgliste — wyzwalało ponure myśli. Zdawało mi się, że słyszę odgłos lekkich kroków na schodach poniżej, że czuję czyjąś obecność. Stałam, niepewna, na podeście. Owiął mnie chłód, z mroku przypełził jakiś nieznany, paniczny lęk.

Zaczęłam wspinać się do góry. Spojrzę tylko, co tam się dzieje, i zaraz zejść na dół, myślałam. Stirling nie powinien sądzić, że się nie interesuję remontem. Nie mogłam złapać tchu. Schody były bardzo strome, a ja się spieszyłam. Dlaczego się spieszyłam? Nie musiałam przecież... Tyle tylko że chciałam jak najprędzej mieć to za sobą, chciałam uciec z tej nawiedzanej wieży.

Przystanąłam. I znowu to usłyszałam. Kroki — ktoś skradał się powoli. Nasłuchiwałam. Cisza. Wyobrażnia, powtarzałam sobie. A może to któryś z robotników. Może Stirling idzie, żeby mi objaśnić, jak postępują prace.

— Jest tam kto? — zawołałam.

Cisza. Przerazająca cisza. Nie jestem sama w wieży, pomyślałam. Byłam tego pewna. Ktoś jest blisko... tuż za mną. Ktoś, kto nie odpowiada na moje wołanie.

Czasami mam wrażenie, że anioł stróż idzie w ślad za mną i ostrzega przed niebezpieczeństwem. Poczułam, że właśnie teraz podpowiada, żebym się miała na baczności, że niebezpieczeństwo jest bardzo blisko.

Pobiełam na samą górę. Wychyliłam się przez kamienny parapet, trzymając się kurczowo. Patrzyłam w dół, daleko w dół, i myślałam: ktoś wchodzi po schodach. Będę tu, z tym kimś sama... sama w całej wieży.

Tak. Ktoś szedł. Skradał się. Skrzypnęły drzwi prowadzące na ostatnie stopnie. Jeszcze trzy schodki... Przywarłam do kamiennego murku, serce waliło mi jak młotem, modliłam się o cud.

I stał się cud — tam, w dole ukazała się krocząca szybko i niezgrabnie, jak to ona, Maud Mathers.

— Maud! Maud! — krzyknęłam.

Zatrzymała się i rozejrzała wokoło.

Boże, pomóż, modliłam się. Ten ktoś był tak blisko. Maud spojrzała w górę.

— Minta! Co ty tam robisz? — Miała głos, który słyszało się u nas w holu, gdy we wsi wystawiano misteria.

— Przyszłam zobaczyć, jak postępują prace.

— Przyniosłam rękawiczki. Zostawiłaś je u nas. Pomyślałam, że mogą ci być potrzebne.

Roześmiałam się z ulgą. Zerknęłam przez ramię. Nikogo. Absolutnie nikogo! To była chwila słabości, panicznego lęku i Maud samą swoją obecnością rozwiała obawy.

— Już schodzę — zawołałam. — Zaczekaj, Maud, już schodzę.

Zbiegłam na dół — ani żywego ducha. Jakies omamy, powiedziałam sobie, coś, co się zdarza kobietom w ciąży.

Nie myślałam później o tym zdarzeniu, aż minęło trochę czasu i...

* * *

Z końcem stycznia byłam absolutnie pewna, że będę miała dziecko. Stirling był uszczęśliwiony. Triumfował — to chyba stosowne słowo — co czyniło szczęśliwą także mnie.

Zauważyłam wtedy, że jeszcze bardziej się ode mnie odsunął, zamknął w sobie. Stale kręcił się wśród robotników. Skupował także ziemię w okolicy. Miałam wrażenie, że chce prześcignąć Franklina. Szalony pomysł, bo Wakefiel — dowie osiedli tu przeszło sto lat temu i choćby niewiadomo ile ziemi zdobył Stirling, o rywalizacji i tak nie mogło być mowy.

Lucie mnie rozpieszczała; bardzo ją ekscytowała myśl o dziecku. Wciąż chciała o nim rozmawiać.

— To będzie siostrzenica albo siostrzeniec Druscilli. Co za skomplikowane relacje w tej rodzinie.

Bardzo się ucieszyłam, gdy się okazało, że Bella, kotka, którą dostałam od Nory, spodziewa się kociąt. Polubiłam Bellę. Była najniezwyklejszym z kotów, a Nora mnie zapewniała, że taka sama jest Donna. Chodziły za nami jak psy, a niczego nie lubiły tak bardzo, jak siedzieć na naszych kolanach i dawać się głaskać. Pomrukiwały wtedy i zawsze się śmiałam, gdy będąc u Nory widziałam, że Donna zachowuje się tak samo jak Bella.

Kiedy odkryłam, że Bella będzie miała kocięta, nie mogłam się oprzeć pokusie, żeby nie odwiedzić Nory i nie powiedzieć jej o tym.

Z Norą działo się coś dziwnego. Teraz była między nami wyraźna bariera, wznoszona przez Norę, a w każdym razie na pewno nie przeze mnie.

Zastałam ją w cieplarni — Nora próbowała hodować orchidee. Donna siedziała na ławeczce i patrzyła, jak Nora pracuje.

— Wyobraź sobie, Noro — powiedziałam — Bella będzie miała kocięta.

Odwróciła się do mnie uśmiechnięta. Taką ją lubiłam — zadowoloną i przyjacielską.

— Co za zbieg okoliczności — powiedziała.

— Masz na myśli... mnie?

Nora przytaknęła.

— Biedna Donna będzie rozgoryczona, gdy się dowie.

Na dźwięk swego imienia Donna miauknęła z uznaniem i zaczęła ocierać się o rękę Nory.

— Widzisz, a ty w lesie — powiedziała do kota. — Co zrobicie z małymi? — zwróciła się do mnie.

— Jednego zatrzymamy, a dla reszty poszukamy domu. Mam nadzieję, że któreś kociątko trafi na plebanie.

Weszliśmy do środka. Pani Glee podała kawę w ów zadzierzysty sposób, który bawił Norę i oznaczał, że w Domu Bławatnika wszystko robi się lepiej niż w Domu Białych Dam.

— Urządzą przyjęcie w przyszłym tygodniu — powiedziała Nora — Musicie przyjść, Minto.

— Z największą przyjemnością.

— To będzie specjalna okazja.

Nie powiedziała jaka, a ja nie wypytywałam. Nie miałoby to sensu. Nora należała do ludzi, których nie udaje się nakłonić do powiedzenia tego, czego powiedzieć nie chcą.

Gdy piłyśmy kawę, rozległ się odgłos końskich kopyt na bruku przed stajnią.

— To Franklyn — powiedziała Nora, wyglądając przez okno. — Często przychodzi. Lubimy grać w szachy. Myślę, że czuje się samotny po śmierci rodziców.

Wszedł Franklyn. Wyglądał znakomicie. Zastanawiałam się, czy ogłoszą swoje zaręczyny i czy po to właśnie Nora urządza przyjęcie. Zachowywali się jak gdyby nigdy nic, ale częste wizyty Franklyna w Domu Bławatnika z pewnością o czymś świadczyły. W końcu dobrze go znałam i wiedziałam, że jest w Norze zakochany.

Czekałam z niecierpliwością na to przyjęcie. Cóż by to było za wspaniałe rozwiązanie: Nora poślubia Franklyna i wszyscy żyjemy szczęśliwie po wsze czasy.

Ale na przyjęciu doznałam wstrząsu. Nie było mowy o zaręczynach. Zamiast tego Nora powiedziała, że to jedno z jej ostatnich przyjęć, postanowiła bowiem ostatecznie wrócić do Australii.

* * *

Bella gdzieś przepadła. Domyślaliśmy się, że zaszyła się w jakimś kącie, by urodzić kocięta. Lucie zapewniała, że takie są kocie obyczaje. Martwiłam się, sądząc, że kotka potrzebuje jedzenia, Lucie z kolei uważała, że nie ma się czym przejmować, bo jeśli Bella zechce przyjść, to zna drogę.

Pokazała się po upływie doby i było oczywiste, że już urodziła.

— Trzeba iść za nią — radziła Lucie — i zobaczyć, gdzie są małe.

Tak też zrobiliśmy i ku naszemu zdziwieniu Bella zaprowadziła nas do wieży. Roboty chwilowo tu wstrzymano, bo potrzebny był specjalny, trudny do zdobycia gatunek drewna. Stirling nie godził się na prowizorkę ani na materiały zastępcze. Drzwi prowadzące do wieży musiały być otwarte, skoro Bella wspięła się na sam szczyt. Na kawałku worka pozostawionego przez robotników znalazłyśmy cztery cudowne kociaki: brązowe jak Bella. Oczarowały mnie te małe ślepe istotki i wzruszyła troskliwość Belli. Mruczała, ale okazywała niezadowolenie, gdy dotykałam kociaki.

— Lepiej je tu zostawmy — radziła Lucie. — Nie pozwoli ich ruszyć albo znów je ukryje. Wszystkie koty tak robią.

— Ja się nimi zaopiekuję — przytaknęłam. — Będę tu przynosiła jedzenie dla Belli.

Natychmiast pobiegłam do Nory i powiedziałam jej o kociakach. Nora obiecała, że przyjdzie je zobaczyć w najbliższych dniach.

Wspinając się co rano na wieżę kręconymi schodami, często myślałam o tamtej przygodzie, kiedy tak bardzo się zlekłam. Uczucie strachu całkowicie mnie opuściło. To, że Bella uznała wieżę za miejsce stosowne dla kociaków, uczyniło tę część domu cudownie normalną. Kotka czekała na mnie i wyglądała na zadowoloną, gdy przychodziłam ze śmietanką i patrzyłam, jak maluchy się rozwijają.

Właśnie wybierałam się na górę, gdy zjawiała się Nora.

— Przyszłaś zobaczyć kotki? — spytałam.

— Ciebie też — odrzekła.

Stała się bardziej przyjacielska, od czasu gdy podzieliłam się z nią nowiną o kociakach.

— Właśnie szłam je nakarmić. Chodźmy razem. Naprawdę wierzę w anioła stróża. Jestem przekonana, że gdyby nie Nora, byłby ze mną koniec. Postawiłam talerzyk na kamiennej krawędzi poręczy, żeby jak zwykle nalać nań mleka, nie schylając się. Nora stała tuż za mną. Już przechylałam dzbanuszek, gdy nagle rozległ się niespodziewany trzask. Nora chwyciła mnie mocno za spódnicę. Kamienny występ, na którym stał talerzyk, rozpadł się na kawałki. Usłyszałam huk walącego się kamiennego muru. Nie miałam pojęcia, co się stało, Nora pociągnęła mnie do tyłu z taką siłą, że obie upadłyśmy.

Podniosła się pierwsza, twarz miała białą jak papier.

— Minto! Nic ci się nie stało?

Nie wiedziałam. Byłam zbyt oszołomiona. Myślałam tylko o tym, że mur się zawalił i że o mało nie runęłam... ja i Nora też... na dół, z najwyższego punktu Domu Białych Dam — jak owa mniszka dawno dawno temu.

— Głupcy! — mówiła Nora. — Powinni byli nas ostrzec. To miejsce nie jest bezpieczne.

Uklękła przy mnie.

— Minta?

Wiem, że myślała o dziecku. Czulałam jego ruchy, byłam więc pewna, że żyje.

— Pójdę po pomoc — powiedziała. — Leż tu i nie ruszaj się.

Uniosłam się nieco, gdy odeszła. Bella lizała kociaki, nieświadoma tragedii, która mogła być się rozegrać. Trzęsłam się cała, czekałam, aż moje dziecko znów darni znać, że jest żywe. Bałam

się wstać, żeby mu nie wyrządzić jakiejś krzywdy, i wydawało mi się, że minęły wieki, nim Nora wróciła. Była z nią Lucie, a na jej twarzy malowało się napięcie i niepokój.

— Minto! Ukłękła obok mnie.

— To straszne! Tych robotników powinno się zabić!

— Jak ją zniemiemy ze schodów? — spytała Nora.

— Nie będziemy jej ruszać, póki nie przyjdzie doktor Hunter — rzekła Lucie.

— W tej wieży dzieje się coś bardzo dziwnego — powiedziałam drżąc.

— Co? — spytała Lucie.

— Coś... złego.

— Mówisz jak posługaczka — ucięła rozmowę.

Lucie nie znosiła „głupich wymysłów”. Praktyczna jak zwykle, przyniosła poduszkę oraz koce i obie siedziały przy mnie, póki nie przyszedł doktor Hunter.

Pozwolił mi wstać.

— Kości całe — rzekł.

Patrzył z dezaprobatą na nadwreżoną balustradę.

— Jak można było dopuścić do czegoś takiego!

— Wałą tymi młotkami od tygodni — dodała Lucie. — Powinniśmy byli pomyśleć, że coś takiego może się wydarzyć. Takie stare budowle, gdy się je zacznie nagle opukiwać... W każdym razie koty muszą się przenieść na dół. Przyślę Evans, żeby je zaniosiła do stajni.

— Może pani pójść do pokoju — orzekł doktor Hunter. — Myślę, że parę dni odpoczynku dobrze pani zrobi... dla pewności. I nogi wyżej, zgoda?

— Dopilnuję tego — powiedziała Lucie stanowczo.

* * *

A więc nic się nie stało. Lecz dwie noce później miałam sen. Byłam w wieży i nagle ogarnął mnie śmiertelny strach. Rozejrzałam się, ale niczego nie mogłam dojrzeć. Coś tam jednak było — coś bez twarzy usiłowało wypchnąć mnie za balustradę.

Obudziłam się przerażona i przez parę chwil zdawało mi się, że rzeczywiście jestem w wieży. Wreszcie zdałam sobie sprawę, że leżę w ciepłym, wygodnym łóżku. Byłam sama. Stirling sypiał teraz w innym pokoju. Powiedział, że tak będzie lepiej dla dziecka.

Leżałam i rozpamiętywałam tamto popołudnie, kiedy wspinając się po schodach, miałam wrażenie, że ktoś idzie za mną. Strach, który wtedy czułam, był taki sam jak strach z mojego snu. Wtedy Maud pojawiła się w porę. Ale przypuśćmy, że by jej tam nie było. Trzymałam się kurczowo balustrady, a owa zła siła była tuż — tuż... Oto, pomyślałam, przykład nonsensownych fantazji ciężarnej kobiety, która ma taką obsesję na punkcie obrony nie narodzonego dziecka, że aż sobie wyobraża, iż ktoś próbuje ją zabić. Dlaczego? W jakim celu?

Oprzytomniałam, otrząsnęłam się z koszmaru i roześmiałam sama z siebie. Pierwsza przygoda była czystą imaginacją, druga — mogła przydarzyć się każdemu. Nie było powodu, by ktokolwiek chciał mi zrobić krzywdę.

Wkrótce jednak okazało się, że powód mógł istnieć.

* * *

Czas żałoby minął i Stirling postanowił wydać bardzo eleganckie przyjęcie, wystawniejsze niż to w Boże Narodzenie.

Galeryjki dla bardów nie używano od lat, poszłam więc na górę z dwiema pokojówkami, żeby zobaczyć, czy wszystko jest w porządku. Dopiero po pewnym czasie zorientowałam się, że z broszy, która kiedyś należała do matki, wyleciał mi kamień. Pomyślałam, że mogłam go zgubić na galeryjce i być może tam go znajdę. Niższa część drewnianej konstrukcji osłonięta była falbanami z czerwonego aksamitu, wyżej wisiały ciężkie zasłony, które odsuwało się, gdy muzykanci grali. Chodziłam właśnie na czworakach, szukając kamienia, niewidoczna z dołu, schowana za aksamitną falbaną, gdy ktoś wszedł do holu. Już miałam się wyprostować, gdy usłyszałam Stirlinga, który głosem jakiego nigdy u niego nie słyszałam, zawołał:

— Noro!

— Przyszłam zobaczyć się z Mintą — powiedziała Nora.

Wstałam, ale mnie nie widzieli i zanim zdołałam otworzyć usta, Stirling powiedział:

— Muszę z tobą porozmawiać, Noro. Nie wytrzymam tego dłużej.

— Czy nie powinienes być o tym pomyśleć, zanim poślubięś Dom Białych Dam? — odpowiedziała gniewnie.

Należało się odezwać, ale wiedziałam, że tylko wtedy, gdy nie będą świadomi mojej obecności, mogę się dowiedzieć czegoś bardzo dla mnie ważnego. Zaczęłam bezwstydnie podsłuchiwać. Ukłękłam nawet, by mnie nie dostrzegli.

— O, Boże! Gdybym mógł to cofnąć.

Omam nie rozpoznawałam jego głosu, do którego przywykłam, tak był zmieniony.

— I co wtedy? Słuchałbyś moich rad? Uznałbyś, że małżeństwo dla załatwienia dawnych porachunków to szaleństwo? — naigrawała się z niego.

Położyłam dłoń na sercu. Jakże głośno biło! Dowiem się czegoś przerażającego, jeśli nie podniosę się natychmiast i nie powiem im, że tu jestem. Ale nie mogłam. Musiałam wiedzieć.

— Noro! — powiedział. — Noro, naprawdę dłużej tego nie wytrzymam. I jeszcze grozisz, że odjedziesz. Jak możesz? Jesteś bez serca.

— Bez serca! — W jej śmiechu zabrzmiało okrucieństwo. — Bez serca... jak ty, kiedy się żeniłeś. Jak, twoim zdaniem, czułam się wtedy?

— Wiedziałaś, że tak musiało być.

— Musiało! — Teraz w jej głosie była pogarda. — Mówisz, jakbyś rzeczywiście działał pod przymusem.

— Wiesz, dlaczego...

— Żbik nie żyje — powiedziała. — I tamta sprawa umarła razem z nim. Wyjeżdżam do Australii. To jedyne wyjście. Wybrałaś to małżeństwo.

— Noro, nie wyjeżdżaj. Nie zniosę tego.

— A jeśli zostanę?

— Znajdę jakieś rozwiązanie. Przysięgam, znajdę.

— Nie zapominaj, że twoje dzieci mają się bawić na trawnikach Domu Białych Dam. Jak to przeprowadzisz? Myślałaś, że to będzie takie łatwe. „Złoty” milioner miał tylko doprowadzić tych ludzi do bankructwa.

— To stało się wcześniej.

— I obawiam się, że wiemy, jakim sposobem. Nie ma się czym szczyścić. Tyle że w rezultacie nic to nie dało. Tylko rodzina może dziedziczyć ten dom... więc musiałaś wżenić się w rodzinę — zaśmiała się gorzko. — Wszystko dla tych kamieni, dla tych murów. Wyśmiałyby nas, gdyby umiały się śmiać. Nie. Jadę do Australii. Napisałam do Adelajdy. A ty... jak sobie pościeliłeś, tak się wyśpisz, Stirling.

— Kocham cię, Noro. Ty też mnie kochasz, nie zaprzeczaj.

Nora milczała.

— Nie możesz zaprzeczyć — wykrzyknął. — Zawsze tak było. Wtedy, podczas pożaru...

— Pozwoliłeś, żebym wyszła za Żbika — powiedziała.

— Ale to był... Żbik.

— Och, tak — powiedziała bez mała zjadliwie — twoje bóstwo.

— Twoje także, Noro.

— Gdybyś mnie kochał...

— Wy dwoje byliście dla mnie najważniejsi na świecie. Oczywiście że cię wtedy kochałem, i gdybyś ty kochała mnie na tyle, aby...

— Wiem — powiedziała niecierpliwie — ale to był Żbik wtedy i to jest Żbik — teraz. Nie możemy przed nim uciec. Umarł, ale żyje nadal. Miałeś jednak wybór. Kiedy okazało się, że nie możesz tego domu kupić, mogłeś wrócić ze mną do Australii. Mogliśmy też zostać tutaj. Mnie było wszystko jedno, bylebyśmy...

— Bylebyśmy byli razem — rzekł triumfalnie.

— Za późno. Jesteś żonaty. I będziesz żonaty. — W jej głosie znów zabrzmiała nuta okrucieństwa. — Masz zobaczyć, jak twoje dzieci będą bawiły się na trawnikach tego domu. Pamiętasz?

Mówiła tak, jakby go nienawidziła, lecz ja wiedziałam, jak głęboko ją zranił. Och, dobrze wiedziałam! W ciągu tych paru minut wszystko nabrało kształtów. Jego ojciec zdominował nasze losy — człowiek, który kiedyś mieszkał w tym domu i który został tu głęboko skrzywdzony. Wspaniały, silny człowiek. I choć już nie żył, wciąż miał wpływ na nasze życie.

— Za późno. Sam wybrałeś.

— Nie może być za późno — powiedział Stirling. — Zawsze jest jakieś wyjście i ja je znajdę, Noro. Przysięgam. Przrzeknij, że będziesz cierpliwa.

— Cierpliwa? O czym ty mówisz? Jesteś żonaty. Ożeniłeś się z Domem Białych Dam. Ten wspaniały, cudowny, niepowtarzalny stary dom jest twoją oblubienicą. Nie możesz po prostu wstać i wyjść.

— Noro!

— Mam swoje plany. Im prędzej wyjadę, tym lepiej.

— I myślisz, że będziesz tam szczęśliwa... bez niego... beze mnie?

— Nie myślę o szczęściu, tylko o wyjeździe.

— Nie pozwolę na to. Musi być wyjście. Przrzekam, że znajdę wyjście. Tylko nie jedź, Noro... nie jedź.

Znów się roześmiała. Jakaż potrafiła być okrutna!

— Krzyczysz. Zaraz cały dom dowie się o wszystkim. Drzwi zamknęły się z hałasem. Wyjrzałam spod falbany;

Stirling był sam. Ukrył twarz w dłoniach, jakby nie chciał patrzeć na hol, na podest, na obite tkaninami ściany, na wysokie sklepienie — na to wszystko, co czyniło ten piękny stary dom godnym największego poświęcenia — nawet poślubienia mnie — byleby wejść w jego posiadanie.

* * *

Zostałam na galerii, póki Stirling nie wyszedł. Kolana mi zeszywniały. Zapomniałam o zgubionym klejnocie. Zrozumiałam wszystko. Powinnam była dostrzec to wcześniej — jego niespodziewane oświadczenia, gdy się zorientował, że nie ma innego sposobu na zdobycie domu, to że kochał się ze mną, jakby wypełniał powinność, przygnębienie, gdy Nora obwieściła swój wyjazd. Wszystko zaczęło się układać w logiczną całość.

Żałowałam, że nie jestem tak doświadczona jak Nora. Wiedziałyby wtedy, co robić. Chciałam się komuś zwierzyć. Gdyby Nora nie była w to zamieszana, wybrałabym ją. Może Lucie. Byłam niezdecydowana. Lucie podejrzliwie patrzyła na ten związek od samego początku. Lucie była mądra i mnie kochała.

Wróciłam do swojego pokoju. Czułam się wciąż nieco oszołomiona. Nie powinnam była podsłuchiwać. W takich sytuacjach rzadko słyszy się o sobie coś dobrego. Wiele razy mi to powtarzano.

Bella ocierała się o moje nogi, a kociak, którego zatrzymałam, bawił się sznurem stopy. Myślałam o dniu, kiedy w wieży zawaliła się balustrada... a potem o dniu, kiedy wydawało mi się, że ktoś za mną idzie, i zadźwięczał mi w uszach głos Stirlinga: „Znajdę wyjście”.

— Nie — powiedziałam — bzdury. Nie to miał na myśli.

Ale skąd mogłam wiedzieć, co miał na myśli? Co ja o nim w ogóle wiedziałam — czy raczej, co o nim wiedziałam do tej pory? Teraz wiedziałam przynajmniej, że ożenił się ze mną, by wypełnić jakieś śluby związane z Domem Białych Dam. Wiedziałam, że był zdolny do oszustwa, podstępu, udawania miłości do mnie — tylko po to, żeby osiąść mój dom. Wiedziałam, że kocha inną kobietę i szuka sposobu, jak zerwać małżeństwo ze mną i poślubić tamtą.

Jakiego sposobu? — pytałam samą siebie i jakiś wewnętrzny przerażający głos mówił: „To się już prawie stało w wieży. Balustrada... i ten drugi wypadek”. Starałam się nie myśleć, że to on skradał się potajemnie po schodach, że schwyciłby mnie i wyrzucił z wieży. To tylko wyobraźnia. Wyobraźnia? Czyż nie słyszałam, jak coś się ruszało? Czyż nie wyczuwałam, że stanie się coś złego? Raz uratowała mnie Nora. Ona przynajmniej nie należała do spisku... jeśli był jakiś spisek. Nie mogłam jednak uwierzyć, żeby Stirling...

Pulsowało mi w głowie, nie mogłam jasno myśleć. Nie wiem, dlaczego poszłam do pokoju Lizzie, ale poszłam.

— Dobrze się panienka czuje? — spytała.

— Boli mnie głowa.

— Kobiety w tym stanie czasami mają bóle głowy.

— Opowiedz mi o tym artyście, który kiedyś uczył mamę rysunku.

— Pan Charles Herrick — powiedziała wolno. — Teraz panienka jest panią Herrick i jest jeszcze jedna pani Herrick w Domu Bławatnika. A niedługo przyjdzie na świat kolejny mały Herrick.

— Jaki on był?

— Taki jak pan Herrick panienki, choć inny. Takiego samego nie ma. Tamten był ponad wszystko. Można było pomyśleć, że to on był tu właścicielem. Matka panienki prawie go czciła.

— I ty także, Lizzie.

— Tak — przyznała. — A on nie miał nic przeciwko temu, powiem panience.

— Kochał moją matkę.

— Kochał ją za to, co reprezentowała. Był dumny i biedny. Widział siebie w roli pana tego domu.

— No i?

— I zaczęło się piekło. Powiedziano mu: „Wynoś się!”, więc poszedł, ale wrócił po twoją matkę. Chcieli uciec. Lizzie zaczęła się śmiać.

— Wspiął się po drabinie. A ona już na niego czekała. Dała mu klejnoty. Miała parę wartościowych rzeczy. Włożył je do kieszeni, a tu... wpadli do pokoju i go złapali. Wtedy widzieliśmy go po raz ostatni.

— Ktoś ich wydał.

— Tak — odrzekła z chytrym uśmieszkiem.

— Ty, Lizzie, prawda?

Jej twarz zmarszczyła się.

— A więc wiesz! — zawołała. — Twoja matka wiedziała. Powiedziałam jej tej nocy, gdy umarła. Dostała szoku, który ją zabił. Nigdy by mi nie wybaczyła, gdyby żyła. Była na mnie wściekła. Powiedziała mi, że całe jej życie powinno być inne. Powinna była z nim uciec. Nigdy by wtedy nie pojechał do Australii.

— Ale on pojechał i uczynił śluby... i z tego powodu, Lizzie, przez ciebie...

Wysłałam z pokoju, pozostawiając ją patrzącą przed siebie pustym wzrokiem.

Czułam się oszołomiona, nie wiedziałam, co robić.

* * *

Nie zeszłam na obiad, bo nie mogłam na nikogo patrzeć. Zajrzała do mnie Lucie.

— Co się stało, Minto?

— Źle się czuję.

— Moja droga, cała drżysz. Przyniosę ci butelkę z ciepłą wodą.

— Nie, Lucie. Usiądź i porozmawiaj ze mną.

Usiadła, a ja zaczęłam mówić. Komu mogłam się zwierzyć? Kto był mi bardziej życzliwy niż Lucie? Kto przez tyle lat był mi bliższy od matki? Opowiedziałam jej, co usłyszałam ukryta na galeryjce.

— Wiem, Lucie, on kocha Norę. Ożenił się ze mną dla Domu Białych Dam.

Lucie zastanawiała się przez kilka chwil:

— Nora wyjedzie do Australii. Ty i Stirling będziecie żyli dla siebie. To będzie kompromis, jak to zwykle w małżeństwie.

— Nie — powiedziałam. — On ją kocha i nie będzie mógł o niej zapomnieć. Jest między nimi silna więź — po części nienawiść, po części miłość. Nora go nienawidzi i zarazem kocha. Nienawidzi go, bo ją zranił, żeniąc się ze mną. Leżę więc teraz i zastanawiam się, co robić.

— Minto, drogie dziecko, najlepsza rzecz, jaką możesz zrobić, to nie robić nic. Takie przypadki się zdarzają. Stirling jest twoim mężem, a ty spodziewasz się dziecka. Nora pojedzie do Australii. Zobaczysz, za parę lat on o niej zapomni i ty także.

— Nie pozwoli jej wyjechać — upierałam się. — Tak powiedział.

— Różne rzeczy się mówi. Zresztą on nie ma nic do gadania. Nora to mądra, doświadczona kobieta. Wie, że nic się nie da zrobić. Ty jesteś jego żoną. Gdy Nora wyjedzie, on może trochę pocierpi, lecz czas leczy wszystko. Pogodzi się z losem. A ty możesz dać mu tak wiele.

— Nie, nie. Myślałam, jak powinnam postąpić. Myślałam nawet, żeby odejść.

— Dokąd?

— Nie zastanawiałam się dokąd.

— Rozsądku ci nie zbywa. Zostaniesz tutaj, a ja będę się tobą opiekować.

— Ale ja naprawdę myślałam, żeby iść... dokądś. Nawet zaczęłam pisać do niego list. — Podeszła do biurka i wzięła leżący tam arkusz papieru. — Napisałam w nim:

„Mój drogi, byłam na galeryjce dla muzykantów, gdy rozmawiałeś z Norą. Wiem, że ją kochasz, i wydaje mi się, że mogę zrobić tylko jedno: usunąć się...”

Nie napisałam nic więcej, bo chciałam się zastanowić, co począć.

Lucie ze złością wrzuciła papier do kosza i podeszła do łóżka.

— Jesteś przemęczona — powiedziała. — Będę o ciebie dbać i zapewniam cię, że po pewnym czasie to wszystko nie będzie miało dla ciebie żadnego znaczenia. Widocznie aż tak bardzo jej nie kochał, skoro ożenił się z tobą.

— Wspaniała z ciebie pocieszycielka, Lucie, ale...

— Zaufaj mi. Zostań teraz w łóżku, jeśli nie chcesz nikogo widzieć. A ja pójde po doktora Huntera, zgoda?

— Doktor Hunter nic tu nie pomoże.

— Owszem, pomoże. Da ci coś na sen, bo teraz potrzebujesz snu. Powiem wszystkim, że dzisiaj odpoczywasz, bo jeszcze nie doszłaś do siebie po upadku w wieży.

Zadrżałam. Nie śmiałam powiedzieć nawet Lucie o okropnym podejrzeniu, które mną owładnęło. Jednak rozmowa z nią dobrze mi zrobiła. Lucie wyszła, a ja leżałam, usiłując przekonać samą siebie, że to ona ma rację, co — jak się okazało — było żalonym błędem.

* * *

Zostałam w łóżku przez resztę dnia. Lucie przyniosła tacę z kolacją, ale nie tknęłam ani pieczonego kurczaka, ani sera, ani owoców. Niestety, nie zastała doktora Huntera, który wyszedł do chorego, a niemądra pani Devlin wyglądała na podpitą. Lucie zostawiła jednak wiadomość, żeby doktor przyszedł do mnie rano, a co do tabletek, to mogłam wziąć jedną z tych, które zostawił po wypadku w wieży, a ona przysła mleko, żebym ją miała czym popić.

— Nawet nie spróbujesz kolacji? — spytała.

— Nie mogę, Lucie!

Koło dziewiątej przysłała na górę Lizzie z gorącym mlekiem i herbatnikami. Lizzie wyglądała na przygnębioną — najwyraźniej miało to związek z jej przedpołudniowym wybuchem. Moje uczucia do niej nie mogły już być takie jak dawniej. Jej czyn miał niewyobrażalnie wielki wpływ na życie nas wszystkich. Spojrzałam z niesmakiem na mleko i odwróciłam się. Postawiła je na stoliku nocnym.

Zamknęłam oczy i musiałam się zdrzemnąć, bo nagle się ocknęłam. Serce waliło mi jak młotem — ktoś stał przy łóżku. To był Stirling. Nie mogłam na niego patrzeć, wolałam udawać, że śpię. A on stał, przyglądając mi się uważnie.

Zastanawiałam się, o czym myśli. Może o tym, żeby chwycić poduszkę i mnie udusić? Nie miałabym nic przeciwko temu. Czy można kochać człowieka, którego się podejrzewa o próbę popełnienia morderstwa? Nora kochała go i nienawidziła zarazem. Ja go kochałam i podejrzewałam, że chciał mnie zabić. Jakże skomplikowane są ludzkie uczucia!

Po chwili wyszedł. Leżałam i wciąż te same myśli krążyły mi po głowie. Nagle przeraził mnie jakiś ruch przy oknie. Usiadłam gwałtownie na łóżku, strącając szklanekę z mlekiem. Spod okna przybiegło kociątko, a za nim Bella. Domyśliłam się, że to zabawa ze sznurem story mnie obudziła. Kotek poczuł mleko i zaczął hałaśliwie chleptać. Wspólnie wylizały mleko do czysta. Bella, pomrukując, wskoczyła na łóżko. Głaskałam ją, lecz po chwili uciekła, a ja jeszcze długo leżałam rozmyślając, aż w końcu wyczerpana zasnęłam.

Lizzie weszła do pokoju o ósmej trzydzieści. Zwykle o tej porze już byłam na nogach.

— Jaśnie pani przysłała mnie, żebym spytała, jak się panienka czuje.

— Jestem zmęczona — powiedziałam — zostaw mnie samą. Nie odsłaniaj okien.

Potem zajrzała Lucie.

— Chciałam tylko zobaczyć, jak się czujesz — powiedziała. — Nie będę ci przeszkadzać. Odpoczynek to najlepsze lekarstwo.

Koło pół do jedenastej ktoś delikatnie zapukał do drzwi. To była Mary, pokojówka.

— Przyszła pani Herrick. Chce panienkę odwiedzić. Nora! Serce zabiło mi niespodzianie. Chciałam zobaczyć się z Norą, porozmawiać z nią, a nawet przemyślałam, czy mogłabym jej

powiedzieć, że wszystko słyszałam. Zawsze czułam potrzebę zwierzenia się Norze. Ale jak mogłam to zrobić w tej sytuacji?

Usłyszałam własny niepewny głos:

— Poproś, żeby weszła na górę.

— Czy mam odsłonić okna?

Zawahałam się.

— N... nie. Jeszcze nie.

Miałam nie uczesane włosy, chciałam się umyć, doprowadzić do porządku, nim wejdzie. Ale już było za późno. Pokojówka wyszła i wróciła z Norą.

Nora, ubrana w szary strój do konnej jazdy, wyglądała elegancko i światowo. Miała łagodną twarz. Wiedziałam, że było jej przykro z powodu mojego małżeństwa ze Stirlingiem nie tylko dlatego, że ona nie mogła wyjść za niego. Było jej przykro, bo zdawała sobie sprawę, że i ja mogę być nieszczęśliwa.

— Ooo, odpoczywasz jeszcze — powiedziała. — Słyszałam, że nie czujesz się najlepiej.

— Nie czułam się dobrze wczoraj, a od czasu tamtego wydarzenia w wieży doktor Hunter radzi mi dużo odpoczywać.

— Myślę, że ma rację.

Delikatne światło przedostawało się przez zasłony. Nora przysunęła krzesło bliżej łóżka.

— Pomyślałam, że cię odwiedzę — powiedziała — bo nie będzie już wielu okazji.

— Jesteś zdecydowana nas opuścić?

— Tak, zdecydowałam się ostatecznie.

— Będzie mi ciebie brakowało. A Stirling... — głos mi zadrżał.

— Zawsze sądziłam, że powinnam wrócić — powiedziała szybko.

— Musiałaś być tam bardzo szczęśliwa. Ściągnęła brwi i powiedziała:

— Tak. Zdaje się, że nie możesz się już doczekać dziecka.

— Tak.

— I Stirling też.

Dzieci bawiące się na trawnikach Domu Białych Dam, pomyślałam.

— Oczekiwanie bywa nieprzyjemne — powiedziałam. — Franklyn będzie za tobą tęsknił.

— Nie minie rok, a o mnie zapomnicie... wszyscy.

Potrząsnęłam głową. Bardzo chciałam wyraźnie widzieć jej twarz. Dobrze skrywała uczucia, ale pomyślałam, że musi być równie nieszczęśliwa jak ja.

— Ciemno tu — powiedziałam.

— Odsłonić?

Wstała i podeszła do okna. Usłyszałam stłumiony okrzyk. Patrzyła na podłogę. Pośpiesznie rozsunała story i znów spojrzała na podłogę.

— Co to? — wykrzyknęłam.

— Bella i kociak...

Wyskoczyłam z łóżka. Z przerażenia nie mogłam złapać tchu.

Koty leżały w nienaturalnej pozycji. Nie żyły. Uklękałam obok nich. Nie miałam odwagi dotknąć ślicznych małych ciałek, które tak kochałam.

— One nie żyją — powiedziała Nora. — Co to może być, Minto?

Wiedziałam. Pamiętałam mleko kapiące na podłogę i Stirlinga stojącego przy moim łóżku.

— W mleku była trucizna — powiedziałam całkiem spokojnie. — Oczywiście przeznaczona dla mnie.

Zaczęłam się śmiać. Nie mogłam się opanować.

— Nie pisana mi śmierć! Najpierw Maud... potem ty, teraz koty.

Złapała mnie za ramiona i potrząsnęła mną:

— O czym ty mówisz? — spytała. — O czym ty mówisz? Opanuj się, na miłość boską! Nie dotykaj kotów. Nie wiadomo co to było. Pomogę ci wrócić do łóżka. Pamiętaj o dziecku.

Zaprowadziła mnie do łóżka.

— Prosta sprawa, Noro — mówiłam. — Ktoś próbuje mnie zabić. Były już inne próby. Ale widać przeznaczone mi życie.

Była blada jak ściana.

— Nie wierzę — powiedziała. — Nie wierzę.

Mówiła to tak, jakby chciała przekonać samą siebie. Wiedziałam, co się działo w jej umyśle. Słyszała przecież, jak powiedział: „Znajdę sposób”.

— Nie... nie... to nieprawda — szeptała do siebie.

— Noro — powiedziałam. — To się w końcu uda, prawda?... za którymś razem...

— Musisz uciekać z... z tego domu. Nie zostawię cię tutaj. Pojedziesz do mnie. Tam porozmawiamy... zastanowimy się...

Myślałam: idź z nią. Lecz to przez nią on chce się pozbyć ciebie. On pragnie Nory i Domu Białych Dam. Mam więc z nią iść? Ale raz mnie przecież ocaliła.

— Co oni powiedzą, jak pójde do ciebie? — pytałam. — Co powie Stirling?

— Musimy go ratować... i ciebie.

Zdawała się mówić do siebie. Obie myślałyśmy o tym samym.

Ktoś zapukał do drzwi. Nora spojrzała na mnie z przestachem. Weszła pokojówka.

— Przyszedł doktor Hunter, panno Minto. Jest już na górze. Doktor Hunter pojawił się za jej plecami i wszedł do pokoju.

— Lady Cardew powiedziała, żebym wpadł i obejrzał panią — rzekł.

Przyglądał się nam ze zdziwieniem.

— Czy coś się stało?

Czekałam, aż Nora mu wyjaśni. Usłyszałam, jak mówi:

— Jesteśmy zaniepokojone, doktorze. Proszę zobaczyć koty.

Poprowadziła go pod okno. Doktor przyklęknął, by obejrzeć Bellę i kotka. Gdy się podniósł, jego twarz była szara jak popiół.

— Jak to się stało? — spytał.

— Wypiły mleko przeznaczone dla Minty — powiedziała Nora. — Czy one są otrute?

— Możliwe.

— Co mamy zrobić?

— Wezmę stąd koty.

— Zaproponowałam, że zabiorę Mintę do siebie.

— To świetny pomysł — rzekł doktor i zwrócił się do mnie: — Proszę się szybko ubrać i wyjść z domu jak gdyby nigdy nic. Proszę iść z panią Herrick do Domu Bławatnika i nie ruszać się stamtąd, póki nie przyjdę.

Wyszedł, zabierając koty. Ubrałam się pośpiesznie, owinęłam płaszczem i poszłam za Norą.

Nora

Rozdział 1

Nigdy nie zapomnę drogi do Domu Bławatnika, tych myśli, które kłębiły się w mojej głowie. Stirling próbował zamordować żonę. To więc miał na myśli mówiąc, że znajdzie wyjście. Dlaczego nie wróciłam do Australii przed kilkoma miesiącami! Powinnam była wyjechać natychmiast po ich ślubie.

Mój umysł buntował się przeciw temu straszemu podejrzeniu, ale zaraz przypominał mi się tamten koszmarny dzień, który wrył się na zawsze w moją pamięć, dzień kiedy napadł mnie Jagger, kiedy z nim walczyłam, kiedy zjawił się Żbik i go zastrzelił. Zabił człowieka, który ośmielił się sięgnąć po to, co on uważał za swoje, nie dlatego, że Jagger usiłował mnie zgwałcić. Nigdy nie zapomnę biednej małej Mary, która cierpiała przez Jaggera: gwałt na niej został zlekceważony. Stirling był synem Żbika. Obaj byli bezlitośni. Życie miało dla nich niewielką wartość — to znaczy życie innych ludzi. Stirling postanowił zdobyć Dom Białych Dam, a teraz uznał, że cena była za wysoka, i chciał zacząć życie od nowa. Żeby to zrobić, musiał się pozbyć Minty. Nie, Stirling, myślałam, nie, Żbiku! Oto dokąd was zaprowadziła żądza zemsty.

Namówiłam Mintę, by wsiadła na mojego konia, a ja prowadząc go, szłam obok. Biedna dziewczyna była bliska załamania. Nic dziwnego! Cudem uniknęła śmierci — i to nie pierwszy raz, bo byłam przekonana, że parapet, który się rozpadł, był przygotowaną pułapką.

Zawołałam jednego z chłopców stajennych, żeby zajął się koniem, i zaprowadziłam Mintę do domu. Siadłyśmy w salonie, patrząc na siebie bezradnie.

— Noro — spytała — co ty o tym myślisz?

Nie zniosłabym rozmowy o moich podejrzeniach, powiedziałam więc, że koty mogły zdechnąć z powodu jakiejś dziwnej choroby. Zwierzęta zapadały przecież na różne zagadkowe schorzenia, o których wiedziano bardzo niewiele. Zaczęłam opowiadać o zwierzętach z dzieciństwa i o różnych rzeczach, które im się przydarzyły. Ale nie w głowie nam było to, o czym mówiłyśmy. zaproponowałam, że zrobię herbatę, a Minta chciała mi pomóc. Trzeba było czymś się zająć. Powiedziałam, że powinna zostać u mnie. Nie mogłam jej spuszczać z oka. Byłam przerażona tym, co mogło się przydarzyć.

Ona zaś wykazywała zaskakującą obojętność. Minione wypadki wstrząsnęły nią i może dlatego sprawiała wrażenie, jakby ją nic nie obchodziło. Szczerze jej współczułam. Zazdrościłam jej, że miała urodzić dziecko Stirlinga, lecz nade wszystko pragnęłam ją chronić.

Wypiłyśmy herbatę. Minęło południe. W Domu Białych Dam pewnie się zastanawiano, gdzie Minta się podziewa, choć jedna z pokojówek widziała, jak wychodziłyśmy, a ja nawet mruknęłam coś o pani Herrick, która jedzie ze mną do Domu Bławatnika.

O pierwszej w południe przyszła Lucie. Włosy miała potargane przez wiatr. Musiała w pośpiechu wyjść z domu, gdy zobaczyła, że Minty nie ma w pokoju.

Na widok Minty na jej twarzy pojawił się wyraz ulgi.

— Och, Minto, moja droga, zastanawiałam się, co się stało.

Objęły się i Lucie spytała:

— Dlaczego nie powiedziałas, że wychodzisz? Myślałam, że jesteś u siebie.

— Nora przyszła mnie odwiedzić i zabrała mnie tutaj.

— Ale nie jadłaś śniadania ani...

— Byłyśmy dość zdenerwowane — powiedziałam — znalazłyśmy martwe koty.

— Koty?... Jakie koty?

— Belle i kociaka. — Usta Minty drżały. — Leżały na podłodze obok okna... miały sztywne, dziwnie wyglądające ciała. To było okropne.

— Koty?! — powtórzyła Lucie zdumiona.

— Doktor Hunter je zabrał — wyjaśniłam.

— Powiedzcie mi, proszę, o co tu właściwie chodzi!

Nie chciałam, żeby wiedziała. Wkrótce będzie w tej sprawie dochodzenie, myślałam, i wszystko wyjdzie na jaw. Och, Stirling, jak mogłeś? Jak mogłabym cię kochać po czymś takim?

— Myślę, że doktor wolałby, żebyśmy teraz o tym nie mówiły — powiedziała po prostu Minta i zwróciła się do mnie: — Ale Lucie możemy powiedzieć. Wiesz, to mleko, które było w moim pokoju... nie wypiałam go.

— Jakie mleko?

— Przysłałaś mi mleko do pokoju. Powiedziałaś Lizzie, żeby mi je przyniosła, prawda?

— Ach, tak. Przypominam sobie.

— Nie wypiałam go. Wylało się, wypily je koty. I zdechły.

— Ale co to ma wspólnego z mlekiem?

Mówiła tak rzeczowym tonem, że moje lęki nieco osłabły. Ulżyło mi. Pomyślałam: wyobrażamy sobie różne rzeczy... obie. Śmierć kotów nie ma oczywiście nic wspólnego z mlekiem.

— A więc koty zdechły — ciągnęła Lucie — i to cię wyprowadziło z równowagi. Słyszałam, że niektórzy gospodarze powykładali trutki na lisy, które buszują po kurnikach. Bella wciąż się kręciła po wsi.

Spojrzałam na Mintę. Na jej twarzy też malowało się uczucie ulgi.

Lucie zaś mówiła dalej:

— Co wspólnego, waszym zdaniem, miało z tym wszystkim mleko?

— Sądziłyśmy, że coś nie tak było z mlekiem — powiedziałam — i że ponieważ je wypily...

Lucie wyglądała na zaskoczoną.

— Myślicie, że mleko było zatrute? Ale kto, u licha... Doprawdy, co się z wami dzieje?

— Rzeczywiście, masz rację. Koty otruły się czymś, co zjadły gdzieś we wsi. To jasne.

— Czy to herbatę macie w dzbanku? — spytała Lucie — Chętnie się napiję.

— Już wystygła, ale posłę po świeżą.

— Dziękuję. A potem możemy wracać, Minto. Musisz bardziej na siebie uważać. Co też ci przychodzi do głowy!

Zadzwoiłam, by przyniesiono herbatę. Nalewałam ją właśnie, gdy usłyszałyśmy odgłos kół najeżdżającego powozu. Weszła Mabel i powiedziała, że przyjechał doktor Hunter.

— Doktor Hunter! — wykrzyknęła Lucie. — A co on tutaj robi?

Powiedziałam Mabel, by go wprowadziła. Ku mojemu zdziwieniu był z nim Stirling. Lucie podniosła się z krzesła i zapytała:

— A to co?

— Przyszedłem z panią porozmawiać i chcę, żeby to, co muszę powiedzieć, usłyszeli wszyscy. Muszę mieć świadków. Powinienem był zacząć mówić, zanim to się stało.

— Chodzi o koty? — spytała Lucie.

Spojrzałam na Stirlinga, ale z jego twarzy nie mogłam nic wyczytać.

— Koty zostały otrute — rzekł doktor.

— Zjadły coś we wsi? — spytałam z potwornym lękiem w sercu.

— Zacznę od początku — powiedział doktor. — Sprawa zaczęła się dawno temu — zaczerpnął tchu — i ja w dużym stopniu ponoszę za to odpowiedzialność.

— Czy nie powinien pan się dobrze zastanowić, zanim pan coś powie? — spytała Lucie łagodnie.

— Długo się zastanawiałem. Chcę powiedzieć prawdę. Chcę powiedzieć to, co powinienem był powiedzieć dawno temu. Wtedy, gdy umarła lady Cardew.

— Myślę, że nie powinien pan tego mówić, doktorze — powiedziała Lucie bardzo spokojnym głosem. — Może pan żałować.

— Mogę tylko żałować, że nie mówiłem o tym wcześniej.

Nie patrzył na nią.

— Lady Cardew nie była w rzeczywistości chora. Spotkało ją niegdyś wielkie rozczarowanie i trwała pogrążona w rozmyślaniach o tej sprawie. Zawarła ugodę z życiem, praktykując pewnego rodzaju inwalidztwo. Nie jest to aż tak niezwykle i zdarza się niektórym. Podawałem jej od czasu do czasu placebo. Łykała je wierząc, że lekarstwo jej pomaga. W rzeczywistości była to jedynie zabarwiona woda. I nagle umarła. Powinienem był powiedzieć wówczas prawdę. Umarła na skutek przedawkowania leku nasennego. Ten właśnie lek zniknął z mojej apteczki, a ja byłem przekonany, że przez pomyłkę dałem go jej zamiast placebo. Powinienem był się do tego przyznać, napisałem jednak na świadectwie zgonu, że umarła na atak serca. Zawsze uważała, że ma chore serce, choć w istocie serce miała jak dzwon. Mój postępek jest niewybaczalny. Byłem ambitny. W tamtych czasach marzyłem o specjalizacji. Przyznać się, że przez pomyłkę podałem niebezpieczne lekarstwo zamiast placebo, to byłaby ruina kariery.

— Jest pan głupcem — powiedziała Lucie smutno.

— Ma pani rację. Popatrzył na nią ponuro.

— Radzę panu nie wygłaszać dalej tej głupiej tyrazy, która może tylko prowadzić do nieszczęścia — ciągnęła.

— Ale przynajmniej przywróci mi spokój ducha. Ponieważ to nie ja podałem lady Cardew nieodpowiednie lekarstwo. Zrobił to ktoś inny... ktoś, kto przyszedł do mojego domu pod moją nieobecność, kto przyniósł mojej gospodyni wino i pił razem z nią, aż straciła poczucie rzeczywistości, a następnie ukradł z mojej apteczki lekarstwo.

— Nasz doktor chyba postradał zmysły — powiedziała Lucie.

— W istocie — odparł — lecz teraz je odzyskuje.

— Nie widzicie, że zwariował?

— Nie wydaje mi się — rzekł Stirling.

— Nie chcę tego dłużej słuchać — rzekła Lucie. — To znaczy, jeśli zamierza pan ciągnąć te bzdury, doktorze Hunter.

— Zamierzam mówić, póki nie powiem wszystkiego aż do końca, aż do wypadków dzisiejszego dnia, kiedy odkryłem, że oba koty zdechły od tego samego lekarstwa, które zabiło lady Cardew.

Lucie wstała.

— Pan naprawdę zwariował.

— Wiem, w jaki sposób lekarstwo zostało zdobyte. Dokładnie tą samą metodą. Pani Devlin przyznała, że przyszła pani do niej — tym razem z whisky. Mały prezencik... a może spróbować kapeczkę? Piła, póki nie zasnęła, a wtedy pani wzięła klucze, otworzyła apteczkę, dokładnie tak jak poprzednim razem. Pani Devlin powiedziała mi, że pamięta, jak to było poprzednim razem.

— Nie mam zamiaru dłużej tego wysłuchiwać — powiedziała Lucie. — Wezwiemy innego lekarza. I niech przywiezie od razu kaftan bezpieczeństwa.

Stała u drzwi i patrzyła na nas. Minta spoglądała na nią z niedowierzaniem. Twarz doktora Huntera była nieodgadniona, ale chyba była w niej pewna czułość.

— Lucie — powiedział — potrzebujesz opieki.

Wyszła. Słyszeliśmy szybkie kroki na schodach i trzaśnięcie drzwi.

— To przykra historia — ciągnął doktor — ale musiałem ją opowiedzieć. To koniec... dla nas obojga... Ale przynajmniej unikniemy drugiego morderstwa.

Patrzył na Mintę.

— Dzięki Bogu, że tym razem to się nie udało. Jak państwo wiedzą, Lucie bardzo mi się podobała i poprosiłem ją o rękę. Gdyby za mnie wyszła... sędzę, że wszystko byłoby dobrze. Ale ona była opętana. Wielki dom, tytuł. Jako dziecko zaznała nędzy. Bała się ubóstwa, tęskniła za poczuciem bezpieczeństwa. Wykształciła ją surowa ciotka, która nie potrafiła okazywać uczuć. Lucie została nauczycielką. Wiodła życie pełne niepewności, w każdej chwili mogła stracić posadę i znaleźć się wśród wielu poszukujących pracy. Żyjąc w ciągłym lęku, uległa magii Domu Białych Dam.

Spojrzałam na Stirlinga. Wiedziałam, że myśli o Żbiku.

— Sędzę, że zrazu jej się podobałem. I pewnie wyszłaby za mnie. Ale pomagając sir Hilary'emu, zaczęła zdawać sobie sprawę, jak bardzo go od siebie uzależniła. Zobaczyła możliwości, które ją zafascynowały, i tak narodziła się obsesja. Lucie jest bardzo zdecydowaną kobietą, lecz pragnienie zdobycia Domu Białych Dam zakłóciło równowagę jej umysłu — uległa pokusie. Zrobiwszy jeden fałszywy krok, weszła na niebezpieczną ścieżkę. Zamordowała lady Cardew, stała się kryminalistką i nie wiadomo, do czego jeszcze byłaby zdolna.

— Zamordowała moją matkę — powiedziała Minta. — I chciała mnie zamordować. Dlaczego?

— Została panią Domu Białych Dam, lecz to jej nie starczyło. Dom dziedziczyła Minta. Gdy zmarł sir Hilary, Lucie stała się jedynie rezydentką bez wpływu na decyzje. Nie mogła tego ścierpieć. Gdyby miała syna, sprawy potoczyłyby się inaczej. Ale sir Hilary był stary. A mnie Lucie nadal fascynowała, nie wiedziałem, że popełniła morderstwo. Druscilla jest moją córką.

Milczał przez chwilę.

— Pragnęła syna. Była wściekła, gdy urodziła się Druscilla. Ale nie dawała za wygraną. Chciała mieć syna, który odziedziczyłby Dom Białych Dam. Lecz sir Hilary zmarł, a Minta wyszła za męża. Nie było nadziei — poza Druscillą, którą uważano za córkę sir Hilary'ego. Gdyby tylko Minta nie stała na drodze...

Doktor uniósł ręce w geście bezradności.

— Teraz rozumieją państwo. Oto cała plugawa historia. Przysięgam, że nie uświadamiałem sobie tego, co się działo, póki nie zobaczyłem dzisiaj tych kotów. Wiedziałem, że chce syna, by przez niego rządzić domem. Nie wiedziałem, że dopuściła się zbrodni i że planowała następną. Dopiero dziś wszystkie wydarzenia ułożyły się w całość. Pani Devlin przyznała, że Lucie przysłała wczoraj i przyniosła whisky, i że ona, pani Devlin, wypijała za dużo. Spała całe popołudnie. Gdy zajrzałem dziś do apteczki, spostrzegłem brak lekarstwa... dokładnie tak, jak to miało miejsce poprzednim razem.

Cóż to była za ulga dla mnie! Stirling patrzył na Mintę ze strachem. Jednak ją lubi, pomyślałam. Kto by jej nie lubił.

— Co zamierzacie zrobić? — spytałam.

Nikt nie odpowiedział. Nie musieliśmy podejmować żadnej decyzji.

Nagle twarz Minty skurczyła się od gwałtownego bólu.

— Chyba rodzę — powiedziała.

Nie było czasu na rozmyślania, musieliśmy zająć się Mintą — każdy chciał się do czegoś przydać. Na szczęście był z nami doktor Hunter.

— Myślę, że Minta nie powinna wracać do domu. Niech zostanie tutaj.

Oczyściwszy sumienie z okropnej tajemnicy, przedzierzgnął się w sprawnego fachowca. Poleciłam służącym, by włożyli termofory i butelki z gorącą wodą do łóżka w pokoju przylegającym do mojej sypialni i zaprowadziliśmy tam Mintę.

Wszyscy bardzo się niepokoili, bo dziecka spodziewano się dopiero za trzy tygodnie.

Urodziło się z końcem dnia — choć wcześniak, było śliczne i zdrowe. Wymagało jednak specjalnej opieki i doktor polecił wezwać pielęgniarkę, która miała się zajmować wyłącznie maleństwem. Minta czuła się bardzo słabo. Zdaniem doktora Huntera, dawały o sobie znać przeżycia minionych tygodni, a zwłaszcza silne emocje ostatnich paru dni. Powiedział, że musimy zapewnić Mincie bardzo troskliwą opiekę.

Przyrzekłam, że się o to postaram. Wierzyłam, że jeśli pomogę Mincie wrócić do zdrowia, okupię w jakiś sposób swoją winę. Przecież kochałam jej męża.

Nigdy nie zapomnę wyrazu twarzy Stirlinga, gdy się dowiedział, że ma syna. Wiedziałam, że dziecko będzie nosiło imię Charles, po dziadku, i że musi żyć, aby ziściły się marzenia Żbika.

Cóż to był za nieprawdopodobny dzień! Wszystko, co się wtedy stało, z perspektywy czasu wydaje się snem, czymś zbyt mało realnym, by mogło się zdarzyć naprawdę. Ale zdarzały się już przedtem takie dni w moim życiu i pewnie będą się jeszcze zdarzać.

Lucie zniknęła i nie można było jej znaleźć. Sądziliśmy, że uciekła. Ale ukryła się w wieży. Rano znaleziono jej ciało na kamieniach pod bartyzaną.

Służący mówili:

— Taki straszny wypadek! Mur pękł i lady Cardew runęła w dół.

Rozdział 2

Byłam dumna ze Stirlinga. Podjął się roli pierwszego właściciela ziemskiego w okolicy i spełniał ją tak, jakby nim zawsze był. Lady Cardew nie żyła. Powszechnie sądzono, że to nieszczęśliwy wypadek, który łatwo było wytłumaczyć pracami remontowymi; poruszyły konstrukcję starego domu aż po fundamenty. To było, zdaniem Stirlinga, najlepsze wyjaśnienie, i nikt, kto nie znał prawdy, nie powinien jej poznać. Poprosił, żebym nakłoniła doktora do takiej interpretacji faktów. Istota sprawy niech pójdzie w zapomnienie. Zagrożenie już nie istniało. Lucie nie żyła, nie mogła nikogo skrzywdzić. Doktor Hunter upierał się, że jest winien poważnego niedopatrzienia, które zhańbiło jego profesję. Uważał, że nie godzi się, by wszystko zostało po staremu. W dzień po urodzinach małego Charlesa Stirling i ja odbyliśmy z nim poważną rozmowę.

— Jest pan wspaiałym fachowcem. To dziecko przyszło na świat dzięki pana pomocy, a sam pan wie, jak było trudno. Gdyby nie pan, Minta by umarła, dziecko także. Chce pan zmarnować takie zdolności?

— Są inni lekarze.

— Ale pan już do tego miejsca należy.

— Przyjedzie inny lekarz i ja nie będę potrzebny.

— A co z Maud? — spytałam. — Podoba się panu. I pan podoba się Maud.

— To niemożliwe — rzekł doktor.

— Możliwe! — wykrzyknęłam pełnym oburzenia głosem. — Musi pan przestać tragizować i pomyśleć o Maud. Chce pan ją unieszczęśliwić?

Protestowałam, ale wiedziałam, że dopięłam swego.

* * *

Mijały dni. Dziecko, wciąż bardzo wątłe, wciąż potrzebujące stałej opieki pielęgniarki i lekarza, miało już dwa tygodnie. Były to dwa przedziwne tygodnie. Opiekowałam się Mintą. Macierzyństwo ją zmieniło: wyglądała na starszą i piękniejszą — jej rysy stały się wyraźniejsze, tylko oczy miała zatrważająco smutne.

Franklyn często do nas przychodził. Siedział i rozmawiał z Mintą o majątku i dawnych czasach, wypytywał o dziecko. O ile stosowniejszym byłby dla niej mężem, myślałam. Należeli do tego samego rodzaju ludzi, podobnie jak Stirling i ja byliśmy ulepieni z tej samej gliny.

Stirling przychodził także. Siadywał w pokoju Minty, ale czuli się skrepowani. Ciekawa byłam, czy zdaje sobie sprawę, że Minta podejrzewała go o zamach na jej życie.

Kiedyś Stirling i Franklyn przyszli w tym samym czasie, zostawiłam więc Stirlinga z Mintą i zesłam z Franklynem do salonu na partyjkę szachów.

Usiadłam. Przed oczyma miałam rękę Żbika wyciągającą się ku figurkom, pierścień na jego palcu. Przechowywałam ten pierścień. Niósł z sobą tyle wzruszających wspomnień.

Zanim gra się skończyła, Franklyn spytał niespodziewanie:

— Noro, czy wyjdiesz za mnie za męża?

Odsunęłam się z krzesłem od stołu.

— Nie, Franklynie — powiedziałam stanowczo.

— Szkoda — rzekł spokojnie.

Uśmiechnęłam się, a on spytał, dlaczego się uśmiecham.

— Dość dziwny sposób proponowania małżeństwa, całkiem jakbyś mnie zapraszał na kieliszek sherry.

— Przepraszam — rzekł.

— Nie powinnam była tego mówić.

— Zawsze powinnaś mówić to, co myślisz. Wiem, że nie potrafisz wyrażać swoich uczuć.

— Nawet to w tobie lubię.

— Cieszę się. Bardzo mi się podobasz i miałem nadzieję, że mogłabyś mnie polubić... choć trochę.

— Więcej niż trochę, ale...

— Nie aż tak, żeby wyjść za mnie?

— Jesteśmy zupełnie różnymi ludźmi, Franklynie.

— Czy to uniemożliwia małżeństwo?

— Nie pasowalibyśmy do siebie. Ty jesteś dobry, dokładny, twoje życie jest uporządkowane...

— Moja kochana Noro, przeceniasz mnie.

— Jestem przekonana, że nigdy nie zrobiłbyś niczego, co nie byłoby uzasadnione i powszechnie akceptowane. W pełni kierujesz swoim życiem.

— A czy nie powinno tak być?

— Och, tak. To godne podziwu, ale trudne do stosowania w praktyce. Mogę jedynie powiedzieć, że bardzo się różnimy i nie mogę cię poślubić.

Patrzyłam na niego, ale tak naprawdę go nie widziałam. Widziałam inną twarz — twarz człowieka silnego, namiętnego, który potrafił mną zawładnąć, czego nigdy nie zrobiłby Franklyn. Nawet teraz nie potrafiłam określić swoich uczuć do Żbika. Małżeństwo z nim miało w sobie coś z przymusu. Moje serce rwało się do Stirlinga od pierwszej chwili. Jak ja to pogodziłam z małżeństwem ze Żbikiem?

Franklyn i ja! Minta i Stirling! To nie tak! Żbik — złośliwy bóg — grał i kazał nam tańczyć, aż muzyka ucichła, a my zostaliśmy z niewłaściwymi partnerami.

— Nie, Franklynie — powiedziałam stanowczo. — Nie mogę wyjść za ciebie.

* * *

Dziecko miało się wspaniale. Ale Minta z każdym dniem robiła się mizerniejsza, coraz bardziej wątła.

— Nie ma poprawy — mówił doktor. — Ta apatia!

Żadna z wyszukanych potraw pani Glee jej nie skusiła. Pani Glee była bliska łez, gdy wracały nietknięte do kuchni. Maud przyniosła miód własnej roboty i galaretkę z czarnej porzeczki. Promieniała — doktor się jej oświadczył.

— I został, oczywiście, przyjęty — powiedziałam. Przytaknęła.

— Wszystko mi opowiedział. Zamierzamy zaadoptować Druscillę. Czy to nie wspaniale? I jedynie słuszne. Pan Herrick też tak uważa.

Opowiedziałam to Mincie.

— Wszystko się jakoś układa — mówiłam. — Teraz kolej na ciebie. Musisz jeść, co ci przynosimy, i próbować zainteresować się trochę życiem. Jak tam twój syn?

— Możesz go sobie zabrać.

— Ja?! Jak tylko wyzdrowiejesz, wyjeżdżam do Australii.

— Nie zmieniłaś planów?

Zapewniłam ją, że nie. Wyglądała na bardzo zasmuconą, więc powiedziałam, że za parę lat wrócę, a wtedy będzie już na świecie braciszek albo siostrzyczka naszego małego Charlesa. Potrząsnęła tylko głową.

Poważnie się o nią martwiłam, zaświtała mi nawet w głowie myśl, że ona coś knuje.

Nieczyste sumienie nie dawało mi spokoju, myślałam więc o Mincie bezustannie. Którejś nocy nie mogąc spać, wstałam i poszłam do jej pokoju. Lampka przy łóżku paliła się, jak zwykle, ale poczułam przerażające zimno: okno było rozwarte na oścież. Minta odrzuciwszy pościel leżała w samej koszuli.

Podeszłam szybko do łóżka. Dotknęłam prześcieradła i stwierdziłam, że jest mokre. Pusty dzbanek stał na nocnym stoliku.

Szybko zamknęłam okno i podeszłam do jej łóżka.

— Kto to zrobił? — spytałam.

Podniosłam ją, opatulłam porządnie kocem i posadziłam na krześle. Zdjęłam z łóżka mokre prześcieradło i położyłam świeże. Zagotowałam wodę na maszynie spirytusowej i napełniłam termofory. Gdy kładłam Mintę z powrotem do łóżka, wciąż jeszcze trzęsła się z zimna. Wyglądała na półprzytomną. Majaczyła — gdyby nie to, nigdy bym się nie dowiedziała, jakie myśli kłębiły się w jej głowie.

Usiadłam przy łóżku i słuchałam bezładnych słów. Mówiła o Stirlingu, o sobie i o mnie. A więc wiedziała. Mówiła o dziecku bawiącym się na trawnikach Domu Białych Dam. Jak to sformułowanie mnie prześladowało! I ja miałam tam być, bo jej śmierć to jedyny sposób, by uczynić Stirlinga szczęśliwym.

— Tak trudno umierać — mówiła — ale muszę umrzeć, nie ma innego wyjścia.

Słowo po słowie zebrałam wszystko w całość. Przeraził mnie ogrom jej miłości do Stirlinga — była gotowa dla niego umrzeć!

Podjęłam mocne postanowienie, że będę ją pielęgnować, że przywrócę ją życiu. Stirling na pewno ją pokocha... kiedyś... gdy mnie tu nie będzie.

Gdybyśmy odrzucili wreszcie tę absurdalną, obsesyjną myśl, że jesteśmy sobie przeznaczeni (bo gdyby rzeczywiście tak było, czy pozwolilibyśmy, żeby cokolwiek stanęło nam na drodze?), Stirling potrafiłby być z Mintą szczęśliwy. Może nie byłaby to upajająca namiętność, której ja zaznałam, będąc ze Żbikiem, ale czekałoby ich spokojne życie, Stirling miałby świadomość, że spełnił życzenie ojca.

Po tygodniu Minta zaczęła wracać do zdrowia. Odbyłam z nią poważną rozmowę. Powiedziałam, że wiem, co zrobiła, i że coś takiego nie może się powtórzyć. Niweczenie życia jest bowiem małoduszne.

— A dla dobra innych? — spytała.

— W każdym przypadku — odparłam stanowczo. — Życie dane jest po to, by trwało.

Opowiedziała mi wówczas, jak ukryta na galeryjce dowiedziała się o naszej miłości. Próbowałam sobie przypomnieć, co wtedy mówiliśmy — wiedziałam, że okropne rzeczy.

— Kochasz Stirlinga — powiedziała. — Jesteście sobie prze — znaczeni. Jesteście podobni w tak wielu sprawach. Jesteście silni i odważni.

— Kto wie, co to jest miłość — powiedziałam. — Trzeba całego życia, żeby to pojąć. Myślę, że prawdziwa miłość to nie chwilowa namiętność. To coś, co człowiek buduje całymi latami. Ty możesz tak kochać Stirlinga.

— Ale Stirling kocha ciebie. Słyszałam, jak do ciebie mówił. Do mnie nigdy nie mówi w ten sposób.

— Pewnego dnia będzie tak mówił także do ciebie! Nie będzie wtedy nawet pamiętał, jak wyglądam.

— To nieprawda, Noro.

— Przekonasz się o tym z czasem.

Chyba udało mi się sprawić, że uwierzyła w to. Zaczęła szybko wracać do zdrowia. Dziecko było coraz silniejsze. Nigdy nie zapomnę dnia, gdy po raz pierwszy mogła wziąć je w ramiona. Zrozumiałam, że ma dla kogo żyć, i ona także to rozumiała.

Zrozumiałam też, że nadszedł czas mojego wyjazdu.

Miałam wyjechać za trzy tygodnie. Powiedziałam Stirlingowi, że nic mnie nie skłoni do zmiany decyzji. Miał syna, miał żonę. Powinien wynagrodzić Mincie wszystkie niepokoje, których za jego sprawą zaznała.

Zdawał sobie z nich sprawę. Wiedział, że Minta go podejrzewała. To nim wstrząsnęło — stał się wobec niej bardziej czuły i bardziej opiekuńczy. I to był początek. Powiedziałam mu, że może z czasem stanie się jej wart.

Franklyn przyszedł na partyjkę szachów.

— Postanowiłem wyjechać do Australii — rzeki.

— Ty? Nie wytrzymasz w Australii.

— Dlaczego?

— Bo to nie... Anglia! To nowy kraj, pełen życia, trochę dziki, wszystko się tam zmienia, toczy inaczej niż tu.

— Dlaczego ja także nie miałbym się zmienić?

— Dlaczego chcesz jechać?

Spojrzał na mnie uważnie i rzekł:

— Wiesz, dlaczego.

— Och, nie — zaprotestowałam. — Tak nie można. Chyba nie... z mojego powodu...

— Zdecydowałeś, że wyjeżdżasz. A więc jedyne, co mogę zrobić, to pojechać także. Przecież nie mogę cię stracić.

— Tu masz swoją posiadłość. Co będzie z domem?!

— Najmę zarządcę. To proste. Nawet już to zrobiłem.

— Ale ty kochasz ten dom!

— Jest coś, co kocham jeszcze bardziej.

Nie mogłam mu spojrzeć w oczy, wstydziłam się.

— Mnie?

— Oczywiście.

* * *

Stałam na pokładzie „Brandon Star” i patrzyłam na oddalające się wybrzeże Anglii. Wracałam. Kiedyś stałam na pokładzie statku płynącego w tym samym kierunku — obok Stirlinga.

Teraz Stirling był w Anglii. Pożegnałam go, pożegnałam Mintę i dziecko, Dom Białych Dam; miałam u boku innego mężczyznę.

Stirling i ja byliśmy ulepieni z tej samej gliny. Często o tym mówiliśmy. Ale ze mną był Franklyn, a ze Stirlingiem była Minta. Gardziliśmy nimi, kpiliśmy sobie z nich, ponieważ nie byli tacy jak my.

Nie, nie, myślałam. Znali siłę miłości, o jakiej my nie mieliśmy pojęcia. Minta gotowa była umrzeć dla Stirlinga. Franklyn opuścił swoją ukochaną ziemię, żeby być ze mną. Czym jest miłość? Czy Stirling i ja potrafiliśmy tak kochać?

— Wkrótce Anglia zniknie nam z oczu — powiedział Franklyn. — Smutno ci?

Popatrzyłam na niego.

— Muszę przyznać, że nie tak bardzo, jak się spodziewałam. Jedziemy do wspaniałego kraju o nieograniczonych możliwościach.

Uśmiechnęliśmy się do siebie. Miłość, którą ujrzałam w jego oczach, ogrzała mnie swoim płomieniem. Wiedziałam już, że chcę poznać ten rodzaj uczucia, który znał Franklyn, który znała Minta, tę miłość, która nie szuka mocnych wrażeń i ciągłej ekscytacji, miłość, która nie stoi na ruchomych piaskach gwałtownej namiętności, lecz na opoce głębokiego i trwałego uczucia.

Nim ląd skrył się za horyzontem, uwierzyłam, że ją odnajdę.